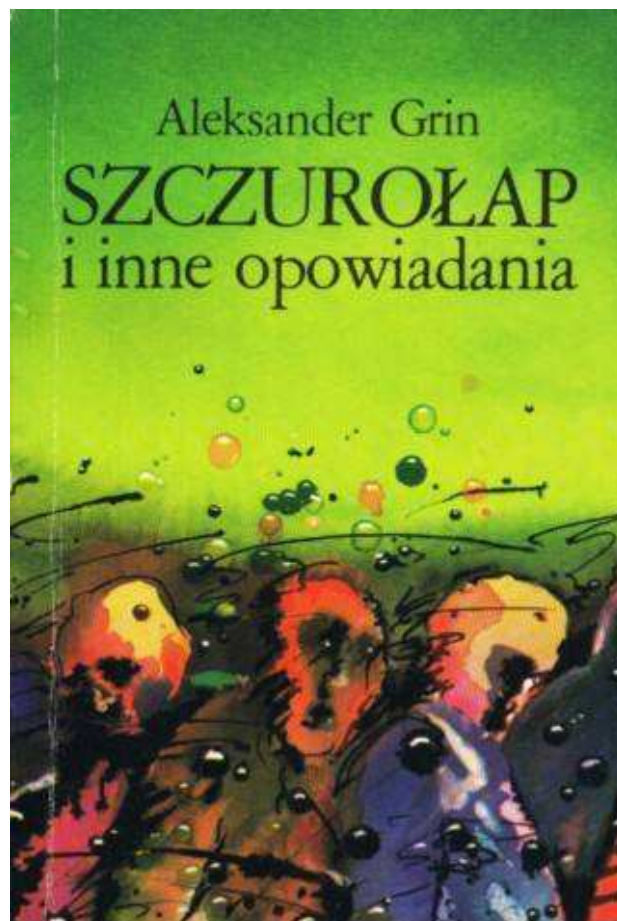


**ALEKSANDER GRIN**

# **SZCZUROŁAP**

I INNE OPOWIADANIA

WYBÓR: JERZY LITWINOW



WYDAWNICTWO „WSPÓLPRACA” WARSZAWA 1987

# KOLONIA LANFIER

Jak marynarz  
Płynący Kurską cieśniną.  
Nie wiem, dokąd dobrnę  
Przez miłości głębiny.

*Jositada, Japończyk*

## I

Trzy palce wskazujące wyciągnęły się w kierunku redy. Holenderski bark przycumował wieczorem. Noc ukryła jego sylwetkę; różnokolorowe ognie masztów i świecące się krążki iluminatorów dwoiły się w czarnym lustrze wody, bezwietrzna, gęsta mgła pachniała smołą, gnijącymi wodorostami i solą.

- Sześć tysięcy ton - powiedział Dribb, opuszczając swój palec. - Drzewo palmowe i hebanowe. Powiedz, Gupi, czy potrzebujesz heban?

- Nie - zaprzeczył farmer wprowadzony w błąd rzeczowym tonem Dribba. - Dla mnie się nie nadaje,

- A atlasową palmę, z której mógłbyś zrobić pałkę dla swego następcy, jeśli tylko jego plecy będą wymagały garbowania?

- Odczep się - zachnął się Gupi. - Nie chcę żadnego drzewa, ani kolorowego, ani malinowego, jakiegokolwiek.

- Panie Dribb - zaczął trzeci kolonista - pan, zdaje mi się, chciał coś powiedzieć?

- Ja? Nie, nic szczególnego. Tylko to dziwne, że bark, którego ładunek jest zupełnie niepotrzebny naszemu wielce szanownemu Gupiemu, tu właśnie rzucił kotwicę. Co pan, panie Astis, sądzi o tym?

Astis w zamyśleniu pociągnął nosem, jakby w zapachu morza ukryte było niezbędne wyjaśnienie.

- Problem niewielki, a mimo wszystko zagadka - powiedział. - Rejs tego Holendra był bardziej na południe. Chociaż to jego sprawa. Być może uległ uszkodzeniu. Zakładam też, że kapitan ma szczególne powody do tak dziwnego postępowania.

- Stawiam zakład - rzekł Dribb - że dostał w skórę na archipelagu, w przeciwnym razie, to tu powstanie fabryka mebli. Tak myślę.

- Ten zakład pan przegra - zaprzeczył Astis. - Już cały miesiąc nie było sztormu.

- Nie chcę zakładać się o byle co - po chwili milczenia powiedział Dribb. - Mniej niż dziesięć funtów mnie nie urząda.

- Zgoda.

- Co pan twierdzi?

- Nic. Mówię tylko, że pan się myli.

- W żadnym wypadku.

- Zaraz, zaraz...

- Oto moja ręka.

- Moja też.

- Panie Gupi - powiedział Dribb - pan będzie świadkiem. Ale jest pewien kłopot, jak przekonamy się co do mojej słuszności?

- Co za pewność siebie! - ironicznie powiedział Astis. - Proszę powiedzieć raczej jak udowodnić, że jest pan w błędzie.

Zapanowało krótkie milczenie, po czym Dribb oświadczył:

- Nic prostszego. Sami udamy się na bark.

- Teraz?

- Tak.

- Poczekajcie! - krzyknął Gupi. - Albo przestyszałem się, albo ktoś wiosłuje. Bądźmy chwilę cicho.

W głębokiej, zgęszczonej ciszy rozległ się przeciągły plusk wiosła, dźwięk natężał się, to znów oddalał w aksamitną otchłań morza.

Dribb drgnął. Jego ciekawość wzrastała. Dreptał na samym skraju urwiska i starał się wypatrzyć cokolwiek.

Astis nie wytrzymał i krzyknął:

- Hej, hej tam, w szalupie!

- Jest pan nieznośny - obruszył się Gupi. - Dlaczego pan sądzi, że jest mądrzejszy od innych. Bóg tylko jeden wie, kto z nas ma rację.

- Są blisko - powiedział Dribb.

Rzeczywiście, szalupa zbliżyła się na tyle, że można było już rozróżnić plusk strużek wody ściekających z wiosła. Doleciało szuranie kamieni, słychać było powolne kroki i rozmowę prowadzoną półgłosem. Ktoś szedł ścieżką, która prowadziła z mielizny na grzbiet urwiska. Dribb krzyknął:

- Hej tam, w szalupie!

- Tak, jestem! - doleciał z dołu głos z wyraźnie obcym akcentem. - Słucham.

- Czy to szalupa z Holendra?

Kolonista nie zdążył jeszcze otrzymać odpowiedzi, gdy nagle tuż obok rozległ się nieznanym pytającym głosem.

- Przyjacielu, czy to pan krzyczy? Zaspokoję pańską zrozumiąłą ciekawość: tak, to łódź z Holendra.

Dribb odwrócił się z lekka przestraszony i wytrzeszczył oczy na czarną sylwetkę człowieka stojącego w pobliżu. W ciemności można było zauważyć, że nieznajomy jest średniego wzrostu, ma silne bary i brodę.

- Kim pan jest? - spytał. - Czy przybył pan stamtąd?

- Stamtąd - odrzekł nieznajomy, kładąc na ziemi solidny węzełek. - Czterech marynarzy i ja.

Maniera mówienia bez pośpiechu, wymawianie każdego słowa wyraźnie ostrym głosem, zrobiły swoje wrażenie. Wszyscy trzej czekali w milczeniu przypatrując się nieruchomej, czerniejącej postaci. W końcu Dribb niespokojny o zakład spytał:

- Proszę pana, tylko jedno pytanie. Czy bark uległ awarii?

- Nie - odrzekł nieznajomy - jest świeży i mocny jak ja i pan, mam nadzieję. Przy pierwszym wietrze podnosi kotwicę i płynie dalej.

- To mnie urządza - radośnie oświadczył Astis. - Panie Dribb, oto pańska przegrana.

- Nic nie rozumiem! - krzyknął Dribb, którego radość Astisa boleśnie dźgnęła w serce. - Niech mnie piorun...! Bark to przecież nie jacht rozrywkowy, który może wciskać się we wszelkie dziury... Pytam, czego tu szuka?

- Pan wybaczy, uprosiłem kapitana, żeby tu mnie wysadził.

Astis z niedowierzaniem wżruszył ramionami.

- Bajki! - jakby pytając rzucił i podszedł bliżej. - To nie takie proste, jak pan myśli. Szlak do Europy leży prawie sto mil na południe.

- Wiem - z niecierpliwością rzekł przybysz. - Kłamać nie będę.

- Może kapitan jest pana krewnym? - spytał Gupi.

- Kapitan to Holender i chociażby z tego powodu nie może być moim krewnym.

- Jak się pan nazywa?

- Gorn.
- To dziwne! - powiedział Dribb. - I spełnił pańską prośbę?
- Jak widać.

W jego głosie słychać było raczej zmęczenie, aniżeli pewność siebie. Dribb miał na końcu języka setki pytań, ale powstrzymał się, czuł instynktownie, że ciekawość ma swoje granice. Astis powiedział:

- Tu nie ma hotelu, ale w Sabo znajdzie pan nocleg i jedzenie po znośnej cenie. Jeśli pan chce, zaprowadzę?

- Nie ma takiej potrzeby.
- Dribb... - zaczął Astis.

- Dobrze - z rozdrażnieniem przerwał Dribb - otrzyma pan te swoje dziesięć funtów jutro. Do widzenia, panie Gorn. Życzę, aby urządził się pan jak najlepiej. Idziemy, Gupi.

Odwrócił się i poszedł przed siebie razem z hodowcą świń.

- Teraz stawiam zakład, że Dribb odda przegraną tylko po mocnych przekleństwach. Panie Gorn, jestem do usług.

Astis wyciągnął rękę, odwrócił się i ze zdziwieniem mlasnął językiem. Był sam.

- Gorn! - krzyknął Astis.
- Nie było nikogo.

## II

Kwitnące niskopienne zarośla południowych wzgórz parowały delikatnym zapachem. Roztopiony dysk słońca zawisł nad lasem. Niebo przypominało błękitne, bezkresne wnętrze ogromnej kuli wypełnionej kryształową cieczą. W ciemnej zieleni błyszczała rosa, dziwaczne głosy ptaków rozbrzmiewały jakby spod ziemi; w ich trelach słychać było omdlałe, leniwe zdziwienie.

Gorn szedł z zachodu - zamierzał obejść parowy zajmujące przestrzeń między kolonią i północną częścią lasu. Stary sztucer marki Colt kołysał się za jego plecami. Szedł równymi, wielkimi krokami, rozglądając się dookoła z miną właściciela, który długo był tu nieobecny.

Południowy, tropikalny poranek obejmował Gorna zgęszczonym oddechem soczystej, mięsistej zieleni. Nieomal radośnie myślał, że życie tutaj posiada szczególny urok dzikości, samotności i spokoju niemożliwego tam, gdzie każda piędź ziemi jest obmacywana tysiącami, setkami tysięcy oczu.

Ominął parowy, grzbiet skał bazaltowych przypominających ogromne kopce węgla kamiennego, gęsty zagajnik opasujący wzgórze i zbliżył się do jeziora. Miejsce, które dopiero co zobaczył, nie odpowiadało mu. Brakowało tu skupienia, niezbędnego harmonijnego połączenia przestrzeni z lasem, gór z wodą. Ciągnęło go do cienistych, przytulnych zakątków, pełnych gościnnej przyrody. Z chwilą, gdy przyszłość przestała dla niego istnieć, stał się surowy dla terażniejszości.

Upał narastał. Cisza pustyni przysłuchiwała się idącemu człowiekowi; w spokojnym uroku dnia myśli Gorna powoli zmieniały się jedna za drugą i on, jak gdyby czytając książkę, śledził je pełen głębokiego smutku i niezłomnej gotowości by żyć w milczeniu, wewnątrz siebie. Teraz, jak nigdy, czuł swoje całkowite oderwanie od otoczenia; czasem, pogrążony w rozmyślaniach i gwałtownie przywrócony do świadomości przez głos małpy lub szelest biegnącego lirogona, Gorn podnosił głowę ze smutnym zaciekawieniem jak człowiek, który znalazłszy się na innej planecie, obserwuje z niezwykłym zainteresowaniem zwykłe przedmioty: kamień, kawałek drzewa, jamę wypełnioną wodą. Nie zauważał zmęczenia, nogi stapały mechanicznie i drętwiały z każdym uderzeniem podeszwy o stwardniałą glebę. Dotarł do jeziora

wtedy, gdy słońce, pokonując ostatnie wzgórze, spaliło cienie i zatopiło ziemię w bolesnym, nie do wytrzymania upale zenitu.

Kosmate, spęczniałe pnie, zakończone gigantycznymi pierzastymi wiązkami, łączyły się w przejrzyste arki zawierające girlandy roślin pełzających aż do korzeni poskręcanych, jak palce krasnala w podziemnym skurczu, i paproci z ich delikatną, wyszukaną koronką ciętych liści. Wokół pni wystrzeliwały w górę, jak snopy zielonych rakiet, opadające wachlarze, parasole, zaostrome owale, igły. Dalej, bliżej wody kolankowate pędy bambusa przeplatały się jak słoma oglądana przez lunetę. W prześwitach wypełnionych ciemnozielonym, zgęszczonym cieniem i złotymi plamami słońca pobłyskiwały maleńkie, błękitne kawałeczki jeziora.

Gorn, rozgarniając trzcinę, dotarł do mielizny. Naprzeciw, wąskim, zamglonym pasmem ciągnął się przeciwległy brzeg; błękitna, o stalowym odcieniu powierzchnia jeziora dymiła się, jak gdyby była owinięta delikatną gazą. Na prawo i na lewo brzeg wrzynał się w urwiste wzgórze; miejsce, gdzie stał Gorn, było miniaturową doliną porośniętą lasem.

Porównując to wszystko i rozmyślając, rzucił na piasek skórzaną torbę i usiadł pogrążony w roztargnionym spokoju. Miejsce to wydało mu się odpowiednie, o jego wyborze przesądziło także przemożne pragnienie rozpoczęcia pracy. Wyobrażał już sobie kwadratowy plac i lekką budowlę zasłoniętą bambusową ścianą od strony jeziora. Za pomocą siekiery i dzięki maksymalnemu napięciu woli miał nadzieję stworzyć sobie kąt wolny od natrętnego sąsiedztwa ludzi i obleśnych obcych spojrzeń, po których człowiek chce się wykapać.

W czasie tych rozmyślań odezwał się stary, przytępiony ból, który zatarł obrazy przyszłej pracy, kierując wyobraźnię ku gigantycznym miastom północy. Tysięcmilowe odległości kurczyły się jak zerwana guma; Gorn z okrutną dokładnością widział, obejmując kolana czerwonymi opalonymi rękami, sceny i wydarzenia, w centrum których była jego rozpalona i cierpiąca dusza. Nieruchomym, mrocznym wzrokiem patrzył na zastygłe w określonym wyrazie rysy twarzy, matowy połysk parkietu, firanki okna poruszane wiatrem i tysiące bezdusznych przedmiotów przypominających o cierpieniu głębszym aniżeli sama jego przyczyna. Błyszczący, brązowy kandelabr z topiącymi się świecami palił się przed nim, z ciemności wyłaniała się maleńka, otoczona koronką, wyciągnięta do ognia ręka, i ponownie, jak kilka lat temu, był słyszalny stuk do drzwi - głośnie i równocześnie nieme żądanie.

Gorn potrząsnął głową. Przez chwilę poczuł wstręt do samego siebie - czuł się jak ktoś, kto po amputacji zrywa bandaż, ażeby spojrzeć na martwy kikut. Milcząca cisza brzegów przypominała spokój szpitalnych pokoi, wywołujący u ludzi nerwowych potrzebę krzyku i ruchu. Zaczął pracować, ażeby otrząsnąć się z tych wrażeń. Odczuwał prawdziwą tęsknotę mięśni do wysiłku, pragnął zmęczenia, podnoszenia ciężarów, rąbania, wbijania.

Już od pierwszego uderzenia błękitnej angielskiej stali o giętką łodygę bambusu Gorn poczuł niezwykły przypływ energii, szalonego napięcia pragnącego podporządkować sobie materię. Wyczerpująca praca wywoływała narastające zadowolenie. Obalał bez przerwy drzewo za drzewem, odcinał liście, łamał, odmierzał, kopał jamy, wbijał pale; z oczami pełnymi zielonej pstrokacizny lasu, z duszą jak gdyby skamieniałą od dźwięków wywołanych jego własnymi ruchami zagłębiał się w chaos wrażeń fizycznych. Bolało w piersi od pośpiesznego oddechu, ostry pot drażnił skórę, dłonie parzyły i pokrywały się pęcherzami, nogi wypełniały się ciężką tętniczną krwią, ostry ból w plecach przeszkadzał się wyprostować, całe ciało drżało opanowane gorączkowym pragnieniem zabicia myśli. Było to upojenie, orgia wyczerpania, szalony pośpiechu, zadowolenie z przemocy. Głód stłamszony przez zmęczenie działał jak narkotyk. Gorn, wyczerpany z pragnienia od czasu do czasu odrzucał siekiere i pił zimną, słoną wodę z jeziora.

Gdy cienie położyły się i wieczorny rozgardiasz mały obwieścił o zbliżaniu się nocy, maleńka kozica, która zbliżała się do wodopoju, nagle padła w trzciny postrzelona przez Gorna. Ogień był kucharzem. Dymiące, na poły spalone kawałki mięsa pachniały trawą i sokiem krwi. Gorn jadł dużo, operując składanym nożem z taką samą zręcznością jak kiedyś

łyżeczką do deseru.

Zaspokajając głód, opanowawszy przez narastającą ciemność przenizaną czerwonym odbłaskiem gasnących, szaroniebieskich węgli ogniska, Gorn wspominał bark. Z burty statku jego dalsze istnienie wydawało mu się zagadkową przemianą dni pełnych niewiadomego, oczekiwaniem śmierci, któremu towarzyszyły ataki ciężkiej chandry. Jak gdyby widział siebie samego, maleńką ludzką drobinę z olbrzymim wewnętrznym światem, drobinę odczuwającą wszystko, co obejmowała świadomość.

Korzenna wilgoć gęstniała w powietrzu, melodia leśnych szelestów plotła delikatne koronki zjeżonej ciszy, stęchły, słodkawy zapach oranżerii podtrzymywał podniecenie. Myśli krążyły wokół rozpoczętej budowy, powracały do oceanu i do oderwanych wrażeń z przeszłości, która już utraciła swoją ostrość z powodu pełnego rozbicia. Zbliżał się ciężki, martwy sen; oddech dotykał powiek, plątał myśli i niewidzialnym ciężarem przenikał w członki.

Ostatni węgiel z trzaskiem rozpałił się na chwilę i przyjąwszy kolor rozpalonego żelaza rozświetlił pobliskie, zwinięte od żaru gałęzie i zgasł. Razem z nim odleciał w aksamitną czerń duch ognia, wesoły, podskakujący duch płomienia.

Pomruk rysia groźnie rozległ się na wzgórzu, ucichł, i ponownie natężając się zadzwieczał żalosaną, przeciągłą groźbą. Gorn nie słyszał go, spał głębokim, podobnym do śmierci snem, prawdziwym szczęściem ziemi, królestwa tortur.

Po pięciu dniach na równym, czworokątnym placu ubitej i otoczonej płotem ziemi stał niewielki dom z pochyłym dachem z trzciny i oknem bez szyb wychodzącym na jezioro. Mocne, własnej roboty meble składały się z łóżka, stołu i ławek. W kącie wznosiło się na ziemi masywne palenisko.

Skończywszy robotę Gorn, zgięty i wychudły, kiwający się ze zmęczenia, dotarł wąskim pasmem mielizny do podnóża wzniesienia, wszedł na wierzchołek i rozejrzał się.

Na północy, jak nieruchome zielone stado owiec, ciemniał las, okalający aż po sam horyzont łańcuch skał kredowych, postrzępionych szczelinami i plamami mizernych zarośli. Na wschodzie za jeziorem ciągnęła się biała nitka drogi prowadzącej do miasta, na jej bokach gdzieniegdzie sterczały drzewa, które z daleka wydawały się maleńkie jak pędy sałaty. Na zachodzie rozciągała się, otaczając porytą parowami i wzgórzami równinę, błękitna, mieniąca się białymi iskrami, gładź dalekiego oceanu.

A bardziej na południe od środka lekko spadzistego leju, gdzie pstrzyły się domy i farmy otoczone bezładnie zasadzoną zielenią, ciągnęły się ukośne czworoboki plantacji i zaoranych pól kolonii Lanfier.

### III

Miejscowa dwukółka przejechała drogę przed samym nosem Gupiego. Minąwszy obłok gryzącego pyłu, zobaczył nieznanego człowieka idącego naprzeciw i mimowolnie się zatrzymał. Nie pamiętał go, ale równocześnie jak gdyby kiedyś go spotkał. Niejasne wspomnienie o holenderskim barku pobudziło naturalną ciekawość Gupiego; zdjął kapelusz i ukłonił się.

- Hej! - powiedział Gupi mrużąc oczy. - Czy pan z miasta?

- Jeszcze nie byłem w mieście - zaprzeczył Gorn zatrzymując się - i nie wiem, czy tam udam się.

- No tak, no tak! - wyszczerzył zęby w uśmiechu Gupi. - Tak też myślałem. Poznałem pana po głosie. Tydzień temu wylądował pan w maleńkiej zatoce, czy tak?

- Tak, rzeczywiście wylądowałem w maleńkiej zatoce - powiedział w zadumie Gorn - ale nie sądzę, żebym spotkał się z panem.

Gupi roześmiał się mrugając porozumiewawczo.

- Astis i Dribb założyli się. Odszedłem z Dribbem. Astis zapewniał mnie, że pan zapadł się pod ziemię. Do diabła, ale pan zakpił z niego!

- Teraz, zdaje mi się, przypominam sobie - powiedział Gorn. - Tak, niewątpliwie czułem pańską obecność w ciemności.

- Tak, tak! - pokiwał głową Gupi, pocąc się z zadowolenia, że może pogadać. - A dlaczego nie poszedł pan z Astisem?

- Powiem prawdę - uśmiechnął się Gorn - szczerze mówiąc nie miałem sumienia niepokoić tak szanownych ludzi. Kto inny okłamałby pana i powiedział, że wszyscy wydaliście się mu głupimi, mielącymi językami i nadmiernie ciekawskimi, ale ja - co innego. Czuję sympatię do pana, nie chcę łąć.

Powiedział to z zupełnie spokojnym wyrazem twarzy i Gupi przyjąwszy za dobrą mone-tę zamaskowaną obrazę, rozplynał się w uśmiechu zadowolenia.

No, no - pobłaźliwie zaprzeczył - co za ceremonie! A pan, na honor, dobry chłop, podobą mi się pan. Moja farma znajduje się pół mili stąd; kawał smażonej świniny i szklaneczka piwa się znajdzie, co? Co pan na to?

- Chodźmy - po chwili milczenia zgodził się Gorn. Maniery pewnego siebie kolonisty bawiły go, spytał więc: - Ile tu mieszkańców?

- Wiele - zasapał Gupi wymachując rękami. - Z chwilą, gdy linie parowców zbliżyły nas do kontynentu, od razu zaczęli lądować najróżniejsi łajdacy, kręcą się tutaj, biorą działki, a za rok uciekają do miasta, gdzie są kobiety i wszystko inne, od czego tak trudno odzwyczaić się.

Labirynt zielonych przegród, pełen suchego pyłu, wił się na łagodnym wzniesieniu. Nogi Górna po kostki grzęzły w czerwonym piasku, pył łaskotał w nozdrzach. Gupi opowiadał:

- Kobiety tu pan spotka rzadziej aniżeli żmije. W ubiegłym roku na praczkę, która przyjechała z odległości stu mil, urządzono najprawdziwszą licytację. Gdyby pan zobaczył, jak podparłszy się pod boki, stała na ladzie „Zielonej Muszli”! Trzech ludzi biło się o nią, w końcu dobili targu: jednego znaleziono w studni, a pozostali dwaj żyją... z nią razem.

Gupi westchnął i ciągnął dalej. Wedle jego słów około połowa ludności miała rodziny i żyła z białymi kobietami, pozostali zadowalali się miejscowymi dziewczętami skuszonymi perspektywą nieróbstwa i kolorową szmatą, gdy w tym czasie ich ojcowie leżeli obok z butelką pozostawioną przez sprytnego narzeczonego.

Ludność napływowa to prawie w całości byli zesłańcy lub ich dzieci, dezserterzy z odległych kolonii, ludzie wstydzący się poprzedniego nazwiska, urzędnicy, którzy dopuścili się kradzieży - oto, co skupiło się w ilości stu dymów obok początkowo niewielkiego osiedla założonego przez dwóch byłych katorżników. Jeden z nich zmarł, a drugi jeszcze obnosi od domu do domu swoje sponiewierane przez nałogi, zniedołężniałe ciało - tu zje kolację, gdzie indziej obiad, a wszędzie stęka o bogactwie przegrany w ciągu jednej nocy z bardziej szczęśliwym łajdakiem.

- Oto i dom - powiedział Gupi, wyciągając sztywną dłoń w kierunku wysokiej budowli przypominającej wieżę. - To mój dom - dodał. Na jego twarzy pojawił się cień tępej ważności. - Dobry dom, solidny. Mógłby w nim mieszkać nawet gubernator.

Wysoki płot ciągnął się od dwóch narożników budynku, obejmując niewidoczną z zewnątrz przestrzeń. Gupi wsunął ręce do kieszeni i z zadartą głową wszedł w bramę.

Gorn rozejrział się zdziwiony swoistą wielkością świńskiego koryta królującego w tym zakątku. Nagrzane duchotą podwórze dyszało nieznośnym smrodem, miriady lśniących much krążyły w powietrzu, zielonawa gnojówka przyklepała się do podeszew, pośpieszne chrupkanie i ostra woń świńskich cielsk - wszystko to zlewało się z podrygiwaniem brudnego, żywego mięsa stłoczonego na obszarze jednego akra. Grube, żółte cielska snuły się w różnych kierunkach, kiwały się od własnego ciężaru. Podwórze roiło się od nich; olbrzymie knury z

czarną szczecina, niezgrabne wierzące się warchlaki, różowe, umorusane prosiaki, prośne, wzdęte maciory opadające z sił z powodu nadmiaru mleka ścieśnionego w obrzydliwie zwisających sutkach, tysiące skręconych ogonów, ryje pobłyskujące kłami, ostry pisk, szmer ocierających się ciał - wszystko to wywoływało tęsknotę za mydłem i zimną wodą. Gupi powiedział:

- Oto i moje świnki! I co?

- Nieźle - odpowiedział Gorn.

- Każdego miesiąca sprzedaję ze dwa tuziny - ożywił się Gupi, z zadowolenia rozdymając nozdrza. - To są najbardziej spokojne zwierzaki. I prawie żadnych kłopotów. No, czasem zdarza się, że pożerają małe, ale wtedy trzeba uważać. Lubię swoje zajęcia. Tak popatrzę sobie i myślę: oto snuje się leniwe, tłuste złoto; warto tylko trochę oczyścić i moja kieszeń obrywa się od pieniędzy. Ta myśl podoba mi się.

- Świnie są piękne - powiedział Gorn.

Gupi potarł czoło i zmarszczył się. Gorn denerwował go, człowiek ten miał taką minę, jak gdyby wiele razy oglądał świnię u Gupiego.

Zamierzałem odejść - zaczął Gorn - ale przypomniałem sobie, że chce mi się pić. Jeśli ma pan wino, to dobrze, Jeśli nie, nie trzeba.

Mam miejscowe wino „sakka”. - Gupi ruszył w kierunku domu. - Z saho. Pił pan? Proszę spróbować. Zakręci w głowie jak Estera.

Nieprzytulny, prawie pusty pokój, do którego wszedł Gorn, delikatniał dzięki oślepijącemu blaskowi nieba wdzierającego się przez okno; w jego błękitnym czworokącie cisnęły się spiczaste liście i pierzaste czubki krzaków. Gupi podniósł kij i głośno uderzył nim o stół.

Półnaga istota z fryzurą przypominającą papieską tiarę wyszła z bocznych drzwi. Była to kobieta. Jej ramiona przykrywała bawełniana chustka. Ciemna twarz z wypukłymi, jak gdyby spęczniałymi ustami, nieruchomo wpatrywała się w mężczyznę.

- Przynieś piwo - krótko zarządził Gupi, siadając przy stole.

Gorn usiadł obok. Kobieta o ciemnym ciele wniosła dzbanek, kubki i nie odchodziła. Jej podługne, bystre oczy ślizgały się po rękach Górna, ubraniu i głowie. Nie miała więcej niż osiemnaście lat; wulgarny wdzięk jej przypłaszczonej twarzy psuło błyszczące, żelazne kółko wetknięte w ucho.

- Nie stercz tutaj - powiedział Gupi. - Odejdź.

Górna warga dziewczyny leciutko uniosła się, błysnąwszy pasmem zębów. Wyszła sennie poruszając nogami.

- Żyję z nią - wyjaśnił Gupi opróżniając szklanę. - To idiotka. Wszystkie są idiotkami, gorsze od Murzynów.

- Myślałem, że pan nie ma... kobiety - powiedział Gorn.

- Nie mam kobiety - powiedział Gupi. - Nie jestem żonaty, a kochanek nie utrzymuję.

- Tu dopiero co była kobieta. - Gorn uważnie spojrzał na Gupiego. - Może pomyliłem się...

Gupi roześmiał się.

- Istnieją dla mnie tylko białe kobiety - wyjaśnił z dumą, po czym uspokoił się trochę i zaczął w nieco pogardliwym tonie. - A to... tak sobie. Nie jestem starcem, pan rozumie?

- Tak - powiedział Gorn.

Siedział roztargniony nic nie myśląc; wszystko, co go otaczało, wydawało się cierpkie i kwaśne, jak smak „sakki”. Gorn przemógł wymioty, śmiesznie wydymając policzki i wybałuszając oczy.

Piwo zakręciło mu w głowie, wlewało się chłodnym ciężarem do żołądka. Błękitny kwadrat nieba powiał smutkiem. Gorn powiedział:

- Kręci w głowie jak Estera... Zdaje się, że tak się pan wyraził.

- No, właśnie - przytaknął Gupi. - Tylko Estery nie można wypić, jak ten oto kubek. To



córka Astisa. Nieszczęście miejscowych chłopców. Gdy młody Dribb ożeni się, będzie miał więcej wrogów, aniżeli my obaj. Dzisiaj piątek i ona przyjdzie. Jeśli pan ją zobaczy, to proszę nie robić głupich min jak wszyscy inni, to dla niej nic nowego.

- Zobaczą - powiedział Gorn. - Jeszcze jestem ciekaw ludzi.

- Otóż to - Gupi spojrział z boku na Gorna - pan mi się podoba. A milczy pan wciąż, do diabła! Jak pan myśli żyć?

Gorn powoli dopił kubek.

- W lasach jest dużo żywności - uśmiechnął się oglądając nasadę nosa rozmówcy. - Jakoś przeżyję.

- A mimo wszystko - ciągnął Gupi. - Włóczęga ze strzelbą pośród miejscowej malarii... Klnę się na knura, że zatraci się pan w ciągu miesiąca.

Gorn z niecierpliwością wzruszył ramionami.

- Nie jest to ciekawe - powiedział - a oprócz tego czas na mnie. Kawa i proch czekają na mnie, zasiedziałem się.

- Niech się pan nie śpieszy! - wykrzyknął Gupi i zaczerwienił się na myśl, że Gorn mimo wszystko nic nie powiedział. - Czy panu samemu jest weselej?

Gorn nie zdążył jeszcze odpowiedzieć; Gupi zrobił przymilny grymas, odwrócił się do drzwi, które stuknęły, z wyrazem niecierpliwego oczekiwania.

- Panie Gorn, niech się pan odwróci - powiedział z błyszczącymi, małymi oczami. - Przyszła uwodzicielka, niechże pan popatrzy, ależ pan powolny!

Ironiczny uśmiech Gorna znikł. Z poważnym już wyrazem twarzy i z krwią powoli napierającą na serce przyglądał się dziewczynie. Myśl o pięknie nawet nie przyszła mu do głowy. Czuł ciężkie, bolesne wzruszenie, jak wówczas gdy muzyka obdarzyła go nieoczekiwane dźwiękami, po których chciało się milczeć cały dzień lub upić się.

- Musi pan poczekać, panie Gupi - powiedziała Estera spoglądając na Gorna. Obcy człowiek krępował ją, zmuszał do mówienia z nieświadomym odcieniem wyniosłości. - Ojciec nie ma pieniędzy.

Gupi zzieleniał.

- Żartujesz chyba, moja piękna! - syknął nienaturalnie uśmiechając się. - Kładź tutaj, coś tam schowała... no!

- Nie mam czasu na żarty. - Estera zbliżyła się do stołu i oparła się dłońmi o jego brzeg. - Nie ma i koniec! Musi pan poczekać około miesiąca.

W tej krótkiej chwili, gdy Gupi nabierał powietrza, by zakląć lub krzyknąć, dziewczyna uśmiechnęła się.

- Ciesz się! - krzyknął Gupi biegnąc i podskakując. - Ty się śmiesz! A czy twój ojciec da mi choć złamany grosz, gdy będę siał z głodu? Rozdałem tysiące, a teraz muszę czekać! Klnę się na głowę babci, że mi to już zbrzydło! Oddaję sprawę do sądu, czy słyszysz, trzpio-  
tko?

Gorn wstał.

- Nie chcę przeszkadzać... - powiedział.

- Estero - zaczął Gupi - oto człowiek z kraju uczciwych ludzi. - Zapytaj go, czy można nie dotrzymać słowa?

Dziewczyna uważnie spojrzała w twarz Gornowi. Stropiony odwrócił głowę, te matowe, czarne oczy jak gdyby zbliżały się do niego. Gupi mierzwił włosy.

Żegnajcie - powiedział Gorn wyciągając rękę.

Niech pan przychodzi - warknął Gupi. - Niepokoi mnie pan. Ach, te pieniądze, pieniądze! - Z niejakim wysiłkiem ciągnął: - Mam nadzieję, że będzie pan bardziej rozmowny. Gdyby pan reflektował na działkę...

Gorn wyszedł na podwórze i zatrzymał się nasłuchując. Z góry dolatywały podniecone głosy. Ruszył trafiając w kałużę wody i błočka upstrzonego kopytami.

Pośpieszny oddech zmusił go do odwrócenia się. Obok szła Estera, lekko podtrzymywała krótką suknię w pasy i z ożywieniem wymachiwała wolną ręką. Gorn milczał, szukając słów, ale ona go wyprzedziła.

- Czy pan jest tym samym człowiekiem, który wylądował tu tydzień temu?

Miała czysty i powolny głos, którego dźwięki, jak się wydawało, przenikały jej całe ciało, wyrażając twarzą i spojrzeniem to, co wymawiały jej usta.

- Tym samym - potwierdził Gorn. - A pani, czy jest córką Astisa?

- Tak. - Estera poprawiła warkocze, które spletały się pod ostro zakończonym płaskim kapeluszem. - Ale nie pożyje pan tutaj.

Gorn uśmiechnął się tak, jak uśmiechają się dorośli, słuchając mądrych dzieci.

- Dlaczego?

- Tu ludzie pracują. - Wysokie brwi dziewczyny w zamyśleniu napięły się. - Ma pan ręce takie, jak ja.

Wyciągnęła swoje ręce ozdobione pierścieniami, delikatne i małe, i od razu je opuściła. Porównywała tego człowieka ze smukłymi chłopcami z farm.

- Nic tu z pana - zdecydowanie powiedziała. - Jest pan, jak się zdaje, z miasta. Tu nie ma niczego dobrego.

- Jest - poważnie zaprzeczył Gorn. - Jezioro. I dom mój, tam.

Zatrzymał się nawet.

- Dom? Pięć lat temu mieszkali tam jacyś ludzie, ale wszystko spaliło się.

- Estero - powiedział Gorn - teraz pani widzi, że i ja umiem pracować. Zbudowałem go w ciągu sześciu dni, jak Bóg stworzył niebo i ziemię.

Wyszli za ogrodzenie odprowadzani ogłuszającym chrumkaniem, szli obok siebie, pograżając nogi w gorącym czerwonym piasku. Estera roześmiała się powolnym głosem.

- Mieszkańcy miasta lubią żartować.

- Nie, nie kłamie. - Gorn odwrócił głowę i spojrzał na wyrazistą twarz dziewczyny. - Tak, tu będę żył. Bez zajęcia.

Widział jej na poły otwarte usta, zdziwione oczy i czuł, że nie jest mu nudno. Zapanowało milczenie.

Tuman kurzu, połyskujący bosymi piętami i brązowym ciałem mknął naprzeciw. Gorn zatrzymał się. Kurz opadł - coś niewiarygodnie brudnego i obdartego dreptało tuż przed nim, wymachując długimi jak u małpy rękami. Tym dziwnym ruchom ciała towarzyszyły ochryple krzyki i oddech podobny do szlochu.

Bekeko - powiedziała dziewczyna. - Proszę się nie bać, to Bekeko. Jest pomyłony, biedny chłopiec... Bekeko, co tobie?

Napęczniała, posiniaczona głowa wciskała się w spódnice dziewczyny. Bekeko cieszył się, od czasu do czasu przerywał swoje pieszczoty i przyklejał się do Gorna białawymi oczami. Wyglądał paskudnie i wzbudzał chłodne współczucie. Gorn podszedł do ogrodzenia.

- Bekeko, idź do domu, obrzydliwcze! - krzyknęła Estera widząc, że pomyłony chce ją uszczypnąć w rękę.

Idiota wyprostował się, ujadając jak pies.

- Estero - powiedział, nie przestając dreptać w miejscu, chcąc nazbierać wiele spódnic w pasy i wszystkie przyniosę tobie. Ciągłe mnie coś kłuje za policzkiem!

Estera zrobiła przerażony wyraz twarzy.

- Ogień! - krzyknęła. - Bekeko, ogień!

Wrażenie wywołane tymi słowami było zabójcze. Skurczony Bekeko upadł, obłapił głowę rękami i zaczął drzeć. Jego plecy ciężko unosiły się i opadały.

- Po co to? - spytał Gorn przypatrując się leżącemu.

- Właśnie tak - powiedziała Estera - inaczej z nim nie można, bo przywiąże się jak pies i będzie chodził za panem, dopóki nie powie mu się słowo „ogień”. Chował go brat, ale spalił

się po pijanemu. Pomyłony boi się ognia bardziej niż pobicia. Widzę go rzadko, najczęściej błąka się po błotach i je, nie wiadomo co.

Gorn zapalił fajkę.

- Wiedziałem, że pani istnieje - powiedział wciskając popiół - zanim pani się zjawiała.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- To Gupi - rzekła z wolna - powiada, że jestem uwodzicielką.

- Tak-powtórzył Gorn - pani jest uwodzicielką.

Znowu popatrzył na nią: ani cienia zmieszania. Jej twarz nie wyrażała ani kokieterii, ani wdzięczności, i nawet on sam odczuł pewne zakłopotanie, zaciągając się dymem głębiej aniżeli zazwyczaj.

- Mieszkam tam - powiedziała dziewczyna, pokazując w lewo na żółty dach. - Ojciec lubi gości. Pan dokąd?

- Po kawę, tytoń i proch - powiedział Gorn zginając trzy palce.

- Do Sabo - dodała dziewczyna. - Ma pan sztucer?

- Tak.

Estera kiwnęła oczami.

- Ja mam karabin - powiedziała. - Ale tu trudno dostać naboje, jeździmy do miasta. Celuję spod pachy i strzelam bez pudła.

- Chce pani powiedzieć, że pod tym względem nie jest pani mnie pewna - rzekł Gorn. - Ale przekonam panią. Proszę odejść na prawo.

Wyciągnął rewolwer i ukłonił się dziewczynie. :

- Pani idzie w tym kierunku? Czy widzi pani trzydzieści kroków stąd cieniutką łądygę? Idąc obok proszę zatrzymać się i jeśli odnajdzie w niej pani kulę, to proszę odwrócić się.

Teraz widział oddalające się plecy Estery, jej czarne włosy i celując omal nie kichnął z powodu słońca, które błysnęło na wypolerowanej stali rewolweru. Strzał szarpnął jego rękę. Estera szła z lekka kołysząc się i zatrzymała się tuż przy drzewie.

Odwróciwszy się, wesoło machnęła ręką i znowu Gornowi wydało się, że jej oczy płyną gdzieś w powietrzu.

## IV

Nikt nie obudził Gorna, wstał sam z całkowicie jasną świadomością, bez sennej ociężałości ciała, bez ziewania, tak gdyby wcale nie spał, lecz czekał, leżąc z zamkniętymi oczami.

Spróbował, spokojny, lekko zdziwiony wyjaśnić samemu sobie przyczyny, które tak niezauważalnie oddziaływały na jego świadomość. Różowe upojenie poranka wciskało się w okno wilgotną mgłą, słoną wilgocią płycizn i ciszą szmerów tak nieuchwytnych, jak tok myśli zasypiającego człowieka. Jezioro parowało. Kołyszące się opary zaścielały powierzchnię, obnażały przy brzegach jasne, błękitne płachty sennej wody.

Gorn stał przy oknie zasłuchany w melodyjnej ciszy śpiącego powietrza. Na jasnym o jeszcze zamkniętych powiekach obliczu świtu mienił się błyszczący skrawek dysku; góry obłoków płynęły za odległy horyzont, pajęcza rzeźba lasu zasnuwała drugi brzeg, i Gorn pomyślał, że to mogłyby być tłumy zielonych śpiących rycerzy. Kopie na których opierali się, był ozdobione nieruchomymi, równiej zielonymi piórami.

Nagle wszystko zmieniło się, niezliczone promieni gradem złotych monet rozsypały się po ziemi; zabłyszczała od nich woda, niektóre legły u nóg Górna-były przezroczyste, wykute ze światła i powietrza. Zieleń, szklana od rosy, wysychała na oczach Gorna. Kłębki zszarzałych kwiatów pęczniały i nabierały kolorów, prostowały się jak drżące palce dziecka wyciągnięte do zabawki. Zgęszczony zapach ziemi łaskotał nozdrza. Zielone, błękitne, brązowe i

różowe smugi oblały gałęzie bambusów, drząc w tkaninie listowia spletanymi cieniami; gdzieś w pobliżu gardło leśnego ptaka wyrzuciło głęboki, niepewny i urwany świst, jak gdyby dźwięk strojonego instrumentu.

Gorn stał wypełniony po brzegi zielonym winem ziemi przeciągającej się ze snu. Mleko buchające z delikatnej przepelnionej piersi niewidzialnej kobiety niespostrzeżenie spływało na jego usta, i on wyobrażał ją sobie, chwycił posłany niebiosom jej uśmiech i mrużył oczy spod złotem pajęczyny, która zasnuła świat. Jego dusza rozdzieliła się, mógłby roześmiać się, ale nie chciał, gotów był uwierzyć zielonym rycerzom, ale z wysiłkiem przerywał ich ciche głosy natrętnymi wspomnieniami.

Spór Gorna z Gornem urwał się tak szybko i gwałtownie, jak ostro zaskrzypiały drzwi powoli otwierane z zewnątrz. Szczelina zwiększała się, człowiek, który otwierał je, stał bliżej węgła i był niewidoczny.

Gorn czekał nie będąc przekonany, czy tam ktoś jest. Drzwi otworzyły się same przedwcześnie, co wynikało z powodu niewielkiej krzywizny pętli. Instynktownie, bardziej z ciekawości, aniżeli z ostrożności, skierował spojrzenie w ten punkt, gdzie najpewniej mógł spotkać oczy ludzkie.

Ale w następnej chwili przeniósł wzrok nieco bliżej. Oko i część głowy okolonej białymi włosami pokazały się na poziomie czterech stóp; ktoś zaglądał zgięty, czmychnął za drzwi i prawie natychmiast pojawił się ponownie.

Człowiek kołyszając się podszedł do drzwi, otworzył je i niezręcznie kiwnąwszy głową, spojrzał w twarz Gorna przekrwionymi oczami. Prawdopodobnie był pijany.

Wyglądał jak diabeł, który udawał nędzarza: prosty jak tyka o tępym, z nieruchomym blaskiem wypłowiałych oczach. Z odległości kilku kroków ręce jego wydawały się sine, jak u umrzyka, ale zbliżywszy się można było dostrzec zwarty rysunek tatuażu przykrywającego całe ciało od szyi do pasa. Węże, smoki japońskie, flagi, okręty, napisy, nieprzyzwoite sceny, cyniczne wizerunki, wszystko to było stłoczone na jego piersi i rękach i przeplatało się z białawymi szramami. Z szyi zwisał szalik, który brud i czas przemienił w sznurek. Postrzępiony brzeg kapelusza przykrywał ostro zakończone jak u wilka uszy i twarz koloru pozieleniałego mosiądzu. Nos rozbity pałką ponuro krzywił się ku dołowi. Kurtka bez rękawów nie zakrywała całkowicie gołej piersi. Z całej tej postaci powiało podejrzaną przeszłością, mrocznymi zakamarkami serca, melinami, błyskiem noży, zachrypłą nienawiścią i ludzką sierścią, która jest czasem bardziej wstrętna aniżeli u tygrysa. Starzec ten posmakował sobie życia, co się zowie.

- Co pan powie? - spytał Gorn. Był trochę zaskoczony. Postać ta nie budziła zaufania. Podobna do strzępu snu przestępowała z nogi na nogę.

- Co powie? - wymamrotał oberwaniec, robiąc oko i starając się trzymać prosto. - Jeśli spyta pan, kim jestem?, to odpowiem panu szczerze i otwarcie. Jak pan chce, a ciekawość bierze widząc takiego człowieka jak pan. Sam tak kiedyś żyłem... sam jeden... trzydzieści lat temu schowałem się na bezludnym atolu przed diabelsko ciekawskimi kepi. Co prawda oni dopięli swego... już potem... och! znacznie później.

Starzec pryskał śliną, a w jego wyschniętym, jak gdyby przyduszonym gardle skakała grdyka. Gorn spytał:

- Jak pan się nazywa?

- Lanfier - wycharczał gość. - Lanfier, do pańskich usług.

Gorn w skupieniu kiwnął głową. Starzec wydał mu się zabawny, powaga, z jaką podał swoje nazwisko, ukrywała nieuczciwe i podstępne zamiary.

- Jestem Gorn.

Lanfier roześmiał się.

- Gorn? - powtórzył robiąc lewe oko, gdy w tym czasie prawe matowiało i pobłyskiwało źrenicą. - No tak, Gorn, a kimże jeszcze może pan być.

Gorn zasepił się, bezceremonialność oberwańca wywołała w nim lekkie zniecierpliwienie.

- Mogę – powiedział - być jeszcze kimś innym. Mogę być człowiekiem, który nie jest przyzwyczajony wstawać rano. A pan oprócz tego, że jest Lanfierem, może być jeszcze człowiekiem, który tylko przypadkowo zastał mnie takim, jakim jest - przebudzonym.

Lanfier w milczeniu wyszczerzył zęby. Nie odpowiedział. Jego pijane myśli pełzające na czworakach jednoczyły się w chęci błysnięcia oczywistą bezpośredniością i tupetem.

- Pierwszy zamieszkałem w tej dziurze - powiedział bezczelnie, siadając na twardym łożu Gorna. - Diabeł i zwierz przekleli kolonię, zanim moje pierwsze uderzenie kilofem przebiło warstwę tej ziemi. Chcę poznać pana. O mnie tu wiele mówią, ale, klnę się na honor, byłem ukarany bez winy!

Gorn milczał.

- Zawsze szanowałem wysiłek - powiedział Lanfier z widoczną pogardą dla tego, co mówiły jego usta. - Pan mi nie wierzy! Gdyby pan poznał mnie lat temu czterdzieści... - Dwuznaczny uśmiech przeleciał jego suche usta. - Szalenie lubię chwatów. Pan przyjechał, urządził sobie kąpiel, jak niezależny człowiek, nikogo nie pytając ani o zgodę, ani o radę. Sam sobie panem. Takich to szanuję; poklepałbym pana po ramieniu, gdybym wiedział, że pan nie pogńiewa się. Stawiam zakład, że jest pan w stanie kułakiem rozwalić czerep i nie da siebie skrzywdzić. Tu inaczej nie można, miej to pan na względzie... Jeśli ktokolwiek w kolonii nie wahał krwi, to właśnie ja, nieszkodliwy, i słowo daję najbardziej porządny człowiek na świecie.

- Do rzeczy - powiedział Gorn tracąc cierpliwość. - Jeśli potrzebuje pan czegoś, to proszę mówić.

Żrenice Lanfiera rozszerzyły się i zgasły. Kombinował coś. Jego przesiąknięty spirytusem mózg szukał chociażby najmniejszego, ale właściwego klucza do cudzej duszy.

- Wszystko jedno - zaczął ponuro - nawet jeśli mnie pan przepędzi. Dla nieszczęśliwych jest tylko jedna droga - pogarda. Klnę się na ogień i wodę, że żywię do pana sympatię i zaszedłem dowiedzieć się, jak się pan czuje. Nie jestem gliną, do diabła, żebym miał z pana wyciągać bebechy, czy nie pozostawił pan tam, za tą kałużą solonej wody, czyjegoś nienawistnego spojrzenia... Wszystko mi jedno. Każdy żyje, jak może. Chcę tylko uprzedzić, żeby był pan ostrożniejszy. O panu mówi się tu wiele. Gdy odrzucimy brednie durniów, to otrzymamy mniej więcej taką powszechną opinię: „Przyjechał nie z pustymi rękami” Widzi pan, gdy się kupuje kawę, tytoń, plaster czy proch, to należy płacić srebrem. Najlepiej rozmiąć pieniądze w ojczyźnie. Tu gorące słońce, krew gotuje się szybko znacznie szybciej aniżeli oliwa na patelni. O! Wcale nie chcę pana straszyć, w żadnym wypadku, tu są bardzo dobrzy ludzie, lecz połowa z nich jest pozbawiona skrupułów. Nic się na to nie poradzi! Nie każdy otrzymał dostatecznie porządne wychowanie.

Oczy Gorna prosto i nieruchomo patrzyły w twarz przybysza. Lanfier kołysząc się wypuszczał drżącym powolnym głosem zdanie po zdaniu, i one poprawnie rozdzielone niewidocznymi znakami przestankowymi rozplywały się w powietrzu jak kłęby dymu systematycznie wydmuchiwane przez namiętnego palacza. Jego spojrzenie skierowane w bok błędziło i skakało niespokojnie obmacując przedmioty, ale równocześnie cały czas trzymało Gorna niewidzialnymi kleszczami w stanie niecierpliwego rozdrażnienia. Spytał:

- Dlaczego pan nie wszedł od razu?

Starzec szczerze spojrzał na gospodarza.

- Bałem się, że zbudzę pana - powiedział przekonywująco - a i drzwi diabelnie ciasne. Gdybym zastał pana śpiącego, to natychmiast poszedłbym powąłęsać się po okolicy, dopóki panu nie znudziłoby się spać.

Nieoczekiwanie zrobił płaczliwą minę.

- Mój Boże! - jęknął z wysiłkiem mrugając suchymi powiekami. - Życie przekształciło

się w tortury. Żadnego szacunku, nikt z miejscowych wałkoni nie chce pamiętać o tym, że jako nędznik dał początek całemu temu miłującemu pracę światu. Kto wie, może tu w końcu wyrośnie miasto, a kości moje obgryzione przez psy będą poniewierać się w błocie i nikt nie powie, że są to kości starca Lanfiera, który niewinnie został osądzony przez ludzi.

- Wstydzilibym się - sucho zaczął Gorn - zauważyć, że dzięki pańskim przypadkowym odwiedzinom w tych miejscowościach, półwysep został zapaskudzony ludźmi. Nie mam teraz przyjemności rozmawiać z panem. Wolałbym, żeby tutaj nigdy nie było ani pana, ani dachów, ani plantacji. Jeśli chodzi o dobrych ludzi, którzy otrzymali złe wychowanie, to proszę im przekazać, że każda nieoczekiwana grzeczność z ich strony spotka odpowiednie przyjęcie.

- Mowa wilka - powiedział oberwaniec. - Nieźle jak na pierwsze spotkanie. Pan mną pogardza, a ja chcę, żeby tutaj było wielu ludzi. Ze wszystkimi mam porachunki. Widzi pan, co się tyczy jednych, to mam dobrą pamięć. Inni, jakby to panu powiedzieć, są tępi i spokojnie pasą się na swoich łąkach. Tych gołę spokojnie, no, jakieś takie głupstwa - chleb, tytoń, czasem drobne na popijawę. Są też nadzwyczaj bezczelni prostaczkowie, tacy, którzy mogą puścić krew, oblizują się przy tym jak chłopiec zjadający łyżkę konfitur. Oni wszyscy mówią cicho i powoli, chodzą wolno, i stale rozdymają się u nich nozdrza...

Lanfier zniżył głos i zwinął się, jak gdyby zabołał go brzuch, roześmiał się całą gębą, gdy w tym czasie jego oczy zupełnie utraciły ruchliwość i zwężyły się.

- Łódź! - krzyknął. - Skąd tu łódź?

Gorn spojrział w okno. Połyskujące, przejrzyste jezioro, wypełnione tonącymi obłokami było oczywiście puste. W tym samym momencie jeszcze szybciej z bijącym sercem odwrócił się do skaczącego napastnika. Niecelny cios noża przeciął jego bluzę. Gorn wsunął do kieszeni rękę i błyskawicznie skierował lufę rewolweru w bezkrwistą, miotającą się twarz Lanfiera.

Starzec przytulił się do ściany, obłapił głowę pomarszczonymi rękami, a potem znalazł się nagle przy parapecie, wyskoczył i rzucił się w krzaki. Trzy kule Gorna świsnęły w liściach. Nerwowo zaśmiał się i wsłuchał w szelest szuwarów. Wystrzelił raz jeszcze. Nagła cisza wypełniła się szumem pulsującej krwi. Nogi straciły prężność, myśli zakołowały i popłynęły jak szczapy rzucone do potoku. Świt, który tak zauroczył Gorna, nagle stał się podobny do taniej i odpychającej oleografii.

Nic wypuszczając rewolweru usiadł w zamyśleniu na źle zbitej ławie. Czuł jak nigdy przedtem pełną ciemność i przyszłość i kruchość spokoju trwającego czternaście dni. Jego życie stawało się podobne do niespokojnego istnienia ostrożnych czworonogów, których wzrok i słuch wyostrzyła podejrzana cisza ostępów, tak że on sam powinien był stać się jakimś rozumnym wilkiem. W odczuciu tym ukryty był dziwny ciężar i poniekąd smutna radość człowieka, któremu nie dano wyboru.

Teraz namiętnie pragnął, żeby kobieta o miękkiej twarzy, skroiła jego duszę według swego życzenia jak suknię, w której jej do twarzy, przeszła obok wzgórz, lasu i jego spojrzenia, pogrążając drogie buciki w miękki ił brzegu, zabłądziła i zastukała do drzwi jego domu. Gorn niewyraźnie widział jej poranną toaletę w sąsiedztwie glinianych mrowisk i to nedorzeczne zestawienie wydawało mu się możliwe. Jego wyobrażenia o życiu dopuszczały wszystko oprócz cudu, do którego czuł instynktowną pogardę, uważając potrzebę nadprzyrodzonych zjawisk za oznakę słabości.

Wychudła, wysoko uniesiona ręka Lanfiera przemknęła raz jeszcze przed oczami i wywołała dreszcze u Gorna. Kolonia, nie wiadomo dlaczego nazwana imieniem człowieka, który dopiero co polował na niego, jawiła mu się podobna do pokiereszowanego oberwańca wyglądającego zza płotu. Wychodząc dokładnie zamknął drzwi.

## V

Gorn, idąc równiną, na samym skraju lasu natknął się na szybko biegnącego małego, siwego konia. To Estera galopowała wierzchem; jej skupiona, spokojna i wesoła twarz spoglądała na Gorna z góry, spod cieniściego ronda kapelusza. Gorn ożywił się i z uśmiechem zadowolenia zaczekał, aż dziewczyna zeskoczyła na ziemię, a potem w milczeniu odwróciła się do niego, poprawiając siodło. Samotność nie ciążyła mu, ale od czasu do czasu miewał wybuchy tęsknoty! i właśnie teraz, gdy pojawiła się Estera, Gorn był nadzwyczaj uradowany możliwością rozmowy. Szli obok siebie, a małeńki, siwy koń kroczył obok powoli, strzygąc uszami i wyciągając łeb za plecami dziewczyny, jak gdyby przysłuchiwał się rozmowie.

- Cieszę się, że widzę panią - powiedział Gorn. - Tak zabawnie pożegnaliśmy się wówczas, że i teraz na śmiech mi się zbiera, gdy przypomnę sobie o strzale.

Estera uniosła brwi.

Dlaczego zabawnie? - spytała podejrzliwie. - Tu często strzela się do celu, ja także strzelam.

Gorn nie odpowiedział.

- Ojciec wysłał mnie do pana - powiedziała dziewczyna, patrząc na linię horyzontu. - Powiedział: „Jedź, zobacz. Dawno już tego człowieka nie było widać, zdarza się malaria, i zmij zatręśnienie”.

Dziękuję - odrzekł zdziwiony Gorn. - Widział mnie tylko raz i to nocą. Dziwne, że troszczy się o mnie, jestem wzruszony.

- Troszczy się! - ironicznie powiedziała dziewczyna. - On - troszczy się! Nie troszczy się o nikogo. Pan po prostu niepokoi go. Wszyscy i wszędzie o panu mówią. Ktoś w ubiegłym tygodniu twierdził, że pan jest najzwyczajnym dezerterskim z kontynentu. Ale nikt pana nie zapytał, jak jest naprawdę, może być pan pewny. Tak tu ludzie żyją.

Gorn gniewnie wzruszył ramionami.

- Zdarza się - powiedział chłodno. - Gdy człowiek o nic nie prosi u innych i nie chce wiedzieć, wtedy jest przestępcą. Jeszcze pół biedy, jeśli go nienawidzą, ale mogą także pobić i skłąć.

Estera odwróciła się i spojrzała Gornowi w oczy, jak gdyby zastanawiała się, czy ten człowiek pozwolił się pobić.

- Ale nie pana - powiedziała zdecydowanie. - Pan, zdaje mi się, jest silny, tylko nieco błady. Tu szybko stanie się pan smagły jak wszyscy.

- Mam nadzieję! - powiedział Gorn.

Zamilkł i zachmurzył się, przypomniał mu się napad Lanfiera. Nie chciał o tym opowiadać, niejasno domyślał się, że zdarzenie to może wywołać domysły na temat jego, jakoby schowanego, złota. Estera coś sobie przypominała; osadziła konia, zbliżyła się do siodła i wyciągnęła ze skórzanego worka coś okrągłego i kłującego, jak gdyby jabłko utkane gwoździami.

- Niech pan je - zaproponowała Estera. - To są miejscowe durangi, nieco zgniły, ale dlatego są smaczniejsze.

Oboje stali na niewysokim plato otoczonym chropowatymi uskokami. Gorn niezdecydowanie obrócił w rękę owoc, zbity z tropu odpychającym zapachem zgniłego czosnku.

- Przyzwyczaj się pan - beztrząsownie powiedziała dziewczyna. - Niech pan ścisnie nos, słowo daję, że to nie jest takie złe.

Gorn odłupał twardą skórę duranga i zobaczył biały, podobny do kisielu miąższ. Gdy spróbował, znowu zawahał się na moment i w całości połknął ten zadziwiający owoc. Jego delikatny, niewyraźny złożony smak zmuszał do jedzenia bez końca. Estera uważnie przyglądała się Gornowi, który nieświadomie poruszał wargami, jak gdyby wtórował przeżuwaną

cym ustom.

- No, jak? - spytała.

- Doskonale - powiedział Gorn.

- Dam panu jeszcze. - Odwróciła się do konia i zręcznie wsunęła kilka owoców do kieszeni Gorna. - Tu jest ich dużo, sam pan może zbierać.

Zamyśliła się, otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale pohamowała się, zawierając w dziecinnym spojrzeniu, które skierowała w twarz Gorna, nieme pytanie.

- Pani chciała o coś zapytać - powiedział. - No cóż, niech pani pyta.

- Nie, nic - szybko zaprzeczyła Estera. - Tak, chciałam zapytać, ale skąd pan wie? Chciałam zapytać, czy nie jest panu nudno ze mną? Nie umiem rozmawiać. Wszyscy tutaj jesteśmy gruboskórni. Tam, zapewne, lepiej się panu żyło?

- Tam?

- No, tam, skąd pan pochodzi. Tam, powiadają ludzie, jest wiele wszelkich różności.

Zrobiła gest ręką, jakby starała się bardziej plastycznie wyobrazić sobie lśniący ogrom miasta.

- Ani tam, ani tu - powściągliwie powiedział Gorn. - Jeśli dobrze, to wszędzie dobrze, jeśli źle, to wszędzie źle.

- A więc jest panu źle! - krzyknęła triumfująco. - Proszę opowiedzieć.

- Opowiedzieć? - ze zdziwieniem powtórzył Gorn.

Dopiero teraz wyraźnie zrozumiał i odczuł, jaką niecierpliwą, chociaż i wyuzdaną, ciekawość musi w niej wywoływać. Niezniszczalne znamię kultury starożytnej, zniekształcone półdziką egzystencją, stygmat złożonego świata duszy lśnił w nim i jak moneta nadgryziona kwasem oznajmiał o swojej cenie. Rozmyślał. Jej żądanie było niezrozumiałe i w swej bezpośredniości jawiło się jako proste życzenie poznania, z kim ma się do czynienia. Ale jego przeżądała nawet najdrobniejsza myśl o tym, że mógłby ukazać swoją duszę tej prostej dziewczynie. Nie przyszło mu do głowy kłamstwo; w zakłopotaniu, nie wiedząc jak zmienić temat, spojrzał w górę na oddalony błękit powietrza.

I pustka nieba zalegała w jego duszy chłodną tęsknotą za wolnością od tej chwili, dostrzeganą w każdym przydrożnym listku. Ostre oblicze przeszłości jaśniało ironicznym grymasem i jego wrażliwa wobec niej delikatność wydawała mu się dziwnym i nawet pozbawionym godności natręctwem. Przeszłość dyskretnie uwolniła go od zobowiązań.

Przysłuchując się słowom własnej opowieści, odczuł chęć spojrzenia na siebie z boku, sprawdzenia raz jeszcze tysiące razy sporządzonego rachunku życia. Dziewczyna mogła go zrozumieć inaczej, ale dla niej istotna jest tylko fabuła, reszta zaś przechodzi mimo uszu jak niejasne odgłosy lasu.

- Moje życie - powiedział Gorn - jest bardzo proste. Uczyłem się, nieudane spekulacje zrujnowały mojego ojca. Zastrzelił się i przeniósł na cmentarz. Cioteczny brat przyjął mnie do pracy, przepracowałem u niego trzy lata. Usiądźmy, pani Estero. Błaganie się po parowach nie należy do przyjemności.

Nie wypuszczając wodzy konia dziewczyna szybko usiadła w tym miejscu, gdzie zastały ją słowa Gorna. On zrobił bezwiednie krok do przodu, cofnął się i usiadł obok, gryząc zerwaną łądkę.

- Trzy lata - powtórzyła.

- Potem - ciągnął Gorn, starając się mówić jak najprościej - stałem się włóczęgą, bo sprzykrzyło mi się siedzenie na jednym i tym samym miejscu; a oprócz tego miałem szczęście, właściciele przedsiębiorstw, u których pracowałem, zmarli na dżumę. No i... jeździłem z miasta do miasta, aż w końcu to mi się spodobało. Niedawno zmarł mój przyjaciel, którego kochałem nade wszystko na świecie.

- Ja nie mam przyjaciół - wolno powiedziała Estera. - Przyjaciela mieć - to dobrze.

Gorn uśmiechnął się.



- Tak - ciągnął Gorn - to był najmilszy towarzysz i to, że zmarł, było z jego strony największym świństwem. Kochał kobietę, która i jego zdaje się także kochała. Do dziś nie zostało to wyjaśnione. Wybrał ją spośród innych i ufał jej, to znaczy, uważał ją za najlepszą istotę ludzką. Ta kobieta była w jego oczach najdoskonalszym tworem bożym.

Minęły dni, gdy nagle została zmuszona do wyboru; albo iść razem z moim przyjacielem, którego całe bogactwo składało się z czterech ścian niewielkiego pokoju, albo żyć tak, jak rzeka podczas wiosennych roztopów - pięknie i potoczyście, zaspokajając nawet najbardziej nieoczekiwane życzenia. Była przez pewien czas nieco smutna i zamyślona, a oczy jej wybuchały szczególnym blaskiem. W końcu wyjaśnili sobie wszystko.

Wtedy mój przyjaciel zrozumiał, że zachłanna dusza tej kobiety jest nienasycona i pragnie wszystkiego. A on był tylko dla niej częścią i to wcale nie tą najważniejszą.

Ale i on był z tej rasy drapieżników z aksamitnymi pazurami, którzy drżą na odgłosy życia, na widok olśniewających piedestałów. Cała różnica między nimi polegała na tym, że ona chciała mieć wszystko dla siebie, a on - wszystko dla niej.

Zamierzał zawrzeć z nią związek na całe życie, ale pomylił się. Ta kobieta już szła na spotkanie tego, co zaoferował jej inny człowiek. Pieniądze.

Zrozumiał ją, siebie, ale szept w ciągu kilku dni i stał się młodym starcem. Cios był nadzwyczaj mocny, nie każdy mógł mu sprostać. Wszystko toczyło się swoją koleją, a za miesiąc napisał list do tej kobiety, już żony innego. W liście prosił, by po raz ostatni przyznała, że jej miłość pozostaje przy nim.

Odpowiedzi nie doczekał się. Tęsknota wypędziła go na ulicę, a pewnego dnia niezauważalnie, nie będąc w stanie opanować swojego pragnienia, przyszedł do jej domu. Zanonosowano go pod zmyślonym nazwiskiem.

Mijał wiele pokoi, poruszał się jak we śnie, ogarnięty męczącą czułością, tęsknotą za przeszłością, i z pokornym obliczem.

Ich spotkanie nastąpiło w buduarze. Ona wydawała się być zaniepokojona. Jej twarz była obca, słabo przypominająca tę, która należała niegdyś do niego.

- Jeśli pan mnie kocha - powiedziała ta kobieta - to proszę ani jednej chwili dłużej tutaj nie pozostawać. Proszę wyjść!

- Pani mąż? - spytał on.

- Tak - odpowiedziała - mąż powinien zaraz przyjść.

Mój przyjaciel zbliżył się do lampy i zgasił ją. Zapadł mrok. Ona z przestrawieniem krzyknęła, bojąc się ciemności.

- Niech się pani nie boi - szepnął on. - Pani mąż wejdzie i nie zobaczy mnie. Tu jest gruby dywan, wyjdę po cichu, proszę się nie obawiać. Teraz chciałbym usłyszeć to, o co prosiłem w liście.

- Kocham - wyszeptał mrok. A on nie dosłyszawszy jak było wymówione to słowo, stał maleńki jak dziecko, całował jej nogi i miotał się na dywanie u jej stóp, ale ona odpychała go.

- Proszę wyjść - powiedziała niezadowolona i niespokojna. - Proszę wyjść!

On nie odchodził. Wtedy kobieta wstała, zapaliła świecę i wyjąwszy z szuflady list swojego przyjaciela, spaliła go. Patrzył jak skamieniały nie wiedząc, co to znaczy - obraza czy kaprys? Wówczas powiedziała:

- Przeszłość dla mnie to to samo, co ten popiół. Nie mogę jej wskrzesić. Żegnam pana.

Jej ostatnim słowem towarzyszyło pukanie do drzwi. Świeca zgasła. Drzwi otworzyły się, ciemna sylwetka zagradzała ich własny czworobok. Mój przyjaciel i mąż tej kobiety zetknęli się ze sobą twarzą w twarz. Zapanowało nienaturalne milczenie - właśnie takie, gdy jedno wymówione słowo niszczy wszystko. Mój przyjaciel wyszedł, a na drugi dzień znalazł się już na pokładzie parowca. Po miesiącu zastrzelił się.

A ja przypląnałem tutaj na holenderskim statku handlowym. Postanowiłem zamieszkać

z dala od ludzi, wśród których zginął mój przyjaciel. Jestem wstrząśnięty jego śmiercią, pożyczę tu rok, a może i dłużej.

W czasie opowiadania Gorna twarz dziewczyny pozostawała niewzruszenie poważna i skupiona. Niektóre słowa pozostały dla niej niezrozumiałe, ale na wzruszenie Gorna zareagowała instynktownie.

- Pan ją kochał! - krzyknęła wskakując na konia. - Pan mnie nie oszuka. Nawet, jak sądzę, i przyjaciela pan nie miał. Ale to dla mnie wszystko jedno.

Jej oczy z lekka zaiskrzyły się. Poza tym trudno było określić, czy opowiadanie wywołało w niej jakiegokolwiek inne wrażenie. Gorn odpowiedział po chwili:

- Nie, to był mój przyjaciel - powiedział.

- Nie ma potrzeby mnie okłamywać - surowo zaprzeczyła Estera. - Po co pan to opowiadał?

- Ja, czy też nie ja - rzekł Gorn wzruszając ramionami - zapomnijmy o tym. Dzisiejszy dzień jest wyjątkowy ze względu na obecność ludzi i zwierząt. O, proszę, jeszcze ktoś jedzie.

- To młody Dribb - powiedziała Estera. - Dribb, co się stało?

- Nic! - krzyknął olbrzym, zatrzymując gniadą kobyłę tuż przed samą twarzą Gorna. - Ćwiczyłem się w rozpoznawaniu tropów i przypadkowo trafiłem na twoje. A ten człowiek, to kto?

Gorna jak gdyby nie widział, chociaż ten stał nie dalej niż metr od jego strzemion. Gorn z zaciekawieniem przyglądał olbrzymiemu, nieforemnemu tułowiowi zakończonemu maleńką głową, z okrągłą, jak gdyby wykutą z brązu, twarzą; biała w różowe prążki bluza z ledwością osłaniała włochatą, spoconą pierś. Wszystko razem wzięte przypominało osiłka i rozbójnika; dobrodusznie wyszczerzone zęby nastroiły Gorna, jeśli nie przyjaźnie, to na pewno obojętnie.

- I pomyśleć, że nie wiesz - ironicznie powiedziała Estera.

- O! - olbrzym głośno westchnął. - Co, jedziesz?

Estera usadowiła się w siodle.

- Do widzenia panu - powiedział Dribb do Gorna, niezręcznie zatrzymując na nim okrągłe oczy i trzęsąc podbródkiem.

- Panie Gorn - powiedziała Estera - niech pan nie chodzi na błota, a jeśli już, to proszę wypić dużo wódki. Jak nie, to miesiąc lub dwa przeleży pan w łóżku.

Bezwiednie, zręcznie kołysząc się na falującym grzbiecie konia, rzuciła w oczy Gorna swoją wyzywającą piękność. Jej doskonała figura i twarz pełna życia zapewne też nie umknęła uwadze mężczyzny. Ta para, oddalająca się wierzchem, wywołała w nim uczucie irytującego zdziwienia.

- Halo! Hop! Hop! - wrzasnął Dribb, kierując się do przodu i ciężko podskakując w siodle.

- Do widzenia, Estero! - głośno powiedział Gorn.

Szybko odwróciła się, jej twarz okraszona przelotnym uśmiechem wyrażała coś jeszcze.

W duszy Gorna przebudziło się blade wspomnienie młodości, zdjął kapelusz i nisko kłaniając się rzucił go za oddalającymi się postaciami. Estera uśmiechała się w milczeniu, kiwnęła ręką i skryła się w zaroślach. Olbrzym nie odwrócił się ani razu i gdy razem z Esterą znikły jego szerokie, niezgrabne plecy, Gorn pomyślał, że młody Dribb pozwala sobie na coś więcej, aniżeli możliwe jest to dla dzikusa.

Dzień był już w całej pełni, płonął błękitnym żarem; duszność, przesycona parami żywicy, kręciła w głowie. I ponownie uczucie głębokiej obojętności opanowało Gorna; w roz-targnieniu gładził ręką łożę strzelby i doszedł do wniosku, że dziewicza ziemia straciła swój urok dla złożonego mechanizmu duszy karmionej natłokiem myśli. Nazbyt bujna i soczysta ziemia męczyła nerwy, jak jaskrawe światło wzrok. Wypielęgowana i zaprogramowana jak przyjemne widowisko stać by się mogła miłym komfortem, kochanką nie zamęczającą pie-szczotami, pachnącą kapielą chorych, drętwiących na myśl o otchłaniach rzeki.

A ja? - spytał Gorn, obejmując wzrokiem niebo i ziemię. Ja? - Przypomniał sobie swoje polowania i dreszcz ciał zwierzęcych, opanowanie w niebezpieczeństwie, mroczny dotyk nocy, zaspane oczy zorzy, ponure upojenie lasu i wyprostował się dumnie. W przyrodzie nie był ani kastratem, ani ubogim krewnym. Jego obojętność wyływała z kontemplacji. Był sam.

Korpulentny człowiek wymawiał zamierającym głosem „puf” za każdym razem, gdy wejściowe drzwi, skrzypiąc zawiasami, otwierały się na oścież i gorący słup światła padał na ziemistą podłogę szynku. Jako gospodarz błogosławił przybyszy, jako człowiek - nienawidził ich ze wszystkich sił.

Ale przybysze chcieli widzieć w otyłym człowieku tylko gospodarza, bez litości żądając nalewki brzoskwiniowej, piwa, rumu i wina palmowego. Otyły człowiek męcząc się łąził do piwnicy, wspinał się po schodkach i ponownie mokry od potu siadał na wysokim, wyplatanim krześle.

W kącie oddawano się grze, obłoki dymu tytoniowego unosiły się nad kupą kapeluszy o szerokich rondach; charakterystyczny trzask kości mieszał się z przekleństwami graczy i trzaskiem sakiewek. Było stosunkowo cicho; ściany szopy o nazwie „Zielona Muszla” widziały najprawdziwsze bitwy, krew i taką grę noży, w której jedyną wygraną pozostawała tylko śmierć. Dość rzadko pojawiali się tu nieznani przybysze z wypchanymi skórzanymi pasami, z podejrzanymi czystymi rękami i kupą breloków, którzy z zimną krwią grzecznie grali o jakiegokolwiek sumy, w rezultacie czego koloniści przywykli drapać się po głowie i spluwać.

Lanfier wszedł niezauważalnie, jego kościste ciało mogło, jak się zdawało, wleźć w każdą szczelinę. Z fajką w zębach, jeszcze bardziej pijany niż rankiem, dobiegł do stołu graczy i zarechotał bezdźwięcznie. Na chwilę kości przestały lecieć na stół; roztargnione zdziwienie na twarzach grających skierowane było w stronę przybysza.

- A to ci dopiero! - wycharczał oberwaniec, przerywając śmiech, gdy tylko poczuł, że cierpliwość graczy już się kończy. - Powiedział prawdę: ale zuch z niego, wiem, co mówię!

- Kto? - spytał otyły człowiek na krześle.

- Nowy właściciel jeziora. - Lanfier ściszył głos i zaczął powoli opowiadać. - Dzisiaj byłem przecież u niego, wiecie. To bezwzględnie porządny człowiek. „Gdybym był gubernatorem – powiedział - podpaliłbym tę kolonię od środka i z czterech jej jeszcze końców. Tu - powiada - są tylko oszuści i zwierzęta, a co lepsi, to głupi jak tysiąc krokodyli”.

- Pan jest mistrzem w układaniu bajek - odrzekł posapując plantator kawy - Pan kłamie!

Lanfier ponuro łypnął oczami.

- Teraz byłbym już martwy – krzyknął - gdyby oczy tego człowieka był dokładniejsze o grubość jednego włosa! Zarzuciłem mu zarozumiałstwo, a on strzelił do mnie z taką zimną krwią, jak gdyby rzucał kulkę z chleba. Wskoczyłem przez okno zwinniej aniżeli jaszczurka.

- Niech się pan przyzna, że skłamał - ziewnął gospodarz.

Starzec milczał. Pod jego pomarszczonymi policzkami drgały mięśnie. Gracze powrócili do gry. Lanfierowi nie wierzono, ale każdy odnotował gdzieś w ciemnym zakamarku mózgu: „głupi jak krokodyl, ludzie, oszuści i zwierzęta”.

## VI

Bekeko, zadartszy głowę, patrzył w górę. Małpa kołysała się na ogonie pod samym niebem, jej okrągłe, starcze i dziecięce zarazem oczy szybko obmacywały postać idioty, tylko od czasu do czasu odrywając się i obliczając odległość do najbliższego drzewa.

Bekeko przyjaźnie kiwał, puszczał oko i znakami zapraszał zwierzę, ażeby spuściło się w dół, ale doświadczona kapucynka poświstywała niedowierzająco i trwożnie, czasami stro-

jąc wstrętne grymasy. Bekeko śmiał się. Jego maleńkie, strupiaste ciało bez żadnej przyczyny rozpieierało bolesne, radosne uczucie i on zachłystywał się niedorzecznym uniesieniem, drżąc z nieznośnego podniecenia. Kapucynkę, podobnie jak wszystko, co żyje, stawiał wyżej siebie i z grzeczną wytrwałością kontynuował swoje zaproszenia, bojąc się obrazić włochatego akrobatę.

Potem wpatrując się uważnie w pomarszczony pysk małpy, wzdrygnął się i zjeżył; jakieś niejasne niebezpieczeństwo zmaćiło jego radość. Nie można było mieć wątpliwości: kapucynka przygotowywała się, by przegryźć czaszkę Bekeka i być może wgrzyźć się zębami w jego wychudły brzuch.

- No... no... - z przestachem warknął zdenerwowany człowiek, odchodząc na bok.

Teraz nie miał sił, by spojrzeć w górę i ze zdenerwowania rozglądał się wokoło w nadziei znalezienia kija dla obrony.

Pod niebem wisiało zwierzę olbrzymich rozmiarów tylko chwilowo udające małe, ale teraz Bekeko wiedział wszystko: zastawiono na niego pułapkę, a on wpadł w nią w najgłupszy sposób. Zaczął cofać się, nie wiedząc jeszcze, z której strony oprócz ogoniastego starca grozi mu niebezpieczeństwo - potykał się i drżał ze strachu. Wrogowie nie odstępowali go, niewidzialni bezszelestnie pełzali w trawie, kłując bosc nogi Bekeka cierniami boleśnie raniącymi skórę. Oblał się potem na myśl, że z tyłu zaczajono się na niego. Kołysał się i dreptał w miejscu, bojąc się ruszyć dalej, pełen bezmyślnego strachu w obliczu męczącej ciszy lasu i zielonych ukrywających twarz olbrzymów.

Gdy pojawił się wróg, uważnie przypatrujący się cherlawej postaci Bekeka, idiota krzyknął i rzucił w nieprzyjaciela ciężką, żółtą grudą i usiadł zamierając w żalonym oczekiwaniu na śmierć. Gorn zwlekał. Był prawie przestraszony, ale nie przywidzeniami - oglądał w ręku rzuconą przez Bekeka grudkę. Opanowało go silne wzruszenie. Z błyszczącymi oczami i z wyschniętym gardłem, mechanicznie podrzucał ręką matową, brudną grudkę ziemi, zapominając o Bekeku, lesie i czasie.

Kapucynka kołysała się, rozwarłszy szczęki, gniewnie wyciągnęła mordę i widząc strzełbę, ze złością zgrzytnęła zębami. Potem z trzaskiem przeskoczyła na sąsiednie drzewo, psyknęła, rzuciła w Gorna wielkim orzechem i błyskawicznie rzuciła się do ucieczki, znikając w zagajniku.

Gorn rozglądał się. Był blady, skupiony i nie mógł opanować myśli, które niezależnie od jego woli rozlatywały się szybciej niż kule wystrzelone z mitraliezy. Nieokreślone podniecenie duszy wymagało ujścia, ruchu; las powinien być napełnić się dźwiękami, które zagłuszyłyby krzyzącą ciszę. Ale przedtem leniwe dostojenstwo drzemało wokół, obojętnie wciągając w swoje tryumfujące objęcia stropionego i pobladłego człowieka.

- Bekeko! - zawołał Gorn. - Bekeko!

Idiota bojaźliwie wysunął głowę zza drzewa. Gorn złagodził głos, niemal napełnił go delikatnością wobec zalęknionego potworka, uważnie przyglądając się tej dziwnej istocie przypominającej krasnala.

- Bekeko - powiedział Gorn - nie poznałeś mnie?

Idiota podniósł oczy niezdolny wypowiedzieć choćby słowo. Myśliwy lekko dotknął go ręką, ale od razu cofnął ją: przenikliwy pisk rozległ się w lesie. Bekeko przypominał przestraszonego jeża zwijającego się w kłębek.

- No dobrze - ciągnął Gorn, jak gdyby zgadzał się z Bekeko - nie jestem twoim wrogiem. Zaraz odjadę, tylko powiedz mi, kochany zwierzaczku, gdzie znalazłeś tę błyszczącą kulkę? Jest mi potrzebna, czy rozumiesz? Mnie i Esterze. Dużo potrzebujemy takich kulek. Jeśli nie będziesz uparty i powiesz, to Estera da ci cukier.

Wyciągnął rękę i od razu zgiął palce, jak gdyby matowy blask złota parzył skórę.

- Ester... - niewyraźnie wymamrotał idiota unosząc głowę. - Da cukier!

Żałośnie zamrugnął i znowu pogrzyżył się w mglistą pustkę szaleństwa. Gorn niecierpli-

wie westchnął.

- Estera - powtórzył cicho i nachylił się nad Bekeko. - Czy zrozumiałaś? Estera!

Twarz Bekeko wyciągnęła się, płaskie odstające usta poruszyły się. Dokonywał się w nim ciężki wysiłek kojarzenia. Jego mroczny mózg starał się powiązać w jedną całość cukier, imię, człowieka ze strzelbą i wizerunek kobiety roztopionej w nieokreślonej jasnej plamie. I nagle Bekeko rozkwitł w niemal świadomym grymasie płaczliwego, konwulsyjnego śmiechu.

- Estera - wymówił powoli, spode łba przypatrując się myśliwemu.

- Tak - westchnął Gorn. Całe jego ciało parło do przodu ku gorączkowemu szałowi poszukiwań. - Estera potrzebuje takie kuleczki. Gdzie znalazłeś?

- Tam! - krzyknął Bekeko wymachując ręką i zapewne odzyskując świadomość. - Maleńka błękitna rzeka.

- Potok? - spytał Gorn.

- Woda. - Idiota potakująco kiwnął głową.

- Woda - uparcie powtórzył Gorn.

- Woda - jak echo odezwał się Bekeko.

Gorn milczał. Północ, maleńka błękitna rzeka. I maleńki, nie większy od kuli kawałek złota.

- Bekeko - powiedział Gorn odchodząc - pamiętaj, Estera da ci cukier.

Już był daleko od miejsca, gdzie siedział skulony przestraszony półczłowiek, i sam nawet tego nie zauważył.

Szedł szybko wielkimi krokami opanowany przez nieznośny niepokój, jak gdyby bał się spóźnić, przegapić coś bardzo ważnego. Potem wspomniał wszystko, poczynając od Bekeka i kończąc na ostatniej nocy, jak niejasny i niemożliwy do odtworzenia jest sen pełen bezdzwięcznej muzyki. Ogarnęło go uczucie fantastyczności życia; wspominając urywkami przeszłość podobną do snu i wiążąc ją z teraźniejszością, czuł uniesienie żeglarza dostrzegającego we mgle dziewiczy brzeg nieznanego kontynentu i wzruszenie wobec niewiomego, które czyha na człowieka. Jego ciało stało się sprężyste i utraciło dawną ociężałość, twarz zmiękczona rojeniami, zamysłona uśmiechała się, jak gdyby czytał interesującą książkę, w której splatał się smutek i zachwyt, humor i czułość. Pnie, które swoją grubością przypominały solidne kolumny oddalały się ku niebu, a on czuł się maleńką istotą powierzoną tajemniczej opiece lasu, zielonych głębin chaszczy, przypominających głęboki mrok pokoi ogarniętych trwożną ciszą. Maleńka, błękitna rzeka płynęła przed nim, a w jej mokrym piasku niewinnie drzemało złoto - młode jak pędy trawy, nieskazitelne bogactwo nie znające drżenia ludzkich palców i obleśnych pożądliwych spojrzeń mieszczan. Szedł w jednym kierunku, żałując każdego kroku zrobionego w bok, i gdy trzeba było obejść gąszcz lub pagórek. Powoli uśmiechając się doznał do jaśniejącej dąbrowy wyobraźni, gąszczu rojeń, które upijają człowieka nie gorzej niż wino. Przypominał zasypiającego w momencie, gdy głosy ludzi z sąsiedniego pokoju mieszają się z bajecznymi widziadłami rozpoczynającymi w jego uwolnionym mózgu swe niezwykle dialogi. Było w tym wszystko i nic, zwątpienie w sukces, a zarazem szalona pewność więźnia, który tylko dzięki gołym rękóm zdołał uciec z więzienia i znalazł rewolwer, błyskawiczny pęd życzeń; jego zasapana dusza śpieszyła się dotknąć przyszłości, gdy w tym czasie ciało nieczułe wobec zmęczenia przyśpieszało kroku.

Była to ta godzina dnia, gdy wieczór leniwie zbliża do ziemi swoje uważne oczy, a cykady dzwonią ciszej, czując ostrożne spojrzenie Niewidzialnego, wydłużając cienie drzew. Las był coraz rzadszy, głębokie prześwity kończyły się purpurą skał, błyszczących w krwi słońca zranionego przez Dianę. Odłamki kwarcu - ślady minionych trzęsień ziemi - żółciły się odbitym światłem zorzy, krótkie mamrotanie kakadu dźwięczało jak wåtpliwe zadowolenie i przekora. Gorn szedł mechanicznie poruszając nogami.

Po pół godzinie zobaczył wodę. Oczywiście była to ta sama maleńka, błękitna rzeka, wąski strumyk z niebem na dnie i blaskiem piaszczystych mielizn tak czystych jak szary

fajans. Z daleka podobna była do błękitnej wstęgi z zielonym warkoczem nimfy. Jej linia przecięta rozłożystymi koronami drzew znikwała w skalistej grocie, która była czarna od pełgających roślin, zatykających szczeliny i uskoki fałdami zielonych dywanów opadających ku wodzie. Gorn, z wysiłkiem poruszając nogami w mokrej gęstwinie chwytliwych traw, dotarł do błękitnej wstęgi i zatrzymał się wdychając słodką, stęchlą woń wodorostów.

Tu po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że pragnienie nazbyt męczy jego ciało i omal nie padł na kolana czerpiąc dłonią ciepłą jak ostudzony wrzątek ciecz. Przezroczyste krople ściekały po jego podbródku i palcach. Pił długo jednym tchem, oddychał i znowu pogrążał rękę w cieplej głębi.

Zadowolenie napełniło go słabością, która pojawiła się nieoczekiwanie w postaci ciężkiego lenistwa wszystkich członków i niechęci do jakiegokolwiek ruchu. Spojrzał na dno, ale oczy zabołały go od blasku słońca igrającego w podwodnym piasku. Gorn wpatrzywszy się uważniej, przybliżył twarz do samej powierzchni wody, niemal dotykając jej rzęsami. W takim położeniu trwał około dwie minuty: ciało jego drżało w szybkiej i nieuchwytej konwulsji i krew uderzyła w poblądłe policzki szybciej aniżeli cień obłoku ogarniającego równinę.

Żółte iskry tliły się zmiękczone przez wodę blaskiem, pstrzyły czyste dno strumienia i im dłużej patrzył Gorn, tym trudniej było mu odróżnić żwir od złota, które tajemniczo zalegało w głębi. Z jego matowych ziaren były w źrenice Gorna dźwięczne, maleńkie fontanny i dźwięczały w uszach nagłym przyływem krwi. Zaśmiał się i głośno krzyknął. Drżący dźwięk głosu odezwał się w leśnych wnętrzach słabym łoskotem i ucichł. Gorn wstał.

I wszystko wydało mu się niewyobrażalnie piękne, przeniknięte tryumfem radości. Napowietrzny most rzucony na brzeg przyszłości prowadził go ku świetlanym wrotom życia tam, gdzie wcześniej stały fortece nie do zdobycia nawet dla marzeń. Kula ziemską jak gdyby zmniejszyła swoją objętość i stała się podobna do dużego globusa, na wierzchołku którego stał wzruszony człowiek z płonącymi policzkami. I Gorn przede wszystkim pomyślał o sile złota mogącego zwrócić mu kobietę. Jechał do niej w tysiącach pociągów, ich koła zlewały się w zwarte kręgi, a szyny drżały od ciężaru żelaza unoszącego Gorna. Mówił jej wszystko, co może powiedzieć człowiek, który kocha.

Potem usłyszał wymyślone przez siebie samego słowo „nie” ale nie poczuł się urażonym, lecz z ponurą mściwością zaczął wyobrażać sobie sceny przemyślanego okrucieństwa - szeroki krąg zniszczeń wciągający w swój wir dobrobyt człowieka, który zastukał do drzwi. Widział siebie, jak zarzuca rynek światowy towarami tańszymi niż ich wartość. I z każdym dniem gasła twarz kobiety, dlatego, że kolejno milkły fabryki jej męża i pajęczyna wiła sobie zatechłe gniazdo tam, gdzie wcześniej pracowały maszyny.

Minęły niecałe dwie minuty, ale w ich czasie Gorn przeżył z bolesną dokładnością kilka lat. Rozejrzał się wokół zmizerniały z podniecenia. Słońce schowało się za skałami, jasne, wieczorne cienie omotywały stygnącą ziemię, milcząco połyskiwała rzeka.

Wyciął kawałek darniny i nadał mu pochyłe położenie, rzucił na zieloną powierzchnię, tego własnej roboty sita, kilka garści rzeczno piasku. Potem uciął kawałek kory, zrobił z niego coś w rodzaju czerpaka i nabrał wody.

Była to pierwsza chwila pracy, która wzburzyła go bardziej aniżeli piasek na dnie. Cały czas lał i lał wodę, dopóki nie zabłysnęła w trawie darniny cienka i ciężka warstwa złota. Siły z czasem zaczęły opuszczać Gorna - usiadł obok zdobyczy, położył rękę na powierzchni przyrządu i w tym momencie szaleńczy korowód myśli opuścił jego zmęczony mózg, pozostawwszy odrętwienie podobne do zachwyty i smutku.

## VII

Gorn powrócił bez koszuli i bluzy ze skórzaną torbą wypełnioną maleńkimi węzłkami zrobionymi z własnych okryć, która tak ciążyła na jego ramionach, że z bólem poruszał rękami. Pólnagi, spalony przez słońce przyniósł nad jezioro woń leśnych błot i słodkie, dokuczliwe zmęczenie.

Gdy zbliżał się do domu, zdziwiło go nowe uczucie - czuł swoje ciało, jak gdyby macał je słabymi od upału rękami, ogarniało go niewyjaśnione konwulsyjne ziewanie. Zamknawszy drzwi, wyrył w ziemnej podłodze jamę i starannie ułożył w niej odleżałe, ciężkie węzłki. Było ich dużo i każdy dość okazały.

Rzucił się na wyschniętą trawę łoża i długo siedział w milczeniu, nie potrafiąc sobie wyjaśnić tej nieoczekiwanej i smutnej obojętności wobec dopiero co udeptanej ziemi w swojej chatce. Ścisnął swoją rękę w przegubie i poczuł głuchy puls krwi, jego zęby podzwaniały jak maleńkie dzwonki, a ciało jeżyło się, jak gdyby na spoczonej skórze tajały płatki śniegu padającego z sufitu.

Gorn położył się i leżał z szeroko rozwartymi oczami - nie rozbierając się, w pożądanym omdleniu przerywanym od czasu do czasu drżeniem ciała, obfity pot ściekał po twarzy. Gdy przekonał się, że jest chory, wtedy zaczął liczyć, na ile dni trzeba będzie przerwać pracę i ile na tym straci. Gorączka bagienna mogła kosztować go dobrą posiadłość ziemską, ponieważ, jak słyszał, choroba ta rzadko kiedy ustępuje po dziesięciu dniach.

Powoli, dzwoniąc zębami i kuląc się, poczuł się lepiej - był to symptom, że gorączka spadła. Dreszcze minęły, uśmiechał się ironicznie do gołych ścian domu, który ukrywał to, za co Lanfier byłby w stanie zadać cios otwarcie, bez skrytych podstępów i zamaskowanego fałszerstwa.

Gorn przeleżał do zachodu słońca, gdy upał czasowo porzuca człowieka, żeby powrócić na drugi dzień o ściśle określonej godzinie z dokładnością Niemca jedzącego śniadanie o godzinie trzynastej pięćdziesiąt sześć. Gorn ubrał nową bluzę i wyszedł na powietrze jeszcze słaby, z kiwającą się głową i rewolwerem w kieszeni. Jego myśli nabrały bardziej spokojnego toku; starannie zważył swoje szanse na sukces i przekonał się, że nie popełnił żadnego błędu z wyjątkiem przypadków rozsianych po świecie w ilości nieco większej, aniżeli jest to niezbedne. Długo oglądał odświeżony chłodniejszym powietrzem gwiazdny atlas nieba i Krzyż Południa świecący z wyniosłą pogardą dla trosk mieszkańców ziemi. Ale nie przytłaczało to Gorna, bo i jego oczy przypominały parę dobrych gwiazd, które właśnie błyszczały na przekór mrokowi, więc nie czuł się ani pożałowania godny, ani samotny. Nie był już martwą materią planet.

Powiał wiatr i zamarł, przynosząc słabo dolatujący tętent konia. Gorn machinalnie wsłuchał się, po kilku minutach mógł już powiedzieć, że w pewnym momencie podkova napotkała kamień, a w innym - miękką ziemię. Wówczas wrócił do domku, zapalił maleńką lampę kupioną w kolonii. Kołyszące się światło sączyło się przez okno na pobliskie pręty bambusa. Gorn otworzył drzwi i stanął za progiem słabo oświetlony z jednej strony.

Nieznajomy kontynuował jazdę, ale jechał już nieco ciszej. Gorn zrozumiał, że ktoś jedzie do niego, ponieważ nie było sensu pędzić galopem ku jezioru i zatrzymać się tylko dlatego, żeby zawrócić. Poczekał aż parskanie konia rozległo się obok jego uszu.

- Kto tam? - spytał Gorn bawiąc się rewolwerem. - Estera! - zamilkł i cofając się ze zdziwienia dodał: - To pani jeszcze nie śpi?

- A pan? - spytała i roześmiała się wesoło, gubiąc oddech z powodu szybkiej jazdy. - Najważniejsze, że pan jeszcze żyje.

- Żyję - powiedział Gorn ożywiony dźwiękiem jej głosu tak dźwięcznego jak odgłos niewielkiego dzwonu. - Ojciec pani powinien być teraz zupełnie spokojny.

Nie odpowiedziała, lecz w milczeniu zbliżyła się do stołu i usiadła na taborecie. Wyraz jej twarzy stale zmieniał się, jak gdyby w myślach prowadziła rozmowę z kimś, kogo zna tylko ona jedna. Gorn powiedział:

- Widzi pani, jak mieszkam. Nie mam niczego, co mógłbym zaproponować pani w charakterze poczęstunku. Przeważnie niszczę resztki jedzenia, szybko się psują.

- Mówi pan tak dlatego, że nie wie, po co przybyłam - powiedziała Estera, a głos jej dźwięczał o pół tonu ciszej. - Dzisiaj, widzi pan, jest święto. Mężczyźni już od samego rana są na nogach, ale teraz już kiepsko się na nich trzymają. Wszystkie napoje spirytusowe zostały sprzedane. Wszędzie palą się pochodnie, nasz dom jest przybrany lampkami. To bardzo piękne. Ci, co nie żałują prochu, chodzą grupami i strzelają ślepymi nabojami. W „Zielonej Muszli” wyniesiono wszystkie stoły i ławy, tańczą tam teraz bez przerwy.

Wyczekująco spojrzała w twarz Gorna. Wówczas zobaczył, że Estera jest w żółtej, jedwabnej sukni i ma błękitną chustkę, a jej smagłą szyję zdobią perłowe korale.

- Zostałam nieco w tyle, a gdy przechodzono obok maleńkiego zalewu, przypomniałam sobie o panu, a potem dostrzegłam jak młody Dribb odwrócił się szukając mnie oczami. King biegł szybko, częstowałam go ostrogami bez litości. Oczywiście będzie panu wesoło. Nie wolno przesiadywać długo w samotności, sam na sam ze swoimi myślami, za pół godziny będziemy już tam. Dobrze?

- Estero - powiedział Gorn - co to za święto?

- To dzień założenia kolonii. - Estera zaczerwieniła się, milczący uśmiech z lekka otwierał jej usta wilgotne z podniecenia. - O, jak będzie dobrze, niech pan pomyśli! Będziemy razem, a pan opowie, jak to tam u was świętuje się podobne wydarzenia.

- Estero - powiedział mocno wzruszony Gorn - dziękuję pani. Może nie pójdę, ale w każdym bądź razie, jakbym już tam był.

- Proszę poczekać chwilkę - dziewczyna filuternie spojrzała na myśliwego, a głos jej stał się przeciągły jak poranny róg pastucha. - Bekeko wciąż prosi o cukier.

- Bekeko! - powtórzył mocno stropiony Gorn. - Prosi o cukier?

Przypomniał sobie i nastroszył się. Oprócz tego przyszło mu do głowy, że wszyscy wiedzą o maleńkiej błękitnej rzece. Przykre doznanie, ścisnęło mu klatkę piersiową. Wstał i przeszedł się, zanim zaczął kontynuować rozmowę

- Ciągłe garnął się do mnie i mówił bardzo dużo niezrozumiałych rzeczy - ciągnęła dziewczyna patrząc w okno. - Nic nie rozumiałam, tylko jedno: „Twój człowiek” (tak on nazywa pana - moim człowiekiem) powiedział, że jemu i Esterze potrzeba wiele żółtych kamieni”. Potem jak gdyby pan obiecał mu w moim imieniu cukier. O, jestem przekonana, że niczego nie rozumiał z pańskich słów. Dałam mu co najmniej garść.

Gorn słuchał, starając się nie uronić ani jednego jej słowa. Jego twarz to bladła, to różowiała, a w końcu przybrała naturalny kolor. Dziewczyna nic nie rozumiała.

- Tak - powiedział - spotkałem pomyłonego w stanie panicznego, niewyjaśnionego strachu. Z panią jest chyba bardziej rozmowny. Uspokoiłem go, nie wyciągnąwszy z niego ani jednego słowa. Żółte kamienie! Tylko mózg pomyłonego może spleść majaczenie z rzeczywistością. A cukier - tak, ale pani się chyba nie gniewa?

- Ani trochę! - Estera w zamyśleniu spojrzała w dół. - „To potrzebne jest mnie i Esterze” - mówił. - Roześmiała się. - Czy potrzebne jest panu to samo, co i mnie? Czas już iść, panie Gorn. Wiele rozmyślałam nad tymi słowami, lecz pan, zapewne, mniej. Ale pan nie wiedział, że usłyszę te słowa.

Jej szybki oddech dotknął duszy Gorna i on, jak gdyby dopiero co rozbudzony i nic nie rozumiejący, zatrzymał się z zamartwionym na wargach wyrazem zakłopotanego zdziwienia.

- Estero - powiedział ze smutkiem w głosie - niech pani podniesie głowę, bo obawiam się, że niewłaściwie rozumiem panią.

Estera spojrzała mu prosto w oczy i nie było ani zmieszania, ani nieśmiałości w jej



delikatnych rysach wyrażających nieoczekiwane dla niej samej wzruszenie. Wstała, przestrzeń mniejsza niż trzy stopy oddzielała ją od Górna, ale on już czuł niewidzialną zasłonę, która opadła do jego stóp. Był sam, obecność dziewczyny napełniała go niepokojem i trwogą.

- Panie Gorn, mogłabym być dla pana żoną - powoli powiedziała Estera ciągle jeszcze z uśmiechniętymi ustami, chociaż jej oczy stały się już napięte i poważne, jak gdyby cień upadł na jej górną część twarzy. - Pan zapewne długo jeszcze nie wypowie prostych, męskich słów. Ale pan jest już dla mnie drogi. Nie obrażę pana tak jak t a m t a.

Gorn zbliżył się do niej i mocno ścisnął jej opuszczoną w dół rękę. Ciężar przytłaczał go, bardzo chciał, ażeby jego usta wypowiedziały jak najwięcej żalonych, ludzkich słów. I czując, że w tym momencie nic nie może być bardziej obrażającego niż milczenie, powiedział dobitnie i ciepło:

- Estero! Gdybym teraz mógł umrzeć, byłoby mi lżej. Nie kocham pani tak, jak pani być może oczekuje tego. Niech pani wyrzuci mnie ze swej głowy; być pani mężem, przekształcić życie w nieprzerwaną pracę -nie chcę, bo chcę innego życia, być może nieosiągalnego, ale na samą myśl o tym już kręci mi się w głowie. Czy pani mnie słyszy? Mówię uczciwie, tak jak pani.

Dziewczyna odrzuciła głowę i stała się bielsza niż śnieg. Gorn wypuścił jej rękę. Estera poruszyła palcami, jak gdyby strzepując niedawny dotyk.

- No tak - już całkowicie opanowana odpowiedziała ostro. - Jeśli pan nie rozumie żartów, tym gorzej dla pana. A oprócz tego pan zapewne szuka bogatych narzeczonych, zawsze myślałam, że mężczyzna sam zdobywa pieniądze.

Każde jej słowo boleśnie uderzało Górna. Wydawało się, że trzyma w ręce bicz, którym bije go niemilosiernie.

- Estero - powiedział Gorn -niech się pani zlituje nade mną. Nie jestem winien, że życie tak miota nami. Czy chciałaby pani, żebym udał zakochanego i wziął pani ciało, dlatego że jest piękne? Powiem pani, rzeczywiście pociąga mnie! A potem co, rozstałbym się z panią?

- Żegnam pana - powiedziała dziewczyna.

Wydawało się, że jej ciało dyszało dopiero co doznaną zniewagą i drży z nienawiści. Gorn rzucił się ku niej pełen czułej litości.

- Estero! - powiedział miękko i prawie prosząco. - Kochana dziewczyno, wybac mi!

- Żegnam pana! - krzyknęła, dławiąc się gniewnymi łzami i obrzucając go spojrzeniem pełnym nieokreślonej dumy. - Ale nigdy, czy pan słyszy, nigdy Estera nie żałowała swoich pomyłek! Nie jestem z tych!

Gorn zbliżył się do okna, potykając się ze słabości. Przed drzwiami zarżał koń.

- King! - spokojnie zawołała dziewczyna. Wskoczyła na siodło, szeleszcząc jedwabną spódnicą. Gorn słuchał. - King! - znowu odezwała się Estera - wybaczysz mi te ciosy zadawane ostrogami w bok? Więcej już to się nie powtórzy.

Lekki galop Kinga wypełnił ciemność zamierającym tętentem.

## VIII

Rozmyślanie o psach nie miało żadnego sensu. Maleńka, błękitna rzeka nigdy ich nie widziała, a jeśli nawet widziała, to było to bardzo dawno, znacznie wcześniej aniżeli pierwsza lokomotywa przecięła równinę dwieście mil od tego miejsca, gdzie Gorn kłęcząc pił wodę i jej złoty blask.

Ale on strząsając na chustę garść metalu, zdobycz trzygodzinnego wysiłku, nieoczekiwanie złapał się na tym, że rozmyśla o najróżniejszych psach widzianych wcześniej. Jak się okazało, myślał o dogach więcej aniżeli o lewretkach i bardziej wytrwale o wyłach niż o

mopsach. Zakończył to wszystko krótkim westchnieniem; jego twarz nabrała skupionego wyrazu i Gorn wyprostował się, skierował wzrok ku zielonym wyrwom spowitego blaskiem lasu.

Dźwięki były tak słabe, że tylko podświadomie mogły odwrócić myśl od złota do domowych czworonogów. Dźwięki raczej przypominały echo uderzeń w drzewo aniżeli szczekanie zagłuszone chaszczami i odległością. I było ich zupełnie mało, znacznie mniej, aniżeli wykrzykników na przestrzeni dwóch stronic dramatu.

Gdy nasiliły się i nabrały charakterystycznych cech lwiego głosu zdyszanego od długotrwałych poszukiwań, Gorn wpadł w roztargnione zamyślenie i chłodny niepokój. Czekał na człowieka, ciesząc się myślą, że droga psa biegnie gdzieś obok. Dolina rzeki wyprowadziła go z tego błędu. Rozciągała się wciśnięta do lasu krzywizną i z każdego punktu na skraju gąszczy można było dostrzec Gorna. Myśl, że nieznajomy zawróci, nie miała żadnych podstaw.

Gorn pośpiesznie schował ciężącą chustkę do kieszeni, wrzucił do wody kawałki darniny swego sita i oddalił się ze sto kroków od miejsca, gdzie przemywał piasek. Równe, ochryple szczekanie coraz głośniejsze dolatywało ku niemu z pobliskich krzaków.

Gorn stanął za drzewem, przysłuchując się w napięciu. Sam będąc niewidzialnym, dostrzegł w oddali małą postać jeźdźca przecinającego łąkę szybkim kłusem, gdy w tym czasie małego wyżełek kręcił się pod kopytami, nurkując zygzakami w trawie.

Gorn lekko podenerwowany wyszedł naprzeciw. Wydawało mu się, że to niegodnie chować się przed jednym człowiekiem niezależnie od zamiaru, z jakim się doń przybliżał. Był zły, że mu przeszkodzono i że jego, Gorna, ktoś poszukiwał.

Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Pies zrobił dwie pętle w miejscu, które dopiero co opuścił Gorn, i zaskowyczał, potem rzucił się ku myśliwemu, skacząc mu niemal do samej głowy z piskiem wyrażającym zdziwienie! Mógł też zaszczekać i ugryźć - wszystko zależało od zachowania samego właściciela. Lecz jego pan nie przejawiał żadnego niepokoju, a jego oczy z odległości trzech arszynów wydały się Gornowi uważne i ostre.

Gorn stał, trzymając strzelbę z nabojami w obu lufach pod pachą jak parasol, o którym w dobrą pogodę chce zapomnieć właściciel. Młody Dribb zatrzymał konia. Jego karabin leżał w poprzek siodła, podskakując z powodu, niecierpliwych ruchów grzebiącego kopytem konia. Niezręczne milczenie farmera przegnało krew z twarzy Gorna - pierwszy uniósł kapelusz i uklonił się.

- Witam pana, panie Gorn - odpowiedział olbrzym, głośno wzdychając. - Bardzo gorąco. Mój koń spienił się, ja, wie pan, sporo najeździłem się.

- Bardzo załuję konia - łagodnie powiedział Gorn. - Pan miał chyba poważne powody do podróży.

- Ważniejsze aniżeli śmierć matki - cicho odrzekł Dribb. - Niech mi pan wybaczy, że niepokoję - dodał nie uśmiechając się i wpatrując w podstrzyżoną grzywę konia. - Chętnie porozmawiałbym u pana, nie chciałem przeszkadzać w pańskich spacerach. Ale nie było pana przez trzy dni i w tym rzecz.

- Trzy dni - powtórzył Gorn.

Dribb zakaszłał, wytarł ręką pot, mimo że był suchy jak kierownik pensjonatu. Jego oczka patrzyła równie trwoźnie i świdrująco. Gorn czekał.

- Widzi pan - zaczął Dribb-z wysiłkiem wymawiając każde słowo - nie mogę tak od razu wyjaśnić, o co chodzi, ale zacznę po kolei, tak jak to się zaczęło i doszło do dnia dzisiejszego.

Był moment, gdy Gorn chciał go zatrzymać. - „Wiem, o co chodzi - chciał powiedzieć. - Po co? - odpowiedziała druga połowa jego duszy. - Jeśli się myli, to nie ma co niepokoić Dribba”.

Pies odbiegł na bok, wysunął język i usiadł w cieniu krzaków. Dribb niezdecydowanie poruszył wargami, wydawało się, że było mu niepomiernie ciężko. W końcu zaczął, patrząc w

bok.

- Pan milczy, chociaż, oczywiście, o nic jeszcze pana nic spytałem. - Głośno sapnął ze zdenerwowania. - Proszę pana, pięć dni temu, to znaczy siedem czy osiem dób po naszym święcie, byłem u Astisa. „Estero”! - powiedziałem - tylko zażartowałem, dlatego, że ona wciąż milczała. „Estero - powiadam - dzisiaj jesteś jak zimorodek”. I ponieważ nie odpowiedziała, nabiłem fajkę, dlatego że, jeśli kobieta nie jest w humorze, nie należy jej rozdrażniać. „Nie zdenerwujesz mnie - powiedziałem - a może myślisz, że powietrze?” Wówczas opamiętała się, bo w przeciwnym razie wzięlibyśmy się za łby. „Wybacz – powiada - zamysliłam się”. Ponieważ spieszyłem się, to pocałowałem ją i poszedłem sobie. Dogoniła mnie. „Dribb - mówi - i mnie, i tobie jest źle, ale lepiej powiem od razu. Wesela nie będzie”.

Złapał dech i w jego gardle jak gdyby przeskokowało wielkie jabłko. Gorn w milczeniu patrzył na osowiałą twarz, czy Dribba były skierowane ku skałom, jakby skarżył się im i niebu.

- Tutaj – ciągnął - zacząłem się śmiać, myśląc, że to żarty. „Dribb – powiada - z twego śmiechu nic nie będzie. Czy możesz o mnie zapomnieć? Jeśli nie możesz, to zrób wszystko, żeby zapomnieć”. „Estero - odrzekłem z bólem w sercu, bo była błada jak mąka - czy mnie nie kochasz więcej?” Długo milczała, panie. Litowała się nade mną. „Nie” - powiada. I mnie jak gdyby przecięto na pół. Odeszła nie odwracając się. Zaszlochałem jak małe dziecko. Takiej dziewczyny nie można znaleźć na całym świecie.

Olbrzym oddychał jak maszyna parowa i był cały spocony. Wzruszony własnym opowiadaniem, nieruchomo patrzył na Górna.

- Co dalej? - zapytał Gorn.

Ręka Dribba kurczowo zacisnęła się na kolbie strzelby.

- No właśnie – ciągnął - wie pan, że wódka w takich wypadkach dodaje animuszu. Wypiłem cztery butelki, ale okazało się, że to mało. Starzec też był pijany.

- Lanfier - zgadując powiedział Gorn.

- Tak, chociaż my go nazywamy Czerwonym Ojcem dlatego, panie, że przelewał krew. Cały czas patrzył na mnie i śmiał się. Robił to wstrętne, zamachnąłem się już na niego ręką, ale powiedział: „Dribb, powiedz, dokąd dziewczęta jeżdżą po nocach?” „Jeśli wiesz, to powiedz” - odpowiedziałem. „Posłuchaj - powiada - nie łam sobie głowy. Równina była pokryta mrokiem, zacząłem się w noc święta na człowieka, który osiedlił się na północy. Jeśli jest ciekawski - powiedziałem sobie - przyjdzie dzisiaj do kolonii. Przewiązałem lufę strzelby białą szmatą, żeby nie chybić i przykucnąłem. Po pół godzinie z kolonii wyjechała kobieta, nie mogłem jej dojrzeć, ale tętent kopyt był mi skądś znany”. Panie, serce moje skurczyło się, gdy go słuchałem. „Omal nie zasnąłem - powiada on - oczekując na jej powrót. Jechała stępa, było to chyba po jakiejś godzinie. Estero! - krzyknąłem. Wyprostowała się i odjechała. Czy to nie była ona, kochasiu?” - powiedział on.

Gorn ponuro ugryzł wargę.

- Co dalej, proszę kończyć!

- No właśnie - bulgotał Dribb, przy tym jego pierś wydymała się jak pokład w czasie monsunu. - Nie wiedziałem, dlaczego nie było Estery obok mnie. Myślałem, że miała ochotę pobyć w domu. Teraz kolej na pana, panie Gorn. Jeśli ona pana kocha, to stańmy naprzeciw siebie w odległości dziesięciu kroków i pozwólmy losowi zrobić to, co chce. Przyszedłem do pana na drugi dzień, ale pana nie było. Objechałem wszystkie leśne ścieżki, brzeg morski, wszystkie miejsca, gdzie można jeszcze się poruszać. Potem mieszkałem dwa dni w pańskim domu, ale pan nie przychodził. Wtedy wziąłem ze sobą Zigmę, panie, to bardzo dobry pies, prowadziła mnie nieco ponad cztery godziny.

- No więc - zdecydowanie powiedział Gorn - wszystko to prawda, panie Dribb. Estera była u mnie. I nie będę łgał. może wyjdzie to panu na dobre. Chciała, żebym został jej mężem. Ale nie kocham jej i powiedziałem jej to tak, jak teraz mówię panu.

Olbrzym zgiął się, jak gdyby go przydusił dach. Jego twarz stała się brudnoszara. Tracąc oddech z gniewu i smutku, niezręcznie zeskoczył na ziemię i kołyszając się zacisnął zęby.

- Pan nie pomyślał o mnie – krzyknął - gdy zadurzył w sobie dziewczynę. I jeśli pan nie kłamie, to tym gorzej dla runa!

- Nie, Dribb - cicho powiedział Gorn, uśmiechając się obojętnie - pan się myli. Myślałem, prawdę mówiąc, nie o panu, ale z powodu pana. Przyszło mi na myśl, że byłoby dobrze, gdyby ten przepiękny las skrzył się cienistymi kanałami z kwitnącymi brzegami, a smukłe bambusowe domy stałyby na brzegach pełne naturalnego szczęścia przypominającego obłoki na niebie. I jeszcze, chciałbym zasiedlić las smagłymi, spokojnymi ludźmi, przepięknymi jak Estera, z oczami sarn i rękami nieskalanymi brudną pracą. Jak i z czego żyliby ci ludzie? Nie wiem. Ale chciałbym zobaczyć właśnie ich, a nie nieforemne tułowia, jak pańskie, panie Dribb, zabrudzone potem pracy i upiększone guzikami zamiast nosa.

- Jeszcze jedno słowo! - Dribb z groźnym wyrazem twarzy zrobił krok ku Gornowi. - Wtedy zabiję pana na miejscu. Będzie pan kołysał się na tym kauczukowym drzewie, ty draniu!

- O! Wystarczy! - Gorn zbladł. Trząśł się z oburzenia. Równina i las na moment zwały się przed jego oczami w jeden zielony, zwarty krąg. - Nie ja lub pan, panie Dribb. lecz właśnie ja. Ja zabiję pana, niech pan to sobie zapamięta dobrze, potem będzie trudno przekonać się, że nie żę!

- Dziesięć kroków! - ostro, zachrypniętym głosem krzyknął Dribb.

Gorn odwrócił się i odliczył dziesięć kroków, trzymając palec na kurku. Rozdzielało ich niewielkie pasmo trawy. Ich oczy przyciągały się wzajemnie. Gorn uniósł strzelbę.

- Bez komendy - powiedział. - Strzelaj pan, jak chcesz.

Równocześnie z zakończeniem słowa „chcesz” szybko odwrócił się bokiem do Dribba, i w samą porę, bo ten nacisnął spust. Kula prześlizgnęła się, rozrywając skórę na piersi Gorna i pacnęła w drzewo.

Nie zdeprymowany postrzałem, Gorn wziął na muszkę środek włochatej piersi farmera i strzelił bez wahania. Kolejny nabój zatrzymał się w drodze do lufy, w magazynku karabinu Dribba; farmer szybko zaczął się cofać, otworzył usta i padł bokiem, nie odrywając od Górna tępych, okrągłych oczu.

Gorn zbliżył się do rannego. Dribb przeciągle charczał, jego ogromne, niezręcznie leżące ciało drgało. Oczy miał zamknięte. Gorn oddalił się drżący; obraz umierającego był dlań nieprzyjemny, jak każde zniszczenie. Koń, który odbiegł w bok, niespokojnie zarżał. Spojrzał na niego, na psa skomlącego koło Dribba i odszedł, wkładając po drodze nowy nabój. Myśli Gorna poplątały się, poczuł nagle głębokie zmęczenie i słabość. Skóra na piersi rozerwana przez wystrzał Dribba spuchła, z rany sączyła się gęsta krew ciekąca po brzuchu gorącymi kroplami. Usiadł, rozerwał koszulę na kilka szerokich pasm i zrobił coś w rodzaju bandaża, którym mocno owinął żebra. Opatrunek szybko namókł i stał się czerwony, ale niczego więcej nie miał.

Dribb w tym czasie, gdy Gorn był zajęty opatrunkiem, leżał bez ruchu z przestrzeloną na wylot piersią, otworzył na chwilę oczy i wypluł gęstą plwocinę krwi. Bliska śmierć wywołała w nim rozpacz. Podczołgał się do konia z jękiem wpadając w trawę, jak szczeniak który zgubił swój kojec. Koń stał nieruchomo z odwróconą głową. Odległość czterech sążni wydała się Dribbowi drogą tysięcy lat. Zachłystując się krwią doczołgał się do strzemion.

Zigma wierciła się i podskakiwała, patrząc na wysiłki człowieka, który straciwszy połowę krwi próbował usadowić się w siodle. Spadł pięć razy, za szóstym zrobił to bardziej szczęśliwie, ale las i niebo zaczęły tańczyć przed jego oczami szybciej aniżeli muchy nad padliną. Siedział, obejmując rękami szyję konia, jedna noga wypadła ze strzemienia i Dribb nie próbował już wsunąć jej z powrotem. Koń, potrząsając grzywą, ruszył kłusem.

Gorn, gdy usłyszał tętent, błyskawicznie rzucił się ku miejscu, gdzie upadł Dribb.

Zakrwawiona ścieżyna prowadziła w stronę lasu - czerwone na zielonym, jak gdyby płynne, rozsypane korale.

- Za późno - powiedział Gorn, blednąc z zaskoczenia.

Zaniepokojony wszedł do lasu i ruszył w kierunku jeziora tak szybko, jak tylko mógł. Znikły złociste prześwity, równy przedwieczorny mrok leżał na pniach drzew i na ziemi, pierś bolała jak od uderzenia pałką. Przeskakując powalone przez burzę pnie, Gorn nieomal biegiem parł do przodu z obrazem trupa Dribba spadającego ze spienionego konia wśród tłumu kolonistów.

Jeśli trup znajdzie choćby tyle siły, by wymówić tylko jedno słowo, będę miał do czynienia ze wszystkimi - pomyślał Gorn.

Już biegł, tracąc dech z powodu zdenerwowania. Las, jak tłum bezsilnych przyjaciół w zamyśleniu, rozstępował się przed nim, pokazując cieniste wyrwy wypełnione szumem krwi i niezwykłych zielonych fal.

## IX

Drzwi zamknięte od wewnątrz trzęsły się od zawziętych uderzeń, ale mocno trzymały się na swoim miejscu. Gorn uważnie lustrował niezastłonięte okno i drzwi, sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego, ale wewnątrz był pełen głuchej wściekłości i trwogi. Była to chwila podobna do tej, gdy człowiek potyka się w ciemności nad przepaścią.

Tkwiał w środku tłumu ludzi i koni, które rżały w pobliżu i trwożliwie parskwały w przeczuciu zbliżającej się walki. Ziemia zryta pośrodku podłogi ziała niewielką jamą, na której brzegach leżały brudne węzłki i skórzane woreczki własnej roboty, wypchane drobnymi grudkami złota. Matowe, zawinięte w mokrą, jeszcze pachnącą od garbowania skórę były tak niepociągające, jak czerwony, żywy, kłębek w rękach akuszerki ziewającej po bezsennej nocy. Ale złota było wiele, tyle że człowiek średniej siły wzięwszy na plecy wszystkie węzłki i woreczki nie zrobiłby i sto kroków.

Gorn rozmyślał o złocie nie mniej niż o sobie zamkniętym w czterech ścianach. Wszystko zależało od tego, jak potoczą się wypadki. Nieomal cierpiał na myśl, że przypadkowy rykoszet kuli może powalić go tuż obok nieoczekiwanego podarku losu leżącego u jego nóg.

Nowe uderzenia kolb o drzwi zabębniły z taką gwałtownością, że Gorn bezwiednie wyciągnął rękę, czekając na ich upadek. Ktoś zawołał:

- Jeśli nie docenia pan grzeczności, to postąpimy tak, jak zechcemy. Co pan powie na przykład o...

- Nic - przerwał Gorn, nie podnosząc głosu, cienkie ściany wyraźnie przepuszczały słowa. - Niech będzie was tysiąc, zabić możecie tylko jednego. A ja wielu.

Jednocześnie z trzaskiem wystrzału kula przebiła drzwi i uderzyła w górną część okna. Gorn błyskawicznie zmienił miejsce.

- Doprawdy - powiedział - nie będę rozmawiał, dlatego że celując na słuch, możecie przestrzelić mi struny głosowe. Na razie pomyliliście się o pół sążnia.

Odwrócił się do okna i strzelił w czyjaś migającą głowę i załadował nowy nabój.

- Niech pan pomyśli - zawołał ktoś inny, podkreślając niektóre słowa uderzeniem kolby - że śmierć pod otwartym niebem jest o wiele przyjemniejsza aniżeli w pułapce na myszy.

- Dribb zmarł - powiedział Gorn. - I nic go nie wskrzesi. Był w gorącej wodzie kapany i zarozumiał, należało więc ostudzić chłopca. Jestem przyjemny, dopóki nie grozi mi to śmiercią. Zmarł, co zrobić! Bardziej winny tu pies Zigma, aniżeli ja, niebezpiecznie posiadać czuły węch.

Głuchy ryk i trzask desek przebitych nowymi kulami zmusił go do milczenia.

- Ale natarczywość! - zauważył Gorn. Wisielcza wesołość popychała go do złośliwych żartów. - Sprzykrzyliście się mi. Trzeba mieć cierpliwość anioła, ażeby wysłuchiwać waszych beładnych gróźb.

Za ścianą rozmawiano. Powściągliwe okrzyki i tupot kroków raz zamierały, to znów rozlegały się wokół domu - bliżej i dalej, razem i oddzielnie. Szklany blask księżyca jaśniał przy oknie mętym czworokątem, z uporem szeleściły szuwary, jak gdyby tam układał się do snu i nie mógł się ułożyć ogromny zwierz. Gorn ledwie czuł swoje ciało zdrętwiałe z wielkiego podniecenia; cały zamieniony w słuch machinalnie odwracał głowę w różne strony, trzymając odbezpieczone kurki i stale myśląc o rewolwerze ciężącym w kieszeni.

Nagle rozległ się wystrzał, od którego zadrżały mu ręce i zadzwoniło w uszach. Wiele małych drzazg wybitych kulami uderzyło w twarz i szyję Górna i gdzieś zadrapało skórę.

Za drzwiami po chwili milczenia ktoś sucho zapytał:

- Żyje pan?

Gorn wygarnął z obu luf celując na słuch. Za drzwiami, które zatrzęsły się od uderzeń kul, osunęło się coś miękkiego.

- Żyje - odpowiedział trzaskając gorącym zamkiem. - A jak pańskie zdrowie?

W odpowiedzi usłyszał przekleństwa i nowe strzały. Inny, ostry głos rozległ się zza węgła domu:

- I po co pan traci kule!

- Tak, dla zabawy - odpowiedział Gorn, oddając nową salwę.

Rwetes wzmógł się.

- Hej, tam! - krzyknął ktoś. - Klnę się na pańską wątrobę, którą zobaczę dziś na własne oczy - opór nie ma sensu. Tylko powiesimy pana, co wcale nie jest straszne i o wiele lepsze niż śmierć w płomieniach! Pomyśl pan o tym!

Słowa zabrzmiały zupełnie dobroduszenie, gdyby nie martwa cisza pauz rozdzielających poszczególne zdania, i Gorn uśmiechnął się mściwie; towarzystwo chcące go upiec wywoływało w nim upartą chęć rozwalenia po kolei głów wszystkim napastnikom. Nie czuł strachu, było zbyt ciemno pod dachem, a jego osamotnienie w obliczu mówiących ścian było nazbyt podobne do snu.

- Pan poznał mnie - ciągnął ostry głos. - Nazywam się Dribb. Do dziś nie zobaczyłem pańskiej fizjonomii, zbyt dumny pan, żeby przyjść pod cudzy dach. Wtedy w zatoce było nazbyt ciemno. Ale cierpliwość się kończy.

- Szkoda, że to pan - sucho odpowiedział Gorn. - Chcąc być bezstronnym, nie wypadało panu tutaj się zjawiać. Co powiedział syn spadając z konia?

- Spadając z konia? Mam nadzieję, że nie było pana przy tym. Powiedział - „Go...” i zachłysnął się. Oto, co powiedział i pan mi odpowie za to urwane słowo.

- Niech pan patrzy na życie z filozoficznym spokojem - ironicznie powiedział Gorn. - Nie odpowiadam za czyny młodych wielbłądów. Oczywiście powinien celować w czoło, wtedy zmarłby całkowicie przekonany, że padłem zabity jego pierwszym wystrzałem. A czy jest tu Gupi?

- Tutaj! - rozległ się ochrypy głos. Doleciał z odległości dalszej, niż miejsce gdzie według Górna stał Dribb.

- Gupi - powiedział po chwili milczenia Gorn - napij się pan bałwochwalnej, świńskiej krwi!

Jego policzki drgały w nerwowym uśmiechu. Skomlące przekleństwa kolonisty ostrym skrzypieniem wpadły do jego uszu. Gorn ciągnął, jak gdyby rozmawiał sam ze sobą:

- Gupi to dobry człowiek.

Nieoczekiwana, smutna radość wyprostowała plecy myśliwego; zaraz jednak ubolewał, że radość ta wyciągając do niego obie ręce - dawała jedno, a zabierała drugie. Ale nie było

wyjścia. Głupia śmierć oburzała go do głębi duszy. Postanowił.

- Poczekajcie! - krzyknął. - Jedną chwilę! - Szybko, kilkoma uderzeniami siekiery, wyrąbał górną część deski w samym rogu drzwi i odskoczył obawiając się wystrzału. Ale łoskot żelaza rąbiącego drewno jakby nieco uspokoił napastników - człowiek przecież spokojnie rąbał deskę. W wyszczerbionej dziurze czerniał kawałek mglistego nieba.

- Gupi — zawołał Gorn łapiąc oddech i przybierając czujną postawę. - Gupi, podejdź pan bliżej z jakiegokolwiek strony. Nie strzelę, na honor. Muszę coś panu powiedzieć.

Człowiek zaczajony przy oknie wychylił się, szybko zmierzył i wystrzelił w mrok pomieszczenia. Gorn odskoczył - kula opaliła mu szczękę. W przyptywie nagłej wściekłości Gorn przez kilka sekund stał w milczeniu z lufą skierowaną do okna i drżał cały jak gmach fabryki na pełnym chodzie.

Opanował się jednak i pomyślał, że Gupi już zbliżył się na potrzebną odległość. Wtedy wziął węzełek z piaskiem o wadze około dwóch lub trzech funtów i wyrzucił go przez dziurę w drzwiach.

- To dla pana - głośno powiedział Gorn. - I jeszcze to i jeszcze...

Prawie nie uświadamiając sobie, co robi, w gorączkowym pośpiechu rzucał złoto w ciemność, z otępieniem wsłuchując się w głuchy stuk woreczków spadających za drzwiami. Dusił go łyż. Małeńka, błękitna rzeka niewinnie ślizgała się przed oczami.

Szybka, bezładna rozmowa wybuchnęła za drzwiami, poszczególne głosy rozlegały się to szybko, to głucho, jak senne mamrotanie.

- Poczekaj, Gupi!

- Co pan chce?

- Proszę położyć!

- A dokąd to?

- A co to was obchodzi?

- Skąd to wziął?

- Tak dużo!

- Wyrwę panu ręce!

- Po pierwsze jest pan głupi!

Uwagę Górna zwrócił charakterystyczny dźwięk uderzenia w policzek. Na moment rwetes ucichł, by po chwili wybuchnąć z dziesięciokrotną siłą. Tupot, szybkie okrzyki, przekleństwa, gniewny krzyk Dribba, ciężkie oddechy walczących krzyżowały się i wzajemnie zagłuszały. Gorn oddychał chrapliwie, dotykając drzwi głową. Czuł, że podniecenie napastników przerodziło się w bójkę. Podsycona wyobraźnią chciwość zwiększyła do gigantycznych rozmiarów opadające bogactwo i spowodowała błyskawiczny zwrot w sytuacji.

Przeciągły dźwięczny krzyk wyrwał się z ogólnego harmidru. I nagle padł strzał, po którym Gornowi wydało się, że z boku jego domu zwarty tłum porusza się jak w ogromnym kadrylu, ale bez muzyki i ognia. Wówczas wybił jeden za drugim drażni podtrzymujące drzwi, cicho otworzył je, i wtedy opuściło go męczące instynktowne poczucie zwierzęcia zapędzonego w ślepy zaułek.

Tumult dolatywał z prawej strony, zza węgła. Ludzi nie było widać, zajęci byli porachunkami między sobą. Nie należało oczekiwać, żeby rzucili się do podpalania domu, mając nadzieję, że znajdą tam więcej, aniżeli to, co wyrzucił Gorn. Okrutni, niecierpliwi jak dzieci na razie przedkładali widzialne nad niewidzialne. Gorn wyszedł za drzwi.

Cienie rzucane przez księżyc przypominały kawałki aksamitu pogubione na trawie zalanej mlekiem. Powietrze nieruchomo dymiło się światłem tak gęstym jak pył wapienny. Mrok na skraju lasu upstrzył je czarnozielonymi wgłębieniami.

Gorn postąpił chwilę, nasłuchując bezdźwięcznego bicia serca nocy i nagle zwinięty w kłębek rzucił się biegiem do lasu. W uszach świsnęło powietrze, z powodu szybkich ruchów zabolalo ciało, wszystko wokół zatraciło swą nieruchomość i na złamanie karku zaczęło biec

razem z nim, zachłystujące się, ogłuszająco dźwięczne jak woda w uszach nurkującego człowieka. Wydawało się, że koń przywiązany na skraju lasu biegł ku niemu sam, bokiem, jak stał, leniwie przebierając nogami. Wczepił się w grzywę, siodło powoli zakotyło się pod nim. Szybko rozciął uwięź nożem i galopując prawie równocześnie wystrzelił z rewolweru wszystkie sześć kul do trzech czy czterech najbliższych, spłoszonych wystrzałami koni. Niewidzialna mgła wznosząca się w powietrzu spowiła całą postać jeźdźca.

Gdzieś wysoko nad głową zaśpiewała samotna kula, przechodząc z falsetu w alt, po czym ucichła, opisała łuk i nieszkodliwie upadła w piasek obok zaniepokojonej mrówki taszczącej jakiś bardzo jej potrzebny patyczek.

Gorn pędził bez przerwy około dziesięciu wiorst. Przeciął równinę, wjechał w krzaczaste zarośla nadmorskiego płaskowzgórza, i wyjechał na drogę prowadzącą do miasta.

Tutaj zatrzymał się, chcąc zachować siły zwierzęcia na wypadek prawdopodobnej pogoni. Z lewej strony, z głębokiej przepaści nocy, od jeziora dolatywało nieokreślone cykanie, jak gdyby ktoś bębnił palcami po stole, to gubiąc, to znowu odnajdując właściwy takt. Gorn nadśluuchiwał, potem drgnął i silnie uderzył konia.

Pograżył się w mechaniczne, monotonne odrętwienie galopu, grzywa konia, ciemna, nocna ziemia, uciekające sylwetki wzgórz i rytmiczne wstrząsy całego ciała mieszały się z bliskim dotykiem przestrzeni i kręcącym w głowie pędem. Ścigano go - uświadomił to sobie, podobnie jak własną, coraz większą słabość. Ogarniało go zmęczenie. Pędził pochylony bez lęku i obawy, z bolesnym spokojem człowieka mechanicznie czyniącego to, co w podobnych wypadkach robią inni świadomie; uratowanie życia wydało mu się pustą, strasznie męczącą sprawą.

I gdy Gorn zmęczony wszystkim, co przeżył, gotów był rzucić wodze i pozwolić koniowi iść, jak chce, wyraźnie dostrzegł w powietrzu błądzący płomień świecy i maleńką, ozdobioną koronkami rękę. Obraz był podobny do odbicia w ciemnych szybach okna. Uśmiechnął się - śmierć w drodze wydała mu się zabawną, okropną pomyłką.

Zamyślane oblicze Estery przemknęło gdzieś w zakamarkach świadomości i zbladło, zginęło razem z ręką w koronce, jak gdyby była niewidzialna więź pomiędzy dziewczyną z kolonii i kobietą o kapryśnym obliczu, która miała wszystko.

- Hallo! - Gorn spojrzał na konia, unosząc się w siodle. - Zamęczył się, biedaczysko!

I skoczył szybko na bok, zanim padający koń zdążył przywalić go gwałtownie dyszącymi bokami.

Potem powstał chwilę, uspokojony ciszą, rzucił ostatnie spojrzenie tam, gdzie niepotrzebnie mu życie wyciągało swoje ramiona, i ruszył dalej.

*Tadeusz Maliński*

## **OPOWIADANIE BIRKA**

Początkowo rozmowa miała charakter ogólny, a następnie skupiła się na osobie jednego z obecnych. Był to człowiek niedużego wzrostu, silny i żyłasty, z okrągłą, ogoloną twarzą i wysokim głosem. Siedział obok stołu w fotelu. Lampa, osłonięta czerwonym abażurem, oświetlała jego postać z wyjątkiem głowy, pozostająca w cieniu twarz tego człowieka wydawała się smagła, chociaż w rzeczywistości był zawsze błąd.

- Czyżby - rzekł gospodarz, łykając kawę z przeźroczywej, porcelanowej filiżanki - czyżby negował pan życie? Jest pan najdziwniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek



spotkałem. Mam nadzieję, że nie uważa nas pan za zjawy?

Mały człowiek uśmiechnął się i objął kolana rękami, kołyszając się z lekka.

- Nie - odparł powracając do poprzedniej pozy - mówiłem tylko o tym, że wszystkie moje zmysły sprawiają mi ciągły ból, do którego już teraz przywykłem. Swego czasu przeżyłem skomplikowaną operację psychologiczną. Mój chirurg (jeśli kontynuować to porównanie) pozostał dla mnie nie znany i wydaje się, że nie był z tego świata.

- Ale chyba i nie z tamtego świata? - zaperzył się dziennikarz. - Przepraszam, pozwolę sobie zakomunikować panu, że nie wierzę w duchy i proszę nie tykać naszych najdroższych nieboszczyków, A jeśli pan rzeczywiście miał szczęście i został zaszczycony rozmową z dziadkiem, to niech pan raczej będzie nieszczerzy i wymyśli coś oryginalniejszego, brak mi właśnie tematu do felietonu.

Birk (tak nazywał się ów mały człowiek) wolno zlustrował towarzystwo szarymi, wypukłymi oczami. Napięte oczekiwanie najwidoczniej bawiło go. Rzekł:

- Mógłbym nie opowiadać wobec braku niemal zupełnie nadziei na pozyskanie zaufania słuchaczy. Ja sam, gdyby ktoś opowiedział mi to, co za chwilę opiszę, uważałbym, że mam prawo powątpiewać. Jednak mimo to pragnę wzbudzić w was maleńkie zaufanie do mojego opowiadania, Wzbudzić zaufanie nie dowodami faktycznymi, lecz logicznymi, pośrednimi. Wszyscy wiedzą, że jestem człowiekiem absolutnie pozbawionym tak zwanej wyobraźni, to znaczy możliwości przeżywania i przedstawiania myśli dzięki obrazom, a nie pojęciom abstrakcyjnym. A więc nie mógłbym na przykład opowiedzieć dokładnie o katastrofie okrętu, nie będąc tego świadkiem. Każde przy tym opowiadanie jest przekonujące tylko w wypadku istnienia drobnych faktów, szczegółów czasem nieoczekiwanych i rzadkich, czasem zwyczajnych, lecz zawsze wywierających większe wrażenie niż nagi szkielet wydarzeń. W kronice wypadków możemy przeczytać o zabójstwie: „Dziś rano został zabity przez nieznanego przestępcę pan N”. Taka informacja może być w jednakowym stopniu fałszywa lub prawdziwa. Jednak nota umieszczona tuż obok: „Łóżko było odsunięte, a w biurku zepsuty zamek” - nie tylko przekonuje nas co do rzeczywistości zabójstwa, lecz daje również pewien materiał do plastycznego wyobrażenia sobie faktu. Mam nadzieję, iż zrozumiecie, że chcę przez to powiedzieć, że szczegóły przekonują was silniej niż wasze zaufanie do mojej osoby.

Birk przerwał. Jedna z dam skorzystała z tego, by wtrącić następującą uwagę:

- Tylko żeby nie były straszne!

- Straszne? - spytał Birk, uśmiechając się pobłaźliwie, jakby rozmawiał z dzieckiem. - Nie, to nie jest straszne. To jest coś, co żyje w duszy wielu ludzi. Jestem gotów otworzyć wobec was duszę i jeśli mi uwierzycie, ów niezwykle fakt, o którym opowiem i który przypuszczalnie zainteresuje was najbardziej, utraci, być może, w waszych oczach wszelki urok.

Powiedział to z odcieniem smutnej powagi i głębokiego przekonania. Wszyscy milczeli. I nagle dzięki bardzo skomplikowanemu i tajemniczemu wewnętrznemu doznaniu poczułem niezwykle silne napięcie nerwowe Birka. Była to chwila, gdy nastrój jednego człowieka udziela się innym.

- Jeszcze w młodości - ciągnął Birk - odczuwałem ogromny wstręt do jednostajności, niezależnie od tego, w czym się przejawiała. Z czasem przekształciło się to w prawdziwą chorobę, która stopniowo stała się istotą mojego „ja” i zabiła we mnie wszelkie przywiązanie do życia. Jeśli nie umarłem, to tylko dlatego, że ciało moje było jeszcze zdrowe, młode i instynktownie chciało żyć na przekór duchowi starannie zamkniętemu w sobie.

Używając słowa „jednostajność”, nie chcę tym samym powiedzieć, że od samego początku uświadamiałem sobie przyczynę swojej melancholii i dążenia do samotności. Przez długi czas mój chorobliwy stan przejawiał się w nieokreślonej i chyba nieuzasadnionej nudzie, gdyż nie byłem kaleką i swobodnie rozporządzałem pieniędzmi. Odczuwałem głuchą, na poły świadomą wrogość wobec wszystkiego, co odbiera się pięcioma zmysłami. Każdy z was, oczywiście, przeżywał ten szczególny, wstrętny jak skwaśniałe wino, nastrój gnuśności i mę-

czącej pustki, kiedy wszystko, co nas otacza, traci zupełnie sens. Przeżywałem to samo z tą tylko różnicą, że jasne przerwy stawały się coraz rzadsze i wreszcie stopniowo zanikły, ustępując miejsca zimnej, martwej prostracji, gdy człowiek żyje machinalnie niby automat, bez radości i cierpień, śmiechu i łez, ciekawości i litości - żyje poza czasem i przestrzenią, myli dni, dochodzi do anegdotycznego roztargnienia i bywa tak, że nawet traci pamięć.

Przypadek uświadomił mi, że osiągnąłem ten stan martwoty. Na placu, w biały dzień, na moich oczach ogromny furgon naładowany meblami przejechał jedną z tych niewinnych istot, które w kartonowych pudełkach roznoszą kapelusze i suknie. Podszedłszy do miejsca wypadku (nie z ciekawości, lecz dlatego, że trzeba było przejść przez plac) tym samym równym, leniwym krokiem, jakim cały czas szedłem, machinalnie stanąłem zatrzymany przez tłum uliczny, tłoczący się wokół bladego jak wapno furmana. Dziewczynka leżała przy jego nogach, jej twarz mocno pobrudzona błotem była zmiażdżona. Widziałem tylko purpurową plamę z oczami, które z bólem wyskoczyły z orbit i jasne, kędzierzawe włosy. Z boku leżało przewrócone, kartonowe pudło - powód nieszczęścia. Jak mówiono w tłumie, furgon pędził galopem, maleństwo upuściło swój ciężar pod same nogi koni. chciało go podnieść, lecz upadło i natychmiast para podków przekształciła jej zasnęłą twarzyczkę w krwawą masę.

Tłum gorączkował się i coraz hałaśliwiej wyrażał swoje oburzenie; trzech policjantów z trudem powstrzymywało tęgich mieszczan pragnących natychmiast rozprawić się z furmanem. Widziałem łzy w oczach kobiet, słyszałem ich łkania i postawszy około pięciu minut, ruszyłem dalej.

Powtarzam: wszystko to w i d z i a ł e m i s ł y s z a ł e m, lecz moje nerwy pozostały najzupełniej spokojne. Nie odczuwałem tych ludzi jako żywych, cierpiących, wstrząśniętych, rozgniewanych istot, lecz widziałem tylko ich sylwetki - kołyszące się, machające rękami, zmieniające swój wyraz twarzy; słyszałem to głośne, to znów ciche okrzyki i hałaśliwe westchnienia tych, którzy przybiegli z daleka, lecz były to tylko dźwięki i ruchy, gesty i barwy niezdolne dać mi najmniejszego pojęcia o uczuciach, które wzburzyły tłum. Byłem spokojny: dwadzieścia kroków dalej zaczynała się ulica - wstąpiłem do sklepu z wyrobami tytoniowymi i galanterią i kupiłem spinki.

Wieczorem, mechanicznie kartkując księgę minionego dnia, zainteresowałem się swoim stosunkiem do życia właśnie w związku z opisanym wyżej wydarzeniem. Być może zauważyliście, że widok wyrobnika rozłupującego drwa przed waszym oknem budzi w was tak wyraźne wyobrażenie o wysiłku fizycznym rąbiącego drewno, że sami odczuwacie pewne wewnętrzne napięcie za każdym razem, gdy topór wznosi nad polanem. Rytm życia tętniący wokół mnie można było porównać właśnie z ruchami człowieka zajętego ciężką pracą, lecz odczuwałem ją tylko mechanicznie. Taki stan ducha przypuszczalnie nigdy nie wywołałby we mnie nawet najmniejszej trwogi, gdyby nie nieprawdopodobna nuda, powodująca drażliwość i tęsknotę. Nie znajdowałem sobie miejsca; krewni z trwogą śledzili moje zachowanie, gdyż traciłem apetyt, chudłem i stawałem się nieznośny we współzyciu, wnosząc swoim brakiem równowagi zupełny rozdzźwięk w rodzinie.

Zrozumiałe, że często rozmyślając o sobie, dokonałem wielu spostrzeżeń - jedno z nich stało się dla mnie latarnią, która oświetliła ciemne, na poły świadome drogi mojego ducha. Tak więc zauważyłem, że odczuwam, pewne zadowolenie ze spaceru poza miastem, z dala od budynków. Należy powiedzieć, że od samego dzieciństwa wrażenia wzrokowe były dla mnie najważniejsze - obraz całkowicie decydował o moim nastroju. Ta właściwość była tak silna, że często moje ulubione melodie, zagrane w odrażających warunkach, wywoływały we mnie przykre wrażenie. Opierając się na tym, postarałem się zestawzić spostrzeżenia wzrokowe miasta i krajobrazu podmiejskiego. Na początek co do f o r m y zastosowałem geometrię. Rzucąca się w oczy istotna różnica linii. Linie proste, płaszczyzny poziome, sześciany, piramidy prostokątne, kąty proste były geometrycznym wyrazem miasta; natomiast powierzchnie krzywe, podobnie jak i nierówne kontury, stanowiły nieznaczną domieszkę, słabą ozdobę tła,

u podstaw którego leżała linia prosta. Nawet krajobraz leśny jawił się jako zaprzeczenie miasta, był wcieleniem linii krzywych, nierównych powierzchni, falistości i spirali.

Od tego stwierdzenia przeszedłem do kolorów. Tutaj nic było możliwości dokładnego uogólnienia, lecz mimo to rozumiałem, że w mieście spotykamy przeważnie ciemne, składające się z jednego tonu i pozbawione odcieni barwy o ostrych konturach. Las, rzeka, góry przeciwnie - dają tony jasne i żywe, z niezliczonymi odcieniami i zmiennością barw. W ten sposób moje spostrzeżenia oparłem na następujących przesłankach: Linie krzywe. Linie proste. Wrażenie *c i e n i a* wywołane przez miasto. Wrażenie *ś w i a t ł a* wywołane przez przyrodę.

Najprzeróżniejsze kombinacje tych zasadniczych elementów życia wzrokowego najwidoczniej wzbudziły we mnie taki lub inny drżący nastrój i podobny do dźwięków orkiestry w miarę tego, jak widziane zmieniało się przede mną, dopóki nadmiernie silna wrażliwość, rażona raz identycznymi, to znów podobnymi do siebie formami, nie przytępiała się i nie zanikała. Jeśli natomiast idzie o spacer podmiejskie, to ich stosunkowo dobroczynne działanie było wywołane uczuciem kontrastu, gdyż w mieście spędzałem większą część czasu.

Kontynuując zagłębianie się w siebie, doszedłem do przekonania, że właśnie tak ostro odczuwana przeze mnie jednostajność jest niewątpliwie przyczyną mojego stanu przygnębienia. Pragnąc to sprawdzić, przeanalizowałem swoją przeszłość. Nie było tam nic takiego, czego nie przeżyliby inni ludzie i odwrotnie nie było niczego dostępnego duszy ludzkiej, czego nie doświadczyłbym i ja. Różnica tkwiła tylko w formie, warunkach i natężeniu. Rozkładając swoje życie na elementy składowe, byłem zaskoczony ubóstwem ludzkich przeżyć; wszystkie one nie wychodziły poza granice maleńkiego, jednostajnego, niedoskonałego ciała - dwóch, trzech dziesiątków zasadniczych uczuć, z których za najważniejsze należałoby uznać zaspokojenie głodu, zaspokojenie miłości i zaspokojenie ciekawości. To ostatnie zawierało w sobie również zapał do wiedzy.

Miałem dwadzieścia cztery lata, a w młodości, jak wiadomo człowiek jest skłonny do kategorycznych opinii i wniosków. Wydałem wyrok na siebie. Jedna z letnich nocy zastała mnie częściowo rozebranego, ze stanowczą decyzją w głowie i stalowym przedmiotem w rękach nabitym siedmioma nabojami. Nie pisałem żadnej notatki - było mi najzupełniej obojętne, jak ludzie będą tłumaczyli sobie przyczynę mojej śmierci. Odbezpieczywszy broń wyprężyłem się jak żołnierz na defiladzie, przyłożyłem lufę do skroni i w tej samej chwili na ścianie z lewej strony ujrzałem swój cień. Było to moje ostatnie wspomnienie; natychmiastowo skurcz palca udzielił się cynglowi i doświadczyłem czegoś, co nie da się opisać.

Świadomość przywrócił mi silny stuk do drzwi. Ocknąwszy się, momentalnie przypomniałem sobie wszystko, co zaszło. Rewolwer, choć się zaciał, wzbudzał we mnie niewymowny wstręt; oblewając się zimnym potem, odrzuciłem go pod stół uderzeniem nogi i chwiejąc się otworzyłem drzwi. Służąca, która weszła do pokoju z nakryciem do kawy, spojrzawszy na mnie, upuściła tacę. Uspokoilem ją jak umiałem, powołując się na bezsenność. Był dzień - przeleżałem bez przytomności siedem godzin.

To dziwne, lecz to zdarzenie rozbawiło mnie i zmusiło do skupienia się na dopiero co przeżytych doznaniach. Dziwił mnie paroksyzm zgrozy na chwilę przed pociągnięciem cyngla. Sprzeczny z logiką instynkt czepiał się życia, które, poczynając od swych ogólnych zasad aż do najmniejszych drobiazgów, było mi wstrętne jak chinina zdrowemu człowiekowi. Dręcząc się tą sprzecznością, czułem się jakbym miał związane ręce i nogi. I zewnątrz, i wewnątrz mnie kłębił się, połączony delikatną przegrodą rozumu ludzkiego, cały ocean sił, których sens i znaczenie były dla mnie zrozumiałe tak samo jak nóż wiwisektora dla małpy. I ja na podobieństwo szmaty, rzuconej na dno wartkiej rzeki, płynąłem, chwiejąc się z powodu najmniejszej zmiany nurtu, z ciemności w nieznane. Nie byłem sobą, lecz tym co dawały mi w przeciągu trzydziestu lat oko, ucho i dotyk.

Okres rozpacz, który później nastąpił, osiągnął takie napięcie, że przez sześć dni nie

wychodziłem z domu. Nie wiem, czy ktoś wypił, tyle, ile, chodząc po pokoju, wypitem ja. Wino przekształcało się w pożar spalający mózg i krew to jasnymi, to obrzydliwymi majakami tęsknoty. Był to pstry taniec we mgle, kwiatek wina brzydki jak wielbłąd i delikatny jak zorza w maju, uniesienie rozpacz, modlitwa zestawiona z bluźnierstwem, szczęśliwy śmiech w torturach, spokój i wściekłość. Głośno rozmawiałem sam z sobą, znajdując ogromną rozkosz w dźwiękach własnego głosu, lub leżałem godzinami z wrażeniem gwałtownego spadania albo komponowałem melodie, którym równych pod względem piękności nie było i nie będzie i płakałem z męczącego zachwytu, słuchając ich bezdźwięcznej, uskrzydłującej harmonii. Byłem wszystkim, co tylko może sobie wyobrazić .wiadomość ludzka - ptakiem i królem, żebrakiem w przedsionku przed cerkwią i tajemniczym liliputem budującym okręty wielkości talerzy.

W sześć dni później, w środku nocy zbudziłem się od nagłej trwogi, od której włosy na głowie stanęły mi dęba i natychmiast, drżąc z nieuzasadnionego strachu, zapaliłem światło. Oprócz mnie w pokoju nie było nikogo; tylko z wielkiego lustra nad toaletą patrzyła na mnie twarz zaogniona z pijaństwa - straszna i godna pożalowania. Była to moja twarz. Przez chwilę patrzyłem na nią, nie poznając siebie, później wstałem, ubrałem się popędzany niepokojem oraz potrzebą poruszania się i wyszedłem na ulicę.

Wszyscy spali, lecz klucz od drzwi wejściowych miałem przy sobie, więc nie budząc odzwiernego, opuściłem dom, kierując się ku nowemu mostowi. Szedłem bez jakiegokolwiek celu, lecz szybko, jak człowiek, który boi się spóźnić, pamiętam, że rozgniewałem się, gdy jakiś przechodzień idący z przodu to lewą, to prawą stroną chodnika nie od razu usunął się. Powietrze było świeże i spokojne, chciwie łykałem je i szedłem wciąż przyśpieszając kroku. Przy moście zatrzymałem się, skręciłem w boczną ulicę i mijając dzielnicę za dzielnicą doszedłem do rynku. Po jezdni, śliskiej od wilgotnych resztek warzyw, bezdźwięcznie przebiegały psy, chowając się za cokołami. Gdy poczułem niewielkie zmęczenie, przysiadłem na ogromnej dziurawej skrzyni i zacząłem palić.

Moje nerwy były tak napięte, że poczułem mijanie czasu w każdym oddechu i najmniejszym skurczu mięśni. W ciężkim, bezkształtnym biegu myśli. Nie istniałem jako całość, wydawało się, że moje ciało, rozbite i od nowa złożone z tysięcy cząstek, cierpiało od fizycznego strachu przed nowym, nieokreślonym niebezpieczeństwem. W tym czasie dwóch ludzi wyszło zza rogu i dokładnie się rozejrzało, świecąc latarką ręczną.

Przestrzeń dzieląca nas wynosiła nie więcej niż dwa kroki i mogłem dość dokładnie obejrzeć obu, pozostając niezauważonym, gdyż słup podpierający daszek sklepików ukrywał moją osobę. Jeden ze spuchniętym od spirytusu ponuro przystojnym profilem, ubrany w króciutki żakiet z podniesionym kołnierzem i w meloniku trzymającym się na potylicy, sypał zręcznie na pozór bezsensownymi, nic nie wyrażającymi frazami, stekiem słów, w którym ogólne zwroty zderzały się i mieszały ze słownikiem podobnym do niezrozumiałego szwargotu. Drugi, maleńki, nerwowy, w starym palcie, z twarzą pomarszczoną małpy, raz po raz łapał się za rondo kapelusza, przesuwając je do tyłu i do przodu, jak gdyby jego czaszka odczuwała nieznośny ból od dotyku nakrycia głowy. Uporczywie sprzeciwiał się, czasami podnosząc swój i bez tego wysoki, gęgotający głos i bezradnie kiwał podbródkiem, wyrażając widocznie w ten sposób wątpliwość. Kurczowo ścisnął latarkę lewą ręką i cień jego dużego palca opuszczonego na szkło padał jak ogromna plama na oświetlony kąt ziemi między skrzynią i zamkniętymi drzwiami budynku.

Szybko zorientowaliśmy się, kim są ci ludzie prowadzący spór w nocy, w odludnym miejscu - gdyby moja myśl była nieco świeższa, lecz w tej chwili patrzyłem na nich tępo dziwiąc się tylko z powodu ich dziwnej manieri mówienia. Obydwaj, zjawiwszy się tak nagle i cicho, wydawali się zjawami olśniewającego snu, natrętymi obrazami prześladowającymi chory mózg. Zdaje się, że oczekiwałem ich zniknięcia; w każdym bądź razie wcale bym się nie zdziwił, gdyby rozplynie się w powietrzu jak kłęb dymu. Jednak oni obaj porozmawiawszy,

wsadzili ręce do kieszeni i drobnymi energicznymi krokami oddalili się.

Bezwiednie wstałem i poszedłem za nimi, domyślając się niejasno, że dwaj złodzieje nie wychodzą w nocy na spacer pobudzający trawienie, po cichu ciesząc się z powodu maleńkiej, nieco tajemniczej rozrywki - możliwości zobaczenia skrawka nocnego życia, tak różniącego się od dziennego, lecz podporządkowanego sprawom znajomym jak twarz krewnego. Noc ze swoimi kotami, ukrytą przed oczami przestrzenią, złodziejami, włóczęgami, zbliżającymi się w ciemności dziwnie błyszczącymi oczami do waszej napiętej w oczekiwaniu twarzy; z elegancko ubranymi kobietami, robiącymi wrażenie gołych; z ciszą dźwięku i dźwięcznym milczeniem - jest tajemnicza dlatego, że w jej wnętrzu zaczyna ożywać wszystko, co zostało zabite prawami dnia. I krocząc z wolna w maleńkiej plamie latarni ślizgającej się powolnymi zygzakami po płytach, wydawałem się sobie okiem nocy uczestniczącym w jej tajemnicach i podstępach, pragnieniach i nadziejach. Byłem szpiegiem, uczestnikiem z ciekawości, ogniwem między mrokiem i złodziejskim zamiarem. Starając się iść bezszelestnie, stawiałem instynktownie nogi brzegami podeszew i szedłem bezdźwięcznie jak zwierzę.

Ci, których śledziłem, szli nie zatrzymując się i bez wahania - najwidoczniej zmierzali prosto do celu. Minawszy plac katedralny i skręciwszy ku rzece, zatrzymali się przy murowanym czteropiętrowym domu z ogromną bramą i natychmiast, nie tracąc czasu, zabrali się do roboty.

Schowałem się za róg domu i mogłem widzieć, jak mniejszy zaczął kręcić rękami, próbując rozerwać zamek. Widocznie okazało się to rzeczą niełatwą, gdyż suchy trzask żelaza powtarzał się z pięć razy, raz słabiej, raz mocniej, a ręce, doświadczone, zręczne ręce złodzieja poruszały się z podobnym jak dotychczas wysiłkiem. Towarzysz jego raz po raz podawał mu coś, mały brał, pojękując z niecierpliwiej trwogi i od nowa zaczynał włamanie. Arsenał przebiegłych pomysłów i mechanicznych sztuczek został użyty na moich oczach. I nagle zapragnąłem sam spróbować szczęścia, zostać złodziejem na godzinę, skradać się, ukrywać się, niszczyć bez dźwięku, chodzić na palcach w obcym mieszkaniu, brać ze strachem, grzebać w biurku i szufladach, ostrożnie zaglądając za pomocą jasnej plamy latarki w twarze śpiących. Nie namyślając się, wstałem i twardym krokiem poszedłem w stronę bramy. I natychmiast zobaczyłem spokojnych przechodniów, nieco podchmielonych, lecz jeszcze rześkich. Melonik powiedział do małpy:

- Czy mogę pana poprosić o ogień, gdyż zgubiłem zapałki?

- Proszę bardzo - odrzekł mały, uważnie obrzucając mnie wzrokiem. - Obawiam się, że zapałki zwilgotniały.

- Zapałki? - odpowiedziałem, zwracając się w ich kierunku. - Mam zapałki. Proszę wziąć.

I podałem mu pudełko zapałek. Melonik wziął je, pozerając mnie oczami. Mały nerwowo się uklonił, pisnąwszy:

- Jest pan bardzo uprzejmy!

- Tak, w miarę możliwości! - uśmiechnąłem się najmilej jak tylko można i ukloniłem się. - Mam nadzieję, że nie spotka pana zawód. Mam zawsze suche zapałki.

- Jest pan niezwykle uprzejmy - niezmiennie powtórzył mały.

- Tak, to dziwne - głuchym basem odezwał się drugi. - Jaka piękna pogoda!

- Pogoda jest tak piękna - podjąłem - że aż nie chce się siedzieć w domu, czyż nieprawda?

Nie mrugnawszy okiem odrzekł:

- Czy pańskie zapałki nie zwilgotnieją? Powietrze jest nieco wilgotne i niezbyt korzystne dla zdrowia.

- Innymi słowy - powiedziałem straciwszy cierpliwość - panom przeszkadzam? Te drzwi mają mocną konstrukcję.

Oni jeszcze usiłowali uśmiechnąć się, lecz zaraz cofnęli się, oglądając się z trwogą.

Podeszłem do nich blisko.

- Was jest dwóch - powiedziałem - przeciwko jednemu, a więc nie macie się czego obawiać, tym bardziej, że nie będę wam szkodził. Jestem człowiekiem ciekawym, łazikiem nocnym, człowiekiem lubiącym przygody. Chcę wejść razem z wami i ukraść na pamiątkę dzisiejszej nocy to, co przypadnie mi do gustu. Najprawdopodobniej wezmę jakieś świecidełko z kominka, a więc nie ograbię was. Zatem, naprzód, Cartouche i Rinaldini, koty w butach, walety i złodzieje! Pójdę z wami jak cień waszej latarki.

I zaledwie zamknąłem usta, gdy obaj odwrócili się i nie spiesząc odeszli, gubiąc się w mroku. Nie bali się mnie, dowodził tego ich pogardliwie miarowy krok, lecz nie ufali również mojemu natręctwu. Ich kroki dźwięczały jeszcze pewien czas, później wszystko ucichło i pozostałem sam.

Wówczas podeszłem do drzwi i dokładnie je obejrzałem.

Były to duże drzwi stylowych domów z brązem i matowymi szybami. Zapalwszy zapalkę oświetliłem dziurkę od klucza; nosiła ślady włamania, miedziane kółko było zbite, a oprócz tego obok klamki zionęły dwa świeżo wyświdrowane otwory. Machinalnie pociągnąłem za klamkę; ku mojemu największemu zdziwieniu drzwi otwarły się zupełnie swobodnie, jak w dzień.

Z minutę stałem nieruchomo, gdyż nie spodziewałem się tego. Zrobili swoje, a ja przeskodziłem im wejść na schody. Mogłem teraz skorzystać z owoców cudzej pracy, jeśli pomysłowość i zręczność pomoże mi dostać się do któregośkolwiek mieszkania. Myśl ta doprowadziła mnie do stanu najwyższego wzburzenia - byłem już złodziejem, doznając strachu, zniecierpliwienia i ostrego pragnienia nieznanego leżącego za każdym progiem. Czułem się skrytym, zręcznym, bezszelestnym i ostrożnym.

Zamknawszy dokładnie drzwi za sobą, powoli otworzyłem drugie, wewnętrzne. Było ciemno i cicho; gruby dywan podestu miękko wpił się w moje podeszwy, jak gdyby zachęcając, by iść śmieiej. Z silnie bijącym sercem przeszedłem obok klitki odźwiernego, wszedłem po schodach i zatrzymałem się przy pierwszych drzwiach.

I natychmiast moje napięcie zostało zastąpione przez uczucie zmęczenia zmieszane z trwożnym rozczarowaniem. Nie miałem czym otworzyć drzwi. Bez narzędzi i kluczy, a nawet gdybym je miał, to bez znajomości obchodzenia się z nimi, musiałbym nieuchronnie zawrócić ze świadomością, że zrobiłem z siebie durnia. A to znaczy, że wszystko to, co zdarzyło się w nocy, było bezcelowe; cały szereg powiązanych ze sobą przypadków - rynek, rozmowa tych dwóch, wyłamywanie zamka i to, że wszedłem tutaj do śpiącego domu - to wszystko zdarzyło się tylko dlatego, żebym mógł odejść bezszelestnie i niepostrzeżenie.

Myśl ta wydała mi się tak absurdalna, że głośno się roześmiałem. Oczywiście nie byłem zwykłym złodziejem, gdybym już znalazł się w jakimś mieszkaniu, czułbym się tam jak gospodarz. Nie byłem nawet złodziejem w tym sensie, że nie kierowała mną chęć zysku związana z ryzykiem przestępstwa. Nie chciałem niczego brać, szedłem powodowany tajemnicą, przeczuciem nieznanego, progiem cudzego życia, trwogą bezsenności i niejasną wizją logicznego końca. Od tego zaspokojenia oddzielały mnie drzwi, których otworzyć nie mogłem.

- Jeśli musi nastąpić koniec, to drzwi się otworzą.

Bezwiednie wyszeptalem te słowa, lecz natychmiast ich sens zapłonął jak proch od żaru. Rzeczywiście, jeszcze nic usiłowałem otworzyć drzwi! Wówczas, zamierając w oczekiwaniu, odszukałem klamkę i cicho, powoli kurcząc mięśnie, pociągnąłem drzwi do siebie. Były zamknięte.

Nowy przypływ podniecenia opadł, odszedłem i usiadłem na parapecie okna, moje nogi drżały. Zmieszawszy się, nie będąc w stanie przedsięwziąć czegokolwiek, wyjąłem papierosnicę i zacząłem palić.

Minęła minuta, druga, tytoń stopniowo zaczynał działać, wzruszenie opadło, myśl płynęła spokojniej, lecz tak samo z napięciem, przenikliwie, z chorobliwą wyrazistością każdego

słowa, wybitego wszystkimi literami jak wydrukowane. Jaki mógł być tego k o n i e c? Wyobraziłem sobie, że drzwi są otwarte i ja błąkałem się po ciemnych pokojach. Przedpokój, bawialnia, salon, gabinet, sypialnia i kuchnia - oto przestrzeń, którą mogłem obejść i zobaczyć to, co jest mi znane, przeciętne urządzenia mieszkania, najwyżej twarze śpiących! A więc postawszy pięć minut w ciemności, ryzykując przyłapaniem na gorącym uczynku, winienem odejść cicho i ostrożnie, jak prawdziwy złodziej. Stąd nasuwały się dwa wnioski: 1) nie ma po co wchodzić, 2) k o ń c a nie będzie.

I choć prawidłowość mojego rozumowania była oczywista, głucha wściekłość zrzuciła mnie z parapetu, jak wiatr skrawek papieru. Podszedłem do drzwi z zuchwalstwem rozpacz, z namiętym pragnieniem, by wejść i przekonać się, że n i e m a n i c z e g o. Logika doprowadziła mnie do niemocy, rozumowanie do odwrotu, prosty, nieświadomiony ruch myśli - do martwego impasu. Rzuciłem się do szturmu na własny rozsądek i postawiłem znak pragnienia tam, gdzie była oczywistość. W ciągu kilku sekund przeżyłem zderzenie się wątpliwości i oczywistości, ironii i ekstazy, strachu i oczekiwania, i kiedy wreszcie jasne, twarde zdecydowanie powstrzymało gorączkowe drżenie ciała - poczułem się taki rozbity i osłabiony, jak gdyby mnie stratował tłum. W i e d z i a ł e m , c o b ę d z i e.

Niewątpliwe, rzeczywiście niewątpliwe było dla mnie to, że ani mieszkanie, ani mebli, ani ludzi nie ma. Jest nieznanne. To, do czego niechcący, nieprzewyciężalnie, nieuchronnie przyszedłem w nocy, nie wiedząc, co mnie czeka. Stałem na progu cudu. Stałem przed wszystkim i przed niczym. Stałem przed sensem rynku, melonika, mały, wyłamanych drzwi, pudełka zapalek i swojej obecności.

Wówczas wbrew mojej woli ukryte zaczęło przybierać postacie wzrokowe, barwy zagnionej myśli. Symfonia barw wirowała przed moimi oczami i gra ich odcieni była muzyczna, jak melodia orkiestry. Widziałem przestrzeń, której granicami były dźwięki, muzyka powietrza, ruch molekuł. Widziałem przepych bezkształtnego, materię w jej najwyższym pięknie połączeń, poruszające się desenie linii, wdzięk wzruszający do łez, światło przenikające do krwi. Byłem porwany orgią wyobrażeń. I nieświadomie, jak gospodarz, wyjąłem klucz z bocznej kieszeni.

Chwila, kiedy wydało mi się, że wszystko to już było i już kiedyś stałem tak samo na schodach, trwała tak krótko jak ruch skrzydeł jerzyka fruującego nad jeziorem. Z ledwością uchwyciłem ją. I pogrążywszy się w sobie, zamarłem w oczekiwaniu.

Klucz był w moich rękach, małeńki miedziany klucz n i e o d t y c h d r z w i, lecz już wiedziałem, że wejść. Pewność moja była tak wielka, że nawet nie zdziwiłem się, kiedy włożywszy go do dziurki, usłyszałem jak zamek szczęknął miękko, dziwnie znajomym dźwiękiem. Denerwowałem się tak mocno, że byłem zmuszony zatrzymać się i przeczekać atak palpacji serca. Następnie otwarłem drzwi i, zrobiwszy krok naprzód, znalazłem się w ciemnym nagrzanym powietrzu.

Nie pamiętam dokładnie, co przeżywałem wówczas. Na wprost był korytarz; odgadłem to po szczególnym odczuciu ciasnoty, choć nie dotykałem ścian. Poruszałem się w nim jak we śnie, nie zapalając zapalki, kierowany instynktem i kiedy zrobiłem dziesięć kroków, zrozumiałem, że trzeba się zatrzymać. Dlaczego? Sam tego nie wiedziałem. Ciało moje samo kierowało krokami i kazało mi zwrócić się na prawo, gdzie zgodnie z niejasnym przebłyskiem przekonania, powinny być znajdować się drzwi.

Szedłem na palcach, wstrzymując oddech... Przed skręceniem w prawo mimowolnie zawahałem się. Dlaczego - drzwi? Wyciągnąłem rękę, obmacując je i tutaj po raz drugi nieuchwytnie, jak cień od wystrzału, wśliznęło się wspomnienie, że ta chwila już była. Tak samo, lecz nie wiadomo kiedy, stałem w ciemności korytarza, macając drzwi.

Rozpaczliwy strach sparaliżował moje członki. Jasno, całą swoją istotą czułem, że teraz nastąpi coś niepojętego, absurdalnego, niemożliwego. Drżącymi rękami wyjąłem zapalnik, zapaliłem ją i przed rozejrzeniem się niechcący zamknąłem oczy. Ile czasu przestałem w ten

sposób - nie pamiętam, lecz kiedy płomień zbliżył się do palców i ból zaczynającego się oparzenia dał znać, że zaraz znów nastąpi ciemność, spojrzałem i w tej samej chwili zapalka zgasła, tłąc się krzywą iskrą. Lecz mimo krótkości chwili zobaczyłem, że w ścianie na prawo rzeczywiście były drzwi i że stoję w korytarzu. Wówczas otwarłem drzwi, wszedłem i znów zapaliłem światło.

Był to mój pokój; wszystko, zaczynając od mebli, a kończąc na drobiazgach z kominka - było moje; obrazy, firanki, książki, naczynia, podłoga, sufit, tapety, przybory piśmienne - wszystko to było mi bardziej znane niż moja własna twarz. Z ciężkim sercem, niezdolny pojąć cokolwiek, obszedłem wszystkie kąty, każdy przedmiot, który napotykały moje oczy, był mój. Nie znalazłem ani jednej rzeczy zdolnej obalić koszmar potwornego podobieństwa, Byłem u siebie.

Wówczas, chwytając się ostatniej, szalonej w gruncie rzeczy nadziei, posunąłem się do łóżka, odrzuciłem zasłony i ujrzałem śpiącego człowieka. C z ł o w i e k i e m t y m b y ł e m - j a.

Tutaj Birk przerwał, jak gdyby zbierając wspomnienia. Ostatnie słowa skłoniły wielu do porozumienia się wzrokiem. On kontynuował:

- Wszedłem na schody, zszedłem do odźwiernego, obudziłem go i ujrzałem zasną, ogoloną, znajomą twarz. Zapanowawszy nad sobą, poprosiłem go, żeby wszedł do mojego pokoju, obejrzał go i wrócił. Usłuchał z pewnym zdziwieniem; pamiętam, że człapanie jego pantofli sprawiło mi ogromne zadowolenie. Po minucie wrócił i między nami potoczyła się następująca rozmowa:

- Obejrzał pan cały pokój?

- Tak.

- Czy w nim nikogo nie było?

- Zupełnie.

- Obejrzał pan łóżko?

- Tak.

- Kto leżał na tym łóżku?

- O n o b y ł o p u s t e.

- Teraz - powiedziałem - niech pan łaskawie popatrzy na drzwi zewnętrzne.

Ze zdziwieniem jeszcze większym niż poprzednio wyszedł na chodnik. Słyszałem jego krzątanie, nachylał się, oglądał i nagle krzyknął:

- Tutaj byli złodzieje! Drzwi są wyłamane!

I wybuchnął gradem przekleństw.

Ponieważ Birk zamilkł, zwróciłem się do niego z pytaniem.

- Później wrócił pan do siebie?

- Nie - odrzekł przymykając do połowy oczy - nocowałem w hotelu. Zresztą to nie ma znaczenia. Mogłem, oczywiście, powrócić do siebie, lecz odczuwałem potrzebę uspokojenia się.

- A później? - spytał dziennikarz z subtelnym uśmiechem. - Później nic panu się nie zdarzyło?

- Nic - w zamyśleniu powiedział Birk. Był widocznie już znużony i siedział podpierając głowę ręką. Więcej pytań mu nie zadawano, lecz z ogólnego milczenia tchnęło niejasne oczekiwanie. Wreszcie gospodarz rzekł:

- Pańska historia jest rzeczywiście nadzwyczaj interesująca. Wiele w niej gwałtownego napięcia, ekspresji i... i...

- I smutku - powiedziała kobieta, która prosiła o niestraszną opowieść.

P.S. Po zanotowaniu tego opowiadania doszedłem do przekonania, że dama pomyliła się, zakładając w historii Birka element s m u t k u. Człowiek ten był nam wszystkim znany



jako bardzo bogaty posiadacz ziemski, podróżnik i smakosz. To prawda, że nikt go ani razu nie przyłapał na kłamstwie, lecz kto to może zaręczyć, że nie przyszło mu do głowy pragnienie zręcznej i w rzeczywistości niewinnej mistyfikacji? Dziwne również, że mówił o sobie jako o człowieku pozbawionym wyobraźni - moim zdaniem to miejsce w jego opowiadaniu, gdzie roi przed zamkniętymi drzwiami, dowodzi czegoś przeciwnego. Nie mniej podejrzane są jego słowa na samym początku: „Jestem gotów otworzyć wobec was duszę i jeśli mi uwierzycie, sam fakt czegoś niezwykłego, o którym opowiem i który przypuszczalnie interesuje was najbardziej, utraci być może w waszych oczach wszelki urok. Zresztą nie podejmuję się twierdzić czegoś określonego bez dowodów w rękach”. Na jego korzyść przemawia tylko jedno: ani razu nie uśmiechnął się.

*Tadeusz Maliński*

## **SPADEK PO PIK-MIKU**

- Zobaczymy, co napisał ten człowiek! Ten dziwak!
- Mogę się założyć, że tu najwięcej jest cyfr dotyczących przychodu i rozchodu!
- Albo też brudnopisów, listów!
- Albo wierszy do sztambucha!

Takie i podobne wypowiedzi rozlegały się w moim pokoju, gdy my, przyjaciele zmarłego trzy dni temu Pik-Mika, zebraliśmy się przy jasno oświetlonym stole. Wszyscy gorączkowali się z niecierpliwości. W bardzo lakonicznym i nie budzącym żadnych wątpliwości testamentie było napisane jasno: „Ja, niżej podpisany, pozostawiam swoje notatki wszystkim moim dobrym przyjaciołom w celu wspólnego ich odczytania. Jeśli to, co zebrałem w ciągu piętnastu lat mojego życia, przypadnie im do gustu, to każdy z nich powinien uczcić mnie butelką wypitą na własny rachunek, obowiązkowo w obecności mojego psa, pudła Mika!”.

Ten fragment testamentu przypomnieli sobie wszyscy, gdy wyciągnąłem z bocznej kieszeni gruby i związany sznurkiem zeszyt. Na stole jasno płonęły stare lichtarze, zegar wesoło kiwał wahadłem i sześć wcześniej przygotowanych butelek błyszczało matowym złotem pomiędzy serwisem do kawy i apetycznym paszтетem.

Wszyscy zapalili cygara, sadowiąc się, jak komu było najwygodniej. Ja powinienem był czytać. Minęła minuta skupionej ciszy - czas niezbędny by zakaszleć, przygładzić ręką włosy i nadać twarzy surowy wyraz, nie pozwalając na przerywanie i żarty.

Otworzyłem zeszyt i głośno przeczytałem tytuł pierwszego zdarzenia opisanego przez naszego kochanego nieboszczyka. I w tym momencie zamyślona i lekka jak mgła postać Pik-Mika, w długim, szczelnie zapiętym surducie, wyłoniła się z niebytu i usiadła przy stole.

### **Nocna przechadzka**

Dzień jest wstrętny, nie warto o nim mówić; porozmawiajmy lepiej o nocy. Ci wszyscy, którzy wstają wcześniej, ciesząc się ze wschodu słońca, godni są pożałowania i niczego więcej, to głupcy zamieniający prawdziwy czarny diament nocy na wątpliwe złoto dnia. Brak światła przeraża ich; gdy zbudzą się w ciemności, zaraz zapalają świecę w nadziei, że zobaczą coś innego niż w dzień. Coś innego niż ściany, znane umeblowanie, karafkę z wodą i zegar. Można im wybaczyć, jeśli muszą wypić trochę kropli walerianowych. Ale obawa, że nie zobaczą tego, co znają od dawien dawna, jest bezsensowna.

Noc to mglista, błękitna i srebrzysta przepaść. To królestwo niespokojnych dusz! To przestrzeń niepokoju! To niewypłakane łzy o pięknie! Obnażone serca błyszczące wstrętym blaskiem, mętne spojrzenia zabójców, dziwaczne, wspaniałe sny, sylwetki zarysowane ołówkiem mroku; raj wtopiony w błoto orgii, potężny szmat ziemi śpiącej ze zmęczenia; to bezcenne złoża dla uśmiechów, źródło radości płynącej z czystego serca, ponieważ - przysięgam na dobrze wyczyszczone buty - śmiałem się jak należy tylko jeden jedyny raz w życiu - nocą.

Było nas dwóch. Ten, o którym mówi się on, był spokojny, ubrany bardziej elegancko niż nadworny kawaler. Zachowywał milczenie. Zabawiałem go. Nowinki, plotki codzienne, zabawne anegdoty bez przerwy wylatywały mi z ust, wpadając w jego polakierowaną duszę. Niemniej jednak pozostawał niezadowolony. Pragnął pikantnych wrażeń, ekscesów, śmiechu, zadowolenia.

Po przejściu mostu zatrzymaliśmy się naprzeciwko jubilata. Światło elektryczne zatapiało kolorowy grad brylantów, które zastygły jak lód w bezruchu barchanowych i atlasowych futerałów. Długo patrzył na nie, w myślach oceniając każdą sztukę i oblizując się z podekscytowania. Potem cicho powiedział:

- Oczywiście, tu widać sprzedają duszę ludzką. Im większa, tym droższa.

Zacząłem się śmiać, zapewniając, że nic podobnego. Brylanty przywozi się przecież z Afryki, później obrabia, szlifuje i dopiero, potem skupuje. On jednak mówił dalej, niczym duchowny, smutnym i surowym głosem:

- Tak, tak, można przeprowadzić całkowitą paralelę. Mój Boże, gdyby pan wiedział, jak dotkliwie odczuwam wszystko, co mnie otacza. Ale chodźmy dalej, dalej od tego grobowca łez.

Czułem, że dostaję kolki, lecz pohamowałem wybuch śmiechu. To smutne ludzkie zwierzę ciągnęło mnie po trotuarze od witryny do witryny, dopóki nie zatrzymało się przed kratą sklepu spożywczego. Konserwy i wszelkie inne jadalne różności drzemały w pomroce. Cicho burknął:

- Tylko nieco wysiłku, nieco wyobraźni, a ta szyba pokaże nam cuda. Te śledzie i szproty, ściślej ich trupy, czyż nie wskrzeszają oceanu, swojej ojczyzny, podwodnego świata, cudów bajek? A te oto wulgarne cielece nóżki - zieleni łąk, ogorzałych twarzy chłopów, obrazów malarzy holenderskich, na których chce się wycalać krowy, bo tak są żywe i energiczne.

Skurcz wykrzywił moją twarz. Drżąc z hamowanego siłą śmiechu, powiedziałem:

- Tylko nie to! Nie to!

- Tak - potwierdził jak człowiek, który od pierwszego słowa pojmuje myśl rozmówcy - ma pan rację. Nie to! To coś innego, może myśli o śmierci. Może nie spożywczej śmierci, ale we mnie każda resztką żywej istoty wywołuje złożone wrażenie.

Asfalt wyraźnie odbijał szybki odgłos kroków, to szła dziewczyna, zapewne jedna z tych nieszczęśliwych istot. Cała hojnie na ulicach szafowana arogancją świeciła się w jej podmalowanych tuszem oczach. Była jeszcze dość świeża, ponętna i dlatego miała naturalne prawo zaczepić nieznanomych.

- Poczęstuj pan papierosem! - odezwała się małeńka nierządnicą.

Uważnie spojrział na jej twarz i wyjął papierośnicę.

- Oczywiście - zaczął mówić, jakby chowając się za parawanem słów - pani chce nie tylko papierosa. Pani chce, żebym ją zaprosił do restauracji, zamówił kolację, napoje i dał dziesięć rubli. Ale to jest zupełnie niemożliwe. Dlatego, że po pierwsze, boję się zarazić, po drugie, niezbyt mi się tego chce. Jeśli chodzi o papierosa, to proszę, oto papieros fiński, za kopiejkę sztuka. Widzi pani, że rozmawiam grzecznie i w żaden sposób nie podkreślam różnicy naszego położenia. Pani jest prostytutką, prowadzi wstrętne, szkaradne życie i umrze w nędzy, w szpitalu, albo śmiertelnie pobita, albo też zgnije żywcem. Ja zaś jestem członkiem społeczeństwa, mam mądrą, szlachetną, czystą żonę i prowadzę nerwowe, intelektualne życie;

oprócz tego mam zabezpieczony byt. Życie bez kontrastów nie jest ciekawe, ale prostytutka mimo wszystko jest straszna. A więc oto papieros, dziecko moje, proszę spojrzeć, sam pani zapalę. Postąpiłem chyba dobrze.

Ze zdenerwowania umilkł. Dziewczyna szybko poszła dalej, jej kroki wbijały się w ciszę pewnym, twardym dźwiękiem.

- Gardzę panią - powiedział nagle, wypuszczając kłęby dymu. - Nie wiem zbyt dobrze dlaczego, ale wydaje mi się, że w pani jest właśnie coś godnego pogardy. Pani zapewne nie ma tej otchłani i głębi, którą ja posiadam. Jest pani ograniczona, to widać od razu. Jest pani naiwna, dopiero wczoraj targowała się pani z dorożkarzem. Jest pani miłym ludzkim paskudztwem, ja zaś - człowiekiem.

- Cha-cha-cha! - roześmiałem się tak, że podskoczył na dwie stopy w górę. - Chi-chi-chi-chi-chi! Che-che-che-che! Chu-chu-rchu-chu!

- Chu-chu! - odpowiedział mrok.

Płakałem ze śmiechu. Biłem się pięścią w pierś i przywoływałem Boga na świadka mojej radości. Mówiłem do siebie: policzę do dziesięciu i przystanę, ale szaleńczy śmiech potrząsał moim ciałem jak wiatr wierzba.

Powściągliwie wzruszył ramionami i rozgniewał się.

- Niech pan posłucha, to nieprzyzwoicie. Proszę spojrzeć, przechodnie zatrzymują się i pokazują na pana palcami. Ich oczy stają się okrągłe jak orzechy. Chodźmy!

- Kocham pana! - jęczałem pełzając na kolanach. - Proszę pozwolić mi pocałować pańskie nogi. Słońce ty moje!

Nie słuchał. Z pogardą odrzucił moją miłość tak, jak odrzuciłby nienawiść. Był majestatyczny. Cudowny. Patrzył w oczy mroku, przywołując wschód, żalostną strugę mętnego światła, zabójcy nocy.

Wówczas zabiłem go szerokim, katalońskim nożem. On jednak zmartwychwstał, zanim wyszła krew na ostrzu i wyniośle spytał:

- Czym mogę panu służyć?

Ze zdziwieniem zacząłem go dusić, ściskając palcami napięte kołnierzyki, a on cicho i grzecznie uśmiechał się. Wówczas wpadłem w szal.

- Zgiń, do diabła z tobą! - krzyknąłem. - Brylanty! Cielece nóżki! Cho-cho-cho-cho-cho!

Przewrócił się trzy razy i nagle rozpląnął się w szerokim, chłodnym uśmiechu, który drżał w powietrzu czarnym jak Murzyn. Po chwili pojaśniał, dotknął dachów i kopuł cerkwi różowiejącym kącikiem ust, opadł bladą głę i połknął miasto.

## Intermedium

Jestem człowiekiem leniwym; żeby rozruszać się i napisać cokolwiek, muszę usłyszeć prawdziwe zdarzenie. Każdy rozumie to słowo po swojemu; ja zaś przedkładam nad wszystko inne to, co mi się podoba. Z tego, według mnie jedynie słusznego, punktu widzenia dobry obiad to zdarzenie. Podobnie mogę nazwać zdarzeniem spotkanie z człowiekiem ubranym od stóp do głów na czerwono. Byłoby to coś nowego, miłego, a więc ciekawego.

Pewnego jesiennego wieczoru wyszedłem na skrzyżowanie dwóch słabo oświetlonych, brudnych ulic, przy których mieszkali robotnicy i rzezimieszki. Nie wiedziałem, po co i dokąd idę - chciałem po prostu iść. Drzewa suchotniczego bulwaru sennie czerniały przy latarniach. Słabe światło okien pstrzyło ciemność; puste chodniki były podobne do zapuszczonych dróg. Wilgotne powietrze chłodziło policzki, w zaułkach i pod okapami bram snuły się bezszelestnie jakieś postacie. W oddali ponad dworcem kolejowym jaśniała białym płomieniem elektryczna kula; samotne oko ćmy, martwe światło wymyślone przez człowieka.

Nic nie naruszało smutku i odrętwienia nocy; mieszkańcy dzielnicy siedzieli za przegni-

łymi ścianami - samotność włóczęgów była dla nich żywiołem, ale szanowali ludzi posiadających własne łóżka. Szedłem, paląc i pomrukując. Było mi dobrze; dzień - poezja wymoczków - zmarła na zachodzie o siódmej wieczorem. Pochowałem go i wyprawiłem mu stypę przechadzki i lekkomyślnością. Nocy - królewski spadku dnia, stutysięczna pończocha kutwy zmarłego z głodu, kocham twoje czarne ubranie dżentelmena i pogardzam rynkową pstrokacizną.

Wy, którzy mnie znacie, wybaczcie tę maleńką, mimowolną dygresję. Kroczyłem pięć minut po chodniku i wyszedłem na skrzyżowanie, przy którym stała w bezruchu kobieta, trzymając w rękach wielki, czarny przedmiot. Spojrzałem na nią i ruszyłem dalej. Obejrzałem się. Stała nadal. Zatrzymałem się więc, wyjąłem cygaro, nie śpiesząc się zapaliłem, oparłem się o pobliską ścianę i przez dwie czy trzy minuty wypuszczałem dym jak z komina. Stała nadal.

Założyłem się sam ze sobą, że nie odejdę, dopóki nie ruszy się z miejsca. Siąpił deszcz, wiatr hulał po ulicy. Ona zaś cierpliwie i w milczeniu stała nadal. Obok niej czerniała pusta ławka, ale nie usiadła. Wówczas rzuciłem cygaro i zbliżyłem się do tej dziwaczki ubranej w znoszoną suknię, z jej brudnego pomiętego kapelusza ściekała woda. Dostrzegłem bladą, wyraźną twarz i oczy pełne przerażenia. Wolną ręką zrobiła ruch, jak gdyby chciała mnie odepchnąć. Obmyśliłem pierwsze pytanie i przystąpiłem do rzeczy.

- Pani - zagadnąłem - czy może mi pani powiedzieć, jak dojść do Nowego Rynku? Niedawno przyjechałem i nie mam zielonego pojęcia o planie miasta.

Drżąc i jękając się powiedziała:

- Na lewo... potem... prosto... potem...

- Dobrze, dziękuję pani. Co za deszcz!

- Tak... deszcz.

- No cóż - powiedziałem tracąc cierpliwość - a czy kochana pani też nie zabłądziła?

W odpowiedzi mogłem oczekiwać wszystkiego, byłem już zawczasu przygotowany na jakąś arogancję. Miała pełne prawo posłać mnie do diabła i zażądać, żebym zostawił ją w spokoju. Ale ona milczała. Jej twarz zmieniła się nie do poznania, wargi trzęsły się, zimny, smutny strach płonął w jej oczach skierowanych ku mnie z tępą pokorą zwierzęcia oczekującego na cios.

Nieprzyjemne uczucie przeszło mnie od stóp do głów. Traciłem panowanie i sam zacząłem drżeć. Nagle powiedziała:

- Sprzedaję koguta.

Nie zwracając uwagi na dziwną propozycję spytałem odruchowo:

- Koguta? A gdzie on?

Kobieta podniosła rękę. Miała rzeczywiście związanego i zwiniętego w siatce koguta. Dotknąłem go ręką, ciepło ptaka całkowicie rozwiało moje wątpliwości. Był to prawdziwy kogut.

Zaskoczony i zdetonowany gubiłem się w domysłach i starałem się uśmiechnąć. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zdawało się, że zakpiono ze mnie. Myślałem, że śnię. Gotów byłem poświęcić się, zakląć i kupić tego koguta. Przez moment chciałem także przeprosić kobietę i odejść.

Nagle całkiem jasna i bezsporna wymowa sytuacji postawiła mnie na równe nogi. Zobaczmy, rola diabła nic jest gorsza od innych. Ta kobieta sprzedaje koguta - kupię go drożej.

Oświadczyłem tedy:

- Kogut mi się podoba. Daję pani za niego dziesięć rubli.

- Nie - powiedziała przestraszona kobieta. - Jeden rubel.

- Może pani weźmie sto? Sto nowiuteńkich, ciężkich rubli, proszę dobrze się zastanowić. Wynajmie pani czysty, przytulny pokój, kupi krzesła, doniczki z pachnącym groszkiem,

komodę, nową suknię dla siebie i ubranie wyjściowe dla męża. Potem znajdzie pani pracę. Wszystko pani będzie miała i nie trzeba będzie odkładać z pensji na urządzenie gospodarstwa domowego. Oprócz tego w najbliższą niedzielę pójdzie pani do teatru, posłucha muzyki i zobaczy różne śmieszne, wzruszające rzeczy. Czy to źle?

- Nie - krzyknęła - za nic w świecie! Jeden rubel.

- Proszę wybaczyć - ciągnąłem - możemy dojść do ładu inaczej. Dam pani tysiąc rubli.

Westchnęła i przecząco kiwnęła głową. Jakież to szalone obrazy kotłowały się w jej głowie? Wyglądała strasznie i żałośnie zarazem, wielkie krople potu ściekały po jej policzkach; widziała - pozostając we władzy ogarniających ją przywidzeń - tylko jedno - zagadkową srebrną monetę i walczyła dalej, kołyszając się z osłabienia. Podbijałem cenę jak hazardzista, sypałem tysiącami.

- Czy chce pani dwadzieścia tysięcy?

- Nie.

- Trzydzieści?

- Nie.

- Popelnia pani błąd, rezygnując ze szczęścia. Może pani mieć murowaną, dwupiętrową willę, obrazy, drogie kwiaty, parkiet, fortepian z najlepszej wytwórni, własny powóz, konie...

- Nie.

- Dam tyle, ile pani zechce. Będzie mogła pani pić wino droższe od złota; ziemia stanie się rajem, najlepsze i najdroższe dania będą czekały na pani wybór, kaprys pani stanie się prawem, życzenie rzeczywistością, słowo potęgą. Lodowce, wulkany, tropikalne wyspy, lody polarne, średniowieczne miasta, ruiny Grecji - czyż nie są dla pani warte złamanego grosza? Będzie miała pani pałace, czy słyszy pani, ofiaro pluskiew i głodu? Pałace! Najprawdziwsze pałace. Będzie mogła pani je urządzić, jak tylko zechce.

Ona jednak uporczywie przecząco kiwała głową i chrapliwie, niemal tracąc oddech ze zdenerwowania, powtarzała jak wariatka:

- Rubel. Tylko rubel.

- No cóż - powiedziałem ironicznie i beztrąsko - umyвам ręce. Jeśli upiera się pani przy jednym rublu, to proszę... Ale koguta niech pani zatrzyma, ja go nie wezmę. Jest stary i oczywiście twardy jak podeszwa. Proszę usmażyć go i zjeść za moje zdrowie.

Wyciągnąłem z kieszeni kamizelki pięć monet dwudziestokopiejkowych. Wtem odskokczyła, całkowicie zaszokowana i załamana. Bezbronna zwyciężczyni prosząco patrzyła na mnie - chciała tylko rubla.

- A co to? - spytałem. - Oto rubel.

- O nie - jęknęła. - Nie, panie, nie tak. Chcę srebrnego rubla, nie rozmiennego.

- Nie mam takiego - zaprzeczyłem - proszę brać, co daję. Żałuję, ze szczerego serca żałuję, że nie jestem diabłem. Moje nazwisko - Pik-Mik. Czy zrozumiała pani? Żegnam. Jeśli znajdzie się pani w sytuacji bez wyjścia, to proszę kupić sobie pęk starych kluczy i działać. Albo może chce pani uczciwie umrzeć z głodu? To pani sprawa. Proszę spojrzeć na koguta. Patrzy na panią z głęboką rozpaczą. Czyż nie dla pani pieje trzy razy w nocy i ostatnio raz o świecie? Proszę tylko pomyśleć, jak słodko śpią o świecie ci, co pilnują swojego dobytku.

Ukloniłem się i odszedłem. W domu długo nie mogłem zasnąć, jakieś koszmarnie poczwary kręciły się niespokojnie wokół łóżka; bicie zegara głucho rozlegało się w pustych pokojach, leżąc plackiem budziłem się i pogrążałem w niepamięć, a noc uporczywie nie chciała przynieść mi ukojenia.

Okno do sypialni było otwarte. Arogancki, na poły ludzki głos wyrwał mnie z łóżka; przecierając ociężałe powieki, zbliżyłem się do okna. Brudna biel mgły spowijała szare zarysy dachów - ledwie świtało. Jesienna krew słońca rozplywała się na horyzoncie, przenikliwie zimno odświeżało płuca. Ponowny krzyk, jakby przeziębionego człowieka. wzbił się ponad miastem; to na pobliskiej fermie ćwiczyły koguty, przeszkadzając sobie wzajemnie; w

ich pianiach wyczuwało się ciepło kurnika i niepojęty, senny niepokój. Samotne, zgarbione postacie przechodziły ulicą, śmigały wzdłuż ścian i znikwały.

Przeglądając rankiem gazetę, znalazłem w kronice kilka doniesień o kradzieży. Moja przypadkowa, nocna przyjaciółko, czy nie brałaś w tym udziału? Jeśli tak, to na pewno nie pomyliłaś się - byłem diabłem przez godzinę, bowiem czyż jest jakakolwiek pewność, że my wszyscy nie jesteśmy diablętami, my, którzy konsekwentnie zmierzamy do logicznych wniosków.

## Diabelskie góry

- Bardzo lubię mocne wrażenia - oświadczył mi pod sztuczną palmą kawiarni lunaparku pewien szpakowaty mężczyzna. Często przy tym gestykulował. Nigdy nie spotkałem człowieka o tak bogatej gestykulacji. Jego ręce, palce, ramiona, brwi i nawet uszy poruszały się przy każdym słowie. Zanim cokolwiek powiedział, już przedstawił całą scenę mimiką, wymownie pobłyskując zapadłymi oczami.

Byłem bardzo niezadowolony z jego towarzystwa. Nerwowi ludzie zabrali mi pół życia. Przysiadł się jednak sam i ani myślał pożegnać się i odejść.

W tym czasie, to znaczy gdy rozmyślałem o sensie istnienia szpakowatego mężczyzny, zagrała muzyka. Wojskowy, krwiożerczy marsz zrobił ze mnie na dziesięć minut porucznika fantastycznego pułku, spacerującego alejami ogrodu w kolorowych kapeluszach, smokingach i mundurach. Mój nowy znajomy bębnił palcami po stole. Powiedziałem:

- Jeśli pan wsiądzie do tego oto wagonika, który na wysokości sześciu pięt oszałamiająco pobrzmiwa szynami, to dozna pan głębokich wrażeń, które może pan nazwać mocnymi.

- Być może - zgodził się. - Czy razem z panem?

- Wszystko jedno.

- Byłem oficerem, nieraz igrałem ze śmiercią - zauważył, śmiejąc się z zadowolenia.

- To świetnie - dodałem.

- Oprócz tego trzy razy tonąłem.

- Zupełnie nieźle.

- Byłem ranny w czasie działań wojennych.

- Cudownie!

Nic więcej nie powiedział. Zrozumiałem jednak, że ten człowiek lubi tonąć, być ranny i nadstawiać dla zabawy pierś pod kule. Właśnie te oryginalne skłonności stały się przyczyną śmierci szpakowatego mężczyzny.

Zbliżyliśmy się do kasy. Nad naszymi głowami w świetle elektrycznych księżyców, w strasznie stromych wąwozach z betonu i metalu migotały, wijąc się i opadając, wagoniki wypełnione ludźmi. Zwarty, przeciągły pisk kobiet przypominał przedśmiertny kwik tonących koni i wypełniał ogród.

- Kobiety są tchórzliwe - pouczająco zauważył szpakowaty człowiek.

Wsiedliśmy. Zaczął palić, nerwowo szczypiąc bródkę - oglądał się i wzdychał. Za moimi plecami zachichotała i pisnęła jakaś dama.

Ruszyliśmy początkowo wolno, potem szybciej, a po kilku sekundach trzy czy cztery zerwane przez wiatr kapelusze frunęły obok mnie i zginęły w głębi grotu.

Znaleźliśmy się w ciemności, potem wagonik po wyjściu z oświetlonego zakrętu zrobił raptowny skok i błyskawicznie poleciał w dół. Zimne ciarki na plecach i utrata oddechu wstrząsnęły mną przez kilka sekund, gdy opadaliśmy; później po takiej samej stromiznie jak ptak wzlecieliśmy na szczyt góry; westchnąłem ciężko, zamarłem i ponownie jak kamień poleciałem w mrok, trzymając się rękami za siedzenie. Ta nieprzyjemna zabawa powtórzyła się dwa razy, po czym wagonik odjechał powoli na skraj urwiska, skąd stoczył się z szybkością kuli, wywołując we mnie te same zbędne, bolesne wrażenie bezsilności i niepewności - czy

wyrzuci mnie, czy też wytrzymam do końca i wstanę pijany od zawrotów głowy.

Odwrociłem głowę i spojrzałem na szpakowatego mężczyznę. Jego szeroko rozwarte oczy zatrzymały się na mnie z wyrazem zdziwienia, tak charakterystycznego dla człowieka, który nagłe otrzymał cios.

- Zaraz umrę - powiedział ochryple - serce...
- Wada?
- Tak.
- Ile już lat?
- Cztery.
- A testament.
- Nie mam testamentu - krzyknął gniewnie - mam króliki.

Czując litość krzyknąłem:

- Zatrzymać.

W hałasie betonowego tunelu konduktor nie mógł nic usłyszeć. Mój współtowarzysz powiedział:

- Nieco lżej, ale na wszelki wypadek...
- Oczywiście.
- Oto mój adres.

Wziąłem wizytówkę. Złapał się za pierś i zaczął wykrzykiwać przestraszonym głosem:

- Hoduję króliki.
- Takie puszyste zwierzaczki - burknąłem.
- Kalifornijskie króliki należy przenieść do innej fermi.
- Tak, słucham.
- Króliki angielskie...
- Zapamiętałem.
- Króliki wiedeńskie...
- Jasne.
- Tych nie sprzedawać - jęknął zginając się.
- Przekażę - powiedziałem wyraźnie.
- Króliki rasy angielskiej należy karmić mieszanką.
- Dobrze.
- Węgierskiej - kaczanami, po pięć sztuk.
- Doskonale.
- Nie, nie umrę - powiedział sapiąc i ponownie poleciliśmy w mrok. - Nie, umrę.

Milczeliśmy przez pięć sekund. Wagonik wzbił się na szczyt diabelskiej konstrukcji, a potem, niemal odrywając się od szyn, runęliśmy ku migocącym w dole światłom ogrodu.

- Umieram! - krzyknął szpakowaty człowiek. - Proszę powiedzieć zarządcy... to moje ostatnie słowo... żeby moich królików... nie ważył się jeść!

Uniósł rękę, brwi, pokiwał głową i zwałił się u moich nóg.

Jeszcze przez kilka sekund trwała szaleńcza zabawa wagonika; ogniste króliki skakały w moich oczach i w końcu wszystko urwało się.

Wstałem chwiejąc się na nogach. Wokół martwego ciała zebrał się tłum i gwar nocnych uciech przemienił się w pogrzebową ciszę. Ja zaś szedłem, rozmyślając o królikach.

Skończyło się wspaniałe, wypełnione treścią życie, a razem z nim skończyła się pomyślność tych... jakże im tam., angielskich... czy...

## Zdarzenie

Lubię brud knajp, spocone twarze pijaków, pęknięte talerze z zepsutymi kanapkami, bulgotanie alkoholu, gorszący pisk sprzedajnych dziewczek, niezaspokojone żądze i łaknący zo-

ładek, tłum przy bufecie, zdarty gramofon i mętne światło gazowe. Często powracając z urzędu - ja, elegancko ubrany pan z portfelem pod pachą - zaglądam do jakiejś meliny ryczącej pijackimi glosami i wypijani wódkę za dziesięć kopiejek z grubego, graniastego kieliszka, zabrudzonego chłopskimi paluchami.

Jestem miłośnikiem kontrastów. Brudna ludzka pstrokacizna wywołuje we mnie autentyczny zachwyt, prawdziwa natura człowieka staje się tu bardziej widoczna aniżeli tam, gdzie przyzwyczajenie nie pozwala na mlaskanie przy obiedzie i daje prawo nazywać człowieka kulturalnym. Nasze nudne społeczeństwo, tak starannie ukrywające przed samym sobą nagą prawdę, mogłoby się wielu nauczyć od naiwnego cynizmu sprzedajnych kobiet i rzeźmieszków. W oddalonym od moralnego kodeksu i wszelkich innych przyzwoitości środowisku czuć powiew elementarnej, zwierzęcej prawdy: jeść, pić, kochać - to kanon nie do obalenia, ale dla niektórych wielkich, czerwonołętych panów ciągle potrzeba dowodów, dlatego że już spili się, objedli i wykochali.

Tydzień temu o dwunastej w nocy wracałem do domu. Puste ulice dyszały jesiennym chłodem, noc skapo błyszczała punktami latarni - było mi smutno na duszy. Rozmyślałem o sobie. Dochodziłem do wniosku, że życie moje składa się nie ze zdarzeń, lecz z dni. Nie było bowiem wstrząsających, szczęśliwych, strasznych czy wesołych zdarzeń. Gdybym porównał moje życie ze stołem, na którym jadam obiady, to na nim nigdy nie pojawiły się kwiaty, nigdy nie spłonął obrus, nie tłukły się naczynia i nie wysypywała się sól. Nie było niczego. A dni jest przecież wiele: liczba 365 pomnożona przez 40.

W swoich własnych oczach byłem śmieszny i wewnętrznie rozdygotany. Moja twarz przybrała zgorzkniały wyraz. Mówiono mi, że jestem ponury. Pięć lat temu zbierałem znaczki pocztowe; wszystkie ich unikalne egzemplarze zdobyłem wyjątkowo łatwo, poza jednym - Gujaną z 1879 roku. Fotografia tego znaczka, którą widziałem w jednym ze specjalistycznych czasopism, była fantastyczna, wspaniała, ale wszystkie moje poszukiwania nie przekształciły się w z d a r z e n i e. Znaczka nie odnalazłem i spaliłem album. Potem z biegiem czasu zainteresowałem się ptakami. Jednak nie mogłem zdobyć sikorki, o której marzyłem; I na kupno tego ptaszka, śpiewającego przez czterdzieści sekund, nie pozwolił mi brak pieniędzy. Podaję to jako przykład pogoni za z d a r z e n i e m. Smutny widok wywołuje człowiek podobny do wózka postawionego na szynach.

Kto wymyślił określenie: „jak pączek w maśle” dla ideału spokojnej wegetacji? Jego autorem była zapewne kompletnie nieszczęśliwa istota, jakiś kucharz czy cukiernik.

Przechodziłem obok oświetlonych okien knajp. Był tam alkohol zdolny przemienić smutek zwykły w smutek słodki i nawet (to właściwość ludzka) w smutne samozadowolenie. Zapewne pijany kaleka z radością poznaje wówczas swe indywidualne właściwości. Tam, gdzie geniusz powiada: „Jestem geniuszem”, kaleka z godnością oświadcza: „Jam kaleka”. Alkohol do pewnego stopnia zrównuje ludzi; człowiek pachnący wódką jest szczęśliwy przede wszystkim z powodu zwielokrotnionego poczucia samego siebie. Spragniona ręka w najwyższym stopniu upojenia alkoholowego nie dosięga do sufitu szczęścia tylko o jeden centymetr.

A więc zaszedłem tam i ognisty płyn wypełnił mój żołądek. Było jasno i gwarnie; orkiestrion grał cudowną arię Traviaty, przypominającą łagodny pocałunek kobiety albo pejzaż, z którym jesteście związani poprzez odległe, wzruszające wspomnienia. Do mojego stolika przysiadł się nieco bardziej pijany ode mnie marynarz i poprosił o ogień. Niedbale wyciągnąłem doń wypielęgnowaną rękę z zapaloną zapałką. Czknął, z szumem wypuścił powietrze i rzekł:

- T-tak...

- Tak - powtórzyłem. - Tak, przyjacielu, tak.

Jakaś natrętna myśl nie dawała mu spokoju. Człowiek, który powiedział sam do siebie „tak”, jest przeciążony kołującymi myślami; to postękiwanie wypełnionej duszy. Milczałem;



on wyszczerzył zęby w uśmiechu i zaczął powtarzać:

- T-tak. T-tak.

Później wyjaśniło się, że człowiek ten rozwalił żelazkiem głowę swojej żony. Co za dziwny sposób wyrażania małżeńskich uczuć. Jednak zaiste była to subtelność, ponieważ cały szereg poplątanych fraz tego pana z fotograficzną dokładnością pozwolił mi na stworzenie jego portretu. Był marsem (zoologia zaświadcza, że mors w szale uczuć uderza kłami samicę po głowie) i „jak mors” traktował swoją żonę. W czasie rozmowy pił wstrętną mieszaninę angielskiej gorzkiej z lemoniadą. Znowu powiedział:

- T-tak.

- Nie, przeczyłem, mimo że traciłem cierpliwość. W końcu zaczął wywnętrzać się.

- Wie pan – zacharczał - ja nie to... t-tak... Jest, musi pan wiedzieć, ruda. Kocham ją bardziej niż „Mrówkę”, chociaż klnę się na wuja diabła, gdyby widział pan „Mrówkę” w halsie... co za piękność, piękniejsza niż okręt wojenny. Siedziałem sobie więc... i ona też siedziała... tego... a w duszy mojej wszystko wrze. Taka, proszę pana, jest miła, że aż chce się ją rozduścić. Powiada do mnie: „Coś ty”. „Kocham ciebie - mówię - i dlatego ryczę”. „Daj spokój - powiada - kochany mój – powiada - tego... najdroższy mój”. Po tych słowach nie wiedziałem, co robię. Słów takich... tego... takich potrzebnych brak mi... rozumie pan? A serce wyrywa się... jak pełna beczka pochlipuje. Siedziałem, siedziałem... łyzy... tego... oboje. Taki ogarnął mnie smutek, że nie wiem, co robić. Żelazko leżało na stole. Wpadłem w szal. Uderzyłem ją. Ona woła: „Tyś zwariował?” Krew i temu podobne. Tego... widzi pan, nie byłem pijany, to znaczy nic a nic. Tak.

Oczywiście liny i kotwice oduczyły „morsa” wyrażaniu swoich uczuć w sposób bardziej delikatny. Szukał dla nich ujścia, człowiek ogarnięty płomieniem namiętności nie zawsze szuka drzwi, przypomina sobie też o oknach. Mimo wszystko poczułem do „morsa” szacunek przemieszany z zawiścią. Miłość przypominająca nowelę i żelazko - toć to zdarzenie.

- Tak - powiedziałem bębniąc palcami po stole. - Co to takiego ruchomy takielunek?

Ku mojemu zdziwieniu mój rozmówca dokładnie i ochoczo, już nic dukając jak pięć minut przedtem, wyjaśnił mi, że to całe olinowanie statku. Był świadom w tym p r z e d m i o c i e. Słowo „tego” znikło. Potem stracił przytomność i upadł na stół. Ja zaś udałem się do domu, lecz przechodząc obok bufetu, przypomniałem sobie, że trzeba wziąć ze sobą butelkę.

W czasie gdy chwiałem się przed bufetem, szkarłatna głowa bufetowego nabrała kolosalnych rozmiarów. Z zaciekawieniem obserwowałem powiększanie się jego głowy, która spuchła, zgrubiała i po chwili powinna była odlecieć, hen, nie wytrzymując własnego ciężaru. Bufetowy zawinał butelkę w kawałek gazety i podał mi.

- Przyjacielu - powiedziałem - niech pan pilnuje swojej głowy. Jeśli spadnie, to będzie takie zdarzenie, wobec którego zblednie nawet to, co usłyszałem dzisiaj i klnę się na pańskiego ojca, że jeszcze nie znałem bardziej zabawnej historii.

## Wieczór

Nie mam na co się uskarżać. Jestem zdrowy, mam wspaniały wzrok i bardziej żyję w wymyślanym świecie niż w rzeczywistości.

Jednak każdego wieczoru, gdy złoto i karmin zachodu przykrywa popiół szarej godziny, doświadczam niezmiennie okrutnego naruszania strachu. Zapewne wszystko wokół mnie jest pogrążone w spokoju; rytmicznie postukują koła życia i sam ten stukot staje się niezauważalny jak ruch wskazówek zegara. Ziemia jest nieruchoma. Prawa dni i nocy są trwałe. A jednak boję się.

Wczoraj jak zwykle usiadłem przy stole do pisania. Miałem wykonać trudne podliczenia sprawozdawcze pewnej instytucji handlowej. Ale moje myśli zamiast wśród cyfr krążyły

wokół zupełnie mi obcych wyobrażeń; ściślej, wyobrażenia te istniały jak gdyby niezależnie ode mnie. Widziałem czarną, szybko uciekającą wodę, czerwone latarki, okręt wojenny, część błota oświetloną reflektorem. Srebrzyste ostrza turzycy rzucały na wodę czarną linię cieni, nieruchoma, jak gdyby z brązu odlana żaba wytrzeszczała krótkowzroczne oczy. Potem biegła jakaś dziwna, włochata istota, wzbijając kurz - dość dobrze widziałem jej bosc nogi. Powoli wszystko mieszało się, delikatne odcienie kwiatów zapełniły tę wyszukaną łąkę, rozległa się żwawa melodia hinduskiego marsza. Bezwiednym ruchom wpisałem do rubryki jakąś cyfrę i zatrzymałem się, obserwując błotniste, żółte skrzydła. Migotały dość długo. Po wyrzuceniu ich z głowy zagłębiłem się w fotelu i zacząłem palić.

Myślałem, że ten bulwersujący stan, jako naturalna reakcja mózgu na suchą buchalterię, już minął, gdy nagło małe kółko dymu wydłużyło się na poziomicy moich oczu i stało się ludzkim profilem. Były to delikatne rysy dobrze wychowanej, młodej dziewczyny, ale w jej chytrze zaciśniętych wargach i ukośnym spojrzeniu czaiło się coś wstrętnego, czego nie można było objaśnić. Dym rozwiął się, a ja zrozumiałem, że nie jestem w stanie zabrać się do roboty. Sama myśl o tym wydała mi się obrzydliwa. Widok stołu do pisania wywoływał wstręt. Znikły myśli. Wszystkie rzeczy stały się obce i niepotrzebne, jak gdyby przyniesiono je tu wbrew mojej woli. Było mi ciasno - odczuwałem niemal fizyczną niezręczność z powodu bliskości ścian, mebli i różnych znanych mi od dawna przedmiotów... Nie chciałem niczego, a równocześnie uciążliwy stan bezruchu rozrastał się w głuchy niepokój i zniecierpliwienie.

Muszę jeszcze raz przypomnieć, że mój mózg przestał logicznie pracować. Myśl znikła. Byłem czującą siebie materią. Pokój i wszystkie znajdujące się przed moimi oczami przedmioty omiatałem wzrokiem jak lustro, czyli tępo i niewyraźnie. Przestałem być centrum, uczucie psychologicznej stabilności równomiernie rozdzieliło się na wszystko oprócz mnie. Rozpływałem się w smutnej pustce prostracji i byłem zależny od najdrobniejszych emocji. Potrzeba poruszania się była moim pierwszym, chociaż dość mgliście uświadomionym odruchem; wstałem, bezwiednie pottrzymałem w ręku książkę i odłożyłem ją na poprzednie miejsce.

To oczywiście nie zadawało mi, bo już w następnej chwili zabrałem się do oglądania rysunków tapet, z uwagą wpatrując się w białe i malinowe płatki fantastycznych wianków. Potem wyjąłem z lichtarza ogarek stearynowej świecy i zacząłem go świdrować nożem do ostrzenia ołówków, docierając do knotu. Miękki chrzęst stearyny był dla mnie pewną przyjemnością. Po chwili narysowałem ołówkiem kilka esów-floresów, przekreślając je krzywymi, równomiernie zmniejszającymi się liniami, w końcu położyłem ołówek, obejrzałem się i nagle silny, bezwiedny niepokój uczynił mnie lekkim jak gumowa piłka.

Zrobiłem po pokoju kilka kroków, zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać. Wokół zaległa martwa cisza. Przez szczelnie zamknięte okna nie przedostawał się z ulicy żaden dźwięk. Cisza była niepotrzebna, podobnie jak wówczas nie był mi potrzebny gwar ulicy, pieśń, dźwięk muzyki. Niepotrzebny był mi także pokój, łóżko, karafka, lampa, krzesło, popielniczka i firanki. Nie odczuwałem żadnej potrzeby prócz nudnej i bezcelowej chęci poruszania się.

W tym czasie nie odczuwałem jeszcze żadnego strachu. Pojawił się w chwili pierwszego uderzenia pulsu myśli, jej rozkwitu. Nie mogłem dokładnie ustalić tej chwili, pamiętam tylko nagle zrodzoną świadomość absolutnego braku potrzeby wszystkiego. Traciłem jak gdyby wszelką zdolność asocjacji. Wszystko, włącznie z porzuconym niedopałkiem, istniało samodzielnie, bez żadnego związku ze mną. Byłem sam, nikomu niepotrzebny i to „wszystko” było mi obce. Znajdowałem się w absolutnej, chłodnej pustynie samotności, nie istniałem, byłem cieniem samego siebie, ponieważ nawet moje „ja” było potrzebne mi nie bardziej niż zeszłoroczny śnieg.

Za chwilę dotkliwe uczucie samotności i strachu zwały się w dziwną pustkę. Rozpuściłem się w nich bez wyrzutu i żalu, ponieważ nie było czego żałować i nikogo, komu mógł-

bym złożyć skargę. Tak będzie każdego wieczoru i tak być powinno.

- Walczę - powiedziałem, drżąc z obrzydliwego strachu, ale niech będzie po twojemu. Przyroda nie znosi pustki, a ja nie mam niczego lepszego jej do zaoferowania. Jesteśmy skwitowani.

I ciemna woda strachu zamknęła się nad moją głową.

## Arwentur

Był to okres, gdy w człowieku zaczyna przekwitać serce i snuje się po ziemi pełen smętnych przywidzeń, muzyki nieszczęścia i strachu. Ten dzień da się zapamiętać bez trudu, bo w pamięci mojej nie znajduję dni straszniejszych i wspanialszych niż ten długi dzień smutku.

Pył, zaduch i upał panowały na ulicach. Daremnie przechodziłem z bulwaru na bulwar w poszukiwaniu cienia; prześladowały mnie muchy, powietrze pęczniało od huku jadących powozów. Piwo nagrzewało się szybciej niż je wypijano, wszystko było wstrętne. Gryzła nuda, ulice wywoływały ziewanie, ludzie - apatię. Siedząc na zakurzonej ławce, obojętnie odprowadzałem wzrokiem mechaniczne postacie. Przygniatająca jednostajność twarzy, ubrań i gestów działała odpychająco. Myśli skakały jak chłopcy bawiący się w przeskakowanie przez siebie. I nagle dźwięcznym, dalekim odgłosem wybuchło to fatalne, prześladowające mnie słowo:

- Arwentur.

Powtórzyłem je, rozdzielając sylaby:

- Ar-wen-tur. Ar-wen-tur.

Słowo to jakby zatrzymało się we mnie, wpiło w mózg i przykuło uwagę. Dźwięczało przyjemnie i nieco tajemniczo, słysząc było w nim spokojną obietnicę. Arwentur - to tak, jak gdyby ktoś spojrział na was błękitnymi, łaskawymi oczami.

Kilka razy powtórzyłem, poruszając bezdźwięcznymi wargami, te osiem liter. W ich dźwięku było smutne wezwanie, uroczyste przypomnienie, siła i subtelność, bezgraniczne pocieszenie oddzielone przepaścią. Nie byłem jednak w stanie zrozumieć, co znaczy i męczyłem się porażony niemożnością. Arwentur! Nie mogło być nazwiskiem człowieka. Odrzuciłem tę myśl z oburzeniem. Ale co to takiego? I skąd?

Fale straszego napięcia podnosiły się i opadały jak ranni żołnierze. Nie było niczego. Korowód ponurych zjaw zbliżał się i oddalał pełen niejasnych konturów rozplywających się we mgle. Arwentur! To słowo wołało mnie. Istniało poza myślą jak coś żywego. A ja daremnie starałem się ogarnąć jego sens. W samym dźwięku było coś, co nic pozwalało wątpić w jego istnienie. Arwentur!

Zrobiłem kilka kroków po bulwarze. Może to nazwa jakiegoś zakątka czy wsi, którą wcześniej znałem? W moim kraju nie ma takich nazw. Może wyczytałem je w jakichś książkach. Ale dlaczego wówczas po przeczytaniu nie wywołało takiego głębokiego i subtelного smutku? Arwentur!

Byłem zdenerwowany i w napięciu powtarzałem je w kółko. Jaka odległa i pełna radość tchnęła zeń! Przed oczyma roztaczały się obce kraje. Smagli, uśmiechnięci ludzie przewijali się w mojej wyobraźni, pokazując rękoma na horyzont zakreślony pasmem gór.

- Arwentur - mówili. - Tam jest Arwentur.

Wyszedłem na nadbrzeże roztargniony i przygnębiony. Spotkałem wielu znajomych, stroiliśmy uprzejme miny, wzdychaliśmy z ulgą i rozchodziliśmy się. Arwentur! - dźwięczało jak wspomnienie odległej miłości. Wczepiła się weń przeszłość wywołana falą smutku. Ale w przeszłości nie było nic, co nie można było wyrazić jasnym ludzkim językiem. Czułem się jak śmiertelnie zagrożony człowiek. Jak mogłem przez całe lata w najtajniejszych pokładach duszy przechowywać to nieodparte słowo radości i być mu obcym? Kaczka na łąbodziu jaju

mogłaby wyrazić mi współczucie. Arwentur!

Wieczorem na kolacji u znajomych uśmiechałem się i mówiłem bezwiednie, że jestem przeziębiony. Jadłem, gardząc sobą. Piłem, w myślach wymierzając sobie policzki. Trzech ludzi dyskutowało o nowych podatkach. Trzech innych, pochylonych ku sobie, szeptało jakieś dwuznaczności, prychając sobie w nos. Miła dama z wąsikami starała się niezauważalnie wytrzeć łokieć mokry od tłuszczu. Do mnie zwrócił się sąsiad z głową podobną do rzodkwi:

- Czy słyszał pan, jak wspaniale obroniłem interesy jednostki? Na ten temat mam już prawie gotowy artykuł, zamierzam wysłać go do „Czasopisma Handlowo-Przemysłowego”. System podatków prowadzi do rozpusty i awanturnictwa.

- Arwentur! - powiedziałem, po raz pierwszy czując, że wino jest mocne.

Minęła chwila milczenia. Uważnie patrzyliśmy sobie w oczy. Wahał się. Udał, że nic nie rozumie. Ponownie zaczął swoją idiotyczną piosenką.

- Kultura, dobrobyt, zmiana kursu, protekcjonizm...

- Gada pan jak nakręcony - powiedziałem życzliwie, z nienawiścią patrząc na człowieka-rzodkiew.

Potem pozostało tylko niewyraźne wspomnienie o rozsuwanych krzesłach, wyrazy współczucia - i to wszystko. Wyszedłem. W przedpokoju podano mi kapelusz. Lekkie, spokojne powietrze nocnej ulicy zakręciło mi w głowie. Łzy dławiły gardło, nie przynosząc ulgi. Arwentur! Wpuść mnie w swoje mury, w kryształowy zamek radości! Arwentur!

I echo powtórzyło mój krzyk rozpacz. Białe ptaki, wolno wymachując skrzydłami, leciały w ciemność ku morzu. „Arwentur”! - krzyczały. Nie mogłem ruszyć z miejsca. Objąłem rękami słup latarni i płakałem z powodu niewyraźnej tęsknoty. Bałem się myśleć, obawiałem się obrazić swoją płaską, ograniczoną wyobraźnią niezniszczalne piękno tego słowa. Na jedną tylko rozkosz pozwoliłem sobie: łańcuch błękitnych wzgórz - szczyty ich dymiły jak ołtarze ofiarne.

- Tam jest Arwentur! - powtarzałem.

Rozbiłbym po tysiącokroć razy ten krąg myśli, zakreślony przez milczenie, tę kieszonkową latarkę nocną, obręcz wołyżera, kałuże z białej i szarej substancji, lustro z folią upstrzone przez muchy, gdyby nie było tego pyłu oszlifowanych w niebiosach diamentów, tego słodkiego przekleństwa i okrutnej nadziei, wiary, że Arwentur istnieje.

*Tadeusz Maliński*

## TAJEMICZA PŁYTA

### I

Bewener mocno zacisnął wargi i z zimną krwią, bez drgania oka obserwował agonię Gonaseda. Pochylając się, raz po raz opierał się rękoma o poręcz fotela. Przed pięciu minutami Gonased wypił zatrute wino, które nalał mu rozbawiony przyjaciel. Tego wieczoru żaden szczegół w zachowaniu Bewenera nic wskazywał na jego szatański zamiar. Jak zwykle przesadnie i zbyt często chichotał, a jego rozbiegane oczy co chwilę zmieniały swój wyraz. Kiedy stale widzi się człowieka takim samym, to jego nerwowe zachowanie może usnąć czujność nawet wówczas, gdyby zamierzał doprowadzić do zniszczenia świata.

Bewener zgłodził Gonaseda dlatego, że ten był szczęśliwym kochankiem śpiewaczki Lasours. Banalny powód nie przeszkodził mu jednak wykazać pewnej oryginalności w doko-

naniu zbrodni. Otóż zaprosił Gonaseda do pokoju hotelowego w celu omówienia sposobu zapobieżenia zabójstwu, które rzekomo przygotował pewien znany im obu człowiek - zabójstwu osoby także im nieobcej. Gonased zażądał podania nazwisk.

## II

- Nazwiska te niebezpiecznie wymieniać - powiedział Bewener. - Sam wiesz, że tutaj w teatrze kulisy mają uszy. Przyjdź lepiej wieczorem do hotelu „Czerwone Oko”, pokój dwunasty. Tam pogadamy.

Gonased, człowiek pełnej tuszy, był ciekawski, miał romantyczne usposobienie i ufał ludziom. W pokoju zastał Bewenera popijającego wino; był on w doskonałym humorze, śmiał się głośno, trzymał też ołówek i papier w rękach.

- Mówże u licha - zaczął Gonased - kto i kogo zamierza zabić?

- Słuchaj...

Wypili jedną szklanekę, drugą, potem trzecią. Bewener nadal zwlekał.

- Otóż... - zaczął w końcu mówić szybko i zdecydowanie. - Dzisiaj w operze wystawiają „Otella”; Maria Lasours wystąpi w roli Desdemony, a Otella gra młody Bardio. Ty Gonasedzie, oczywiście, niczego się nie domyślasz. My, wszyscy twoi koledzy ze sceny, wiemy, jak Bardio szalenie kocha Marię, ale ona odrzuciła jego zaloty. Dlatego właśnie dzisiaj Bardio w ostatnim akcie zabija ją na scenie. Zrozum, zabije naprawdę!

- Dlaczego mi nie powiedziałeś wcześniej! - ryknął Gonased. - Chodźmy, szybciej! Szybciej!

- Wprost przeciwnie - odrzekł Bewener, zastępując drogę przyjacielowi. - Tam nie ma po co iść. Jakie masz dowody na potwierdzenie zamiarów Bardia? Narobisz hałasu za kulisami, zerwiesz przedstawienie i nie posiadając dowodów, oskarżysz Bardia; w rezultacie pociągną cię do odpowiedzialności za obrazę i oszczerstwo!

## III

- Masz rację - odrzekł Gonased. - Ale w jaki sposób dowiedziałeś się o tym? I co tu począć? Zostało jeszcze niewiele ponad godzinę, wnet zacznie się ostatni akt... Ostatni!

- Pytałeś, w jaki sposób się dowiedziałem, to na razie tajemnica - powiedział Bewener. - Wiem jednak, co należy czynić. Musimy zrobić wszystko, ażeby Maria opuściła teatr, zanim zakończy swoją partię. Napisz do niej kartkę, że popełniłeś samobójstwo.

- Co?! - zdziwił się Gonased. - Nie mam przecież żadnego powodu.

- Wiem, że nie masz - ciągnął Bewener. - Jesteś wesoły, młody, zdrowy i kochany. Ale czy jest inny sposób na wyciągnięcie Marii? Pomyśl! Każdy list od obcego będzie uważała za podstęp, za chęć pogrążenia jej w ciężkich tarapatkach finansowych związanych z odszkodowaniem. Zdarzało się to nieraz. A cóż może oderwać artystę od umiłowanych oklasków, kwiatów i uśmiechów prócz śmierci bliskiej mu osoby. Powinieneś osobiście wezwać Lasours do rzekomego swego trupa.

- Ale opowiesz mi o Bardiu?

- Oczywiście, zaraz, w ciągu tej nocy. Proszę, oto papier i ołówek.

- Jak ona się przestraszy! - pisząc, mruzczał pod nosem Gonased. - Ma tak czułe serce.

Napisał: „Mario. Popełniłem samobójstwo. Gonased. Ulica Victorii, hotel «Czerwone Oko»”.

## IV

Bewener zadzwonił i oddał zaklejony liścik lokajowi. Powiedział przy tym: „Proszę doręczyć jak najszybciej”.

Gonased rozczulił się i uśmiechnął. - Ona mnie przeklnie! - szepnął.

- Będzie płakała z radości - zaprzeczył Bewener, wrzucając truciznę do szklanki przyjaciela. - Wypijmy za naszą przyjaźń! Niech trwa!

- Ale zaraz opowiesz mi o tym łotrze Bardiu? Bewenerze, moja szklanka już pusta, a ty zwlekasz... Ze wzruszenia kręci mi się w głowie... tak, widzisz, jest mi niedobrze... Ach!

Konwulsyjnie szarpnął kołnierzyk koszuli, podniósł się i zwałił u nóg mordercy; jego pełzające ręce tarosiły dywan. Ciało drgało, szyja nabrzmiała od krwi. W końcu zmarł.

Bewener wstał.

- To ty, ruda Lasours, zabiłaś go! - wyrzekł opętany szałem. - Miłość moja do ciebie jest tak wielka, jak tego oto nieboszczyka. Nie chciałaś mnie. Dlatego właśnie zginął Gonased. A poszlaki usunąłem po mistrzowsku.

Po chwili zadzwonił. Przestraszonemu lokajowi kazał przywołać lekarza, a sam zaczął powtarzać scenę zdziwienia i rozpaczy, którą należało odegrać w obecności lekarza i wstrząśniętej Lasours.

## V

Prawo w tym wypadku było bezsilne. List Gonaseda własnoręcznie napisany do kochanki, świadczący o tym, że śpiewak popełnił samobójstwo, nie mógł nasuwać żadnych wątpliwości. Bewener uskarżał się: „Ach! - mówił - ze złym przeczuciem szedłem do tego hotelu. Zaprosił mnie nieboszczyk nie wyjaśniając dlaczego. Tak przyjaźniliśmy się... Zaczęliśmy pić; Gonased był zamyślony. Nieoczekiwanie poprosił o papier i ołówek. Potem napisał coś i polecił zanieść kartkę do Lasours. Później powiedział, że zażyje proszek od bólu głowy, nasytał do szklanki, wypił i upadł martwy”.

Nawet najbardziej podejrzliwi ludzie rozkładali ręce, nie wiedzieli bowiem, jak objaśnić przyczynę samobójstwa pełnego radości życia i szczęśliwego Gonaseda. Lasours popłakała trochę, a potem wyjechała do Australii. Po roku zapomniano o smutnej śmierci.

W styczniu Bewener otrzymał z fabryki Loudena propozycję nagrania kilku płyt gramofonowych. Wyraził zgodę; nagrał kilka arii, za co mu dobrze zapłacono. Między innymi wykonał arię Mefistofelesa „Na ziemi cały ludzki ród”. Śpiewając ją przypomniał sobie Gonaseda. Wyraźnie widział go ucharakteryzowanego - potrząsał przy tym ręką; Bewener nie przerwał śpiewu, ale opanowało go dziwno drżenie. Poczł równocześnie niesamowite osłabienie, ale głos mu się nie urwał, przeciwnie, nabrał mocy i brzmiał jak w natchnieniu. Po zakończeniu arii Bewener chciwie wypił dwie szklanki wody, śpiesznie pożegnał się i odjechał.

## VI

Miesiąc później w mieszkaniu Bewenera zebrali się goście. Artyści, artystki, krytycy muzyczni i poeci obchodzili dziesięciolecie działalności artystycznej Bewenera. Jak zwykle gospodarz niespokojnie uśmiechał się, a równocześnie był ożywiony i pełen wdzięku. Pośród

kwiatów jaśniały delikatne oblicza dam. Paliły się wszystkie światła Pod koniec kolacji do jadalni wszedł sługa i oznajmił, że przywieziono coś od Loudena.

- W sam raz - powiedział Bewener, odrzucając serwetki; i wychodząc zza stołu. - Przywieziono płyty gramofonowe, które nagrałem dla Loudena. Proszę wszystkich drogich gości o wysłuchanie i wypowiedzenie się, czy dobrze utrwalono mój głos.

Louden oprócz płyt przysłał także nowy gramofon - podarunek dla artysty, a także list, w którym zawiadamiał, że z powodu choroby nie może uczestniczyć w uroczystości. Sługa przygotował aparat, wstawił igłę, zaś Bewener zaczął przeglądać płyty i wybrał w końcu arię Mefistofelesa. Włożył płytę do gramofonu, opuścił igłę na jej brzeg, po czym zwrócił się do gości:

- Nie jestem w pełni przekonany co do jakości tej płyty, podczas nagrywania trochę się denerwowałem, ale posłuchajmy.

## VII

Zapanowała cisza. Rozległo się ledwie uchwytnie, miękkie syczenie przesuwającej się po kauczuku stali, szybkie akordy pianina... i zagrzmiał silny, stalowy baryton, rozpoczynając słynną arię. Ale nie był to głos Bewenera... To śpiewał zmarły Gonased - on bowiem używał tak dobrze znanych i charakterystycznych niuansów dykcji. Spojrzenia obecnych skierowały się na jubilata. Stał niesamowicie blady. Roześmiał się jednak, ale śmiech jego brzmiał nieprzyjemnie i fałszywie; wszyscy przy tym drgnęli, gdy ujrzeni oczy gospodarza. Rozległy się okrzyki:

- To pomyłka!

- Gonased nie nagrywał płyt!

- Louden pomylił się!

- Czy słyszycie?! - wykrztusił Bewener, tracąc siły w miarę jak głos zabitego posępnie tłamsił jego porażoną wolę.

- Czy słyszycie?! To śpiewa ten, którego ja zabiłem! Nie ma dla mnie zbawienia, sam zjawił się tutaj... Zatrzymajcie płytę!

Sufler Eris, biały jak mleko, rzucił się do gramofonu. Jego ręce drżały, ale podniósł igłę, zdjął płytę, lecz w pośpiechu i przerażeniu opuścił ją na parkiet. Rozległ się suchy trzask i czarny krążek rozleciał się na drobne kawałki.

- Byliśmy świadkami czegoś niestychanego - powiedział skrzypek Indigan, po czym podniósł odłamek i schował go. - Jednak cokolwiek to było, złudzenie zmysłowe czy też przejaw jakiegoś nie odkrytego dotąd prawa, schowam tę część, jej kolor zawsze będzie mi przypominał czarną duszę naszego przemiłego gospodarza, którego teraz tak troskliwie odprowadza policja.

*Tadeusz Maliński*

# MROK

## I

Nigdy nie gustowałem w tak zwanych zjawiskach nadprzyrodzonych, częściowo z powodu ich jednorodności, skończoności i szablonowości, częściowo także z powodu niejasnej przyczyny tkwiącej, jak się wydaje, od urodzenia u podstaw mojej duszy. Wulgarne, toporne zło także mnie odpychało, zwłaszcza wtedy, gdy chodziło o jakieś praktyczne, manualne cele: pieniądze, zadowolenie, w ogóle o korzyść. W życiu najbardziej pociągało mnie zło bezwiedne, pozbawione celu, zło dla zła, dla sportu, dla realizacji przestępczych instynktów.

Pochodziłem z bogatej, wykształconej i szanowanej rodziny. Zgodnie z moją pozycją powinienem był prowadzić zwyczajne życie ludzi mojego kręgu, a więc bywać na balach, koncertach, i wystawach. Otoczenie związane z nikim sposobem spędzania czasu w znikomym stopniu pozwalało na szczerość i bezpośredniość. Z nikim więc nie mogłem porozmawiać o sobie. Większość, jeśli nie wszyscy, moich znajomych udawała porządną świętoszków i zapewne nazywaliby mnie potworem, gdybym wprowadził ich w tajniki moich skłonności. Żyłem więc samotnie w świecie własnych okrutnych przywidzeń.

Nawet gdybym rozmyślał całymi latami, to i tak nie byłbym w stanie wyjaśnić jak, w jakim momencie pojawili się, wyrosła i okrzepła we mnie chęć dokonania zabójstwa. Widok jakiegokolwiek żywego człowieka zaczął wywoływać we mnie ciężki, głuchy ból; potrzeba przerwania tych niezależnych ode mnie ruchów rąk, nóg, pleców, szyi, tych dźwięków obcego głosu i oddechu, tych przejawów obcego życia niepokoila i tłamsila moją chorobliwą uwagę. Widok trupa w nie mniejszym stopniu tłamsił mnie, ale było to, jak się wydaje, uczucie zazdrości, zazdrości wobec śmierci, która w danym wypadku mnie wyprzedziła.

Pomijam wszelkie szczegóły walki z samym sobą w tych miesiącach, powiem tylko, że potrzeba zabójstwa stała się nie do przeczwycięzenia; wiedziałem, że muszę albo zlikwidować ludzką istotę, albo przez całe życie być przerażonym z powodu tej natarczywej, maniakalnej żądzy. Decyzja dojrzała nagle, jak gdyby we śnie; odetchnąłem pełną piersią i zacząłem obmyślać zbrodnię.

## II

To wcale nie jest śmieszne, że obmyślałem zabójstwo, nie wiedząc jeszcze kogo zabić, gdzie i w jaki sposób. Przez trzy dni poszukiwałem w myślach odpowiedniej ofiary. Wielu z moich znajomych nie nadawało się do tej roli - byli nazbyt przebiegli, a przy tym pewni siebie, swojej siły i ufni w szczęśliwą gwiazdę swego życia. Jednym słowem nie pasowali do tego typu ludzi, którzy mogliby zginąć w sposób tajemniczy i gwałtowny; w ich wyglądzie nie było nic fatalnego, a przecież właśnie dlatego poszukiwałem i nie tylko dla samego zabójstwa, lecz logiki przestępstwa. W końcu zwróciłem uwagę na Ryfta.

Był młodym, przewrażliwionym człowiekiem, skłonny przy tym do przeczuć i melancholii. Nie należał do ludzi rozczarowanych, lecz reprezentował typ ludzkiej miernoty, z którym lubią obcować rozhisteryzowane damy, przekonane o wyjątkowości natury tam, gdzie dusza po prostu ziewa z nudy i beztalencia.

Ryft lubił powtarzać, że jego życie jest tragiczne i że czuje swój bliski koniec. Zaiste, w jego życiu w jakimś sensie tragiczne było tylko to, że miał wiele długów. Ale tak zasugerował się swoją nieszczęsną egzystencją, że w rozmowach nie mógł się obejść bez westchnień i



marszczenia czoła. Twarz ascety, oczy wielkiej owcy i włosy Rubinsteina - oto jego zwulgaryzowany portret.

Lubił polować, ja również (z powodu wspomnianych wyżej strasznych pobudek) i tak oto w pewien ciepły, jesienny dzień udaliśmy się, we dwójkę w lasy górzystej Liliany - moich rodzinnych stron.

Przed zachodem słońca dotarliśmy do ponurej i nadzwyczaj dzikiej doliny. Zapytywałem sam siebie; czyż to nie pod wpływem jakichś tajemnych sił zatrzymaliśmy się na nocleg właśnie w tej oto miejscowości? Jej widok napełniał moją duszę smutkiem, przywoływał bolesne i złowieszcze myśli; oglądając pejzaż odczułem dziwne drżenie. Był jakby idealnie stworzony dla zabójstwa lub jakiejś innej ponurej sprawy.

Zapewne w ogóle zła reputacja młynów, zajazdów leśnych i kamieniołomów powstała pod wpływem podobnej scenerii popychającej do przestępstwa.

Dolina ta była równym, kamienistym stokiem dochodzącym do przepastnego urwiska. Całą roślinność doliny stanowiły krzaki tarniny i mech o jakimś nieprzyjemnym żółto-białym kolorze, który przykrywał pobliskie zbocza, nadając temu miejscu jak gdyby trędowaty i przeklęty, monotony i wstrętny wygląd.

Leniwe krzywizny wzgórz i chmury zasnuwające niebo, i martwy ostatni przebłysk zachodu w połączeniu z ogromną, dziką pustką oraz z ciszą i całkowitą samotnością - wszystko to tchnęło rozpaczą. Nie można było znaleźć innego określenia. Właśnie rozpacz duszy, która uświadomiła sobie swą zbrodniczość i wolność, wyrażała się w tej szatańskiej miejscowości. Zajrzałem w przepaść: w głębi, równej wielkości dzwonnicy, snuła się nieprzenikniona warstwa białych oparów przykrywających dno otchłani. Z przepaści powiało chłodem.

- Czyż tu będziemy nocować? - zapytał Ryft. - Nie jest to zbyt wesołe miejsce i nie dla nerwowych ludzi - dodał n i e c h ę t n i e, jak gdyby obawiając się sugestii słów.

- Jaka różnica - zaprzeczałem - pomiędzy własną sypialnią i takim noclegiem? Nie widzę tu nic szczególnego.

- Pan raczy żartować - powiedział.

- Ludzie umierają w pościeli i na pustyni - rzekłem, bojąc się wypowiedzianych słów, których sens był mi znany, ale obcy dla Ryfta.

- Co z panem? - zawołał. - Pańska mowa przypomina majaczenie... pan drży... czy pan jest chory?

W tym momencie uczynił nadzwyczaj w i t a l n y i charakterystyczny dlań gest: z lekka przestąpił z nogi na nogę albo też szurnął nogami. Ogarnęła mnie niepowstrzymana chęć zabicia go, ale czekałem, aż zawładnie mną groza konieczności i udzieli się Ryftowi, gdy z przerażeniem, z bólem i krzykiem rzucę się nań instynktownie, jak kot skaczący na mysz.

Po przywiązaniu koni do krzewów wyciągnęliśmy tyle gałęzi tarniny, ile mogliśmy, i zapaliliśmy ognisko. Pamiętam, że zjedliśmy coś niecoś, rozmawialiśmy o wydarzeniach w mieście i w końcu usnęliśmy; przypominam sobie także, że tuż przed zaśnięciem w jakiś dziwny sposób przestałem myśleć o zabójstwie i ze zdziwieniem odłożyłem je na później.

Spałem b a r d z o twardo. Przebudziłem się, (spojrzałem wówczas na zegarek) w połowie dnia. Jeszcze leżąc pomyślałem, że Ryft się pomylił, gdy mówił że jakoby dziki były po tamtej stronie gór i chciałem mu to powiedzieć. Rozejrzałem się i ku mojemu bezmiernemu zdziwieniu zobaczyłem, że Ryft znikł. Nie było ani jego, ani jego strzelby, pledu i konia. Byłem sam.

Nie pojmując krzyknąłem, wołałem Ryfta, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Bez rezultatu strzeliłem w górę kilka razy. Gubiąc się w domysłach i zaniepokojony z powodu zniknięcia przyjaciela, objechałem wokoło kilka wiorst i nie znalazłem nawet śladu kopyt jego konia.

- Mogłem je przeoczyć - pomyślałem, stając na skraju przepaści, równocześnie ogarnęło mnie pewne z wątpienia pomieszane z jakąś natrętną myślą, że to niemożliwe. - Śpieszyłem

się... zapewne Ryft zakpił ze mnie i znajduje się gdzieś tutaj w pobliżu. Ale gdzie?

Nie mogłem także nie zauważyć, że moją duszę ogarnął jakiś ożywczy, silny i jasny stan. Jak gdybym dopiero co wyszedł z odświeżającej kąpieli. Wyspałem się. Moje plany zabójstwa, moje złowieszcze codzienne zamysły wydały mi się (choć wspaniałe to z dwuznacznym i roztargnionym rozleniwieniem) śmiesznym kaprysem, niegodnym wzruszenia ramion i wspomnienia. Tym bardziej chciałem odnaleźć Ryfta. Chciałem na własne oczy zobaczyć to, c z e g o n i e z r o b i ł e m. Wiedziałem teraz, że ja, džentelmen z krwi i kości, należący do śmietanki cywilizacji, człowiek o obliczu myśliciela i z nawykami snoba, nigdy nie mógłbym zostać zabójcą!

Jak powiedziałem, siedząc na koniu, stałem na skraju przepaści i patrzyłem w nią z takim zdziwieniem, jak człowiek, który coś zgubił i teraz bezlitośnie wpija się wzrokiem w każdą rzecz, chcąc zmobilizować swoją pamięć do największego wysiłku. Zdziwiło mnie nerwowe zachowanie mojego konia. Niespokojnie przestępował z nogi na nogę, strzygł uszami i cały czas znajdował się w stanie podniecenia poskramianego uzdą, jego nozdrza szeroko rozdymały się i nagle ogłuszająco i wstrząsająco zarżał, wysoko wyrzucając swój wspaniały, czarny łeb.

Minęło kilka ciężkich minut, w ciągu których doznałem gwałtownego wstrząsu: słyszałem wichry i głosy, jęki i ogłuszające ciosy, nieuchronnie zbliżające się przerażenie niemal pozbawiło mnie świadomości. Wówczas z otchłani przepaści, z warstwy białych, zimnych oparów, wiszących w jej przestronnej paszczy, doleciała do moich uszu odpowiedź - słabe rżenie - rozpoznałem konia Ryfta.

To wystarczyło, by moja wskrzeszona w drgawkach i bólach pamięć cofnęła mnie do tej głuchej, nocnej godziny, gdzie działając nieświadomie, dusiłem sennego Ryfta, gdy ciągnąłem ku przepaści trupa i rzuciłem go w opary wraz z jego rzeczami, gdy będąc w szponach przerażenia, doprowadziłem do urwiska biednego konia i strzeliłem do niego, a on potoczył się do swego martwego pana.

Zapewne strzał nie był śmiertelny i ciało konia zatrzymało się gdzieś na jakimś uskoku przepaści porośniętym krzakami, i teraz zdychające zwierzę odpowiedziało dolatującemu z góry rżeniu.

I teraz, gdy uwolniona od mroku dusza starała się zrozumieć, jak mogła oddychać tym mrokiem, a równocześnie wszelkimi sposobami odpychała go, zmuszony byłem zakończyć swoje życie, słysząc rozlegające się z otchłani rżenie i mając martwą twarz Ryfta przed oczami.

*Tadeusz Maliński*

# POTĘGA NIEPRZENIKNIONEGO

Kiedy jedni widzieli w snach baśniowe skarby  
Wschodu, tej samej nocy inni śnili, że diabły  
porywają ich w niezbadane głębie oceanu,  
gdzie będą się błąkać do końca swych dni.

*J. F. Cooper - „Mercedes of Castile”*

## I

Gracjan Duplet zajmował wśród ludzi obdarzonych wyjątkową wrażliwością to niedobre miejsce, na którym intensywność doznań graniczy z szaleństwem. Nader często zdarzały się mu stany, kiedy to ulegając biernie napierającym nań wrażeniom, zaczynał raptem drżeć w urzekającym i straszliwym przeczuciu nagłego odkrycia, którego treścią byłoby ujawnienie sensu istnienia. Naturalnie umysł Dupleta odrzucał instynktownie ten natłok doznań, a po eksplozji podniecenia następował upadek sił, w przeciwnym bowiem wypadku coś potężniejszego od świadomości, polegającego być może na gigantycznej syntezie, musiałyby go nieuchronnie zniszczyć, niczym drewniany młyn poruszany przez Niagarę.

Podstawowym motywem życia Dupleta było nie opuszczające go ani na chwilę uczucie muzycznego urzeczenia. Najlepszym przykładem, ilustrującym ową właściwość jego duszy, może być kinematograf, którego obrazom towarzyszy, jak wiadomo, muzyka. Niemy film, uzupełniony dźwiękami dostosowanej do jego akcji muzyki, nabiera poetyckiego wyrazu. Gubi się jego perspektywa etyczna: bohaterstwo i rozpusta, poświęcenie i zbrodnia, budząc różne wrażenia wzrokowe, dają w sumie jedynie interesujące widowisko - uczucia zostały pobudzone, lecz jedynie z punktu widzenia estetyki. Między akcją i orkiestrą unosi się niedostrzegalny cień melancholii i w nim to właśnie zacierają się granice faktów, czyniąc z nich - powtórzmy to raz jeszcze - interesujące widowisko. Przyczyną jest urzeczenie muzyką, skutkiem - drgania rozbudzonych uczuć, wiodących poprzez cień melancholii ku radości wyrafinowanej kontemplacji.

Taki właśnie stosunek do rzeczywistości, polegający na muzycznym urzeczeniu, był niezmiennym motywem życia Dupleta. Towarzyszyła mu jak gdyby niewidzialna orkiestra, snując nie kończące się wariacje na temat jakiejś podstawowej melodii, której dźwięki, niedostępne dla słuchu fizycznego, rodziły wrażenia muzycznej ekstazy. Na skutek owego skomplikowania odczuć osoba Dupleta razem z tym, co robił, myślał i mówił, jemu samemu wydawała się czymś jakby oglądanym z boku, postacią z dramatu bez tytułu i zakończenia, przedmiotem obserwacji jedynie. Nawet cierpienia w ich najbardziej ponurej i dotkliwej postaci Duplet odbierał również jakby z zewnątrz; sam - publiczność i bohater sztuki jednocześnie - pogrążony był w głębokiej kontemplacji, upiększonej muzycznym wzruszeniem.

A zarazem w niespokojnych i dziwacznych snach, splatających życie z niemal dotykającym światem wyrazistych marzeń sennych, słyszał kilkakrotnie muzykę, której pierwsze takty wprawiały go w stan półobłąkanego lęku. Owa muzyka była odkryciem harmonii, jaka nie narodziła się jeszcze nigdy i nigdzie. Jej piękno budziło grozę niebiańskim brzmieniem dźwięków, zdolnych, jak mu się zdawało, zamienić piekło w raj. Nieogarniona umysłem doskonałość tej boskiej, triumfalnej muzyki była - Gracjan Duplet czuł to całym swym jęstwem - idealnym ucieleśnieniem wielkiego urzeczenia, które towarzyszyło mu przez całe życie i stanowiło, być może, echo olśniewającego pierwowzoru. Ale po przebudzeniu pamięć Dupleta nie chciała odtworzyć tego, co słyszał. Pełen jeszcze wstrząsających wrażeń daremnie w zachwyceniu sięgał po papier i ołówek, łudząc się, że zdołał pochwycić skarb; dźwię-

ki zamierały, milkły wybuchając z rzadka bolesną ekstazą, a cisza nocy zazdrośnie pochłaniała ich echo - muzyczne urzeczenie.

Gracjan Duplet był skrzypkiem.

## II

Odkrycie Roumiere'a w zakresie fotografii kolorowej i hipnozy - dwu tak odmiennych dziedzin prac badawczych - po przyniesieniu mu znacznych sukcesów skupiły wokół niestruzonego badacza liczny i stale powiększający się krąg wielbicieli. Z tej to właśnie przyczyny dzwonek przy drzwiach był torturą Roumiere'a i uczonego tego dnia, o którym mowa, z rozpaczą słuchał jego dwudziestego z kolei terkotu, napomknąwszy służącemu, że jeśli gość nie będzie zbytnio nastawał, dobrze byłoby mu uświadomić, iż za pięć minut kończy się czas przyjęć doktora.

Służący jednak po chwili zameldował, że gość, mężczyzna o chorowitym wyglądzie, okazał stanowczość i upór. Roumiere odłożył nieostre zdjęcie bujnych porannych obłoków i podszedł do biurka, przy którym witał gości. Skinąwszy, by służący wpuścił nieznanego, zobaczył człowieka o prostackiej powierzchowności drobnego aferzysty, ubranego z całkowitym lekceważeniem mody i wątpliwą schludnością; był niski, ale okropnie wychudzony, co przydawało mu wzrostu, bez uciekania się do wysokich obcasów. W jego zapadniętych oczach tliło się tępe cierpienie; czoło miał wysokie, lecz ukryte pod kosmykami czarnych, nie tkniętych grzebieniem włosów; jego twarz, chyba niewiele ponad trzydziestoletnia, stanowiła mieszaninę inteligenckiej nerwowości i grubiaństwa, nabytego w ciężkiej szkole życia.

- Jestem muzykiem - przedstawił się po paru wstępnych zdaniach - i gorąco proszę, by nie odmawiał mi pan pomocy. Wątpię, by pacjent, jakiego ogląda pan w mojej osobie, trafił się w pańskiej tak bogatej praktyce. Nazywam się Gracjan Duplet.

Mniej więcej rok temu usłyszałem w snach, które dzięki swej, że tak powiem, plastycznej wyrazistości mają dla mnie wręcz realną wymowę, pewien motyw, jakąś nieuchwytną melodię. Od tej pory prześladuje mnie ona co noc, Siła i właściwości owej melodii nie dają się wyrazić zwykłymi słowami; słysząc ją, gotów jestem uwierzyć w muzykę sfer; w jej wielkości jest coś nieludzkiego, u jednocześnie harmonia tych dźwięków niepomniernie przewyższa wszystko, co wygrano dotychczas na strunach i trąbach. Zbudowana jest według nie znanych nikomu zasad. Po przebudzeniu niczego nie pamiętam i próżno czepiając się w r a ż e ń - jedyne, co mi wówczas pozostaje niby pióro rajskiego ptaka - usiłuję odkryć źródło, którego słodka kropla zwielokrotnia po dziesięciokroć pragnienie ginącego na pustyni. Może we śnie nasze jestestwo jest bardziej chłonne, skoro widząc, p a m i ę t a j ą c, że słyszałem tę muzykę, nie mogę zachować w świadomości ani jednego taktu. Jakikolwiek byłyby tego przyczyny, usilnie pana proszę, by użył pan swej sztuki albo w celu wzmocnienia mojej pamięci lub też - jeśli to możliwe - by uciekł się pan po prostu do hipnozy, pod której działaniem mógłbym w pańskiej obecności odegrać (przyniosłem ze sobą skrzypce) to wszystko, co tak wyraziście prześladuje mnie w snach. Taki eksperyment mógłby dać dwójakiego rodzaju rezultat. Po pierwsze, może się okazać, iż doskonałość tajemniczej muzyki jest efektem zniekształcenia odczuć w snach, jak to często zdarza się tym, którzy śnią, że czytają z niezwykłym talentem napisaną książkę, a budząc się pamiętają jedynie pozbawione sensu zdania; w takim przypadku przekonany, że ulegam złudzeniu, zaczęną się systematycznie leczyć, Całkowicie uspokojony niewielką stratą. Po drugie, tym rezultatem może stać się zapis owej melodii, co byłoby nieporównanie cenniejsze. A nuż cały świat muzyki przeszłości i terażniejszości zginie w nowych odkryciach, jak giną nasiona zamieniwszy się w kwiaty lub gąsienica, która w pewnym momencie przestaje być utajonym triumfującym motylem. A nuż zmieni się,

ruszona w samych swych podstawach, świadomość ludzkości, ponieważ - powtarzam raz jeszcze i wierzę w to święcie - siła tej muzyki ma w sobie coś boskiego i niszczycielskiego.

Duplet wyrzucił to wszystko z siebie, pomagając sobie energiczną gestykulacją. Jego sposób mówienia zdradzał w nim człowieka nawykłego do rozważań na tematy nie tylko potoczne lub banalne; wzrok, aczkolwiek pełen napięcia zdradzającego skrajną nerwowość, pozbawiony był mroków szaleństwa i Roumiere doszedł do wniosku, iż doświadczenie może być co najmniej ciekawe. Zanim jednak do niego przystąpił, uznał za właściwe uprzedzić Dupleta, że gwałtownemu pobudzeniu uczuć w transie hipnotycznym towarzyszy niebezpieczeństwo.

- Nie podejrzewa pan zapewne pułapki - powiedział - w jaką może pana wciągnąć nadmierne przeciążenie umysłu, który (a należy się z tym liczyć) okaże się bezsilny, by odtworzyć coś, co nie istnieje. Zakładając, że melodia jest jedynie zdumiewająco intensywnym tworem wyobraźni, wyrazem pragnienia, pożądania - mogę narazić pana na ciężką chorobę; zagraża panu nawet śmierć w przypadku wylewu krwi do mózgu, co jest również niewykluczone.

- Jestem gotów - odparł Duplet. - Proszę o moje skrzypce.

Kiedy je przyniesiono, a muzyk z instrumentem i smyczkiem w rękach zasiadł w głębokim wygodnym fotelu, Roumiere usypiał skrzypka nie dłużej niż minutę.

- Gracjanie Duplet! - rzekł lekarz, odczuwając niecodzienne podniecenie. - Rozkazuję, by mi pan uległ i we wszystkim był posłuszny.

- Będę posłuszny - martwym głosem odpowiedział Duplet.

Mieszkanie Roumiere'a znajdowało się na parterze, jego okna wychodziły na niewielki zaułek. Okno gabinetu było otwarte, muzyk siedział w pobliżu. Zesztywniał i zbladł, po jego twarzy spływały wielkie krople potu. Roumiere odczekawszy chwilę powiedział:

- Duplet! Słyszysz pan muzykę, o której rozmawialiśmy?

Muzyk zadrzał; szeroko otworzył niewidzące oczy, a błyskawica ekstazy zmieniła jego twarz niczym promienie słońca zamgloną powierzchnię morza. W pokoju zabrzmiał przeciągły jak echo zacichającego dzwonu jęk.

- Słyszę! - wykrzyknął Duplet.

- Teraz - drżąc w potoku nerwowego promieniowania, niedostrzegalnie emanującego z muzyka - teraz - kontynuował Roumiere - proszę grać, co pan słyszy. Skrzypce trzyma pan w ręku. Proszę zaczynać!

Duplet wstał, gwałtownie przeciągnął smyczkiem po strunach i serce hipnotyzera załomotało boleśnie pod naporem raptownie napływającej krwi. Już przy pierwszych dźwiękach skrzypiec Roumiere zrozumiał, że dalej słuchać n i e w o l n o. Te dźwięki raziły go i oślepiały. Nikt nie potrafiłby ich o p o w i e d z i e ć. Roumiere czuł tylko, że całe jego dotychczasowe życie jest mu całkowicie zbędne, nienawistne i bezużyteczne i że pod wpływem tej muzyki człowiek - kimkolwiek jest - zrobi z jednakim uniesieniem wszystko: popełni najstraszliwszą zbrodnię i okaże najwznieśliwsze bohaterstwo. Ogarnął go mdlący strach. Zmuszając się do nadludzkiego prawie wysiłku, wydarł Dupletowi skrzypce z uczuciem, że pluje w twarz bóstwa, i niwecząc niebezpieczny czar wykrzyknął:

- Duplet! Niczego pan nie słyszał i nie grał. Zapomniał pan o wszystkim, co działo się podczas pańskiego snu, proszę usiąść i otworzyć oczy!

Muzyk usiadł, rozwarł ciężkie powieki. Ogarnęło go uczucie bezgranicznej melancholii; pamiętał jedynie, po co przyszedł do Roumiere'a, i uprzytomniwszy to sobie do końca, zadał nawiązujące do ich rozmowy pytanie.

- Tego właśnie należało się spodziewać - powiedział Roumiere zwrócony do niego plecami i ukazując twarz dopiero wówczas, gdy opanował wzburzenie. - Zagrał pan kilka arii operetkowych przemieszanych z urywkami serenady Schuberta.

Po krótkiej wymianie zdań Duplet przeprosił z roztargnieniem, podziękował i wyszedł

na ulicę. Tutaj prawie natychmiast dogonił go i zatrzymał jakiś nieznany, przyzwoicie ubrany mężczyzna. Był niebywale poruszony, obrzuciwszy spojrzeniem skrzypce Dupleta, skłonił się lekko i spytał:

- Przepraszam, czy to pan grał przed chwilą za oknem wychodzącym na zaułek? Muzyka urwała się nagle; usłyszałem ją przechodząc tamtędy przypadkowo i gorąco pragnąłem słuchać jej dalej. Co pan grał?! Pytam nie z czezej ciekawości; ja, były oficer, płakałem w głos jak dziecko, wśród hałasów i gwaru dnia, poruszony nie znanymi mi dotąd uczuciami. Co to było, na miłość boską, i kim pan jest?

Duplet, który początkowo słuchał nieznanego z nieuwagą, pod koniec w jednej chwili zrozumiał wszystko Owładnęło nim szaleństwo. Porzuciwszy rozmówcę, zawrócił z pośpiechem kogoś nadzwyczaj wzburzonego i śmiertelnie urażonego, zadzwonił do drzwi. Po chwili znów stał przed osłupiałym hipnotyzerem. Wściekłość odebrała mu mowę; wykrzyknął przerywanym głosem:

- Zataiłeś!... Zataiłeś!... Łajdaku! Czy wiesz, co mi odebrałeś?! To gorsze niż morderstwo! Nie ma przebaczenia! Tylko śmierć!... Śmierć ci za to!

Rzucił się na Roumiere'a i powalił go, okładając razami. Do pokoju wpadli służący. Nie bez trudu związali Dupleta, który na polecenie lekarza odwieziony został do kliniki psychiatrycznej.

\*

Przebywał tam od tej pory, zdradzając wszelkie objawy nieuleczalnej depresji, która od czasu do czasu przeradzała się w ataki nieokiełznanego szaleństwa. W chwilach melancholii grywał długimi godzinami ze smutkiem i łzami w Oczach na swych skrzypcach, usiłując odnaleźć to, co utracił, i zadziwiając lekarzy oryginalnością niektórych komponowanych bezustannie fantazji. Niekiedy, wśród wariacji na pewien szczególnie smutny temat, spod jego smyczka wydobywały się dziwaczne takty, wywołujące niepokój słuchaczy; były to żalosne odbłaski bezsilnego piękna, jakby aluzje do czegoś wielkiego... ale zdarzało się to coraz rzadziej i skończyło wraz ze śmiercią skrzypka, która przyszła do niego w majaczeniach pełnych żarliwych próśb o podniesienie bezlitosnej zasłony, kryjącej tajemnicze, urzekające widowisko.

*Zofia Dudzińska*

## **RYWALIZACJA W LISSIE**

### **I**

Niebo pociemniało, awiatorzy po przeglądzie aeroplanów, na których mieli walczyć o nagrodę, zebrał się w maleńkiej restauracji „Bellami”.

Oprócz nich byli tam także inni ludzie, ale obecność znakomitych zdobywców przestworzy nie wywołała szczególnego zainteresowania u nikogo z wyjątkiem człowieka siedzącego samotnie na uboczu, jednak nie tak daleko od stolika pilotów, żeby nie mógł nie słyszeć ich rozmowy. Wydawało się nawet, że właśnie jej się przysłuchuje, gdyż siedział naprzeciwko z głową przechyloną i skierowaną w stronę hałaśliwego towarzystwa.

Jego wygląd należy koniecznie opisać. Był w wytartym lekkim palcie, miał kapelusz i biały szal owinięty wokół szyi - na pierwszy rzut oka przypominał skromnego dziennikarza, jakich bywa wielu na wszelkiego rodzaju imprezach. Wysunięty spod kapelusza pukiel cie-

mnych włosów przesłaniał aż do nasady nosa wysokie, wydatnie rozwinięte czoło; podłużnie rozcięte oczy posiadały, jak się wydawało, szczególną właściwość - patrzyły zawsze w dal, mimo iż przedmiot obserwacji mógł znajdować się w odległości nie większej niż dwie stopy. Prosty nos łączył się z niewielkimi czarnymi wąsami, wargi były tak mocno ściśnięte, iż wydawało się jakby usta konwulsyjnie drżały. Podłużna zmarszczka rozdzielała ostry podbródek od połowy ust do granic owalu twarzy, tak, że pukiel włosów, nos i ten charakterystyczny znak sugerowały wrażenie podłużnego rozcięcia całej fizjonomii. Temu wszystkiemu, co samo sobie było już dziwne, odpowiadała różnica profilów - lewy był miękki, prawie kobiecy, prawy - ponuro skupiony.

Przy okrągłym stoliku pięciu awiatorów, spośród których zainteresował nas w gruncie rzeczy jeden, niejaki Cartreff - najbardziej zuchwały i bezczelny w całym towarzystwie. Wyróżniał się on lokajską fizjonomią, bladą, chorobliwą cerą, pewnym siebie głosem, fryzurą chuligana, natrętnym i obrzydliwym spojrzeniem, pstrym ubraniem subiekta, upierścienionymi palcami oraz przykrym i rozpustnym zapachem pomady.

Był pijany, mówił głośno, patrzył wokoło wyzywająco i zaczepnie - jednym słowem grał rolę zabawnie kontrastującą ze swoim wyglądem. Chełpił się aeroplanem, doświadczeniem, odwagą i sprzyjającym mu szczęściem. Samolot, rozłożony na detale przez żaloszny mózg tego człowieka, przypominał kupę rupieci pełną baków na benzynę, przewodów, żelaza i drewna bujającego w przestworzach. Ten zwykły rzemieślnik lotniczy, zmuszony do poruszania dźwignią i naciskania guzików, triumfował co chwila z wielu najróżniejszych powodów, wśród których wcale nie ostatnie miejsce zajmowała pycha poranionego od kuli inwalidy.

- Wszyscy polecą, wcześniej czy później polecą! - krzyczał Cartreff. - A wtedy przypomną sobie o nas i postawią i pomnik i Tobie i... mnie... i tobie! Postawią dlatego, żeśmy pionierzy!

- A ja widziałem pewnego człowieka, który zapłakał! - krzyknął cherlawy awiator Callo. - Widziałem go. Wycierał łzy chusteczką. Pamiętam dokładnie. Człowiek ten przyjechał wraz z żoną na lotnisko, zobaczył w górze Wrighta i zaczął rozwiązywać krawat. „Ach, co?” - powiedziała żona czy też dama, która razem z nim siedziała. „Jest mi duszno! - odrzekł. - Wzruszenie ścisła mi gardło... i uronił łzy. - Patrz Mary - ciągnął - na wielkość człowieka. Zdobył przestworza!” Świetnie co?

Wszyscy przybrali dumną postawę. Nieskrywany uśmiech samozadowolenia utonął w piwie i wąsach. Po chwili milczenia piloci wzniesli toast, znacząco wzruszyli brwiami, wypili i jeszcze raz wypili. Alfons Jeugau, wykształcony awiator, student politechniki, oznajmił pouczająco:

- Triumf rozumu nad martwą, inercyjną i wrogą cywilizacji materia posuwa się gigantycznymi krokami naprzód.

Potem zaczęto omawiać nagrody i swoje szanse. Raczej nikt nie mówił wprost o sobie ani też o innych obecnych, ale gdzieś w cieniu słów wymawianych podchmielonym językiem wyraźnie ukrywał się ów mówiący, wskazujący palcem na siebie. Tylko Cartreff, nastroszyszy się, jasno wyraził to, co wszyscy mieli na końcu języka.

- Pobję rekord wysokości, właśnie ja! - wykrzyknął niepewnie wymachując butelką nad niepełną szklanką. - Ja to mówię. Ja, Cartreff! Niczego się nie boję!

Takie oświadczenie błyskawicznie wywołało skrytą zawiść kolegów. Ktoś chrząknął, ktoś inny przesadnie głośno i radośnie wyraził pełne przekonanie, że Cartreff mówi prawdę, inni zaś z uwagą i uwielbieniem spoglądali na chwalipiętę i jak gdyby mówiąc: „Dzięki ci za dobre słowo”, zachęcali go, by się nie krępował. Nagłe jakby za pociągnięciem ostrza noża rozcięto domniemaną bliskość tych ludzi - od razu stali się wrogami: śmierć, daleka siostra wrogości, zbliżyła się do stołu i każdy widział ją w postaci samolotu podobnego do konika polnego błyskawicznie spadającego z obłoków w dół ku zakurzonym polom.

Zapanowało milczenie. Nastrój zepsuł się. Ciągnęła się wprawdzie cierpka wymiana różnych słów, ale wymawiano je bez zainteresowania. Kompania ponownie umilkła.

Wówczas siedzący przy stoliku nieznajomy nieoczekiwanie i głośno powiedział:

- A więc latacie!

## II

Wyrwał się jak Filip z konopi. Zaskrzyphiało krzesło - to gwałtownie odwrócił się na nim Cartreff. Za jego przykładem poszli inni, uzmysłowiwszy sobie, skąd pochodzi ironiczna uwaga. Odwrócili się i utkwili w nieznajomym wzrok pełen rozdrażnionej bezmyślności.

- Co-o-o? - krzyknął Cartreff i przybrał przy tym taką oto pozę: oparł się łokciem o stół, tułów był wygięty w krzywą linię, a nogi szeroko rozstawione. Było w tym wiele pogardy, ale nie wywołał tym żadnego efektu. - A to co, panie szanowny? Co pan chce powiedzieć?

- Nic szczególnego - w zamyśleniu odrzekł nieznajomy. - Słyszałem rozmowę panów, która wywarła na mnie obrzydliwe wrażenie. Wyraziłem je w tych kilku słowach, które, jeśli się nie mylę, uraziły waszą zawodową dumę. Proszę się uspokoić. Moja opinia nie wyjdzie wam ani na dobre, ani na złe, ponieważ nie mamy ze sobą nic wspólnego.

Wówczas awiatorzy, nie pojawiając sensu słów, lecz oczywisty, pogardliwy ton lakonicznej przemowy, zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego:

- Tfu, do diaska!

- Co panu do tego, cośmy tu mówili?

- Pańska obraźliwa uwaga...

- Idź pan stąd precz!

- Won stąd!

- Wyrzucić pyskacza!

- Podlec!

Nieznajomy wstał, poprawił szal, wsunął ręce do kieszeni palta i zbliżył się do stolika awiatorów. Sala zamarła w oczekiwaniu, oczy obecnych były skierowane na niego, czuł to, ale nie stropił się.

- Chcę - zaczął - bardzo chcę choć trochę zbliżyć was do lotu w prawdziwym tego słowa znaczeniu. J a k chce się latać? Jak trzeba latać? Spróbujmy wywołać nie przeżyte wrażenia. Panowie, założmy, że jesteście smutni na placu pełnym tłumów. Dzień jest jasny. Wy chcecie polecieć, żeby w końcu roześmiać się. Śmiech, o którym mówię, jest bliski delikatnemu aromatowi, jest bezdźwięczny jak namiętne bezdźwięczna dusza.

Wówczas człowiek czyni to, co zamyslił; lekko tupiąc nogą unosił się w górę i płynie w tajemniczej wysokości powoli lub szybko w zależności od życzenia, lub zatrzymuje się w miejscu, ażeby popatrzeć na jeszcze niewidoczne w pełni miasto, raczej szkic jego niż plan; horyzont unosi się jak czara, jest ciągle na wysokości oczu. Lecący jest cały napięty, skoncentrowany, wicher przenika całe jego ciało, gdzieś tam w środku łomocze serce, ale bynajmniej nie strach, nie podniecenie, l e c z n o w a j a k o ś ć, albowiem nie ma ani punktu ciężkości, ani punktu oparcia. Nie ma strachu i zmęczenia, bicie serca przypomina to, czemu towarzyszy namiętny pocałunek.

To kąpiel bez wody, pływanie bez żadnego wysiłku, zabawny upadek z wysokości tysiąca metrów, a potem zatrzymanie się nad iglicą katedry, która nieosiągalnie wznosi się ku nam z wnętrza ziemi, gdy w tym czasie wiatr dźwięczy w uszach, a dal jest ogromna jak wznoszący się ocean - wrażenia te są podobne do genialnej orkiestry oślepiającej duszę czystym wzruszeniem.

Wy, panowie, odwróciliście się od ziemi plecami, niebo spadło dla was w dół, znalazło



się pod wami i wy spadacie na nie, zamierając ze szczęścia i widmowej zwodniczości pociągających przestworzy, lecz nigdy nie spadniecie na obłoki, bo staną się mgłą.

Panowie, zwróćcie się ku ziemi. Ona zaś bez wysiłku odpycha was, wynosi wciąż wyżej i wyżej. Z tej wysokości wasza droga jest wolna dniem i nocą. Możecie polecieć do Australii lub Chin, zatrzymać się po drodze dla odpoczynku i posiłku tam, gdzie zechcecie.

Wspaniale leci się o zmroku nad pachnącą łąką, nic dotykając trawy, powoli jakby się szło wolnym krokiem do pobliskiego lasu, nad którego czarnym ogromem leży czerwona połowa zachodzącego słońca. Uniósłszy się wyżej, dostrzeżecie cały słoneczny krąg, gdy w tym czasie z wolna zaczyna wygasać szkarłatna tkanina ostatnich promieni.

W tym czasie tak pilnie strzeżona pod dachem, nietrwała, kaleka konstrukcja przesyconą wypocinami mózgu tworzącymi jej podejrzany kształt, zostaje wytoczona przez robotników na trawę. Jej skrzydła są martwe, to materia ukrzyżowana w przestworzach; na niej usadawia się człowiek z myślami o benzynie, warkocie śmigła, wytrzymałości śrub i przewodów. Jeszcze nie uniósł się, a już myśli, że upadł. Ma przed sobą całą kuchnię, w której na wspomnianej już benzynie pitrasi pieczeń z przestrzeni i nieba. Na oczach ma okulary, na uszach - nauszniki, w rękach trzyma żelazne drażki, tak oto w klatce z przewodów i z płóciennym dachem nad głową unosi się po rozbiegu na piętnaście sążni ta boża krówka ciągle robiąca bokami.

A o czymże myśli ten wspaniały, prychający stwór utrzymujący się w powietrzu nie z innego powodu niż ten, dzięki któremu rzucony kamień zatacza łuk? Zaprzeczenie lotu zawarte jest już w samej szybkości - szalonej szybkości ruchu; lot powolny - to upadek.

A więc o czym myśli? O pieniądzach, o tym że rozbije się i zginie. I wiele innego wszelkiego świństwa kołacze mu się po głowie - tych technicznych papilotów, spod których nie widać fryzury. Gdzie wylądować, gdzie znaleźć miejsce? Ach, jak strasznie, gdy odleci się zbyt daleko od wygodnego lodowiska. Nie można lądować na dachu, na drucie telegraficznym lub na wierzchołku góry. Awiatora coś ciągnie do tyłu, awiator opada, opada na ziemię z wyrazem winy na twarzy, dlatego że uszedł z życiem, gdy w tym czasie publiczność rozchodzi się rozczarowana, marząc o nieszczęśliwym wypadku.

Dlatego też, panowie nie lataliście i latać nigdy nie będziecie. Na okolicznościowych medalach powinien być wygrawerowany emblemat wrony wymachującej skrzydłami i leniwie przecinającej waszą benzynową, trwożliwą trasę w błękitnej krainie. Należy je rozdać wam na pamiątkę.

- Czy nie zechciałby pan kieliszka koniaku? - zapytał barman, zbliżając się do nieznanego. - Proszę, już nalałem.

Nieznamy podziękował i wypił koniak.

Jego słowa wzmogły kipiącą wściekłość awiatorów. W końcu jedni zaczęli uderzać pięściami w stół, inni zaś zerwali się na równe nogi, wywracając butelki. Cartreff groźnie zjeżył się, mnał serwetki i gniewnie łypiąc oczami, zaczął zbliżać się do nieznanego.

- Czy długo jeszcze będzie pan nam przeszkadzać? - krzyknął.

- Co to za głupcy ci wszyscy krytycy, do diabła z wami! A czy pan latał? Czy zna się cokolwiek na awiacji? Nie! Więc wynoś się pan do diabła i nie przeszkadzaj!

Nieznamy uśmiechając się przyglądał się rozjuszonemu Cartreffowi, potem zerknął na swój zegarek.

- Na mnie już czas - powiedział spokojnie, jakby był u siebie w domu. - Żegnajcie lub ściślej do zobaczenia, jutro odwiedzę pana, panie Cartreff.

Zapłacił i wyszedł. Gdy zatrzasnęły się za nim drzwi z dudniących schodów nie doleciał żaden odgłos kroków - awiatorowi wydawało się, że bezczelny typ zatrzymał się za drzwiami i podsłuchuje. Gwałtownie więc otworzył je, lecz nikogo nie dostrzegł i powrócił do stolika.

## II

„Doskonałe powietrze” - pomyślał Cartreff na drugi dzień, gdy opisując krąg nad lotniskiem, dostrzegł w dole rozslonecznione, różnokolorowe trybuny wypełnione publicznością. Jego rywale „buczeli” z lewej i prawej strony; w górę prawie równocześnie uniosło się siedem aeroplanów. Ich kontury, w zależności od tego jakie położenie zajmowały w przestworzach, wykreślały romb, kopertę albo otwarty parasol. Wydawało się, że wszyscy zmierzają w jednym kierunku, chociaż w rzeczywistości każdy leciał w inną stronę. Warkot motorów z daleka przypominał dźwięk grubych strun lub buczących dziecinnych bąków, z bliska zaś trzask płótna żaglowego rozdieranego nad uchem. Hałas był taki jak w fabryce. Na dole przed hangarami poruszały się na zielonej trawie figurki ludzi, jak gdyby wycięte z białego papieru; podciągano następnego aeroplan. Grała orkiestra dęta.

Cartreff wzniósł się na wysokość tysiąca metrów. Silny wiatr bił go w twarz, gwałtowny oddech boleśnie napinał pierś, szumiało w uszach. Pejzaż ziemski przypominał kołyszący się, okrągły plac usiany plamami i liniami; aeroplan jak gdyby stał w miejscu, gdy w tym czasie przestrzeń i przestworza sunęły obok i naprzeciwko. Obłoki tak samo odległe jak ziemia.

Nagle z lewej strony dostrzegł postać, która sparaliżowała jego umysł. Była tak niezwykła, niepodobna do niczego ziemskiego, niezrozumiała, jak gdyby dopiero co utkana z powietrza. Wiedział, że to ten sam nieznanym, który wczoraj wieczorem wywołał jego gniew. Unosił się w pozie człowieka leżącego na boku, ręką podtrzymywał głowę. Nowe, przepiękne, a zarazem odpychające oblicze, które dostrzegł Cartreff, miało go - trudno bowiem inaczej nazwać harmonię dziwnego natchnienia płonącego w rysach tego człowieka. Przenikliwe promieniowanie jego oczu przypominało wzrok ptaków w czasie lotu. Był bez kapelusza, w zwykłym, skromnym garniturze, jego krawat wysunął się spod kamizelki i uderzał o guziki. Cartreff nie widział jego ubrania. Podobnie rzecz ma się, gdy spotykamy kobietę, która natychmiast oszałamia urokiem piękna; zauważamy jej suknię, lecz tak, jakbyśmy tego nie widzieli.

Cartreff nic nie rozumiał. Porażony uczuciem, które trudno sobie wyobrazić, rzucił się do ucieczki. Ostro nacisnął ster, ażeby skrócić w bok. Nieznajomy, opisawszy łuk, znowu znalazł się w pobliżu. Myśl, że to zjawą, szybko przemknęła przez głowę Cartreffa; chcąc ożywić ją, krzyknął:

- Nie trzeba. Nie chcę. To przywidzenie.

- Nie, to nie przywidzenie - powiedział nieznanym, który także krzychał, ale jego słowa były spokojne. - Osiem lat temu spojrzałem do góry i uwieryłem, że mogę latać, jak zechcę. Od tej chwili porusza mnie w powietrzu proste pragnienie. Długo pozostawałem wśród obłoków i widziałem, jak powstają krople deszczu. Znam tajemnicę tworzenia się piórna kulistego. Artystyczny kształt śnieżynki formowanych z bezkształtnej wilgoci powstał na moich oczach. Spuszczałem się do przepaści pełnych gnijących kości i złota. Poznałem wszystkie nieodkryte wyspy i lądy, jem i śpię w powietrzu jak w pokoju.

Cartreff milczał. W jego piersi narastało drżenie. Powietrze dusiło go. Nieznajomy zmienił położenie. Wyprostował się i stanął nad Cartreffem nieco z przodu, z twarzą zwróconą w jego stronę.

Strach sparaliżował całkowicie świadomość Cartreffa. Nacisnął dźwignię wysokości, chcąc zniżyć lot, ale uczynił to bezwiednie na przekór zamierzeniu i pojął, że ginie. Aeroplan momentalnie wzbił się w górę. Potem nastąpiło kilka niepewnych obrotów i samolot, odchodząc z wyznaczonego kursu, zaczął kołysać się, koziołkować, jak rzucona niedbale karta do gry, i opadać w dół.

Cartreff widział to niebo, to znowu wypływającą z głębi ziemię. To pod nim, to nad nim

pojawiły się rozpostarte skrzydła opadającego samolotu. Serce lotnika drgnęło, splątało uderzenia i skamieniało z bólu nie do wytrzymania. Ale przez kilka chwil słyszał jeszcze muzykę, która teraz rozlegała się wyraźnie, jak gdyby rozbrzmiewała w uszach. Były to wesołe trele fletów, miedziany głos trąb i kilka oddzielnych słów wypowiedzianych przez kogoś na ziemi tonem podniosłej sentencji. Oto ostatnie odczucia awiatora. Aeroplan uderzył w ziemię i werznął się w piach kupą dymiącego żelastwa.

Nieznajomy, przeleciawszy zatokę, wylądował w lesie i nie spiesząc się skierował swe kroki do miasta.

*Tadeusz Maliński*

## LINA

Popatrz no, a któż to sterczy  
tam, na minarecie?  
I orzekły dzieci chórem:  
„to po prostu wróbel”.

*Wieliczko*

## I

Gdybym był nawiedzony przez najstraszniejszą z wszystkich możliwych chorób fizycznych - ospę, cholereę, dżumę, paraliż postępowy, wreszcie trąd - nie czułbym się tak struty i skazany na zagładę w czasie t a m t y c h z ł y c h d n i s t r a s z n e j i o s z a ł a m i a j ą c e j w y o b r a ż n i, k t ó r a o p ę t a ł a m ó j u m y ś ł wizjami wielkich postaci historycznych.

Być może spotkaliście kiedyś na ulicy uśmiechającego się beztrąsko człowieka w nieokreślonym lub sędziwym wieku, stąpającego chwiejnym krokiem, ale z dumnie podniesioną głową, otoczonego gromadą wścibskich dzieciaków, zuchwale naigrywających się z jego śmiesznego ubrania.

Może on wyglądać na przykład tak: na głowie - wysoki kapelusz, z kogucimi i gęsimi piórami, z rondem ozdobionym kokardą wojskową, papierkiem od karmelka i gwiazdką z choinki; surdut, ledwo spięty na samotnie sterczący guzik, upstrzony strzępkami kolorowych wstążek, kokardami i własnego wyrobu orderami, z których najbardziej zaszczytne, okazałe i ważne oblepione są złotym papierem. W ręce pomyleńca - laska ze złotą gałką lub złamana parasolka, przepasana blaszaną obrączką.

To jest król, Napoleon, Budda, Chrystus, Tamerlan... - co kto chce. T r i u m f u j e s z a l e Ń s t w o m ó z g u, t r a w i o n e g o n i s z c z y c i e l s k i m o g n i e m. W oczach - wyraz upojenia wielkością, na nogach - strzępy obuwia; w duszy - trony i królestwa. Jeśli przemówicie do tego „wielkiego” człowieka - obrzuci was spojrzeniem, od którego dusza ucieka w pięty. Zapalasz papierosa, a on widzi cię klęczącego; kiedy mówi, rzuca się, wykrzykuje władczo: „Tak! Nie! Ja! Ty! Milczeć!” i wydaje mu się, że te historyczne okrzyki przejmują grozą cały świat.

Na taką oto straszną i potworną chorobę, tym bardziej straszną, że chwilami miałem przebłyski świadomości, chorowałem dwa lata temu, w najszcześniejszym okresie mego życia: małżeństwo z miłości, wesołe i dobre dzieci oraz złoto, wiele złota w postaci bladożół-

tych monet - spadek po bracie, który wzbogacił się na handlu herbatą.

## II

Początek choroby zatarł się w mojej pamięci. Nigdy nie mogłem później, nie mogę również i teraz odtworzyć tego wolno następującego przypływu pobudliwości, kiedy to stopniowo, lecz wyraźnie zmienia się ocena wrażenia wywieranego przez siebie na otoczeniu. Najlepszym w tym przypadku przykładem może być odwrotność wrażenia muzycznego, wywołanego przez oklepany motyw melodii W sytuacji normalnej daje on na początku wielką przyjemność, słabnącą jednak w miarę powtarzania go i opanowania pamięciowego. Z czasem motyw ten staje się nieznośny i nawet wspomnienie o nim odbiera wszelką ochotę do zaśpiewania go czy zagwizdania.

Natomiast u szaleńca w odniesieniu do samego siebie następuje odwrotny proces: od normalnej oceny własnej osoby - do upojenia się swoją urojoną wielkością.

Nie mogę dokładnie opowiedzieć wszystkiego. Kiedy o tym mówię, ogarnia mnie niepokój. Widzę siebie, niby w lustrze, w groteskowo napuszonej pozie, z pyszałkowatą miną i groźnie nastroszonymi brwiami. Ale to co najważniejsze, n a j w a ż n i e j s z e, muszę opowiedzieć dlatego, że w procesie pisania oddzieliwszy to najważniejsze od mnóstwa przemieszanych z nim momentów całkowitej świadomości, stwarzam między nim a sobą ten konieczny dystans obserwatora, który wie, że nie jest częścią ponurego i smutnego krajobrazu.

Doskonałe samopoczucie, uporczywe myśli o czymś, co przykuło moją uwagę, a także szczególnie rodzaj radosnego podniecenia były dla mnie oznakami zbliżającego się szaleństwa. Jednak zdolność obserwacji samego siebie, powoli zanikając, wkrótce ustąpiła miejsca demonowi Ciemnej Wielkości. W okresach przeblysków świadomości przypominałem sobie wszystko. Rozpacz umysłu, szalejącego w beznadziejnym analizowaniu tego stanu, podobnego do księgi buchalteryjnej, wykazującej bankructwo przedsiębiorstwa, rozpacz gospodarza, który widzi, jak płonie jego dom i dobytek - oto męczarnie, które znosiłem przez trzy i pół roku.

Demon opanował mnie przy pomocy następujących podstępów.

Po pierwsze: świat jest piękny. Wszystko jest na swoim miejscu; wszystko żyje w boskiej harmonii i wszystko jest doniosłe w pewnym tajemniczym sensie, który wyczuwam szóstym zmysłem, ale nie mogę wyrazić go słowami.

Po drugie: jestem od wszystkich mądrzejszy, sprytniejszy, bardziej interesujący, piękniejszy i silniejszy.

Po trzecie: wywieram na ludziach niezwykle głębokie wrażenie, oczarowuję ich, podbijam ich serca. Każdy mój gest, rzucone niedbale spojrzenie, nawet mój oddech otaczają wszystkich zaczarowaną mgłą miłosnego zachwyty; nie mogą oderwać ode mnie oczu, zanikają, roztopiają się w mojej osobowości; oni są dla mnie niczym, ja dla nich - wszystkim.

Po czwarte: jestem władcą, imperatorem nieznanego kraju, prorokiem lub strasznym tyranem. Grożą mi niezliczone niebezpieczeństwa; strzegą mnie mordercy, mieszkam we wspaniałych pałacach, przechodzę tajnymi lochami. Kochają mnie wszystkie najpiękniejsze kobiety świata.

Po piąte: wzniesiono mi pomnik. Ten pomnik to ja, a ja - to ten pomnik. Poczucie życia i ruchu nie pozwala mi pozostawać na piedestale, a poczucie kamiennej posągowości zmusza mnie do chodzenia.

### III

Teraz, w pełni odtwarzając wydarzenie z l i n ą i to wszystko, co się z nim wiąże, opiszę fakty zaistniałe na skutek mojej choroby. Będę się sobie przyglądał jakby z boku. To jest konieczne.

Szedłem po bulwarze. Był krótki kwietniowy dzień. Białe balkony, żółte płyty chodnika i błękitna rzeka z przerzuconymi, w dali wyraźnie rysującymi się mostami wydawały mi się, w pompatycznej surowości mojego stosunku do wszystkich blasków życia, nieśmiałym pochlebstwem pokonanych wobec niepokromionego zwycięzcy. Moja misja - zbawienia świata; moje słowa i cnoty Wielkiego Proroka stoją bez porównania wyżej niż pokusy niedoskonałego ludzkiego widzenia, ponieważ moje drugie, prorocze widzenie odkrywało „rzeczy same w sobie” - wstrząsającą tajemnicę wszechświata.

Urodziłem się w Syrii trzy tysiące lat temu. Jestem nieśmiertelny i wszechobecny. Nigdy nie umierałem i nie umrę. Moje imię - Amiwelechus. Moje objawienie - dobroczynne czynienie zła. Posiadam zdolności przeobrażania się i potrafię latać, jeśli tego wymagają okoliczności.

Byłem głodny i wszedłem do baru.

Niskie, długie pomieszczenie było przedzielone pośrodku wąską, przylegającą do ścian i sufitu arkadą. Dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności myślałem, że to lustro. Stolik, przy którym siedziałem twarzą do arkady, taki sam jak inne stoliki, był umieszczony symetrycznie naprzeciwko stolika stojącego za arkadą. Przy tamtym stoliku, ustawionym w tej samej odległości od arkady co mój stolik, tak samo podparłszy twarz rękami, siedział mój sobowtór. Spojrzałem w urojone lustro i ze zdumieniem zauważyłem, że moje odbicie wstało. Nagle spostrzegłem, że nieznajomy, strasznie do mnie podobny, jest inaczej niż ja ubrany. Iluzja lustra znikła.

Człowiek ten wstał, przeciął, uważnie mi się przyglądając, prawie pustą salę i usiadł przy oknie poza polem mojego widzenia, toteż, chcąc mu się przyjrzeć, musiałem odrywać się od jedzenia i odwracać głowę. Czekałem podniecony. Wiedziałem, kim był ten z moim spojrzeniem i moją twarzą. To był on, książę tego świata, wieczny i znieawidzony wróg.

Zjadłem to co podał mi obserwujący teraz z daleka moje ruchy kelner o głupim i naprężonym wyrazie twarzy i zdecydowanie zwróciłem się do niego. Pragnąłem natychmiastowego starcia, walki tajemniczych sił i triumfu Ducha.

- Jesteś tchórzem! - powiedziałem głośno, uderzając pięścią w stół.

W czasie całej naszej rozmowy, rozpoczętej tak głośno, a zakończonej półgłosem - ponieważ dotyczyła ona sił nadprzyrodzonych - w kątach sali i za ladą bufetu widziałem obrzydliwie wykrzywione twarze. Ludzie rozmawiali szeptem, mrugali do siebie, pokazywali nas palcami i kiwali głowami. Byłem przekonany, że są obłąkani, nie zwracałem więc na ten nędzny motłoch szczególnej uwagi. Cała siła mojego podniecenia skupiła się na nim. Powtarzałem:

- Jesteś tchórzem!

On milczał, uśmiechając się zagadkowo, jakby miał zamiar ukryć przede mną swoją prawdziwą istotę, potem wstał i przysiadł się do mojego stolika. Zachowywał się niezbyt skromnie, a jego pozy, ruchy, uśmiech i spojrzenia świadczyły o wielkiej obłudzie. Wpatrywałem się w jego uważne źrenice i czytałem w nich: wydawało się, że ich czarny blask zionął rudym ogniem piekła. Jednak cała moja prorocza przenikliwość wpadła w pułapkę mściwskiego planu, który wymyślił ten Dwulicowy.

- To zdumiewające - zaczął on - nadzwyczaj zdumiewające, jak jesteśmy do siebie podobni, szanowny panie. Czy mogę zapytać, kim pan jest i jak się pan nazywa.

Wahałem się przez chwilę: zerwać z niego maskę czy udawać naiwnego? Po rozwadze

postanowiłem być sobą i w stosunku do niego zachowywać się z pozorną ufnością, aby okazać wrogowi pogardę, którą mogłem zmanifestować w ten właśnie szyderczy sposób.

Powiedziałem:

- Nadzwyczaj, nadzwyczaj zdumiewające. Nazywam się Amiwelechus. Pan, oczywiście, nie wie o tym. Skąd by mógł pan mieć jakiegokolwiek o mnie wiadomości? Nasz kraj jest pustynny, to kraj westchnień, a ja jestem wysłany przez Proroka Proroków, aby czynić zbawienne zło. A pan?

- Ja jestem Marcz. Linoskoczek. Marcz.

W rozmowie ze mną był służalczy, ale w słowie „Marcz” dźwięczała duma zawodowa. Wszystko to bardzo mnie bawiło. Diabeł na ziemi musi mieć zawód! Do zawodowca ludzie mają znacznie więcej zaufania niż do człowieka, który na zadawane mu pytania, kim jest, odpowiada niezdecydowanie: „Ja... właściwie... wie pan...” - i temu podobne.

- A więc?

- Szczera prawda. Zarabiam na chleb bardzo trudną sztuką.

- Wiem - powiedziałem. - Pan zjawia się nad tłumem w jedwabnym złocistym kostiumie. W rękach trzyma pan drążek. Biega pan w przód i w tył po mocno naciągniętej linie; przysiada pan i tańczy w chwalebny cel pokazania widzom, że nie jest to takie łatwe, jakby się zdawało.

- Szczera prawda, panie Amiwelechusie. To bardzo wyczerpujące. Kiedy byłem młodszy, łatwo mi się udawały takie rzeczy, jak przejście przez Niagarę lub podskakiwanie na jednej nodze. A teraz już nie to. Szkoda, że pan, wielce szanowany panie Amiwelechusie, ma o naszym rzemiośle mgliste wyobrażenie. Rzemiosło to jest bardzo trudne i niebezpieczne. Pan, na przykład... ho, ho! Mówię, że gdyby pan... spróbował... Ale nawet strach pomyśleć. Nie, nie, ja mam miękkie serce. Na samą myśl o tym co pan sobie w tej chwili wyobraża... Aż mi się zakręciło w głowie... tfu! Jakie czasami bywają zabawne pomysły!

- Marcz! - powiedziałem sugestyniwnie. - Widzę, jak drży i skręca się twoja dusza. Ukryj ją!

- A to ci historia! - roześmiał się Marcz. - Zabił mi pan ówieka! Ale czy przed panem można cokolwiek ukryć? Pan widzi człowieka na wylot!

- A! Boisz się?!

- Boję się, strasznie się boję, panie Amiwelechusie. Wie pan, chodzi o to, że ja mam wyobraźnię. Wyobraźnia to moje nieszczęście. Ona mnie zadręcza, panie Amiwelechusie, szczególnie wtedy, kiedy chodzę po linie. Idę sobie, a ona mówi do mnie: „Marcz, twoja lewa noga pośliznęła się...” I muszę mocno stać na tej nodze. Noga się męczy, zaczyna drzeć. Znowu słyszę głos: „Marcz, tracisz równowagę... przechylasz się... spadasz... twoje ciało znajduje się trzy stopy nad ziemią, stopę, cal... bach!” Robi mi się wtedy bardzo zimno, panie Amiwelechusie, pot spływa mi po twarzy, drążek staje się coraz cięższy, lina wymyka mi się spod nóg. Znajduję się na wysokości zegara na wieży bazyliki i widzę, że wskazówki zatrzymały się. Muszę jeszcze przez pół godziny zabawić publiczność, a wskazówki nie poruszają się... Ach! Oto co może zdziałać ta diabelska wyobraźnia!

- Aż do tego stopnia? - zapytałem. - Oczywiście, żartujesz, bojaźliwy Marczu! Ale mogę zaradzić twojemu nieszczęściu. Rozkazuję: pożegnaj się z wyobraźnią!

- Gotowe! - wykrzyknął, podniósłszy z wyrazem niezwykłego zdumienia takie same, jak moje, ciemne oczy w górę. — Acha! Właśnie odleciała... moja wyobraźnia... taki mglisty obłoczek. Zostało jej trochę... ale bardzo niewiele...

Jego udawanie stawało się coraz wstrętniejsze. Zacierał ręce i uśmiechał się przymilnie. Uważnie wpatrywał się w moją twarz i stroił miny jak sprzedajna kobieta.

- Dzisiaj o trzeciej po południu - ciągnął, znacząco zniżywszy głos - występuję na placu Błękitnego Bractwa w swoim zwykłym programie. W czasie występu będę myślał o panu, tylko o panu, drogi mistrzu Amiwelechusie. Szczycę się tym, że jestem choć trochę podobny

do pana - czyżbym śmiał być zupełnie podobny? - że los obdarzył mnie wielkim szczęściem, stworzywszy mnie jakby na obraz i podobieństwo pańskiej wzniosłej osobowości! O, ja uwielbiam pana! Pańskie życie jest drogocenne! Na samą myśl o tym, że jakimś cudem mógłby się pan znaleźć na moim miejscu, nie mając żadnego pojęcia o tym, jak należy zachowywać się na linie... że pan się chwieje, spada... coś strasznego! Oto resztki mojej wyobraźni. Ale niech Bóg pana zachowa! Oby nigdy niedorzeczna myśl...

Powstrzymałem go gestem, od którego zdrżeli w swoich pokrytych kurzem grobowcach królowie egipscy. On kusił mnie. On stawał żelazną piętą swego ciemnego ducha na jasnym skrzydle mojego posłannictwa... Przyjąłem więc wezwanie z królewską wielkodusznością kwiatu, rozpusznie rozsiewającego swój aromat w zachłannym eterze.

- Marcz! - przemówiłem cicho. - Na nasz niewidzialny pojedynek patrzy ginący wszechświat. Tak trzeba i niech tak się stanie! Ja a nie ty, ja dzisiaj po południu o godzinie trzeciej zjawię się na placu Błękitnego Bractwa i zastąpię cię w sztuce twego żałosnego zawodu!

- Ale...

- Ani słowa. Ani słowa, Marcz!

- Ja...

- Milcz! Cicho!

- Pan...

- Słuchaj, czy nie uważasz, że tajemnica tej niezwyklej walki jest święta? Zamilcz! Kiedy mówi Amiwelechus, milknie wszystko, co żyje. Chodźmy!

Zapadło milczenie. Za bufetową ladą siedziały trzy koboldy - świta znienawidzonego Marcza. Słyszałem, jak w jego duszy rechotała podła, krzykliwa radość. Jeśli chodzi o mnie, to przeżywałem coś w rodzaju przeczucia nadciągającego gromu i wspaniałego triumfu. Wiedziałem, że zniszczę swego ciemnego sobowtóra. Widziałem nawet jego pełen rozpaczny lot w otchłań, z której przybył. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Łączył nas fatalny węzeł wzajemnego zrozumienia. Potem Marcz mrugnął do mnie tajemniczo, wstał i wyszedł. Ja, nie śpiesząc się, poszedłem za nim.

## IV

Kiedy ocknąłem się z długotrwałych rozmyślań, w czasie których absolutnie nie docierało do mnie i nie mogło docierać to, co mówię i robię i co mówił Marcz, zobaczyłem, że znajduję się w ogromnym płóciennym namiocie i stoję obok stołu, na którym leżał wyszywany złotem aksamitny kostium Marcza. Na wpół podniesiona zasłona przy wejściu pozwalała widzieć część placu, wypełnionego czarną masą ludzi. Niewyraźny, gorączkowy gwar przedostawał się do namiotu. Widziałem również dolną część słupów, między którymi była przeciągnięta lina; dalszy słup wydawał się nie grubszy niż ołówek, a bliższy, wbity prawie przy samym namiocie, był grubości masztu. Przystawiona do niego drabina rzucała nań cień; między drabiną i słupem, wśród kamieni, zieleniła się trawa. Pamiętam, że uderzyła mnie ta prostota powszedniego zjawiska; trawa, kamienie. Nie dłużej jak na moment ogarnęła mnie wielka nuda. Gdyby nie było przy mnie Marcza, możliwe, że byłbym oprzytomniał i zaniechał swego zamiaru. Przypomniałem sobie, że jest on diabłem, i natychmiast wewnętrzny, niewytłumaczalny atak szaleństwa rzucił mnie znowu w krąg fałszywego olśnienia.

Plan Marcza jako kusiciela był jasny. Wiedząc, że jestem nieśmiertelny, ten szczwany lis miał nadzieję - o, nędznik! - że będzie świadkiem mego poniżenia, kiedy ja, według jego złośliwych obliczeń, pod wpływem siły jego zaklęć, spadnę z wysokości piątego piętra. Bynajmniej nie miałem wątpliwości, że w ten właśnie sposób mój odwieczny wróg miał zamiar

zagrabić laury zwycięzcy. Wiedziałem jednak, że nie tylko po linie, ale i po wzburzonym morzu mogę przejść z lekkością nimfy, nie zamoczywszy nóg. Dlatego umierałem z niecierpliwości, żeby jak najszybciej za pomocą swojej władzy nad posłuszną materią zwyciężyć demona. Spojrzałem na Marcza z miną, należy przypuszczać, niezbyt uprzejmą i zacząłem się rozbiierać tak gwałtownie, że oberwałem kilka guzików.

Naturalnie, zachowywałem się jak zawodowy linoskoczek. Chociaż Marcz pomagał mi w ubieraniu się, czułem, że mógłbym doskonale dać sobie radę bez niego. Włożyłem na siebie trykot cielistego koloru, krótkie spodnie z niebieskiego aksamitu z tak wielką ilością ozdób, że wyglądałem jak czarodziejski ptak. Na głowie miałem pluszowy kapelusz z białym piórem.

Gdy tylko Marcz próbował udzielać mi rad co do trzymania równowagi lub dawał jakieś inne wskazówki, natychmiast mu przerywałem, mówiąc, że wszystkie te instrukcje zlekceważyłaby nawet papuga siedząca na drążku, a co dopiero ja, głoszący chwałę Ducha. Stałem przed lustrem i podparłem się pod boki. Następnie zacząłem wywijać po kolei obydwoma nogami, zachwycając się ich kształtem i sprężystością. Przesławszy ruchem ręki ironiczne pozdrowienie Marczowi, który patrzył na mnie - oczywiście udając - z bezgranicznym uwielbieniem, wyszedłem z podniesioną głową z namiotu i rozejrzałem się.

Ha! Zgiełk i wrzawa! Zabiliły się podniesione w oklaskach dłonie tłumu. Jak się macie, nędzni łowcy głów! Skinałem ręką i zacząłem wspinać się po drabinie.

Z chwilą kiedy wyszedłem, ogarnął mnie nagle porywający, jak gwałtowna fala, rodzaj nerwowego stężenia, które wypełniało całą otaczającą mnie przestrzeń. Miałem wrażenie, jakbym się poruszał w zagęszczonym powietrzu w stanie nieważkości, będąc częścią środowiska jednolicie zwartej i naprężonej do tego stopnia, że nieuchwytnie szybkie wibracje - czułem to w sposób wstrząsający - przenikały mnie od nóg do głowy porywistymi falami. Byłem lekki jak we śnie, kiedy nie odczuwa się ciężenia i wysiłku mięśni. Wiedziałem, że tylko udaję wspinaczkę w górę, markując stapanie nóg po szczeblach drabiny. Popychało mnie do ruchu samo pragnienie ruchu. Nie czułem i nie doświadczałem wysiłku. Mogłem w tym lub jakimś innym tempie wejść po drabinie na Księżyc, nie odczuwając żadnego zmęczenia. Ten stan i to, co wydarzyło się potem, można wytłumaczyć jedynie wyjątkowym szaleństwem.

Wspinając się z podnoszącym się razem ze mną, zastygłym w uszach zgiełkiem tłumu, przyglądałem się widowni pełnej ludzi. Owal tej widowni przecinała napięta między słupami lina. Znajdowałem się między niebem a ziemią i byłem związany z widzami tym właśnie nerwowym stężeniem przestrzeni, o którym wspominałem wyżej. Nie umiem wyjaśnić, jak reagowałem na prądy, podobne do elektrycznych, które przenikały mnie nieustannie silnymi falami i stwarzały jakby coś pośredniego, między nastrojem, dającym się wyrazić słowami, a wyraźnym domysłem, potwierdzonym wyostrzoną intuicją. Odczuwanie tych prądów uważałem za prorocze jasnovidzenie. Najłatwiej wytłumaczę to prostymi słowami, ponieważ nie znajdę w języku ludzkim słów, które byłyby zdolne wyrazić najtajniejsze drgnienia naszej duszy.

Odczuwam, co następuje:

Wyszedł z namiotu.

Zbliża się do drabiny.

Wspina się po drabinie.

Kontynuuje zręczną wspinaczkę.

Wkrótce stanie na linie.

Wszystkim tym postępkom towarzyszył niezmienny nastrój, a mianowicie pewność - poważna, niezachwiana pewność, że ja, Marcz, doskonały linoskoczek, wyszedłem z namiotu i robię absolutnie bezbłędnie wszystko, co trzeba, po to, żeby przeprowadzić szereg doświadczeń z zakresu równowagi. Byłem patentowanym szaleńcem, ale nie w takim stopniu, żeby w tych wyjątkowych okolicznościach nie kontrolować pewną utajoną, choć słabą, ale zdrową



częścią duszy, osobliwego działania, na które wpływało płynące z zewnątrz poczucie pewności. Wyobraźmy sobie człowieka ze związanymi rękami i nogami, który nie wie, kiedy zostanie wyswobodzony, wyobraźmy sobie następnie, że powrozy krępujące jego ciało cudownie się rozluźniają z niespodziewaną, czarującą powolnością, że uszczęśliwiony człowiek próbując poruszać członkami, rzeczywiście porusza się, wstaje, chodzi, podskakuje. Przykład ten przybliży nam obraz prawdy moich doznań, z tym, że ja nigdy nie wątpiłem w moje pokrewieństwo ze wszystkim, co cudowne i niezwykle.

Wdrapawszy się na górę, usiadłem w przymocowanym do słupa drewnianym fotelu, a nogi postawiłem na grubej, błyszczącej linie, ciągnącej się wygiętą linią od moich stóp do przeciwległego słupa, na którym umieszczona była kolorowa chorągiewka. Za moją głową powiewała na wietrze druga chorągiewka, dotykając od czasu do czasu mojej twarzy. I ta bliskość przedmiotu, z którym wiązało się pojęcie wysokości, przedmiotu użytego zgodnie z jego przeznaczeniem, była dla mnie czymś więcej niż wrażeniem wzrokowym, wzbudziła we mnie tego rodzaju poczucie wysokości, które równocześnie hipnotyzuje, mąci w głowie i podnieca; podobne jest do oczekiwania na wystrzał. Siedziałem wysoko, nad zebraniem w dole tłumem, a przede mną leżał w poprzek na linie specjalnie umocowany długi, ciężki drążek, konieczny dla utrzymania równowagi.

Przesłałem widzom całusa. W odpowiedzi usłyszałem wrzask i oklaski. O, gdyby wiedzieli, kim jestem! Zresztą miałem zamiar nieco później zejść do nich z liny przez powietrze. Wszystkie problemy miało rozstrzygnąć właśnie to cudowne zejście wysłannika niebios. Postanowiłem uczynić cud.

Uśmiechnąłem się radośnie, ponieważ moje zwycięstwo było oczywiste. Ująłem drążek (do określonej chwili we wszystkim powinienem być być Marczem) i z ostatniego stałego punktu wstąpiłem na chwiejną linę. Przez chwilę stałem bez ruchu nad ziejącą pode mną głębią z uczuciem osłupienia i pustki. Potem ruszyłem przed siebie i zacząłem iść po linie.

## V

I tak szedłem i szedłem. Wysiłek mój był równy wysiłkowi, z jakim przechodzi po szerokiej kładce człowiek normalnie zdolny do chodzenia. Orkiestra zagrała marsza. Stawiałem nogi w takt muzyki, balansując drążkiem raczej dla zabawy niż z konieczności, ponieważ po chwilowym wrażeniu nagłej pustki poczułem się poza normalnym niebezpieczeństwem. **N o r m a l n i e** powinienem był osłupieć, stracić panowanie nad sobą, zachwiać się, z rozpaczy runąć w dół, nie próbując nawet uchwycić się liny. **P o z a** normą byłem nadzwyczaj pewny siebie i niezachwiany, bez cienia lęku, bez zawrotu głowy. Znajdowałem się w dalszym ciągu w kręgu silnych prądów, którymi promieniował ogromny tłum ludzi. Ich niewidzialna siła była równa sile działania fizycznego. Poruszałem się w absolutnie pochłaniającym moją cielesną świadomość przekonaniu, że jestem Marczem i chodzę swobodnie i bezpiecznie dopóty, dopóki będę miał na to ochotę.

Rozumie się, że ani przez chwilę nie zajmowałem się wtedy szczegółową analizą własnych wrażeń. Odtworzyłem je i określiłem już potem. Myślałem przede wszystkim o zhańbieniu Marcza, o tych męczarniach, jakie będzie musiał znieść, widząc, że jego nadzieje na moją niechybną śmierć spełzły na niczym, jak również o tym, że rozkosz władzy duchowej w połączeniu z dźwiękami marsza, który na dole grała orkiestra, to szczyt ekstazy, na który może wznieść się człowiek.

Za każdym krokiem moje nogi, zgodnie z prawem powszechnego ciężenia, znajdowały się w szczycie kąta rozwartego, który tworzyła lina. Na każde moje stąpienie lina reagowała kołysaniem się i biegnącym przez całą jej długość falującym drganiem; szedłem niby po

grubej warstwie siana. Stopniowo, kiedy zbliżałem się do połowy drogi, lina huśtała się coraz silniej i szerzej. Przy prawie całkowitym zaniku świadomości fizycznej, przy machinalności moich ruchów, wywierało to na mnie dziwne wrażenie. Wydawało mi się, że między mną a liną nie ma żadnego związku, oprócz zwodnego podobieństwa wzajemnej zależności, że lina w tajemniczy sposób naśladuje moje ruchy i posuwa się za mną. Gdybym zechciał, mógłbym z powodzeniem kroczyć nad nią, zmuszając ją do takiego samego falowania i mógłbym tak samo patrzeć na dół, jak to czynię idąc po niej.

Tylko co powziąłem zamiar przeprowadzenia tego doświadczenia - doświadczenia polegającego na definitywnej pogardzie wobec wszelkich punktów oporu, kiedy szybko, ale niezauważalnie musiałem przejść do rozpatrywania nowych, bardzo ważnych i konkretnych odkryć - komplikacji, które zaistniały w jednakowo płynących dotychczas prądach. Mógłbym nawet określić, skąd, z którego miejsca w tłumie biegną prądy o nowej wartości. Pozostałe prądy płynęły do mnie od całego kręgu widzów; czasami tylko nieznacznie, drżące falowania tworzyły z przestrzeni, dzielącej mnie od tłumu, zagęszczenia, podobne do punktów krzyżowania się smug światła reflektorów.

Początkowo zaczęło do mnie docierać coś w rodzaju pokasływań, równomiernych i przygłuszających jak werbel, co, wytěżając uwagę, tłumaczyłem sobie nieświadomie w ten sposób: „To akrobata Marcz, Marcz, który czuje się na linie jak we własnym domu. Oto patrzymy na niego. Akrobaci, powiadają ludzie (my powiadamy, wszyscy powiadają), dokażują czasami cudów zręczności. Nagle nawiedziło mnie oszałamiające pragnienie: ujrzeć cud zręczności! Ale ten Marcz widocznie nie jest z tych cudotwórców. On chodzi po linie; po prostu chodzi. I co dalej? Dla nas to za mało. Niech stanie na głowie i fiknie koziołka. Wielka mi rzecz - zwykłe chodzenie po linie. Nie próbowałem chodzić po linie, ale być może spróbuję. Tak. A nuż okaże się, że to zupełnie łatwe? Z pewnością jest to sprawa niezbyt skomplikowana. Oto idzie sobie, po prostu idzie wysoko nad ziemią, trzymając w ręku drążek. On idzie, a my przyglądamy się (nudy!), jak idzie, jak będzie szedł”.

Ten cudzy idiotyzm zmusił mnie do wytěżenia uwagi. Miałem się na baczności. Stygłem, zacząłem stygnąć jak wrzątek, który przestaje kipieć, kiedy zamiesza się go łyżką. Rozejrzałem się. Znajdowałem się na poziomie dachów. Dachy wyglądały bardzo głupio. Ich wystające okienka na poddaszach ziewały jak bezzębne usta. Na dole biegał w tę i z powrotem kudłaty piesek. Przypomniałem sobie, że ja również miałem foksterierka, i zdziwiłem się. Po co właściwie Amiwelechusowi potrzebny jest foksterier? Kim ja właściwie jestem? Jestem Amiwelechusem, to...

Nagle w to nieznośne pokasływanie wdarł się cichy, radosny okrzyk, który mnie ubawił.

- Bardzo nam przyjemnie i jesteśmy wdzięczni. Niech pan sobie chodzi na zdrowie po tej linie! Przyjemnie oglądać zręcznych ludzi!

Nie mogłem szybko myśleć. Uwaga moja była przykuta do tego, co działo się w mojej duszy, w której mieszały się i zwalczały wzajemnie wszystkie chęci i przejawy woli. Zaczynało mi to przeszkadzać w chodzeniu. Zbliżałem się do drugiego słupa, ale gdy znalazłem się w odległości od niego nie większej niż dwadzieścia stóp, zatrzymałem się. Czułem się muszką, która wpada do czyjegoś wielkiego, nieruchomo patrzącego oka, sam ogień wzroku, podczas gdy powinienem był ukrywać w sobie wszystko widzialne i niewidzialne. Postanowiłem natychmiast zejść po powietrzu do widzów, zrzucając nędzną maskę linoskoczka. Marcz nie mógł mieć do mnie pretensji, ponieważ według mego zdania, w sposób dostateczny udowodniłem mu, że nasze dalsze zmagania są już zbyteczne. Należy przypuszczać, że chodzenie po powietrzu pognębiłoby ostatecznie mojego lekkomyślnego przeciwnika.

Rozmyślając o tym, równocześnie zwróciłem uwagę na zamieszanie, które wybuchło po

mojej lewej stronie, za tłumem. Biegała tam grupka ludzi, pośrodku której rzucał się złapany za kołnierz człowiek w cylindrze. Rozlegały się okrzyki: „Oszust! Złodziej! Ja ci pokażę! Policja!” itp. Prawdopodobnie złapano kieszonkowca. Czy dlatego, że to banalne wydarzenie zrodziło we mnie szereg myśli natury praktycznej, wyzwolonych pod wpływem czyjegoś przeraźliwego wrzasku, czy też mój system nerwowy przeciążony szaleństwem do ostateczności czekał w napięciu na najmniejszy ruch, aby wyrwać się z niewoli obłądu, wyrzucić z siebie truciznę - dosyć, że poczułem, jak moje wewnętrzne odruchy, ich burzliwe błyski, ustały. Moja świadomość przejaśniła się. Mnogość skojarzeń, związanych z pojęciem złodziejstwa o charakterze czysto ziemskim, łącznie z rozmyślaniami nad wychowawczą rolą więzień, natychmiast opanowała mój mózg i zerwała z wielkimi tajemnicami Amiwelechusa, które przestały istnieć. Stałem w dalszym ciągu na linie z drażkiem w zmęczonych rękach i mimo upału przeniknął mnie ciepki dreszcz. Wstrząśnięty, wróciłem do rzeczywistości. Moje wizje zbladły i uleciały jak czarodziejski pejzaż na kurtynie teatralnej podniesionej w górę. Teraz ukazałem się sobie ja sam - ja, lunatyk, przebudzony na gzymsie dachu, ja - urzędnik Izby Handlowej, Benjamin Foss, nad groźnie rozprzestrzeniającą się przestrzenią powietrzną, w kostiumie linoskoczka, oszołomiony, pełen rozpacz.

Już od dłuższej chwili (rozumie się, że pojęcie chwili i czasu jest tutaj bardzo umowne) działał na mnie zabójczo zimny prąd idący z tłumy, który pragnął mojej śmierci. Czułem, że to pragnienie ciągnie mnie w dół. Zaczęło się to po cichu i skrycie, jak zapalenie zapalki przez podpalacza, który boi się, żeby go nikt nie zobaczył. Ci ludzie nie chcieli pragnąć mojej śmierci. Swoje czarne myśli traktowali jako niewinną zabawę. Jednakże to pragnienie było silniejsze od humanistycznych zasad. Zapuszczając korzenie, umacniało się na podatnym gruncie dusz z siłą pożądania. Pragnienie to działało zaraźliwie na wszystkich zespolonych i skupionych na jednym drażniącym punkcie - na mnie, który mogłem stracić równowagę. Odczytywałem ich pragnienia:

„Dlaczego nie spadasz? Wszyscy tego chcemy. W zasadzie, wszyscy zjawiliśmy się tutaj po to, aby zobaczyć, czy przypadkiem nie spadniesz z liny. My wszyscy możemy spaść z liny, ale ty nie spadasz, a powinieneś spaść. Występujesz przeciwko wszystkim. Chcemy widzieć cię na ziemi, we krwi, oddającego ostatnie tchnienie. Powinieneś zachwiać się, przewrócić i runąć. Będziemy stać i patrzeć z nadzieją. Pragniemy silnego przeżycia wywołanego twoim upadkiem. Jeśli zwyciężysz nasze pragnienia i nie spadniesz, będziemy wciąż myśleć, że może kiedyś ktoś jednak spadnie w naszej obecności. Spadaj! Spadaj! Spadaj! No, dalej... no! Spadaj, nie chodź! Spadaj!”

Te straszne nawoływania docierały do mnie jak przez mgłę. Rzeczywiście, chwiałem się. Drażek szaleńczo skakał w moich rękach. Każdy, wydawałoby się, celowy wysiłek wywoływał nieopisane falowanie liny. Myślałem, że plecy i nogi pękną mi z napięcia. Wypełniony tłumem plac wirował i tańczył mi przed oczami, na ziemię waliło się niebo, a rozpalone słońce buchało płomieniem tuż przy mojej twarzy.

- Ratunku! Ratunku! - krzyknąłem.

Co było dalej, nie wszystko pamiętam. Wypuściłem z rąk drażek, który przeciął powietrze, następnie zgąłem się, uczepiłem liny i zawisłem, drżąc z przerażenia. Lina silnie szarpnięta rozhuśtała się gwałtownie i wrzynała się w moje ręce. Krzycząc i rozpaczliwie wyobrażając sobie swoją bezsensowną śmierć, broniłem się przed upadkiem. Wreszcie poczułem coś przypominającego brutalne, z użyciem czyjejs przemocą, rozwarcie palców. Było to bardzo bolesne. Wypuściłem linę z rąk z uczuciem szybkiego lotu w górę. Straciłem przytomność.

Upadłem na siatkę. Pomocnicy Marcza zdążyli na czas rozciągnąć ją pode mną. Zamieszanie, jakie się wytworzyło po tym nieszczęsnym wydarzeniu, sprawiło mi wiele nieprzyjemności. Marcz ukrył się. Przez dwa dni tłumaczyłem sędziom śledczym i dziennikarzom, że będąc Fossem, nie mogę być Marczem. W końcu zidentyfikowano moją tożsamość, potwier-

dzoną znakami szczególnymi i zeznaniami mojej rodziny. Ustalono jednak, że nawet przy uważnym przyjrzeniu mi się jestem uderzająco podobny do Marcza, nie wyłączając głosu i charakterystycznych ruchów.

Tłumaczyłem, że moja przygoda to kaprys i fantazja pod wpływem alkoholu, a chodzenie po linie ćwiczyłem w młodości... Czyżby? Możliwe, że to pytanie zadawało sobie w myśli wielu moich znajomych. Ale któż im na to odpowie? Prawda odeszła razem z moją chorobą, która tam, na linie, opuściła mnie na zawsze. Nie doznawałem nawet najlżejszych nawrotów. Mania wielkości uleciała bezpowrotnie. Tylko, kiedy w mojej obecności ktoś wymawia imię jakiegoś wielkiego człowieka, zawsze słyszę wtedy - „Spadaj!” A poza tym bardzo lubię ludzi.

Odnaleziony Marcz wyjaśnił przyczyny swego awanturniczego postępu. Jego życie ubezpieczone było na dużą sumę pieniędzy, a niebezpieczeństwo, wynikające z nieustannych szantaży, którymi nękał bogate rozhisteryzowane damy, zmuszało go do zatroszczenia się o własną skórę. Namówiwszy uległego szaleńca, tak bardzo podobnego do niego, do występu na linie, Marcz miał nadzieję, że po niechybnej według jego obliczeń, mojej śmierci po pierwszym postawionym kroku na linie, jego żona otrzyma pokaźne odszkodowanie, a on sam po pogrzebie „Fossa-Marcza” rozpocznie życie „pozagrobowe” pod innym nazwiskiem.

Tego człowieka wspominam z wdzięcznością. Co dzień piję za jego zdrowie. Uratował mnie. Jego portret możecie znaleźć w „Almanachu artystów cyrku” z roku tysiąc dziewięćset trzynastego. Nie ma w nim nic diabelskiego.

*Marta Tywonek*

## **ZABÓJSTWO W KUNST-FISZE**

... Zaszły tego rodzaju rzeczy, że najętsze umysły muszą tracić czas niepotrzebnie, a w każdym bądź razie - nadawać im charakter mglisty i nieokreślony, inaczej bowiem niepodobna rozmyślać o wydarzeniu na przedmieściu Kunst-Fisze. Moim zdaniem - a miałem wtedy oko przenikliwe - należało oczekiwać triumfu śledztwa sądowego. Z tego słusznie można wnioskować, że na ogół myślałem normalnie; tylko nieuchwytny strach gnał mnie z miejsca na miejsce, zewsząd, gdzie dopadała mnie mania prześladowcza. Choroba ta jest dość znana; jej symptomy są zbadane i zawsze jednakie, toteż proponuję, by czytelnik ujrzał mnie od razu, kiedy kryję się pośród krzewów we wspaniałych parkach Kunst-Fisze lub przełazę przez ogrodzenie z uczuciem śmiertelnego niebezpieczeństwa, zaciskającego swój czarny krąg na wszystkich drogach, po których stapałem. Nie było go - tego niebezpieczeństwa, podobnie jak i mnie nie starczyło opanowania i rozsądku, by skończyć z samoudręką.

Kiedy księżyc zaszedł, poczułem się lepiej; ciemność daje gwarancję jednakowo ważne dla złoczyńców jak i dla ofiar.

Znajdowałem się w owej chwili pod murem oplecionym winoroślą. Wokół - aleje, których położenie i kierunek wyznaczała ledwie widoczna w mroku biel posągów i ławek. Nie wiedziałem, do kogo należał ten park, nie potrafiłem także odtworzyć kolejności wypadków, które mnie tu rzuciły, pamiętałem tylko z uczuciem goryczy i wstrętu do życia, że strach, niepojętny strach gnał mnie przez cały dzień z jednego krańca miasta na drugi, że włączyłem się, chowałem, biegałem i kryłem przed nieznanymi wrogami czyhającymi na mnie w tłumie, za węglami budynków i wszędzie tam, gdzie stąpnąć mogła noga człowieka.

Nagle księżyc wyplynał i oświetlił park, wyrwywając mój cień z cieni krzewów. Trzepot-

liwie srebrzyste drzewa stały pośrodku czarnych kręgów. Dymiły polanki. Byłem cały na widoku, dostrzegalny dla wszystkich i dla każdego, kto chciałby wbić nóż lub posłać kulę w moje zdrętwiałe z lęku ciało.

Wtedy gdzieś z bardzo daleka zapiał spokojnie kogut.

Kogóż on przestrzegał? Nie było czasu na rozmyślanie o nierozwiązalnej zagadce jego trzykrotnego krzyku. Zdawało się, że to siły nocy grają w określonych godzinach na jego nerwach. Cóż by powiedział, gdyby mógł przemówić?! Myśl ta, jak szybko wylana struga wody, plusnęła i rozpląnęła się bezkształtnie.

I natychmiast znów ogarnęło mnie przemożne pragnienie - uciekać. Być może, że za murem kryły się nowe okoliczności, nowe zbawienne warunki. Znalazłem skrzynię, stanąłem na niej i przesadziłem mur.

W tym czasie odczuwałem już znużenie, które zmuszało mnie do poszukiwania jakiegoś schronienia. Z nastaniem ranka atak owej manii tracił na sile, mrok wieczoru zaostrzał go, noc dręczyła jak tortura. Wypatrywałem czegoś. co by mogło mnie przygarnąć, jakiejś szczeliny, psiej budy, piwnicy - wszystko jedno, byle tylko znaleźć zapomnienie we śnie, senność zaczynała nękać mnie z siłą nie mniejszą niż strach. Rozejrzawszy się, spostrzegłem w otoczeniu wysokich dębów nieduży dom o tej lekkiej i odznaczającej się płynnymi liniami konstrukcji, która szybko weszła w modę dzięki szczęśliwej ręce Dorna, zabudował on sporo podmiejskich dzielnic tego rodzaju budynkami.

Blask księżycy znów się przyćmił, tak że dom mogłem widzieć tylko częściowo. W świetle wewnętrznego okna ukrytego pod daszkiem rysował się półkolisty taras, wspiąłem się tam dosyć śmiało, stąpając po wytwornych stopniach ujętych balustradą, po której wił się kwitnący, austriacki powój. Ponieważ było już bardzo późno, pewnie około północy, nie spodziewałem się spotkać na trasie ludzi i miałem nadzieję, że rychło znajdę pośród nisz i wewnętrznych galeryjek - albowiem dom ów obfitował w tego rodzaju praktycznie nieużyteczne dodatki - jakiś bezpieczny kąt i ciemność, gdzie mógłbym zasnąć. Szedłem cicho, mijałem właśnie jedyne oświetlone na trasie okno i na mgnienie oka zająrzałem w głąb.

Przy kominku stał, odwrócony do mnie plecami, wysmukły mężczyzna trzymający w podniesionej ręce - jakby zamierzał ugodzić w coś - na co jeszcze nie zwróciłem uwagi - szczypcę z brązu, jakich używa się do podsycania ognia. Po chwili jednak odłożył je spokojnie na bok i odwrócił się.

Idąc za jego wzrokiem, ujrzałem młodą kobietę siedzącą niskim fotelu; nogi miała wyciągnięte, na jej twarzy odchylonej do tyłu malował się uśmiech pełen napięcia i zniecierpliwienia, który, gdy tylko spodziewany cios nie nastąpił, nabrał wyrazu słodyczy i zuchwałości. Wówczas to nieszczelnie domknięte okno pozwoliło mi usłyszeć ich rozmowę.

Najpierw jednak wskażę wam przedmiot, któremu wyłącznie mógł zagrażać cios szczypec - wyłącznie, ponieważ na parapecie kominka niczego poza nim nie było.

Mówię tu o niedużej porcelanowej statuetce wyobrażającej biegnącego samuraja z ręką wspartą na rękojeści szabli. Nie ma potrzeby rozwodzić się nad tym, że Japończycy są w ogóle niedoścignieni w tworzeniu takich pełnych życia arcydzieł.

Żółta twarz z wąskimi, skośnymi oczami i zwisającymi koniuszkami czarnych wąsów, pod którymi pełzał kąśliwy a subtelny azjatycki uśmieszek, tak naturalnie odzwierciedlała groźny gest całego ciała, że chciało się uskoczyć w bok.

Samuraj był odziany w kimono haftowane jedwabiem i złotem. Za kosztownym pasem mocno tkwiły dwie szable. Lewa noga z uniesioną nad pantoflem piętą była wyprężona i znajdowała się akurat w takiej pozycji, jaką widziałem w sztuce *Kurosziwo*, gdy artysta japoński, runawszy, chwytła biegnącego wroga za nogę.

Nic więcej o tej małej statuetce powiedzieć nie mogę uwagę moją zaprzatnęła bowiem krótka i dziwna rozmowa.

- W końcu to przecież dziecinada - powiedział mężczyzna, siadłszy tuż obok tej, która

W dalszym ciągu spoglądała na samuraja z nienawiścią. - Można go stąd sprzątnąć, Eto.

- Nie - kobieta roześmiała się, w śmiechu tym wyczuwało się coś świadomie złego. - On życzył sobie, by podarunek ten stał właśnie tu, w tym salonie. Zwłaszcza, że w jakiś sposób zespolił z nim siebie.

- To znaczy?

- Ach, Boże, niech sobie patrzy, jeśli chcesz, na mnie i na ciebie oczyma tej kukły. On nigdy zresztą nie miał szczęściu do prezentów. Kupuje to, co podoba się jemu, nie mnie.

- Może to właśnie chciał wyrazić?

- I to ty czynisz mi wymówki, Dick? Jakże często sama nie wiem, co robię, zanadto kocham ciebie, a jego nienawidzę. A on szybko, och, jak szybko powróci!

- Nie myśl o tym, Eto. Na razie jesteśmy razem.

- A jednak udało mu się zatruć to „na razie”.

Sięgnęła po torebkę, w której spoczywał list, wygładziła go na kolanie i podniósłszy do oczu zaczęła czytać takim tonem, jakim zazwyczaj czyta się gazety:

*Od pewnego czasu coraz bardziej nękają i trwożą mnie myśli o Tobie. Minął już rok, odkąd się rozstaliśmy. Muszę jednak doprowadzić interesy do końca, od niech zależy nasza przyszłość. Miewam, droga moja, dziwne i straszne sny - że całuje Cię ktoś inny... wybac, to tylko sen... Listy twoje są krótkie i zdradzają nerwowość. Przyjadę za miesiąc. Posyłam Ci starożytną statuetkę samuraja, którą kupiłem na licytacji; posyłam ci ją zamiast siebie, gdyż długo i z nadzieją rychłego spotkania oglądałem tę rzecz świadom, że oczy Twe także na niej spoczną. Nie potrafię jednak wyrazić tego, co czuję. Niechże czuwa nad Tobą i broni Cię wojownik, jakbym ja sam to uczynił.*

- Widzę tylko - powiedział Dick - że mąż twój, Eto, gorąco cię kocha. I bardzo tęskni. Wybac mi mój wybuch i... szcypce.

Patrzyłem ciągle. Tamci wstali, objęli się, a ja ze zmieszanym odstąpiłem od okna, albowiem pocałunek był piękny. Jakkolwiek by ci ludzie postępowali, kochali się przecież. Raptem zgasło światło.

Albo łudził mnie słuch, albo podpowiadało mi to moje naturalne w takich sytuacjach podniecenie, wyczuwałem, jak gdyby szelest, szept, oddechy tych dwojga; wiedziałem, wiedziałem, że są teraz w swym własnym, wszystko negującym świecie. Naraz ową gorącą ciszę zmaćił krzyk, mrozący, rozdzierający duszę wrzask.

Wzdrygnąłem się, poczułem w sobie lód i ogień. Jeszcze teraz po zatrważającym echu wspomnienia, widzę, jak straszny był ten całą swą rozpaczą czepiający się ciemności krzyk istoty walącej się pod nogi przeobrażenia.

Krzyk umilkł, znów się powtórzył, przeszedł w jęk i ucichł. Potem usłyszałem dziwne, suche i twarde dźwięki, jak gdyby zderzanie się metali.

Miałem już dość tego, co przeszedłem przed owym krzykiem, przed ową sceną z tak wstrząsająco ponurym zakończeniem. Nie sądzę, bym dobijał się do drzwi, domyślając się czegoś podczas tych nieprzytomnych sekund. Wyłamałem jednak drzwi.

Posługując się zapalkami, odszukałem kontakt i oświetliłem spokojny wykwiint pokoju, gdzie tuż po pocałunku wybuchnął i zgasł krzyk. Leżeli na krzyż, jedno na drugim. Nie mogłem dłużej patrzeć na tę trzepoczącą się, niemal żywą śmierć, która tonęła we krwi, a jeszcze przed chwilą kwitła różami i ogniem. Wybiegłem w ciemność, lecz gdzie błądziłem i gdzie byłem - nie wiem.

Kiedy rozedniało, obłęd minął; przysięgając sobie po raz tysięczny, że nigdy już więcej nie nadużyję kokainy, drżąc ze zmęczenia i smutku, rozgrzewałem się winem w kawiarni, z której okien widać było rogatki i fermy.

Siedziałem i myślałem o tym wszystkim, co wam tu opowiadam; przypominałem to sobie z całą wyrazistością powtórnego przeżycia, kiedy w ciągu dnia natknąłem się z przera-

żeniem na nagłówek w gazecie; „Zagadkowe zabójstwo w Kunst-Fisze”.

Bez ściślejszego podania faktów, gdyż te zapewne podporządkowano kanonom przyzwoitości, relacja szczegółowo omawiała charakter ran, które wyglądały jak cięcia szablą, zadane ręką silną i nieczułą.

Cóż można było sądzić o tym? Wyrażano nadzieję, że niezwłoczny powrót Van Porta, męża zabitej kobiety, „rzuci dodatkowe światło” na ów wypadek, śledztwo bowiem stanęło w martwym punkcie. Nie pamiętam, gdzie jeszcze czytałem podobne sformułowanie, dotyczące identycznego wypadku pozbawionego cech rabunku oraz jakiegokolwiek poszlak. Nikt jednak nie może zmusić ludzi, by „tracili czas na niepotrzebne rozmyślania”, o czym wspomniałem na wstępie.

Serce moje pełne jest pokory, wdzięczny jestem losowi za to, że mam własny pogląd, którym się kieruję, omijając kroki i przecinki między wierszami.

*Irena Piotrowska*

## WIERZBA

### I

Legenda o Bam-Granie zrodziła się w zamierzchłych czasach. Okręg Zatopionej Ziemi słynie z legend, wśród których Jednooki Przemysł, Żelazna Stopa i inni, dawno już powieszni zbrojcy, odgrywają poważną rolę, ale za najbardziej pełną, subtelną i w efekcie wytworną uważam postać Bam-Grana. Pod tym względem mój sąd nie różni się od opinii pozostałych ludzi, którzy kiedykolwiek interesowali się legendami; w dalszym ciągu więc pozostaję i pozostanę na zawsze przy swoim zdaniu. Szczególnie wtedy, gdy zapalam fajkę.

Zaiste, nic lepiej niż wstęga dymu tytoniowego nie przybliżyła mi owego realnego chimerycznego obrazu istoty o subtelnej, lecz podstępnej duszy, istoty stworzonej z porywu wiatru i frazy doktora-położnika. Bam-Gran urodził się podczas takiej szalejącej burzy, jaką sobie można tylko wyobrazić na brzegu Oceanu Spokojnego. Jego rodzice byli całkowicie godni takiego syna. Ojciec Bam-Grana przebywał na Juan Fernandez z cieniem Robinsona lub ściślej Aleksandra Selkirka, ponieważ autor książki obdarzył sławnego bohatera pseudonimem, by uniknąć pretensji jego krewnych. Prosty marynarz dzięki temu obcowaniu posiadał pewne literackie wiadomości oraz wskazówkę odnośnie skarbu zakopanego przez kasjera zbiegłego lat temu pięćdziesiąt z Monte Carlo. Skarb składał się z pięciu tysięcy dwudziestofrankówek pozostawionych w słynnej instytucji przeważnie przez rosyjskich Sobakiewiczów i Bazarowych.

Marynarz po wzbogaceniu się zaczął prowadzić niegodny tryb życia i w końcu ożenił się z nawiedzoną - niejaką Luizą Baster, która posiadała wszelkie dane ku temu, by stać się drugą Anną Grass, gdyby podczas jednego z seansów nie zobaczyła czegoś, co posrebrzyło jej włosy białą mąką strachu. Nigdy o tym nikomu nie mówiła i nawet mąż nie wiedział, czym można było się tak przestraszyć, zasypiając w blasku księżycowego kamienia hipnotyzera Berga.

W końcu marynarz wszystko przepił, przegrał w karty, rozdał swoim czerwono nosym, fałszywym przyjaciółom i poprzysiągł prowadzić godniejsze życie. Oczywiście to życie zaczęło się od strasznej nędzy. W tym czasie Luiza była w ciąży. Całkowicie trzeźwy mąż z przerażeniem oczekiwał powiększenia rodziny, ale im bliższy był czas rozwiązania, tym żona

stawała się bardziej spokojna. Pewnego razu marynarz, wyprowadzony ze swej żalostnej równowagi potulną łagodnością kobiety, zaczął w szale krzyżeć: „Jeśli urodzi się syn, to niech nie będzie miał ani rodziny, ani domu, ani ojczyzny, ani pieniędzy; niech przebywa wśród zwierząt, niech będzie awanturnikiem i niech zawsze szczerzy zęby jak ty, niegodziwa. Jeśli urodzi się córka...”

Gdy tylko zaczął zamawiać los córki, zmartwiała z przerażenia kobieta z ledwością uniosła rękę i zdążyła powiedzieć: „Oby nie był zły, nie był zły”. Zapewne zaklęcia marynarza jakiś skutek miały, ponieważ u nieszczęsnej kobiety rozpoczęły się bóle porodowe. Marynarz pobiegł po doktora i przywiózł go w najbardziej odpowiedniej chwili.

Gawędziarz opuszczał głowę, gdy opowieść o Bam-Granie zbliżała się do tego miejsca, i patrząc spode łba, czynił samowolną pauzę, by potem z proroczno wyciągniętą ręką i lśnięciem, uduchowionym obliczem przekonywająco i szybko szepnąć, tracąc przy tym oddech z powodu naturalnego wzruszenia: Była noc. Wiatr uderzał z siłą pocisku armatniego. I oto chłopczyk leży na rękach doktora. Zaledwie skończyły się kłopoty z porodem, a już doktor zasiadł do wypisywania recept, gdy nagle dzwon kościelny, poruszony wiatrem, niesamowicie zagrzmiął: Bam... „Gran” - w tej samej chwili głośno powiedział doktor, wypisując receptę. Ręka jego zamarła, proszę zauważyć, zamarła, pióro zamarło i rodzice zamarli z przerażenia; noworodek zaś miło uśmiechnął się, pomachał rączką, kichnął i wyraźnie wymówił: „Bam-Gran”.

## II

Młodzieniec, który wyłonił się z zarośli wierzbowych, rozciągających się w dole na rozlewiskach rzeki Adary, na przestrzeni trzech mil długości i półtora szerokości, nie cieszył się szacunkiem u ludności, ponieważ nie spełniał podstawowego warunku: „posiadania zdrowego rozsądku”. Wiadomo było o nim, że prowadzi życie dzikusa, że czeka na kogoś i ma niezrozumiały cel, związany ze swoimi zaroślami. Zwano go Franheitem.

Jego włochata głowa była obwiązana błękitną chustką, stara marynarka, przepasana szerokim pasem na podobieństwo bluzy, odkrywała szyję i rozpięty kołnierzyk zmiętej, białej koszuli. Kolor spodni i ich stan można było sobie tylko wyobrazić, ale jakież to pisarz obyczajowy powstrzymałby się od uwagi, że były wypchane na kolanach.

Twarz Franheita była mieszaniną przemyślanej, upartej siły z boleśnie-subtelną wrażliwością - twarz głęboko przeżywającego człowieka, który jest gotów bez zmrżenia oka zadać śmiertelny cios, jeśli zaistnieje taka potrzeba. Miał szerokie bary, był pochylony, cienki w pasie, kroczył pewnie i powoli, patrzył prosto przed siebie, a gdy uśmiechał się, to wstydliva promienność szerokiej, smagłej twarzy ukazywała białe, równe, błyszczące jak u dzieci zęby. Jego włosy i oczy były niemal czarne; nie rozstawał się z krótką strzelbą, zawsze wiszącą na prawym ramieniu kolbą w dół i palił małą, japońską fajkę, nabijając ją czasem z roztargnienia tak mocno, że ogień nie mógł się tlić.

W owym dniu Achuan-Skap mógł zaiste być dumny z tego, że na niego zostały zwrócone oczy całego świata. Otóż stosunki między Słońcem i Księżycem dosięgły zenitu sprzeczności, określanego zwykle jako „zaćmienie”. Na długo przedtem kompetentni ludzie oznajmiali i ogłaszali wszem i wobec, że tym razem zaćmienie można będzie najlepiej oglądać właśnie w Achuan-Skapie. W rezultacie zagubione, na poły cywilizowane miasto, dające astronomom tak rzadką gratkę, powinno było uczcić swoje gody, by potem ponownie pograć się w tak gromko zmaćone zapomnienie.

Franheit był zaprzątnięty tym, że w nieznanym kraju obcy ludzie kupowali za pieniądze prawo patrzenia na twarz dziewczyny, pochłoniętej jasnym ogniem wyrosłego z głupstw



życia; mozolnie przeorywał kochającą myślą ciężką, głuchą przestrzeń, chowającą gdzieś tam w nieforemnym połączeniu wszystkich zjawisk i rzeczy jego smukłą Karion. Jednak nie mógł nie dostrzec, że miasto stało się poważne, głośnie i tak czyste jak po ostatnim cyklonie, który wytrzepał ze wszystkich ulic i sienników kurz nie gorzej niż Holenderka szorująca mydłem swój trotuar. Domy były upiększone flagami. Z balkonów zwisały dywany i kolorowe materiały, a pod fontanną, w pobliżu której biegały i tańczyły dzieci, grała orkiestra trębaczy, uroczyście pyszniąc się złotem swoich trąb. Oprócz tego wszędzie panował wielki ruch; po szosie wijącej się wśród skalistych, postrzępionych wzgórz mknęły odświętne powozy wypełnione rozebraną klientelą, której szczęki i końskie zęby, łącznie ze złotymi gałkami lasek, jasno błyszcząły w słońcu. Franheit od czasu do czasu dostrzegał kościste postacie - nieforemnych staruszków w okularach, za skrzynkami i jakimiś przyrządami pod pachą, którzy oglądając się dziko i trwożliwie, zmierzali z rozwianymi połami gumowych płaszczy i puklami siwych włosów do jakiegoś tajemniczego punktu. Franheit kiedyś widział już coś takiego, gdy do miasta zjechała grupa geometrów. Równocześnie wszyscy albo prawie wszyscy napotkani ludzie patrzyli w górę, zadzierając głowy; na twarzach pojawiło się tyle czarnych okularów, że zdawało się jakoby wszyscy oślepli albo zaczęli trenować żebranie, udając ślepych. Oprócz tego pod nadzwyczajną eskortą przejechały wolno cztery wielkie furgony załadowane wielkimi i małymi teleskopami w zielonych futerałach, ukazującymi uważnym oczom ulicznej dzieciarni swoje miedziane części, wyczyszczone tak, że bolały oczy.

- Być może - powiedział Franheit do jednego z tych ludzi o starczych, zasuszonych twarzach, których oglądanie dawało mu nie mniejsze zadowolenie aniżeli wówczas, gdy wpatrywał się w mumie Muzeum Lisskiego - może pan wyjaśni mi, co oznacza ten hałas, blask i ożywienie?

Przybysz zatrzymał się, surowo wpatrując się ponad okularami w twarz pytającego i poszukując w niej arogancji; ale Franheit patrzył na niego tylko z łagodnym zaciekawieniem.

- Widzę, że pan nietutejszy - powiedział starzec - biorąc Franheita za guzik marynarki i odciągając go na bok. - Proszę! - Wyciągnął złoty zegarek z kryształowym wieczkiem i podsunął do oczu Franheita. - Oto mamy dokładny czas, dziesiąta czterdzieści trzy, 22 lutego tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku, a w minutę po dwunastą tego samego dnia i roku rozpocznie się zaćmienie słońca, które będzie trwało godzinę i czterdzieści minut. Lupa upadła! - krzyknął i ruszył gwałtownym krokiem do furgonu, gdzie zagrzmiały akcesoria niebieskie.

„W takim wypadku - pomyślał Franheit - trzeba się pośpieszyć. Jeśli nie kupię teraz prochu, spłonek i tytoniu, to sklepy bez wątpienia zostaną zamknięte, ponieważ część kupców będzie oczekiwała końca świata, a druga część p o c z ą t k u dziennego światła, kupujący zaś znikną na dachach...

Na rynku Franheit dostrzegł stojącego na podwyższeniu człowieka wymachującego rękami, wokół niego pokładał się ze śmiechu i kotłował tłum uliczny.

### III

Trudno było się przeciskać. Franheit w niezbyt wesołym nastroju i zamyśleniu patrzył na zabawiających się ludzi, bezwiednie wsłuchując się w rozmowę dolatującą z rynkowej knajpy. Rozmowę tę prowadziła grupa stojących kominiarzy z fajkami w zębach, ich czarcie ogony, którymi czyszczą szczeliny kominów, zwieszały się z ramion poniżej siedzenia wraz z pozostałymi narzędziami tortur. Nie znalazł się jeszcze autor, który opisałby fizjonomię kominiarza bez mydła, dlatego i my nie zmierzamy do rozwiązania tego trudnego zadania, lecz pozostawiamy je promieniom słonecznym przenikającym przez dziury płóciennego zadaszenia

knajpy i igrającym na twarzach o murzyńskich kolorach i europejskich rysach.

Za każdym razem, gdy kominiarz przechylał szklanę, z wąsów opadało trochę czarnego osadu na jej dno.

- Tak, oto - mówił najbardziej pijany z nich - jestem tak pijany, że mogę pleść bzdury. A wszystko to są żarty Bam-Grana, którego dawno już nie widziano w naszym mieście.

- Dawno czy niedawno - powiedział inny - ale wydaje mi się, że zaczyna się jakby wiatr z gór.

- A co to takiego „wiatr z gór”? - spytał handlarz bydła, przesiadając się z kąta bliżej do stołu.

- Wiatr z gór... Ee, to straszna rzecz - powiedział kominiarz. - Zdarzyło się coś takiego dwadzieścia lat temu, gdy jeszcze w Achuan-Skapie nie było i połowy tych domów, co dzisiaj. Posłuchajcie - zaczęło wiać. Wiatry oczywiście były i wcześniej, ale takiego nie wspomni nawet moja babka, która jeszcze żyje, dzięki Bogu. Nie był to ani silny, ani zimny wiatr, ale dał wciąż z jednego kierunku i nawiał pod ściany z nawietrznej strony ze trzy stopy piasku. Zapanował taki smutek, że można było się powiesić. Wiatr działał na ludzi jak wino lub nieszczęście. Wszyscy porzucili swoje zajęcia - sklepy pozamykano, mężowie opuścili żony i udali się w niewiadomym kierunku. W tym czasie czterestu ludzi popełniło samobójstwo, rozpiła się cała dzielnica, a zwariowała jej dobra połowa. Oto co znaczy „wiatr z gór”. Sam czułem się tak, jakbym stracił dom, rodzinę i musiał szukać ich na krańcu świata. Ale wiadomo, że to były sprawki Bam-Grana. Pewnego razu...

- A kto to taki Bam-Gran? - spytał młody żołnierz.

Pytanie zapewne było tak nie na miejscu, tak prymitywne i niegrzeczne, że gawędziarz złapał się za brodę czarnym łapskiem, chrząknął, spojrzął w górę i ze smutkiem pokiwał głową. Zapanowało milczenie, a mocno zaczerwieniony żołnierz bezwiednie zaczął podkręcać wąsa, patrząc przy tym w dal w napięciu z powodu zatajonej krzywdy.

Zaciekawiony Franheit podszedł bliżej.

- Słuchaj no, bubku - zaczął pouczać aroganta kominiarz - powiedzmy, że krocysz ulicą i widzisz, jak na talerzu niosą ci pieczoną świnię. Dobrze. Nie pytając dlaczego i jak jest z tą świnią, bierzesz ją w obie ręce i szukasz sobie miejsca, by spokojnie przekąsić, a świnią najspokojniej w świecie złazi z talerza i powiada: „Bratku, jakież z ciebie głuptas. Jakiś ty osioł, młodzieńcze”. To właśnie jest Bam-Gran, który też może ci dać od razu nagrodę, rzucając pod twe nogi złotą monetę.

Homeryczny śmiech otoczył zdetonowanego żołnierza. Kominiarz, przekrzykując hałas, ciągnął dalej:

Bam-Gran chodzi w zielonym surducie, na głowie ma cylinder, modną kamizelkę i modne spodnie, a buty jego lśnią jak lustro. Jeśli spotkasz go i dogadasz się z nim, to zrobi dla ciebie wszystko, co zechcesz, nawet skarb ci odnajdzie, oprócz tego umie porozumiewać się z ptakami i zwierzętami, może też pokazać, co w danej chwili dzieje się w jakimkolwiek zakątku ziemi. Ale on, wiesz, jest bardzo nerwowy i dogodzić mu trudno, jak panience, gdy wywracając oczy zaczyna tupać nogami i natychmiast żądać trucizny, a jeśli mu nie dogodzisz, to zniknie mimo wszystko jak - pfu.

Franheit uśmiechając się ruszył przed siebie i znalazł się na pustym miejscu, skąd rozchodził się tłum i gdzie można było niemal bezpośrednio dotrzeć do podwyższenia.

## IV

Zaćmienie jeszcze się nie zaczęło, ale lekkie obłoki od czasu do czasu już przesłaniały słońce, jak gdyby przygotowując mieszkańców do jego wielkiego, nocnego cienia. Przeczucia

oraz chimeryczne nastroje zgromadzonych, przypominające bądź to czas odjazdu bądź przyjazd gościnnie występujących aktorów, poruszyły duszę Franheita bezdzwięczną melodią nakłaniającą do dziwactw. Jednocześnie stanął jak wryty na widok człowieka siedzącego na beczce, wokół którego tłoczyli się i szczyrzyli zęby mieszczuchy. Franheit sam nawet drgnął i cofnął się, bezwiednie zerkając na zadaszenie knajpy, pod którym nakreślono portret legendarnego fantoma - tak bowiem dokładnie kominiarz opisał ubranie człowieka na beczce.

Franheit wysiłkiem woli przezwyciężył przesąd i zaczął uważnie mu się przyglądać. Oczy ostre jak szpilki patrzyły na niego wprost z bardzo chudej, ale wcale nie zbolącej twarzy, dosadny a zarazem potulny sarkazm wił się w kącikach jego cienkich ust, otoczonych długą, złocistą brodą zwijającą się niby korkociąg i zwisającą poniżej drugiego guzika kolorowej kamizelki. Ciemnozielony surdut do kolan przykrywał cienkie nogi, układające się w literę X. Wielki palec prawej ręki spoczywał w górnej kieszeni kamizelki, w wyniku czego ostre ramię wznosiło się ku górze niejako symetrycznie do takiego samego pompatycznego gestu łokcia, tkwiącego tak niezależnie, że chciało się zdjąć kapelusz; lewą rękę trzymał wyciągniętą do przodu, pokazując niewielką skrzynkę, której zawartość dość trudno było dojrzeć - jaśniało tam i ciemniało coś pobłyskującego. Wysoki cylinder na oko jak gdyby zwiększał jego wzrost. Małe, ogniste wąsy zakręcały się pod ostrym cienkim nosem ku górze z dokładnością jesiennych traw sterczących i płonących w słońcu. Ale nie można było pochwycić jakiegoś zasadniczego wyrazu jego twarzy - stale zmieniał się jak nieustannie biegające cienie. Franheit, uważnie przypatrując się jego wyglądowi zewnętrznemu, w końcu zaczął rozumieć, co wykrzykuje ten człowiek tak niezwykle ogłuszającym, kogucim głosem.

Szanowni obywatele, myślicie, że wyśmiewam was, róbcie poważny wyraz twarzy i bierzcie z pierwszej ręki najprzedniejszy towar na świecie. Nigdzie nie znajdziecie takich okopconych szkiełek jak u mnie. Zostały okopcone nad świeczką samobójcy i wybrane z ruin starożytnej świątyni Atlantydy, gdzie umiano już robić szkło wtedy, gdy nasi przodkowie pazurami łapali nietoperze. Proszę zwrócić uwagę, że kupując u mnie szkiełko, stajecie się równi orłom patrzącym bez zmrużenia oka w słońce. W ten sposób osobiście przekonacie się o istnieniu protuberancji i plam na słońcu, a więc o tym, że nauka nie łże, co daje spokojny sen najbardziej dociekliwym ludziom. Oprócz tego na cokolwiek spojrzycie przez szkiełko, to pojawi się przed wami w nieoczekiwanym świetle. Posiadając szkiełko, możecie być pewni, że będzie się wam szczęściło w grze, miłości i polityce. Nie chcę wiele, nawet żadnych pieniędzy nie żądam, ale ten, kto chce posiadać takie szkiełko, musi natychmiast bez ociągania się rzucić wszystkie, co do jednej, swoje monety na ziemię lub oddać je pierwszemu napotkanemu.

- Też znalazł durnia - powiedział rzeźnik, wsuwając ręce za fartuch i oglądając się na innych, którzy także z oburzeniem patrzyli na oratora. - Pójdę, rozbiję stoik z konfiturami i okopcę tyle, ile zechcę.

Od razu kilku ludzi poparło go namiętnymi oświadczeniami, że po raz pierwszy widzą takiego bezczelnego typa lub wariata, próbującego ograbić innych zręcznym, lecz w istocie mało przekonującym sposobem. Jednocześnie jakaś zwinna dziewczyna, odpychając ciekawskich, przecisnęła się do człowieka w cylindrze i ofiarnie rzuciła przez ramię drobniaki, a że nic więcej nie miała, otrzymała od sprzedawcy kawałeczek czarnego szkła i natychmiast skierowała je na swego kawalera, lecz od razu z piskiem rzuciła szkło, zbladła i przeżegnała się. Szybko otoczyły ją zaciekawione i przejęte koleżanki; szamotała się w objęciach i odpychała także swego wielbiciela, krzycząc, że ją zazarowano.

Franheit niezwłocznie zbliżył się do niej i starał się dowiedzieć, co się stało. Nie mniej niż ona sama zdetonowany adorator także zasypywał ją pytaniami.

- Och, och - mówiła przez łyzy dziewczyna - gdybyś wiedział, jak wyglądasz przez szkło. Bóg z tobą, nie chcę cię krzywdzić, ale zaiste moje serce zlodowaciało, bo tak byłeś podobny do małpy z psią mordą... Nie kupujcie! Nic kupujcie! - piszcziała, depcząc przy tym

szkiełko. - Precz z nim, to diabelski okopcony wyrób!

- Milcz - grzmiącym głosem krzyknął człowiek z beczki. - Bez hysterii. Na pewno przebiegł tu jakiś pies, a gdzieś tam przemknęła małpa... Czyż wiele potrzeba dla dziewczęcego, owczego serca? Raz, dwa - i już gotowa obraza dla kawalera. Szanowny pokrzywdzony panie, proszę tutaj. Mam dla pana najbardziej przydatne okopcone szkiełko. Z jego pomocą od razu odróżni pan, kierując je na psa, najlepsze cechy ludzkie i pańska krzywda będzie tryumfem. Tylko proszę rzucić pieniądze i nastąpić na nie. I biada panu, jeśli oszuka mnie pan wielkością rzuconej sumy, bo widzę zawartość wszystkich kieszeni tak zwyczajnie, jak pan tych oto ludzi wokół. Nieszczęsny, zbity z tropu człowieku. proszę słuchać, to mówię ja!

Franheit jeszcze nie wiedział, czy zabawiać się tym zdarzeniem, czy też wziąć w nim udział, gdy zrazu cicho, a potem coraz głośniejszą zaczął rozlegać się szept: „Bam-Gran. Bam-Gran. Bam-Gran. Ślepcy i głupcy, czy słyszeliście o Bam-Granie?... Jeśli tak, to oto i on stoi przed wami. Uciekajcie, oto Bam-Gran. Poznała go starucha”.

- Co za brednie... - powiedział Franheit, odwracając się do myśliwego celującego z rewolweru w człowieka na beczce. - Przyjacielu, wstydź się.

Jednak wymówił te słowa bezwolnie. Do jego serca wdarł się chłód dziwnego zdarzenia. Chwilami zdawało mu się, że to tylko sen; czasem zaś, że to ogłuszające, jasne, jakby otwierane i zamykane okno, wychodzące na hałaśliwą ulicę. Rewolwer huknął tuż obok jego ucha, ale Bam-Gran, jeśli to był on, uśmiechnął się i spokojnie machnął ręką, po czym bezgłośnie wyleciała z niej gorąca kula i wpadła w brodę myśliwego. Teraz światło okna było już nienaturalnie dzikie i mroczne.

- Zaczyna się! - krzyknął ktoś.

Franheit zdążył jeszcze zauważyć, z jakim oburzeniem i strachem myśliwy wyłuskiwał kulę z brody, potem zadarł głowę, a za nim i inni ku poczerńiałemu i mocno okrojonymu słońcu, które słabo, półżywe paliło się niemal bez promieni, jakby w groźnym szoku.

Wielki cień spłynął z nieba na ziemię. Wówczas wszyscy przestraszeni widokiem zaczęli uciekać, opustoszała też beczka, Franheit z rozpaczą zaglądał pod nią.

## V

Wszędzie łopotały płócienne okapy witryn, trzaskały zamki - to zamykano sklepy. Już było ciemno jak przed silną burzą.

Serce Franheita zamarło ze strachu, że na zawsze znikł Bam-Gran. Franheit, jak i my wszyscy, gdy po wielu męczących, głuchych dniach coś nieoczekiwanie podcina nasze niemrawe życie szczęśliwym uderzeniem bata i stajemy się ludźmi rozgorączkowanymi, lekkimi jak piórko, nerwowymi i rozśpiewanymi, wyrwał się w tej chwili i rzucił do wyjścia, nawet nie myśląc dokąd, lecz kierując się jedynie wewnętrznym, przemożnym pragnieniem i dziwną nadzieją, o której rozmyślać nie miał sił.

- Bam-Gran - krzyknął, nawet nie słysząc własnego głosu, jak bywa to nie podczas wahan, lecz w pełni cierpienia. - Bam-Gran! Rzucę wszystkie pieniądze, tylko ukaż mi się.

- Rzucaj! - rozległo się gdzieś tak chytrze i subtelnie, podobnie jak na wysokiej, piskliwej nucie zamiera struna skrzypiec...

Czy to aby nie mysz pisnęła? - pomyślał Franheit. Jednak nie zawahał się, jak kandydat na topielca zrywający z siebie odzież, i wywracając w pośpiechu kieszeń porozrzucił wszystkie swoje monety, a miał ich niewiele - i kopnął je nogą. Wówczas ktoś wziął go pod rękę. Wyrывая się dostrzegł jeszcze cylinder, a pod nim ironiczne oczy błyszczące błękitnym ogniem.

## VI

Wokół było pusto.

- Wiem - zaczął Franheit - jak nudno wysłuchiwać cudzych historii, ale...

- Opowiadanie p o w i n n o być ciekawe. Słuchacz p o w i n i e n być zainteresowany lub wzruszony. Bez tego nic a nic nam się nie uda. Oto szczelina, wejdźmy w nią jak dwa promienie - promień zielony i żółty, ale nie powinieneś się bać, jam przecież Bam-Gran, Bam-Gran, jam wielki dzwon. Słuchaj mnie w sercu swoim, chcę bawić cię, wiecznie unosić pył - tupnął przy tym i gwizdnął. - Na początek niech będzie maleńki huragan, tak mały jak kozi ogonek, a potem zaczniemy rozmowę.

Od razu też dwa strumienie wiatru wypełzły spod nóg Franheita, zakręciły z pyłem papierkiem i popłynęły ciemną spiralą, jak w walcu, w nienaturalny mrok dnia. Bam-Gran usadowił się pomiędzy dwoma ławkami na stercie skrzyń ze słomą, wyciągnął i skrzyżował nogi. Franheit, przewyciężając odrętwienie i zawrót głowy, przylgnął do ścianki. Wydawało mu się, że mówi głośno - bo tak silnie był wzruszony - ale szeptał tylko cicho i szybko, gdy ocknął się, obok niego już nikogo nie było, tylko dwa palce naprzeciw twarzy stercały ze szpary w drewnianej ścianie sklepu i machały czarnym szkłem.

- Naprzeciwko wielkiej wierzby, na mierzei przy czerwonej boi - szepnął ktoś zza ściany - patrz nie odrywając oczu od szkiełka, na wodę i wokoło, pojawi się tam mnóstwo ludzi, którzy nie osiągnęli celu. Z nimi należy rozmawiać krótko: po prostu milczeć. Ale gdy tylko zobaczysz człowieka o poważnej i spokojnej twarzy, w staromodnym ubraniu, który przykłada do serca pistolet powiedz mu głośno: „Poczekaj, Rausson, mam słowo i dla ciebie”. Wówczas zrozumiesz, jak masz postąpić. Są różne godziny, ale nie ma lepszej od zaćmienia. Ono zaczęło się, idź.

## VII

Franheit, nie namyślając się i na nic więcej nie czekając, opuścił pusty już rynek. Na ulicach snuły się tłumy, psy wyły, przysiadając na tylnych łapach, gdzieś jakiś pijany człowiek strzelał do Księżyca, licząc na to, że tym prostym zabójstwem zdoła przywrócić blask dnia; na niebie zaś pośród lśniących gwiazd błyszczał słaby pierścień światła wokół czarnego, złowieszczonego jądra, które, jak się zdawało, jest właśnie zgaszonym słońcem.

Franheit skręcił do rzeki, pokonał płaskie pochyłości zbocza, za którym hen, hen daleko w dole rozciągały się obszerne wierzbowe zarośla i uległ bezwiednie wrażeniu, że zapanowała noc.

Mroczne kępy zarośli, łącząc się ponad jego głową, z rzadka przepuszczały blask gwiazdy, pachniał suchy piasek i nagrzana zieleń, co nie zdarza się nocą. Ptaki ze świstem tnąc skrzydłami powietrze, unosiły się otępiałe, a ich zmieniony, przeraźliwy krzyk zamieniał się w nieoczekiwany jęk. Franheit, z pobitą przez gałęzie twarzą, płacząc się i śpiesząc zarazem, zbliżył się do tysiącletniego drzewa, między nim i łodem błyszczała czerniejąca woda.

Przylgnął do pnia pod opadającymi wokoło liśćmi, spadającymi daleko przed nim do wody, która kołysała i porywała je z szybkim prądem. Zapach mokrej rzeki stał się silniejszy, ostrzej pachniał piasek, kwiaty i liście - jakby podniecone wszechogarniającą go ciszą wypromieniowywały ostry, wyraźny aromat.

Tutaj Franheit nieco odpoczął po marszu i wyciągnął z kieszeni szkiełko.

Nie było większe od dłoni, ale grubsze niż zwykłe szkło okienne i tylko z lekka okopcone, o czarnofioletowej barwie. Franheit, zanim rozpoczął obserwację, skierował się nieco

w prawo, gdzie pomiędzy dwoma pniami sterczała zgięta witka z wyrastającymi z wilgotnej, jak gdyby spoconej kory, nowymi, wąskimi i jasnymi liśćmi. Były one jeszcze delikatne i słabe, jak świeże pędy, lecz w oczach Franheita przewyższały piękno pozostałej roślinności.

- Oto mój cud - powiedział z surowym zachwytem i drżącą ręką podtrzymywał z dołu jeden listek, jak trzyma się za podbródek dziecko. Z piersi Franheita wyrwało się westchnienie i przed oczyma jego pojawił się obraz trzech smutnych lat.

Na piasku wokół witki było wypisane jedno imię „Karion”. „Czyżby to, że ja to pisałem, pomogło zakwitnąć witce - rozmyślał Franheit - czy też istnieją inne tajemnicze przyczyny?” Ulegając nagłej sugestii wyciągnął szkiełko i spojrzał przez nie na zieleniącą się witekę.

Przy korzeniach poruszała się, siedząca w kukki, żałosna istota w kapiszonie i chałacie o długich połach; maciupęnie tureckie pantofle były dla niej zbyt duże, poprawiała je, tupiąc ze złością nogą za każdym razem, gdy spadały. Franheit wyraźnie widział, że owa istota jest bardzo przejęta swoją czynnością, nie mógł jednak rozróżnić ani jej ruchów, ani przedmiotów, którymi się posługiwała. „Czyżby to szczur?” - powiedział z niecierpliwością, potracając nogą fikającego kozła, wielkiego jak paluch staruszka. „Nie jestem szczurem, lecz doktorem roślin - gniewnie zapiszczała istota - pan mnie tak zdenerwował, że aż rozlałem swój chlorofil. Życzę panu, żeby nadepnął na żmiję”. Po czym znikł, a Franheit zaczął macać trawę w tym samym miejscu, gdzie stał karzełkowaty doktor, lecz komary, które raptownie runęły nań całą chmarą, nieznośnie go pokąsały, Szybko wyprostował się.

- Coś się stanie - powiedział Franheit cały drżąc, jak wówczas gdy w lesie łapał na wędkę wielką rybę. Ponownie zbliżył się do tysiącletniej wierzy, przykrył oczy cudownym szkiełkiem i przyłgnąwszy do pnia zamarł.

Niewiele minęło czasu, gdy usłyszał równomierny plusk wioseł — łódka przechylając się z szumem wpełzła na mieliznę. Woda zaczęła błyszczeć, potem stała się przezroczysta, jak gdyby jej cała głębia zlała się z powietrzem. Wówczas to dostrzegł dziwny kształt wielkiej mielizny, którą wcześniej wyobrażał sobie w formie trójkąta; teraz zaś była podobna do winogronowego liścia z opadającym pionowym urwiskiem pośrodku, w tym miejscu wypływały i znikwały w głębi czarne kształty ryb. W tym momencie ludzie siedzący w łódce, uzbrojeni po zęby, powstawali i opuścili ją gęsiego. „Nareszcie - powiedział pierwszy o surowej i nieprzyjemnej twarzy - mamy w ręku skarb przy ostrym kamieniu”. Ale niemal równocześnie czerwony błysk wystrzału zważył go z nóg. Strzał padł z krzaków. Dwaj pozostali schowali się za łódką i także zaczęli strzelać. „Bill wyprzedził nas” - szepnął drugi umierając, a trzeci bezszelestnie odwrócił łódkę, popłynął i skrył się za zakrętem rzeki.

Nie można było powiedzieć, że Franheit s ł y s z a ł strzały, lecz bez wątplenia przeżywał je. Jeszcze bardziej przejaśniło się na brzegu, na przezroczystej, rozjaśnionej tafli wody, jak narysowane odcinały się w subtelnym wzorze wszystkie pnie, gałęzie i liście, aż do samej górskiej płaszczyzny doliny można było czytać przez nie drukowany petitem dział informacyjny „Zurbagańskich Wiadomości Miesięcznych”. Na obszernej, porośniętej wierzbami równinie połyskiwały i płynęły skarby. Były wśród nich kości i beczki z popękаныmi w ziemi obręczami, wypełnione matowym złotem; pośród korzeni drzemały pełne drogocennych rzeczy małe i wielkie beczułki - ich drewno toczyły chrząszcze. Jakiś zbutwiały płócienny węzełek lub garnek z zaśnieżonym srebrem krył się pośród tych grobów na głębokości dwunastu stóp, leżał tam być może od czasu, gdy obita skórą łódka wiozła drogocenne sprzęty z wypraw Kolumba.

A na rzece nie było już miejsca, gdzie wzrok mógłby napotkać wolną przestrzeń, wszędzie kłębiły się ludzkie ciała; nawet u samych nóg Franheita drzemali z ołówkami w zębach poeci podobni do pudli, a ich słodkie jęki kierowały się ku wymykającej się wieczności. W krzakach wylegiwali się próżniacy, drapiąc się w brudną szyję i marząc o bogatym ożenku. Ich psy spały z wyrazem niezadowolenia, odwrócone tyłem do nie ogolonych fizjonomii. Pilni, zwinięci jak Kałmucy w siodle, rybacy wpatrywali się hipnotycznym spojrzeniem w

tajemnicze falowanie spławika, a w dole, tam gdzie przynęta, żarłoczne, posiwiałe w walce ryby ostrożnie odgryzały połowę robaka obok haczyka. Pijacy z butelkami w rękach namiętnie zwracali się do każdego drzewa z podniosłą, lecz mało zrozumiałą mową i odnalazłszy zaciszne miejsce, siadali z nogami rozwartymi jak cyrkiel, zacierając ręce i oddając się świętemu rytuałowi. Wśród tego tłumu pełnego melancholii i rozlegających się obojętnie smutnych okrzyków, dalekich i ostrzegawczych wezwań, pojawiły się czarne łodzie piratów. Wiosłowali z wysiłkiem, a u ich nóg wiły się związane kobiety.

W końcu pojawili się również ludzie, którzy nie doszli do celu. Poruszali się pod prąd nad wodą ze spojrzeniem skierowanym w głęboką i jasną dal. Franheit patrzył na nich z silnym biciem serca i nie pomylił się. Początkowo nie było ich tak dużo, nie więcej niż dziesięć silnych, lecz zmęczonych postaci, jednak zaraz potem wielki cień podobny do chmury opadającej na wodę rozstał się i zaszumił wokół niego nieprzebrany tłumem i blaskiem hardych spojrzeń, skierowanych ku niewidocznej przeszkodzie... „Nie upadaj” - powiedział ktoś obok Franheita, w odpowiedzi rozległ się jęk. „Trochę, jeszcze trochę cierpliwości”. „O, nie mam więcej sił”. „Wówczas pójdę sam”. „Nie idź tą drogą, jest zbyt trudna”. „A więc to moja droga” - mówił ktoś niewidocznym głosem podobnym do trzasku zamykanych gniewnie drzwi. Rozlegało się coraz więcej słów, pieśni, szlochów i nawoływań. Ale oto z tłumu wyróżnił się piękny, jak groźne światło okna w mroku, przystojny człowiek o poważnej i spokojnej twarzy: uśmiechając się odszedł na bok, musnął białą chusteczką wysokie, jasne czoło, rozpiął kamizelkę i przystawił pistolet do serca. „Ukochana, bądź szczęśliwa - powiedział - moja droga skończona, odchodzę”.

- Stój! - krzyknął zmrożony Franheit, gdyż nagle rzeka opustoszała, brzeg ponownie pogąrzył się w mroku, wszystko zakotyła się i przepadło. Tylko jakaś ciemna postać z białą chustką wpatrywała się w niego. - Proszę zaczekać - mówił dalej Franheit - pańska sprawa, to także i moja sprawa. - Przypomniał sobie, że przekreślił frazę wypowiedzianą przez samego Bam-Grana, więc szybko poprawił się krzycząc. - Rausson, poczekaj, masz jeszcze sprawę.

- Słowa nie mają większego znaczenia - powiedział ten kogo nazwano Raussonem. - Zrozumiałem pana od pierwszego słowa.

Podchodząc miękko, schwycił rękę Franheita swoją małą, gorącą dłonią i mocno uściśnął.

- Powstrzyma mnie tylko szalone serce, takie jak moje, Pan ma takie serce. Powiedz, mój przyjacielu, co mogę zrobić dla pana?

Franheit upuścił szkiełko, upadło między korzenie i znikło na zawsze. Ale Rausson stał obok; słońce skrzyło wodę rzeki potężniej i bardziej szczerze niż o świcie, uwalniając się od cieni, a smutna, rosła i pełna zagadkowego życia postać samobójcy stała obok Franheita. Ich dwa cienie czerniały na rozjaśnionym piasku.

Franheit starał się mówić zwięźle, opowiadając o dziewczynie i o jej witce. Witka była nie oczyszczoną z kory wędką, którą razem z nim łowiła ryby.

- Tańczyła - z goryczą powiedział - jako maleńka jeszcze dziewczynka tak dobrze pod każdą muzykę, że często zmuszano ją do tego. Nasze rodziny mieszkały po sąsiedzku. W ciągu całego okresu naszej przyjaźni zrobiłem jej ponad sto wędek, ale gdy wyrosła i zaczęła nosić długie suknie, coraz częściej spoglądała na parostatki i nieraz czyniła aluzje, że wnet się rozstaniemy. Powiem tylko, że w tych zaroślach spenetrowaliśmy wszystkie krzaki, bawiąc się w rozbójników, i strasznie nie chciałem, żeby odjechała, ale jej tak zawrócono w głowie tańcami, iż cały czas tylko patrzyła na swoje nogi, a ja, mówiąc szczerze, także je podziwiałem. Ostatniego dnia staliśmy tutaj na tym samym miejscu, potem wsiadła do łódki, wystrzeliłem, żeby zatrzymać parostatek. Odplynęliśmy nieco, żeby nie słyszeli nas inni odprowadzający. - „Słuchaj, Karion - powiedziałem - tu na rzece jest tak dobrze i jasno”. A ona była zmieszana, śmiała się i żartowała wykrętnie. - „Pomyśl tylko - powiedziała - że przeczytasz moje nazwisko na afiszach.” Milczałem. Wzięła wówczas jedną z tych wędek, co leżały tutaj,

wetknęła w ziemię i lekkomyślnie rzekła; - „Wróć, jeśli ten kij zakwitnie. W przeciwnym wypadku możesz mną pogardzać do końca swoich dni”. Kto mógł zasugerować jej taką myśl? Natychmiast wyciągnąłem nóż i zrobiłem wyraźne nacięcie na patyku. - „Czy poznasz ten znak?”- spytałem surowo. Przysięgła nieco przerażona, że pozna. Dodałem wówczas: - „Tu, gdzie cię straciłem, będę czekać i nigdzie nie odejdę, dopóki nie zazieleni się ten patyk”. I w tej samej chwili święcie w to uwierzyłem. Chłodno wyszarpnęła swoją rękę z mojej i zamyślona skierowała się do łódki. Minęły trzy lata. Nie było od niej ani listu, ani żadnej innej wieści, jej brat także wyjechał, matka zmarła. Dziesięć razy dziennie chodziłem patrzeć na tę wędkę, która tam oto sterczy pomiędzy dwoma pniami, dopóki na trzeci dzień nie zobaczyłem na niej czterech pąków i omal nie zwariowałem. Teraz koniecznie trzeba było dowiedzieć się, gdzie znajduje się ta, która zawsze mówiła prawdę, zawsze była słowna, ta maleńka, cudowna dziewczyna.

Przez jakiś czas milczeli. Rausson spojrział w dal i jak gdyby stał nieobecny.

- Pan postąpił słusznie – powiedział - jestem zachwycony pańską historią. Przestrzeń jest ogromna, a w niej brak wskazówek. Proszę to sobie jasno uzmysłowić.

W tej chwili Franheit nie doznał większej satysfakcji nad to, co usłyszał.

- No tak - ciągnął Rausson - pojedzie pan do San-Riol i spyta w teatrze o Héléne Gren.

- Ale... - zaczął Franheit - jak panu powiedziałem, ma na imię Karion.

Jednak na te słowa nie otrzymał odpowiedzi. Pełny blask słońca wskrzesił już zieleń pustyni, a błękitna przestrzeń nad rzeką uśmiechem muskała dalekie góry.

## VIII

Mieszkańców Achuan-Skapa zadowolonych z obserwacji zaćmienia słońca oszołomiło oświadczenie dwóch astronomów przekazujących w sekrecie wszystkim, którzy mogli i chcieli im wierzyć, że Księżyc przekrzywił się w prawym oku. Z wrodzonej delikatności zaniechali dalszych obserwacji za pomocą szkieł teleskopowych i udali się powetować sobie tę stratę na werandzie „Kawiarni Tropikalnej” przy dźwiękach melodii „Marsz idiotów” (który był w tym czasie w modzie). Jednocześnie niektórzy przechodnie posługujący się podczas własnych obserwacji odłamkami ciemnego szkła, rozbitego na rynku przez rozhisteryzowaną dziewczynę, zostali zaszokowani inną wiadomością, że słońce wygrażało im pięścią... Naturalnie w kompetentnych kręgach najbardziej odwiedzanych knajp te nienaturalne przypadki zostały zapisane na konto Bram-Grana, gazety zaś tajemniczo milczały, pozwalając każdemu czytelnikowi myśleć, co chce.

W czasie wyżej przedstawionych wydarzeń towarzystwo, które zjadło suty obiad i rozkoszowało się letnim wieczorem, leżąc na szezlongach na pokładzie parowca „Admirał Gent”, zaczęło rozmawiać o sprawach nadzwyczaj intrygujących samotnego pasażera ze skórzaną torbą na ramieniu, siedzącego na razie z boku. Po chwili przysiadł się bliżej, tak że znalazł się tuż za plecami rozmawiających ludzi.

Słuchając ich powstrzymywał się, by nie wtrącić się do rozmowy, choć miał na to ochotę. Kiedy jednak usłyszał znane mu nazwisko, nerwowo i głęboko westchnął, postanawiając zadać pytanie.

Tymczasem siwy, dobrze zbudowany jegomość z bokobrodami, przesuwając długie nogi w lśniących jak lustro butach, powiedział:

- Zdecydowanie zaćmiła ją. Héléne jest bardziej nerwowa i elastyczna, ale Marianna Duport posiada niewiarygodną technikę i oprócz tego wiele drobnych czarujących gestów wywołujących tak efektowne wrażenie. Wynik ich rywalizacji jest oczywisty. Obliczyłem to z centymetrem w rękę, przeglądając szpalty kroniki teatralnej „Przeglądu”. Jak dziś pamiętam,



że na Hélène Gren przypadło dziesięć cali w ciągu tygodnia, podczas gdy na „błyskotliwą Mariannę” dwa i pół metra.

Człowiek z torbą, jakby uprzedzając uśmiech słuchaczy zwrócił się do posiadacza bokobrodów:

- Pozwoli pan, że spytam - powiedział przy ogólnym, nieco ironicznym zainteresowaniu - zdaje się, że rozmowa dotyczy artystki Hélène Gren?

- Faktycznie - odpowiedział pasażer, uśmiechając się z ironiczną przychylnością człowieka czującego swoją wyższość. - Czy pan jest amatorem baletu?

- Moje nazwisko Franheit - powiedział młodzieniec - nie bardzo wiem, co to balet. Ciekaw jestem tylko, czy nie zna pan także innej podobnej artystki o imieniu Karion, Karion Fam.

- Ależ to jedna i ta sama osoba - wtrącił się człowiek o długich włosach, ze wspaniałym krawatem i zmiętą twarzą. - Jej nazwisko teatralne brzmi Gren, a rzeczywiste - Karion Fam, chociaż dziwi mnie to, że zna pan jej prawdziwe nazwisko.

Franheit, nie zwracając uwagi na bezceremonialny ton, chwilę odczekał, a potem spytał:

- Ale dlaczego zmieniła nazwisko? Słyszałem, że tak jest w klasztorach. Czyżby człowiek, który oddał się scenie, odchodzi z życia? A co najważniejsze „Karion Fam” brzmi o wiele piękniej.

- Zaiste - powiedział kapitan statku - zaiste. Jak gdyby odchodzi. Odchodzi od wielu spraw.

Franheit ponownie otworzył usta, ale towarzystwo, widząc jego natrętne ożywienie, szybko oddało się jakiejś wesołości. Odsunął się więc i zaczął patrzeć na ciemną wodę uciekającą wskutek obrotu kół. Z przodu świecił jak gdyby wiszący w powietrzu całun ognia.

- Czy wnet będzie San-Riol? - spytał marynarza.

- Oto, już jest widoczny - odrzekł zagadnięty.

## IX

Przed ostatnim aktem spektaklu przez cienkie przegródki garderób dolatywał głośny, męski śmiech, chytry, powściągliwy szept i gniewne okrzyki. Na korytarzu trzaskały drzwi, w oddali grała muzyka przerywana szelestem i stukiem kulis.

W garderobie Hélène Gren znajdowało się dwoje ludzi: ona i korpulentny pan o rozumnej i zniszczonej twarzy. Dziewczyna nerwowo poprawiła spódniczkę ze zwiewnej jak mgła gazy, oblegającą jej zwinną kibić, uśmiechała się i patrzyła w dół, jej wargi były pogryzione ze zdenerwowania, a nogi machinalnie przestępowały w miejscu. Poniżej kolan pod jedwabnym triko widoczne były nabrzmiałe jak sznurki żyły. Na wypudrowanej twarzy chwilami pojawiała się głęboka bladość.

- Bezantur, czy rzeczywiście było dobrze?

- Doskonale, moja małeńka. Teraz musisz zadać ostatni cios. Znowu zyskałaś sympatię. Glaubitz w antrakcie mocno mi uścisnął rękę i powiedział: „Jest czarująca. Ma znowu swoją poprzednią ekspresję. Obawiam się, że Marianna dzisiaj będzie źle spać. Piszę artykuł równy blaskowi nóg Hélène Gren” - i uśmiechnął się bardzo zadowolony.

- Podaj mi kokainę - szybko powiedziała Karion.

Bezantur wziął z jej stołu kryształowy flakon i zaczerpnął z niego maciupęńkim, srebrnym czubkiem łyżeczki odrobinę białego proszku. Dziewczyna wciągnęła go tak, jak się wacha tabakę, przyciskając palcem jedną dziurkę nosa, a potem drugą. Na jej twarzy pojawiły się kolory, oczy zaczęły nienormalnie błyszczeć. Teraz nie czuła się zmęczona.

Orkiestra już zaczynała ten fragment, od którego powinna była wyjść na scenę Hélène

Gren. Zdenerwowana, z podniesioną głową wkroczyła w rozstępujący się przed nią tłum zakulisowych gości, tłoczących się w przejściach prowadzących na scenę.

Reżyser, podtrzymując jej łokieć, podprowadził ją do kulis. - „Raz, dwa...” - liczył. Potem już tańczące, nie odczuwane przez nią ciało w obłoku gazy oddało się żywiołowi muzyki i chwili, oslepiąco jasnemu pomostowi, zapełnionemu kobiecym tłumem o wyczarowanych, nieruchomych uśmiechach na ucharakteryzowanych twarzach, i otwartej paszczy proscenium, gdzie w głębokim mroku przygaszonych lamp słycać było powściągliwe napięcie widowni.

Zaledwie Marianna Duport skończyła swoją partię solową, nastąpiła głęboka pauza przerwana hukiem oklasków. Teraz Hélène powinna była wystąpić ze swoim solowym popisem. Orkiestra rozpoczęła szybki, płynny motyw. Karion, już czując zbliżające się zwycięstwo - to dziwny chłód przebiegł przez jej ciało bolesną, elektryczną falą - wyleciała z rąk partnera, który podniósł wyżej głowę niczym ptak, ledwie dotknęła ziemi, natychmiast zawładnęła sceną i widzami, skacząc w górę tak szybkimi i silnymi ruchami, że orkiestra zmuszona była przyspieszyć tempo. Lecąc obok lewego rogu sceny, przelotnie spojrzała na wyzywającą twarz Duport.

- Karion! - rozległ się nagle wzruszony męski głos z pierwszego rzędu. - Oczywiście, od razu ciebie poznałem, ale wąpiłem, bo pomyłka byłaby głupia. Patrz! Weź! Oto twoje nacięcie na witce wierzbowej.

Jakby uderzono ją po nogach. Szybko, zgodnie ze zwyczajem schyliła się, by podnieść bukiet lub to, co przez chwilę wydawało się być bukietem. Była to zwinięta w pierścień witka wierzbowa z rzadkimi, młodymi listkami. Podniosła ją i cała drgnęła, starając się przez jakiś czas pojąć, co to wszystko znaczy. W końcu spośród przeżyć tego wieczoru wyłoniła się owa scena na brzegu, jak ostre i nieprzyjemne uderzenie podobne do kropli deszczu spadającej na twarz w zenicie ognistego, letniego dnia. Uniesienie jej opadło i zgasło, serce zamarło, lekki gniew wraz z zimnym zaciekawieniem zatrzymały jej upajający ruch; Karion wyprostowała się i pytająco spojrzała tam, gdzie w pierwszym rzędzie jaśniała ogorzała twarz podnoszącego się i machającego ręką Franheita.

Zmusiła siebie także do kiwnięcia ręką, zrobiła to najzupełniej w sposób teatralny, chociaż nie bez irytacji. Cała ta scena trwała niecałą minutę, w ciągu której zupełnie zniweczona została równowaga ducha jednej kobiety, a podbudowana - drugiej. Karion nie oglądając się wyszła rozdrażniona; zęgnął ją nieco podniosły szum równomiernych oklasków. Tak oto samotny człowiek z wierzbowego lasu rzucił na wagę triumfu ciężki ładunek, ale wcale nie na korzyść miłości.

Franheit, otoczony lekką atmosferą skandalu, przejawiającego się w zdziwionych lub pełnych oburzenia spojrzeniach, przesiedział cicho z zamartwym sercem aż do chwili opuszczenia kurtyny. Czuł, że teraz Karion wyjedzie. Widział jak dziewczyna przekazała gałązkę ręce wysuniętej zza kulis. Potem wielokrotnie mylił się we wszelkiego rodzaju przejściach i pytał zaczerwieniony, którędy iść, aż w końcu trafił do korytarza, gdzie palące się lampy gazowe czyniły biały dzień pośród nocy. Z roztargnieniem spojrzał na zmijowate oczy sprzątaczk, zapukał jednocześnie ręką i sercem w upragnione drzwi, po czym znalazł się pośród kwiatów, rozrzuconych sukien i luster. W jego nozdrza uderzył ciężki zapach palonych włosów.

- Witaj, dzika przeszłości - powiedziała dziewczyna na poły śmiejąc się, na poły nadsluchując odgłosów spoza drzwi. - Co, już masz brodę. Słyszałeś o mnie? Gdzie? Co oznacza twój dowcipny wyskok? Och, gdybyś trochę poczekał. Przecież zniszczyłeś mnie. Od razu załamalam się, miałam bardzo trudny moment... mocno mnie trzepnięto. Wszystko skończone...

Franheit nie przerywał. Potrząsnął jej rękę, przyjaźnie uściśnął zimne palce swoją silną dłońią.

- Wiem, że ci ciężko - powiedział - czułem, że tak jest, dlatego właśnie przyjechałem i

odszukałem ciebie. No, pozwól popatrzeć na siebie.

Ogarnął jej twarz uważnym spojrzeniem. Z dawnej Karion pozostały tylko zadziorna, górna warga i oczy, inne szczegóły wprawdzie niewiele się zmieniły, niemniej jednak przybrały odcień bardziej gorączkowego życia.

- Zeszczuplałaś i zbladłaś – powiedział - dlatego oczywiście, że brak tu światła naszych dolin. Patrz jak napięte są żyły na twoich rękach. Twoje serce słabnie. Rzuć natychmiast swój teatr. Nie mogę patrzeć, jak umierasz. W jakich dziwnych warunkach żyjesz! Nie ma tu naszej wierzby i naszych kwiatów, i naszego cudownego powietrza. Ciebie tu na pewno siłą trzymają. Gdy przestaniesz psuć twarz różnymi bielidłami, to będziesz znowu różowa i wesół. Dlaczego nazwałaś się Hélène Gren? Razem z tym nazwiskiem jak gdyby odmieniono ciebie. Czyż nie przeraża cię życie pośród papierowych róż i płóciennej rzeki? Gdy szedłem tu, to zobaczyłem jak namalowany księżyc walał się w kącie. Musisz być zdrowa jak przedtem. Słuchaj... mówię dużo, bo czuję się tu nieswojo i jestem skrępowany. Słuchaj, już od dawna proponowano mi miejsce pilota, bo dobrze znam rzekę - będziesz żyć ze mną spokojnie jak ręka leżąca nocą pod głową. Przypomnij sobie, jaki jest złocisty i suchy piasek w zaroślach wierzbowych, przypomnij sobie, jak kapaliśmy się, jak rankiem krzyczałaś przenikliwie, „a-a” i machałaś nogami. Chodźmy. Chodźmy, Karion, wnet będzie powrotny parostatek, o trzeciej w nocy, pogoda jest wspaniała.

Mówiąc te słowa przyciągał i całował jej rękę, i zaglądał w oczy.

Odsunęła rękę.

- Franheit, mówisz bardzo śmiesznie. Czy wierzysz w to. co mówisz?

- Wierzę cały czas.

- A czy wiesz, co to znaczy „artysta”? Artysta to człowiek, który całkowicie poświęcił się sztuce. Jestem już znana, jeszcze trochę i sława moja rozniesie się jeszcze dalej, poza ten zapadły kąt, gdzie się urodziłam. Jak mogłoś pomyśleć, że rzucę scenę?

- Kij ty posadziłaś - pokornie zaprzeczył Franheit — zdarzył się najprawdziwszy cud, że puścił liście. Całą duszą pragnąłem tego. To była twoja pamięć, a ty przysięgałaś na nią, że wrócisz. Czyż nie mogę ci ufać?

- Nie, możesz - powiedziała z wysiłkiem i cała zadrzała. Jej spojrzenie stało się ostre i nieruchome, twarz zbladła. Nie spuszczać oczu z Franheita, wzięła szal, zaczęła powoli owijać nim szyję i patrzeć z nie ukrywaną i głęboką nienawiścią. Teraz całą swoją postacią przypominała wyostrzony nóż pochwycony nieostrożną ręką.

Franheit zamilkł. Kilka uczuć dało o sobie znać na jego mrocznej twarzy: ból, niepokój, czułość, a w końcu zalała się głębokim i jasnym rumieńcem.

- Nie - powiedział. - Nie chcę ofiary, przyszedłem tylko powiedzieć, że wierzba kwitnie i że jeszcze nie jest za późno. Hélène Gren proszę mi wybaczyć. Niech pani będzie szczęśliwa.

Tak oto odszedł i znalazł się na ulicy. Kroczył całkiem spokojnie jak na spacerze. Na ciemnym placu spotkał go oczekujący w bezruchu Rausson i zaczął szeptać do ucha tajemnicze i kuszące słowa. Jednak starczyło mu sił, by poczekać jeszcze dokładnie trzy lata, póki znowu nie zakwitło serce, jak ta wierzba, którą doktor roślin spryskiwał chlorofilem.

*Tadeusz Maliński*

# NAPOWIETRZNE RUSAŁKI

## I

W 1914 roku pilot Raymond Luks otrzymał rozkaz przelecenia granicy i wysadzenia na umówionym miejscu szpiega. To zaplanowane przez sztab działanie dotyczyło ważnych tajemnic wojskowych. Dlatego też wybrano odważnego i ostrożnego Luksa.

Następnie ustalono, że po tamtej stronie gór rozciąga się obszerna zalesiona równina z dość przestrzenną polaną zapewniającą pomyślne lądowanie. Na tej polanie Luks powinien był wysadzić szpiega, a potem powrócić do bazy. Luks rozmawiał ze szpiegiem, ale przed rozstaniem spytał go:

- Czy nie cierpi pan na lęk wysokości? Pytam dlatego, bo w ostatnich czasach stałem się nerwowy, działa na mnie nastrój pasażera, chciałbym więc czuć za swoimi plecami „coś” bardzo spokojnego, na przykład worek z watą.

Dagobert - takie nazwisko miał szpieg - odrzekł na to:

- Nie jest to mój pierwszy lot. Niech pan będzie spokojny, nie sprawię żadnego kłopotu.

Oddalił się z tymi słowami, a Luks pozostał przy hangarze, gdzie mieszkał. Był zamysłony. Wrażenia zewnętrzne, podobne do ptaków w przestrzeni, swobodnie szybowwały w jego świadomości. Za hangarem żołnierz grał na gitarze. Za starym wałem ziemnym było widać, jak dyszy żółtym blaskiem w nocną poświatę nieba komin elektrowni. Brzęczał przewód telegraficzny, po szosie poruszał się ognik papierosa. Luks machinalnie powtarzał zapamiętany fragment wiersza, który od pewnego czasu prześladował go.

*Na stromiznie górzystej,  
Gdzie ręka nie sięgnie,  
Tam zręby kamieniste,  
Tam szarotka kwitnie...*

W tym czasie niewidoczny człowiek, zdradzając swoje zbliżanie się tylko odgłosem kroków, powoli dotarł do hangaru. W końcu Luks dostrzegł go i rozpoznał. Był to Catenar, także pilot, starszy już człowiek, który przez pewien czas szukał w awiacji śmierci z przyczyn dotąd nie wyjaśnionych. Loty wyleczyły go. „Wywietrzałem” - mówił do przyjaciół - „przewietrzyłem się”. Niemniej jednak ślad tajemniczej obsesji błyszczał jeszcze dziwnym ogniem w jego głęboko zapadłych oczach.

Pogadując weszli do pomieszczenia, które zajmował Luks; tam zaczęli pić i rozmawiać o pogodzie...

- Pogoda będzie dobra - powiedział Catenar - wiem o tym, bo moja przestrelona noga w żaden sposób nie daje o sobie znać. Przyszedłem tutaj jednak w określonym celu. Proszę posłuchać mnie uważnie, a potem niech pan myśli, co chce. Z nikim innym nie rozmawiałbym o tym. Bardzo przypomina pan mojego syna... chociaż sam nie wiem, po co to wszystko mówię. Z twarzy był podobny do swojej matki. Jak pan myśli, dlaczego młodzi ludzie umierają w wieku dwudziestu lat, dopiero co uzbroiwszy się we wszystko niezbędne do dalszego życia? Chociaż i Blanche wyglądała zadziwiająco młodo. Czy polecą pan nad Ponmalle?

- Istotnie - odpowiedział Luks - ale skąd pan wie, że to najkrótsza trasa?

- Nie wiedziałem. - Catenar kilka razy łyknął ze szklanki, patrząc w stół. - Ale przecież mówiliśmy o kierunku północnym.

- Faktycznie - rzekł Luks, wyjmując pływającego w stearynie mola; płomień świecy przestał potrząsać i ponownie zapłonął spokojnie. - A co z tą górą?

- A to, że jeśli pan ceni życie, to niech jak najdalej omija tę przeklętą górę. Byłem nad nią. Mówię do pana zupełnie poważnie, że ominąć tę górę może tylko głuchy.

- Głuchy? - spytał Luks, myśląc że przesłyszał się. - Chyba to ja jestem głuchy, bo nie zrozumiałem, o co chodzi?

- Najlepiej będzie, jeśli ominie i głuchy, i ślepy jednocześnie - ciągnął Catenar. - Wyjaśnię to. Równoleżniki i południki istnieją faktycznie, chociaż nie pod postacią regularnych linii, podobnie „coś” takiego istnieje nad Ponmalle. Czy mam panu powiedzieć wprost, o co chodzi? Będzie się pan zapewne śmiał albo z powątpiewaniem puknie się w czoło palcem, patrząc przy tym dziwnie i z niejaką podejrzliwością na mnie.

- Lepiej kilka słów zamiast całego monologu - sucho oznajmił Luks.

Catenar cofnął się, głęboko wsunął ręce do kieszeni spodni, założył nogę na nogę i przymknął na wpół oczy.

- Nad górą Ponmalle spotka pan napowietrzne rusałki - powiedział wyraźnie. - I usłyszy pan śpiew.

- Co!?! - krzyknął cicho Luks. W chwili, gdy zamilkł, nie wiedząc jeszcze, co odpowiedzieć na to szokujące oświadczenie, coś dziwnego i pociągającego zarazem swym nieprzyjemnym chłodem szybko przesunęło się pod jego sercem i od razu znikło.

- Do diabła! - wymamrotał w końcu, uważnie wpatrując się w Catenara. - Czy myśli pan, że w to uwierzyłem? Brednie. Bzdury.

Catenar schwycił Luksa za rękę powyżej łokcia i mocno uściśnął:

- To tylko z w y k ł a przestroga - powiedział łagodnie - wzbudzi w panu więcej zaufania do moich słów aniżeli dokładne opowiadanie o tym, co osobiście przeżyłem nad tą górą; odebrałby pan ten opis jako mistyfikację albo bezczelny wymysł. Dlatego też już odchodzę, bo w przeciwnym wypadku nasza rozmowa zaprowadzi nas w zaczarowany krąg - ja będę milczał, a pan - wypytywał. Żegnaj panu. Niech pan unika Ponmalle.

Wstał.

- Jednak... sam pan nie ucierpiał!?! - spytał jeszcze Luks. - W przeciwnym wypadku, jak może mnie pan uprzedzać!?

- No tak - odpowiedział Catenar - to był czarny dzień, leciałem wówczas z martwą duszą. Niech pan zabije duszę, a Ponmalle nie będzie straszna. Dobranoc.

Luks chciał go zatrzymać, ale Catenar przecząco kiwnął głową i wyszedł. Lotnik zmarszczył czoło, wzruszył ramionami, po czym bez zadowolenia wypił szklankę wina i nie rozbiegając się położył na łóżku. Przed jego oczami sterczało jak gdyby ostrze potężnego, nieruchomego kęta: dziwne słowa Catenara. Sądził, że normalnie myślący człowiek n i c nie powinien myśleć o tym wszystkim. A to właśnie dlatego, że uważał m y ś l e n i e za karygodne - kilka bajek roześmiało mu się w twarz pluskiem maleńkich rąk wykręcających zielone warkocze nad utopionym w czarnej wodzie miedzianym sierpem księżyca. Jednak bajki słyszał tylko w dzieciństwie. Teraz zaś miał trzydzieści dwa lata i sierp t y l k o o d b i j a ł się w rzece.

## II

Tej nocy nastąpiło zdarzenie, które miało wielkie znaczenie zarówno dla Luksa, jak i dla Dagobera, który czasowo zamieszkiwał w dwóch pokojach górnego piętra willi Presta. Gdy Dagober zasnął, w ciemnym, otwartym oknie jego sypialni pojawił się ostrożnie skradający się cień człowieka. Oczywiście zjawił się w złych zamiarach. W jego ruchach przejawiała się napięta gracia polującego kota; bezszelestnie jak duch postać kilka chwil u wezłowia śpiącego i znikł w ten sam sposób, w jaki się pojawił, związek pomiędzy tą wizytą, a tym co

nastąpiło potem, nie jest zupełnie jasny, co więcej, nigdy nie został wyjaśniony, gdyż właśnie najprostsze zbieżności grają olbrzymią rolę, ale powróćmy do pilota.

Lotnik, rozbudzony przez dyżurnego zawiadamiającego o przybyciu Dagobera, wyszedł z hangaru już ubrany i uzbrojony; po wyjściu dostrzegł szpiega obok maszyny; Dagober był ubrany w ciasno zapięty brezentowy płaszcz, hełm z nausznikami i szal; wielkie okulary zakrywały górną część jego twarzy. Luks jak człowiek czynu kiwnął ręką, uściśnął dłoń współtowarzysza i zajął się przygotowaniem do lotu. Rozbudzony silnik zawarczał w ciszy porannej mgły swoim piekielnym jazgotem; Luks i Dagober zajęli miejsca w maszynie. Dagober siedział z tyłu za Luksem. Samolot drgnął, prześliznął się po trawie z rozpostartymi w półmgle białymi skrzydłami i, odbijając się od ziemi, zaczął wznosić się po wschodzącej linii ku nieregularnym zrębom Ponmalle, która na brzegu płaskowzgórza miała kształt baszty strażniczej. Niebo jaśniało, lekkie i czyste obłoki srebrzyły różowiający się horyzont.

W prostej linii było nie więcej niż pół godziny drogi do celu. Luks z zadowoleniem czuł, że maszyna dobrze słucha sterów, motor równo zagłusza przyzwyczajone ucho, a i wiatr nie jest zbyt silny. W tym momencie przypomniał mu się Catenar, którego wczorajsze słowa jak gdyby straciły pośród porannej świeżości ciała i powietrza swoją ostrą dziwaczność, ale już po chwili ponownie wciągnęły jego umysł do ich rozwikłania. „Proszę nie lecieć na Ponmalle” - stało wydrukowane na horyzoncie. Luks zaczął uważnie wpatrywać się w ten wiersz, tkwiący w nim, a równocześnie ze spokojem patrzył na zbliżającą się górę, jak spokojnie przesuwa się jej wielkość w dole. W górze szybowwały wyraźnie widoczne cztery orły, od czasu do czasu poruszając skrzydłami; warkot silnika zmuszał je do przemieszczenia się dalej do przodu. Jednak wydało mu się, że ciągle znajdowały się w tej samej odległości od samolotu.

Teraz góra była już pod nim. Widział jej skały, jej bezludne, jaśniejące w słońcu stoki i urwiska. Rozmyślał także o niebezpiecznych prądach powietrznych, które w rozstrojonym umyśle Catenara mogły - jeśli rzeczywiście istniały - przybrać charakter innych niebezpieczeństw, gdy nagle coś podobnego do fruujących na wietrze piór z lekka przysłoniło jego spojrzenie, przeszkadzając patrzeć. Gdy tylko potrząsnął głową - tak jak to robimy wówczas, gdy czarna lub kolorowa plama wywołana podrażnieniem nerwu tak nieprzyjemnie pływa w powietrzu przed nami - zjawisko znikło, ale też od razu powtórzyło się z prawej i lewej strony.

Przed nim i wokół niego miały się, jak stada wirujące spiralą i ogarniające pół nieba, skrzydlate istoty o błękitnych włosach; były nagie i subtelnie wyraźne, jak dźwięki, które towarzyszyły ich oślepiającemu ruchowi. Słyszał też śpiew zamiast odgłosu pracy silnika. Śpiew ten wprawiał go u błogostan, porywał go, rodził pragnienie zupełnego, szaleńczego ogłuchnięcia od tej muzyki wywołującej słodką burzę.

Luks, nie panując nad sobą i nie wiedząc, co się dzieje z Dagoberem, odwrócił się i chciał chociaż spojrzeniem przekazać mu swój stan. Jego ręce rozwarły się, lecz od razu ponownie mechanicznie wczepiły się w stery - tak dziwnie zmieniony był jego współtowarzysz. Za sobą dostrzegł błękitne, kobiece oczy, przepiękną uduchowioną twarz wypełnioną obietnicą i błękitne jak niebo, rozwiewające się na wietrze, wspaniałe włosy. Biała ręka machnęła tuż przed nim, coś pokazując; rozległ się śmiech.

- Tak! - powiedział - tak! - włożył w te szalone słowa całą bezwolność swego zachwyty i pragnienie delikatnej uległości, nie mającej sobie niczego równego. Już nie rozumiał, nie był świadom, co się z nim dzieje, wiedział tylko tyle, że jego droga została przerwana przez korowód lecących wciąż wyżej i wyżej przepięknych i szalonych istot. Przez pewien czas maszyna mknęła pod ostrym kątem w górę, potem znikła i runęła po krzywej bokiem w dół.

Po chwili wypadło z niej skurczone ciało, podobne do śpiącego dziecka. Ciało wyprzedziło samolot i wciąż opadając, już martwe dosięgło ziemi. Przedtem, zanim Luks poczuł zabójczą dla niego pustkę, ktoś łagodnie pocałował go w oślepe oczy; potem wszystko zniknę-

ło.

Czy czasem nie z martwą duszą spoglądamy w górę? Jednak Luks nie był człowiekiem o martwej duszy i dlatego, żegnając się w subtelny pocałunku z tym wszystkim, co go wypełniało i czym żył, mógłby - gdyby zmartwychwstał - ponownie przelecieć nad górą Ponmalle ze świadomością tego, co go czeka.

Dagober opowiedział później, że nieznanymi, nocnymi złodziejami pośród wielu innych rzeczy ukradł budzik nastawiony na piątą rano. Poleciał następnego dnia z innym lotnikiem.

*Tadeusz Maliński*

## SZCZUROLAP

### I

Wyszedłem na rynek wiosną 1920 roku, ściślej mówiąc 22 marca - uczyniłem zadość skrupulatności, aby opłacić prawo wstępu w sferę przysięgłych dokumentalistów, w przeciwnym bowiem razie dociekliwy czytelnik naszych czasów będzie dopytywał się o to w redakcjach pism. A zatem wyszedłem na rynek 22 marca i - powtarzam 1920 roku. Był to Rynek Sienny. Niestety, nie mogę wskazać, na którym rogu stałem, a także, co tego dnia podawały gazety. Nie stałem na rogu, ponieważ chodziłem tam i z powrotem po bruku dookoła zburzonej zabudowy rynku. Miałem na sprzedaż kilka książek - ostatnią rzecz, jaką posiadałem.

Zimno i mokry śnieg, miotający nad głowami tłumu kłęby białych iskier, stwarzały odpychającą scenerię. Ze ściągniętych chłodem twarzy biło zmęczenie. Nie wiodło mi się. Wałęsałem się dwie godziny z okładem i natknąłem się tylko na trzech ludzi, którzy zapytali, ile chcę za książki, lecz podaną cenę pięciu funtów chleba uważali za niepomiarne wygórowaną. Tymczasem zaczynało się ściemniać - okoliczność raczej nie sprzyjająca sprzedaży książek. Wszedłem na chodnik i przytuliłem się do muru.

Na prawo ode mnie stała staruszka w rotundzie i zniszczonym kapeluszu z dżetami na trzęsącej się głowie. Staruszka przebierała gruzłowatymi palcami parę czepków dziecięcych, wstążki oraz pęczek poźółkłych kołnierzyków. Na lewo ujrzałem młodą dziewczynę z miną dość niezależnej osoby, trzymającą książki podobnie jak ja, wolną ręką zaciskała pod brodą szarą ciepłą chusteczkę. Miała na sobie spódnicę skromnie sięgającą po czubki całkiem przyzwoitych trzewiczków - w przeciwieństwie do tych ledwie sięgających kolan rozchwianych spódniczek, jakie zaczęły wówczas nosić nawet staruszki - sukienny żakiet, ciepłe rękawiczki, znoszone i dziurawe, z których wyzierały czubki palców. Sposób, w jaki patrzyła na przechodniów, bez uśmiechu i namawiań, chwilami opuszczając długie rzęsy i w zamyśleniu spoglądając na swoje książki, i to, jak te książki trzymała, chrząkając i wzdychając dyskretnie, gdy przechodził, rzuciwszy okiem na jej ręce, a potem na twarz, odchodził, jakby czymś bardzo zdziwiony, i napychał usta pestkami - wszystko niezwykle mi się podobało i nawet rzekłbym, że na rynku pocieplało nieco.

Na ogół interesujemy się ludźmi, o sytuacji których mamy jakieś wyobrażenie, dlatego zapytałem dziewczynę, czy dobrze jej idzie handel. Odkaszlnęła lekko, odwróciła głowę, zatrzymała na mnie spojrzenie szarobłękitnych oczu i odrzekła: „Tak jak i panu”.

Wymieniliśmy kilka uwag na temat handlu w ogóle. Z początku mówiła tylko tyle, ile trzeba, żeby być zrozumianą; potem jakiś mężczyzna w niebieskich okularach i w bryczesach kupił od niej *Don Kichota*... wtedy nieco się ożywiła.

- Nikt nie wie, że wynoszę książki na sprzedaż - powiedziała pokazując mi w zaufaniu

falszywy banknot, który wsunął między inne przezorny obywatel, i z roztargnieniem wymachując świstkiem - to znaczy nie kradnę ich, tylko wyciągam z półek, kiedy ojciec śpi. Matka była umierająca... wszystko sprzedaliśmy wtedy, prawie wszystko. Nic mieliśmy chleba ani opału, ani nafty. Pan rozumie? Mimo to ojciec na pewno wpadnie w gniew, jeśli się dowie, że tu przychodzę. A ja przychodzę i wynoszę ukradkiem. Szkoda książek, ale co robić. Dzięki Bogu, jest ich wiele. A pan dużo ma?

- N-nie - powiedziałem czując, że wstrząsają mną dreszcze; już wtedy byłem przeziębiony i trochę zachrypnięty - nie sędzę, żebym miał ich dużo. W każdym razie to jest wszystko, co posiadam.

Spojrzała na mnie z naiwną uwagą - w taki sposób dzieci wiejskie stłoczone w izbie patrzą na przyjezdnego urzędnika, popijającego herbatę - i dotknęła kołnierza mojej koszuli koniuszkiem palca. Przy koszuli, podobnie jak przy kołnierzu letniego płaszcza nie było guzików, pogubiłem je i nie przyszyłem innych, dawno już bowiem przestałem troszczyć się o siebie, machnąłem ręką na wszystko.

- Pan się przeziębi - powiedziała, odruchowo mocniej zaciskając chusteczkę, a ja zdałem sobie sprawę, że ojciec musi kochać tę dziewczynę, że jest rozpieszczona, ale dobra. - Pan się przeziębi, bo pan chodzi z rozpiętym kołnierzem... Niech no pan tu pozwoli, obywatelu.

Włożyła książki pod pachę i weszła pod sklepienie bramy. Tu, uśmiechając się głupawo, zadarłem głowę, by jej umożliwić dostęp do mojej szyi. Dziewczyna była smukła, jednak znacznie niższa ode mnie; położyła książki na słupku, przybrała zagadkowy, nieobecny wyraz twarzy, właściwy wszystkim kobietom, gdy mają do czynienia ze szpilką, przez chwilę szamotała się z czymś pod podszewką żakietu, i wspinając się na palce, skupiona, sapiąc z przejęcia, spięła na mur białą agrafką rogi mojej koszuli wraz z paltem.

- Cielece czułości - mruknęła jakaś tęga baba przechodząc mimo.

- No, już! - Dziewczyna krytycznym spojrzeniem oceniła swoje dzieło. - W porządku. Teraz może pan spacerować.

Roześmiałem się zdumiony. Rzadko spotykałem się z taką prostotą. Na ogół albo nie mamy do niej zaufania, albo jej nie dostrzegamy; niestety, zauważamy ją dopiero wtedy, gdy jest nam źle.

Uściskawszy rękę dziewczyny, podziękowałem i zapytałem, jak jej na imię.

- Powiedzieć mogę - odrzekła patrząc na mnie ze smutkiem - tylko po co? Nie warto. Zresztą, niech pan zapisze nasz telefon, możliwe, że kiedyś poproszę, by sprzedał pan moje książki.

Zapisałem, patrząc z uśmiechem na jej wskazujący palec, którym, zaciskawszy pozostałe w piąstkę, kreśliła w powietrzu cyfrę za cyfrą, wymawiając je tonem nauczycielki.

Potem obstał nas i rozdzielił tłum uciekających przed konną obławą. Upuściłem książki, a kiedy je pozbierałem, dziewczyna znikła. Alarm nie był na tyle groźny, by nas całkiem wypłoszyć z rynku, a książki w kilka minut później zakupił ode mnie typowy andrejewowski staruch z kozią bródką i w okragłych okularach. Zapłacił niewiele, lecz ja i z tego byłem zadowolony. Dopiero wracając do domu zorientowałem się, że sprzedałem również książkę, na której zapisany był numer telefonu, i że zapomniałem go bezpowrotnie.

## II

Z początku byłem lekko zdetonowany, jak zwykle, gdy się poniesie drobną stratę. W dodatku niezaspokojony głód brał górę nad tamtym uczuciem. W zamyśleniu gotowałem kartofle w pokoju ze zbutwiałym oknem, ociekającym wilgocią. Miałem mały żelazny piecyk.



Opał... W tych czasach wielu chodziło na strychy, ja też chodziłem przemykając się jak złodziej w ukośnym półmroku dachów, słuchając, jak hula wiatr w kominach i patrząc przez wybite szczytowe okienko na bladą plamę nieba obsypującego śmietniska płatkami śniegu. Znajdowałem tu drzazgi pozostałe po rąbaniu krokwi, stare ramy okienne, połamane gzymsy, w nocy znosiłem to do swojej piwnicy, nadśluchiwałem na półpiętrach, czy nie zaskrzypi gdzieś stara zaszuwa, wypuszczając spóźnionego gościa. Za ścianą mego pokoju mieszkała praczka; całymi dniami przysłuchiwałem się, jak ręce jej mocno trą bieliznę w balii - był to miarowy chrzęst, jaki wydaje żujący koń. Tam też stukiała często do późna w nocy, jak oszalały zegar, maszyna do szycia. Goły stół, gołe łóżko, taboret, filiżanka bez spodka, patelinka i czajnik, w którym gotowałem kartofle - dość tych wspomnień! Prawda życia często odwraca się od zwierciadła, które jej tak gorliwie podstawiają ludzie z nienaganną edukacją, umiając z równie dobrym skutkiem sypać sprośnościami według nowych, jak i według starych zasad ortografii.

Gdy nadeszła noc, przypomniał mi się rynek i przypatrując się agrafce przeżyłem wszystko powtórnie. Carmen uczyniła bardzo niewiele, tylko rzuciła kwiatkiem w leniwego żołnierza. Podobnie stało się tutaj. Od dawna już rozmyślałem o spotkaniach, o pierwszym spojrzeniu, pierwszych słowach.

Pozostają one w pamięci i wyciskają głęboki ślad, jeśli nie było przy tym nic zbędnego. W chwilach znamiennych jest jakaś czystość tak nieskazitelna, że można je zamknąć w strofy albo w rysunek - są to właśnie te przesłanki życia, które dają początek sztuce. Autentyczne zdarzenie, zakłete w prosty kształt, naturalny i nie zakłócony w tonie, kształt, którego pragniemy z całego serca i na każdym kroku - jest zawsze pełne powabu. Tak niewiele trzeba, by wrażenie osiągnęło ton pełnobraźniący.

Dlatego niejednokrotnie brałem do ręki agrafkę i powtarzałem w pamięci każde słowo, które zamieniłem z dziewczyną. Na koniec zmęczyłem się, zasnąłem, ocknąłem się, ale gdy wstałem, znów upadłem tracąc zmysły. Był to początek tyfusu i rano odwieziono mnie do szpitala. Jednakże miałem jeszcze dość przytomności, by włożyć moją agrafkę do blaszanego pudełka służącego mi za tabakierkę i nie rozstawałem się z nią do końca.

### III

Gdy gorączka doszła do czterdziestu jeden stopni, w malignie zaczęli nawiedzać mnie ludzie, od których, od kilku lat nie miałem żadnych wiadomości. Prowadziłem z nimi długie rozmowy i wszystkich prosiłem, żeby mi przynieśli zsiadłego mleka. Lecz oni, jak gdyby w znowie, twierdzili, że doktor zabronił mi zsiadłego mleka. Równocześnie oczekiwałem skrycie, że pośród ich twarzy, migających jakby w oparach łaźni, ukaże się twarz nowej pielęgniarce, którą miała być właśnie dziewczyna z agrafką. Od czasu do czasu przechodziła za ścianą wśród kwiatów na wysokich łądogach, w zielonym wianku, na tle złotego nieba. Tak łagodnie, tak wesoło świeciły jej oczy! Jeśli nawet nie zjawiała się, jej niewidzialna obecność wypełniała salę, w której migotał przyćmiony płomyk, a ja od czasu do czasu dotykałem agrafki w pudełku. Do rana zmarło pięć osób, wynieśli je na noszach rumiani sanitariusze, a mój termometr wskazał trzydzieści sześć z kreskami; wkrótce wróciła mi przytomność i zaczęła się trzeźwa rekonwalescencja. Wypisano mnie ze szpitala, kiedy mogłem już chodzić, mimo że odczuwałem ból w nogach, Wyszedłem po trzech miesiącach choroby i zostałem bez dachu nad głową. W moim dawnym pokoju zamieszkał inwalida, mnie zaś nie było stać moralnie na to, by chodzić po urzędach i dobijać się o jakieś lokum.

Teraz, przypuszczam, nie od rzeczy będzie przytoczyć trochę danych o moim wyglądzie zewnętrznym, opierając się na fragmentach listu mojego przyjaciela Riepina do dziennikarza

Fingąła. Czynię to nie dlatego, żeby mi zależało na utrwaleniu mych rysów na kartach książki, lecz dla celów poglądowych. „Jest śniady - pisze Riepin - z wyrazem zniechęcenia na regularnej twarzy; włosy krótko ostrzyżone, mówi powoli, z wysiłkiem”. To prawda, ale ta właściwość mojej wymowy nie była następstwem choroby, wywodziła się ona z przykrego uczucia, które zresztą rzadko sobie uświadamiamy, że nasz świat wewnętrzny mało kogo obchodzi. Jednakże ja sam pilnie interesowałem się każdą napotkaną duszą, dlatego mniej wypowiadałem się, a raczej słuchałem. Toteż gdy zebrało się kilka osób, z ożywieniem usiłujących możliwie najczęściej przerywać sobie wzajem, by każda z nich mogła możliwie najwięcej ściągnąć na siebie uwagi - zwykle siedziałem na uboczu.

Przez trzy tygodnie nocowałem u znajomych oraz u znajomych moich znajomych - w charakterze godnej politowania przesyłki. Sypiałem na podłodze, na płycie kuchennej i na pustych skrzyniach, na krzesłach zestawionych razem, a kiedyś nawet na desce do prasowania. Przez ten czas widziałem mnóstwo ciekawych rzeczy, dziejących się na chwałę życia uparcie walczącego o ciepło, o najbliższych i o łyżkę strawy. Widziałem, jak się kredensem pali w piecu, jak wodę w imbryku gotuje się na lampie, jak się smaży koninę na oleju kokosowym, jak się kradnie belki drewniane ze zburzonych domów. Ale wszystko to, i znacznie więcej jeszcze, zostało już opisane przez pióra, które rozszarpały tę nowalijkę na drobne cząsteczki; nie tkniemy więc już pochwyconego kaska. Co innego mnie pociąga - to, co działo się ze mną.

#### IV

Pod koniec trzeciego tygodnia zacząłem cierpieć na dokuczliwą bezsenność. Trudno mi powiedzieć, jakie były pierwsze objawy, pamiętam tylko, że zasypiałem z coraz większym trudem i coraz wcześniej się budziłem. W tym czasie przypadkowe spotkanie zapewniło mi wątpliwy przytułek. Włócząc się nad kanałem Mojki i zabawiając się widokiem połowu ryb - chłop z siecią na długim drągu obchodził w skupieniu granitowy występ, od czasu do czasu zanurzał ją do wody i wyciągał garść drobnych rybek - spotkałem sklepikarza, u którego kilka lat temu brałem na kredyt artykuły kolonialne. Człowiek ten pełnił jakąś funkcję państwową: miał dostęp do wielu domów w sprawach urzędowo-gospodarczych. W pierwszej chwili go nie poznałem: ani fartucha, ani perkalowej koszuli w turecki deseń, ani brody i wąsów; sklepikarz ubrany był z surowym sznytem wojskowym, wygolony do czysta i przypominał Anglika, tyle że w jarosławskim wydaniu. Chociaż dźwigał wypchaną tekę, nie miał dość władzy, by mnie zakwaterować, gdzie zechce, i dlatego zaproponował mi opustoszały gmach Banku Centralnego, w którym jest dwieście sześćdziesiąt pokojów, cichych i martwych jak woda w stawie.

- Watykan - powiedziałem wzdrygnąwszy się z lekka na myśl o podobnym mieszkaniu.  
- Jak to, czy nikt tam nie mieszka? Albo może ktoś tam przychodzi, a jeżeli tak - czy dozorca nie zaprowadzi mnie na milicję?

- Ech! - odparł eks-sklepikarz. - Ten dom jest niedaleko stąd, niech pan pójdzie obejrzeć.

Zaprowadził mnie na wielki dziedziniec przegrodzony arkadami przyległych dziedzińców, rozejrzał się i ponieważ nikogo nic było widać, pewnym krokiem skręcił do ciemnego kąta, skąd prowadziły w górę czarne schody. Zatrzymał się na trzecim podeście przed zwykłymi mieszkalnymi drzwiami. Ze szpary u dołu wyglądały śmiecie. Podest był zavalony brudnymi papierzyskami. Zdawało się, że martwe milczenie, czając się za drzwiami, wycieka przez otwór zamka falami ogromnej pustki. Tu sklepikarz pouczył mnie, jak otwierać bez klucza: pociągnąć za klamkę, szarpnąć i unieść ją w górę, wtedy oba skrzydła rozejdą się.

ponieważ nie ma zasuwek.

- Klucz jest - powiedział sklepikarz – ale ja go nie mam. Kto zna sekret otwierania, może wejść całkiem swobodnie, tylko proszę go nikomu nie zdradzać, a zamykać można tak samo od środka, jak i z zewnątrz, wystarczy tylko zatrzasać. Jeśli pan zechce wyjść, proszę najpierw spojrzeć na schody. W tym celu jest okienko (rzeczywiście, w ścianie obok drzwi ciemniał na wysokości oczu wizjer z rozbitą szybką). Nie wejdę z panem. Jest pan człowiekiem inteligentnym i sam będzie wiedział, jak się urządzić. Dodam, że tu można ukryć całą kompanię wojska. Niech pan tu spędzi ze trzy noce. Jak tylko znajdę jakiś ką, natychmiast pana zawiadomię. W związku z tym - przepraszam, że dotknę drażliwej sprawy, ale jeść i pić musi każdy - proszę łaskawie przyjąć pożyczkę do czasu, gdy nastaną lepsze warunki.

Otworzył wypchany portfel, wsunął mi do nieruchomości opuszczonej ręki kilka banknotów, jak lekarzowi za wizytę, powtórzył wskazówki i odszedł, a ja, zamknąwszy drzwi, przysiadłem na skrzyni. Od razu cisza, którą nosimy w sobie, zaczęła wabić mnie jak los odgłosami życia. Skryła się za przymkniętymi drzwiami sąsiedniego pokoju. Wstałem i poszedłem.

Przekraczałem kolejno drzwi wysokich i wielkich sal z uczuciem człowieka stąpającego po pierwszym lodzie. Dokoła mnie było przestronnie i ehowo. Ledwie minąłem jedne drzwi, już widziałem na wprost siebie i po obu stronach następne, wiodące w mętnie majaczącą perspektywę z jeszcze ciemniejszymi wejściami. Parkiety zasłane papierem jak droga brudnym śniegiem na wiosnę. Obfitość papierów przypominała rozkopane przy uprzątnięciu zasy. W niektórych pokojach już od samych drzwi trzeba było brodzić w osuwających się stertach, sięgających po kolana.

Papier we wszelkiej postaci, we wszelkich kolorach i o wszelkim przeznaczeniu z iście żywiołowym rozmachem rozpościerał się wokół. Jego osypiska dotykały ścian, zwisał z parapetów, z parkietu na parkiet rozlewała się jego biała powódź, strumieniami wyciekał z otwartych na oścież szal, wypełniał kąty, tworząc miejscami zapory i spulchnione pola. Notesy, blankiety, księgi buchalteryjne, nalepki do okładek, cyfry, linie, teksty odręczne i drukowane - zawartość tysięcy szaf leżała wywleczona przed oczy, które nie wiedziały, na co patrzeć pod natłokiem wrażeń. Każdy szelest, odgłos kroków i nawet mój własny oddech słysząc było tuż nad uchem - tak wielka, tak chwytająca za gardło była pustynna cisza. Przez cały czas przesładował mnie mdlący zapach kurzu: okna miały podwójne ramy. Patrząc przez ich mroczne szyby, widziałem raz drzewa nad kanałem, raz dachy w podwórzu albo fasadę Newskiego. Znaczyło to, że okna domu wychodzą na całą dzielnicę, ale ponieważ przestrzeń była gęsta, nużąco dotykalna, rozgrodzona nie kończącymi się ścianami i drzwiami, zdawało się, że opanowanie rozległości gmachu wymaga wielodniowej wędrówki - uczucia wręcz przeciwstawne temu, z jakim wymawiamy nazwy: „mała ulica” albo „mały plac”. Ledwo zacząłem obchód, od razu miejsce to skojarzyło mi się z labiryntem. Wszystko było jednostajne - zwały papierzysk, wszędzie ta sama pustka urozmaicona oknami albo drzwiami i oczekiwanie wielu innych drzwi, w których nikt się nie tłoczy. Tak mógłby jedynie poruszać się człowiek wewnątrz swego zwierciadlanego odbicia, o ile by potrafił, gdy dwa lustra powtarzają aż do ośpienia przestrzeń nimi objętą, brak było tylko mojej własnej twarzy, ukazującej się w drzwiach jak w ramie.

Przeszedłem najwyżej dwadzieścia sal i już zgubiłem się, zacząłem więc szukać znaków rozpoznawczych, by nie zabłądzić; tu warstwa wapna na podłodze, gdzie indziej wyrwana z drzwi i oparta o ścianę deska, parapet zastawiony liliowymi kałamarzami, druciany kosz, stosy zużytej bibuły, kominek, gdzieś tam szafa albo przewrócone krzesło. Lecz znaki rozpoznawcze również zaczęły się powtarzać; rozglądając się, spostrzegłem ze zdumieniem, że czasami wracam tam, gdzie już byłem, i dopiero dzięki innym przedmiotom stwierdziłem pomyłkę. Czasem natrafiałem na kasę pancerną z otwartymi ciężkimi drzwiczkami, jak od pustego pieca, czasem był to aparat telefoniczny, który w tej pustce wyglądał jak skrzynka pocztowa albo grzyb na brzozie, czasem drabina przenośna. Znalazłem nawet czarną formę na

kapelusze, która nie wiadomo jak i kiedy została włączona do inwentarza.

Już zmierzch obejmował sale z bielejącymi w dalekiej głębi stosami papierów, korytarze i przyległe pomieszczenia zatarły się we mgle, mętne światło przecinało rombami parkiety w otwartych drzwiach, tylko ściany przytykające do okien jarzyły się gdzieś natężonym blaskiem zachodu. Pamięć o tym, co zostawiłem za sobą przechodząc, ścinała się jak mleko, gdy tylko nowe przejścia ukazywały się oczom, i w zasadzie miałem tylko świadomość tego, że stąпам skroś szeregu ścian, po ścianach i papierach. W jednym miejscu musiałem wyłazić wysoko i udeptywać nogami sterty śliskich teczek - szeleściło jak w krzakach. Szedłem rozglądając się z drzeniem; tak lepko, tak nieodłącznie przywierał do mnie w tej ciszy najdrobniejszy szmer, jak gdybym włókł uwiązane do nóg pęki suchych mioteł, nasłuchując, czy te kroki nie zaczepią czyjegoś słuchu. Z początku stąpałem po substancji nerwowej banku, depecząc czarne ziarenka cyfr z uczuciem, jak gdybym niszczył nuty orkiestry, którą słychać od Alaski do Niagary. Nie szukałem porównań - wywołane niezwykłym widowiskiem zjawiały się i nikły jak łańcuch mglistych kształtów. Zdawało mi się, że brodzę po dnie akwarium, z którego wypuszczono wodę, albo wśród lodów, albo też - co było najbardziej ponure i plastyczne - włóczę się po minionych stuleciach, które zamieniły się w terażniejszość. Przeszedłem wewnętrzny korytarz, tak kręty i długi, że można by po nim jeździć na rowerze. Na końcu korytarza były schody; wszedłem na następne piętro i zszedłem znów innymi schodami. Po drodze minąłem salę średniej wielkości zastawioną najrozmaitszymi sprzętami. Były tam matowe kule szklane, abażury w kształcie tulipanów i dzwonów, żyrandole, skręcone jak zmije zwoje przewodów, góry fajansu i miedzi.

Następne skomplikowane przejście doprowadziło mnie do archiwum, gdzie droga w półmroku, w ciasnocie półek równoległe przecinających przestrzeń i łączących podłogę z sufitem, była już zupełnie zatarasowana. Stos kopiałów zmieszanych jak groch z kapustą sięgał mi do piersi, nawet nie mogłem rozejrzeć się z należytą uwagą, tak było wszystko skotłowane.

Wyszedłszy bocznymi drzwiami posuwałem się w półmroku wzdłuż białych ścian, aż zobaczyłem wielkie łukowate sklepienie łączące kuluary z płaszczyzną głównego hallu, obstawionego podwójnym rzędem czarnych kolumn. W górnej części tych kolumn ciągnęła się ogromnym czworobokiem balustrada alabastrowej galerii; sufit był ledwo widoczny. Człowiek cierpiący na lęk przestrzeni uciekłby zasłaniając twarz - tak daleko było do drugiego końca tej zbiornicy tłumów, gdzie czerniały drzwi wielkości karty do gry. Tysiące osób mogły tu tańczyć swobodnie.

Pośrodku stała fontanna, a jej maski z ustami otwartymi w drwiącym lub tragicznym grymasie wydawały się stosem martwych głów. Do kolumn przytykał masywny kontuar, ciągnący się jak bariera areny, zasłonięty płytami z matowego szkła, na których złościły się napisy kas i buchalterii. Połamane przepierzenia, uszkodzone kabiny, stoły zsunięte pod ścianami - wszystko to było ledwo widoczne w ogromie sali. Tutaj wzrok z pewnym wysiłkiem dostrzegał cechy tej samej, co gdzie indziej, martwej pustki. Stałem nieruchomo i rozglądałem się. Zacząłem smakować to widowisko, przyswajając sobie jego styl. Po raz wtóry zrozumiałem wtedy podniosły nastrój widza wielkiego pożaru. Urok ruiny zaczynał rozbrzmiewać inspiracjami poetyckimi: przed moim wzrokiem rozciągał się osobliwy pejzaż, okolica, kraj cały. Jego koloryt był tak sugestywnie naturalny, jak sugestywny jest oryginalny motyw w muzyce. Aż trudno było wyobrazić sobie, że niegdyś roiły się tutaj tłumy z tysiącami spraw w teczkach i w głowie. Na wszystkim spoczywało piętno rozkładu i ciszy. Zuchwały, niepowstrzymany wiew żywiołu zniszczenia niósł się od drzwi do drzwi, krusząc wszystko dokoła z taką łatwością, z jaką noga miażdży skorupę jaja. Wrażenia te wywoływały jakieś szczególne mrowie pod czaszką i zmuszały do myślenia o katastrofie z ową magnetyczną skłonnością serca, która każe nam patrzeć w przepaść. Zdawało się, że jedna podobna echu myśl ogarnia tu wszelki kształt i dzwoni w uszach natrętną dewizą:

„Reszta niech będzie milczeniem”.

## V

Na koniec poczułem zmęczenie. Z trudem już rozróżniałem przejścia i schody. Byłem głodny. Straciłem nadzieję, że będę mógł wydostać się i gdzieś na rogu ulicy kupić coś do zjedzenia. W jednej z kuchennych zaspokoilem pragnienie odkręciwszy kran. Ku mojemu zdumieniu woda pociekła, choć słabym strumieniem, i ten drobny znak życia na swój sposób dodał mi otuchy. Potem zacząłem wybierać pokój.

To zajęło jeszcze kilka minut, wreszcie natknąłem się na gabinet z jednym wejściem, kominkiem i telefonem. Mebli prawie nie było; jedyne, na czym można się było położyć albo usiąść, to tapczan, oskalpowany i bez nóżek - strzępy odciętej skóry, sprężyny i włosie sterczały na wszystkie strony. We wnęce ściany mieściła się wysoka orzechowa szafa. Była zamknięta. Wypaliłem jednego papierosa, potem drugiego, aż przyszedłem do względnej równowagi i zająłem się urządzaniem noclegu.

Dawno już nie zaznałem szczęśliwego uczucia zmęczenia - głębokiego, spokojnego snu. Póki jaśniał dzień, myślałem o nadejściu nocy ostrożnie, jak człowiek, który niesie naczynie pełne wody; usiłowałem nie denerwować się, byłem prawie pewny, że tym razem wycieńczenie pokona uciążliwą trzeźwość umysłu. Jednak ledwie zaczynało się ściemniać, strach przed bezsennością ogarniał mnie z natarczywą siłą i męczyłem się, przywoływałem noc, by się przekonać, czy wreszcie zasnę. Niestety, im bliżej północy, tym mocniej upewniały mnie zmysły o swej nienaturalnej trzeźwości; niepokojące ożywienie, podobne do błysku magnezji wśród ciemności, skręcało moje nerwy w napiętą strunę, dźwięcząca pod najdrobniejszym wrażeniem, i jakbym się po dniu budził przed nocą na długą wędrówkę po wnętrzu zatrwożonego serca. Zmęczenie rozpraszało się, w oczach kłuło jak od suchego piasku; zaczątek każdej myśli natychmiast rozwijał się w najbardziej skomplikowany ciąg obrazów i czekające mnie długie, bezsenne godziny, pełne wspomnień, wywoływały bezsilny bunt, jak przymusowa i bezpłodna praca, której nie sposób uniknąć. Przywoływałem sen, jak tylko mogłem. Nad ranem miałem ciało jak gdyby nalane gorącą wodą i sztucznie ziewając wsysałem złudną obecność snu, lecz gdy zamykałem oczy, odczuwałem to samo, co odczuwamy zamykając oczy bez potrzeby w biały dzień - bezsens tej czynności. Wypróbowałem wszystkie środki: wypatrywałem kropek na ścianie, liczyłem, leżałem bez ruchu, powtarzałem w kółko jedno zdanie - wszystko bez skutku.

Miałem ogarek świecy, rzecz niezbędną w owych czasach, kiedy klatki schodowe nie były oświetlone. Jej mętny płomyk rozjaśniał trochę nieprzytulne, wysokie wnętrza; zatkałem papierkiem dziury w tapczanie, a zagłówek ułożyłem z książek. Palto posłużyło mi za kołdrę. Warto było rozpalić w kominku, żeby popatrzeć na ogień. W dodatku, mimo letniej pory, nie było tu zbyt ciepło. W każdym razie wymyśliłem sobie zajęcie i byłem rad temu. Niebawem paczki rachunków i książek zajęły się w kominku setnym płomieniem i spadały, spopielone, na ruszt. Płomień wprawiał w ruch ciemność za otwartymi drzwiami i ginął w oddaleniu cichą błyszczącą kałużą.

Lecz ten przypadkowy ogień płonął tajemniczo i bezowocnie. Nie oświetlał codziennych, bliskich nam przedmiotów, które obserwując w fantastycznej poświacie czerwonych i złotych węgielków, zanurzamy się zarazem w wewnętrznym cieple i jasności własnej duszy. Był nieprzytulny jak ognisko złodzieja. Leżałem, podpierając głowę zdrętwiałą ręką i nie czując najmniejszej ochoty do drzemki. Wszystkie moje wysiłki w tym kierunku równałyby się grze aktora, który udając ziewanie kładzie się do łóżka na oczach publiczności. Poza tym chciało mi się jeść i żeby zagłuszyć głód paliłem często.

Leżałem spoglądając leniwie to na ogień, to na szafę. Nagle przyszło mi na myśl, że szafa jest zamknięta nie bez powodu. Cóż jednak może się w niej kryć, jeśli nie te same stopy umarłych spraw? Czy może być coś, czego jeszcze stąd nie wywleczono? Smutne doświadczenie z przepalonymi żarówkami, których całą górę znalazłem w jednej z takich szaf, nasyliło mi podejrzliwą myśl, że i ta szafa zamknięta jest bez przyczyny, po prostu przekreślono klucz z gospodarskiego nawyku. Niemniej wpatrywałem się w masywne odrzwia, solidne jak brama, i myślałem o jedzeniu. Nie miałem wielkiej nadziei, że znajdę tam coś do pożywienia się. Ślepo pchał mnie naprzód żołądek, zawsze nakazujący rozumować według szablonu, który tylko jemu jest właściwy - podobnie wywołuje on ślinę głodu na widok jedzenia. Dla zabicia czasu spenetrowałem kilka przyległych pokoi, myszkowałem przy świetle ogarka, lecz nie znalazłem nawet okrucha sucharów i wróciłem coraz bardziej zaintrygowany szafą. W kominku pośpiesznie dogasał żar. Rozmyślałem.

## VI

Zacząłem przegląd od góry. Góra, to znaczy półki piąta i szósta, zastawiona była czterema wielkimi koszami; ledwo nimi poruszyłem, wyskoczył stamtąd ogromny rudy szczur i klapnął o podłogę z piskiem wywołującym mdłości. Konwulsyjnie cofnąłem rękę, drętwiejąc z obrzydzenia. Za następnym poruszeniem wyskoczyły jeszcze dwa potwory i przesmyknęły się pomiędzy moimi nogami, podobne do wielkich jaszczurów. Wtedy potrząsałem koszem i zastukałem w szafę, odskakując na bok w obawie, że lunie deszcz ponurych cielsk z wijącymi się ogonami. Lecz szczury, jeśli ich tam było jeszcze kilka, uciekły prawdopodobnie przez tylną ścianę szafy do szpar w ścianach. Szafa stała spokojnie.

Zdziwił mnie, naturalnie, ów pomysł przechowywania zapasów żywności w miejscu, gdzie myszy (Muridae) i szczury (mus Decumanus) mogą czuć się jak w domu. Lecz zachwyty wziął górę nad wszelkimi myślami - jak woda przez tamę, tak i one przeciekały skroś tego wichru apoteozy. Niech mi nikt nie opowiada, że uczucia związane z zjedzeniem są niskie, że apetyt stawia na równi amfibię z człowiekiem. W takich chwilach jak te, które przeżyłem, cała nasza istota uskrzydla się, doznajemy radości nie mniej wzniosłej, niż gdybyśmy oglądali wschód słońca ze szczytu gór. Dusza pokrywa się jak przy dźwiękach marsza. Już byłem pijany widokiem skarbów, tym bardziej że każdy kosz zawierał asortyment wspaniałości jednorodnych, a zarazem - w zestawieniu różnorodnych. W jednym koszu były sery - kolekcja serów od suchego, zielonego do rochesterera i brie. Drugi, nie mniej ciężki, pachniał masarnią - szynki, kiełbasy, wędzone ozory i faszerowane indyki rozpierały się obok następnego kosza nabitego szrapnelami konserw. Czwartą pękła od góry jaj. Przykląkłem, jako że teraz należało przejrzeć dolne półki. Odkryłem tu osiem głów cukru, skrzynkę z herbatą, dębową beczułkę z miedzianymi obręczami napełnioną kawą, kosze ciast, torty i suchary. Dwie dolne półki przypominały bufet restauracyjny, ich ładunek stanowiły wyłącznie butelki z winem poukładane ciasno jak polana. Na etykietach były wszystkie wymienione smaki, wszystkie firmy oraz słynne specjalności wytwórców win.

Jeżeli nawet nie było powodu do pośpiechu, to w każdym razie należało zabrać się do jedzenia, ponieważ skarb, który wyraźnie wyglądał na świeży i przemyślany zapas, nie mógł być - rzecz zrozumiała - zostawiony przez kogoś tylko gwoli dostarczenia przygodnemu gościowi przyjemności wielkiego odkrycia. W dzień albo nocą mógł zjawić się tu człowiek, podnieść krzyk i zamierzyć się na mnie pięścią czy gorzej nawet - nożem. Wszystko to wyglądało na ponury żart przypadku. Wielu rzeczy powinienem był strzec się w tej pustce, ponieważ dotknąłem niewiadomego. Tymczasem głód przemówił własnym językiem, przytknąłem więc szafę, rozsiadłem się na resztkach tapczanu, ułożywszy dokoła siebie smako-

wite kąski - z braku talerza - na dużych arkuszach papieru. Jadłem najbardziej treściwe rzeczy, to znaczy suchary, szynkę, jaja i ser, zagryzałem ciastem i popijałem portwajnem, przy każdym łyku na nowo przeżywając cud. Z początku nie mogłem pohamować dreszczu i męczącego nerwowego śmiechu, ale gdy trochę się uspokoiłem, trochę oswoiłem z posiadaniem tych smakołyków, o których jeszcze przed kwadransem marzyłem jak o niebieskich migdałach, zacząłem również panować nad moimi ruchami i myślami. Nasyciłem się prędko, znacznie prędzej niż sobie wyobrażałem, zabierając się do jedzenia, a to na skutek zdenerwowania, które potrafi osłabić nawet apetyt. Byłem jednak zanadto wycieńczony, żeby popaść w rezygnację, toteż uczucie sytości nappełniło mnie prawdziwą rozkoszą, bez owego sennego zaćmienia umysłu, jaki towarzyszy codziennemu pożeraniu obfitych dań. Gdy zjadłem wszystko, co sobie przygotowałem, starannie uprzątnąłem resztki uczyty i wtedy poczułem, że jest to w s p a n i a ł y wieczór.

Mogłem się do woli gubić w domysłach - i tak wszystkie one ledwo skrobały na podobieństwo noża powierzchnię faktu, a jego istotna treść pozostała ukryta przed niepowołanym okiem. Przemierzając uśpiony ogrom banku, prawdopodobnie dość trafnie odgadłem, co łączy mego sklepikarza z tym spożywczo-papierniczym Klondyke: można było stąd wywieźć setki wozów papieru do pakowania, tak potrzebnego handlarzom oszukującym na wadze; oprócz tego sznury i drobny sprzęt elektryczny mogły przysporzyć sporo banknotów; nie bez powodu sznury i kontakty były tu wyrwane ze wszystkich ścian, które oglądałem. Toteż nie uważałem sklepikarza za właściciela tajemniczych prowiantów; on zapewne gdzie indziej miał je ukryte. Lecz nie posunąłem się ani o krok i wszystkie moje dalsze dociekania nie naprowadzały na żaden trop, jak to bywa ze znaleziskiem. Ślady po szczurach wskazywały na to, że od pewnego czasu nikt zapasów nie ruszał; ich zęby wyżłobiły w szynkach i serach głębokie jamy.

Najadłszy się, zabrałem się skrupulatnie do przeszukiwania szafy i zauważyłem wiele rzeczy, które przeoczyłem w pierwszych chwilach odkrycia. Między koszami leżały paczki noży, widelców i serwetek; za głowami cukru krył się srebrny samowar; w jednej skrzynce tłoczyło się, podzwaniając, mnóstwo pucharów, kieliszków i szklanek z deseniem. Prawdopodobnie zbierało się tu towarzystwo na hulanki albo w celach konspiracyjnych, znajdując odosobnienie i gwarancję zachowania tajemnicy, może jakaś potężna organizacja, z wiedzą i udziałem komitetów domowych. W tym wypadku musiałbym się mieć na baczności. Najdokładniej, jak potrafiłem, uporządkowałem szafę, licząc na to, że drobna cząstka, którą użyłem na kolację, nie zostanie dostrzeżona. Jednakże (nie miałem sobie tego za złe) wziąłem coś niecoś jadła i jeszcze jedną butelkę wina, zrobiłem paczkę i schowałem ją pod stertą papierów na zakręcie korytarza.

Rozumie się, że w tej chwili nie miałem ochoty nie tylko spać, ale nawet położyć się. Zapaliłem papierosa; był jasny, wonny, z włóknistego tytoniu, z długim ustnikiem - jedyna ze znalezionych rzeczy, której wyraziłem całkowite uznanie, napęlniając cudownymi papierosami wszystkie kieszenie. Byłem w nastroju upajającego muzycznego podniecenia i myślałem o sobie jako o człowieku, którego spotyka ciąg wielkich nieprawdopodobieństw. Wśród tego olśniewającego zamętu uczuć przypomniałem sobie dziewczynę w szarej chustce, tę, która spięła mi kołnierz agrafką - czyliż mógłbym zapomnieć ów gest? Była jedynym człowiekiem, o którym myślałem w pięknych i wzruszających słowach. Nie warto ich przytaczać, gdyż ledwo zabrzmią, stracą swój urzekający aromat. Dziewczyna, której imienia nawet nie znałem, znikła pozostawiając ślad podobny do umykającej na zachód smugi światła na wodzie. Ten łagodny efekt wywołała zwyczajną agrafką i szmerem oddechu, kiedy ze skupieniem wspinała się na palce. To jest właśnie najprawdziwsza biała magia. Ponieważ dziewczyna tak samo cierpiała biedę, gorąco zapragnąłem uraczyć ją swoim olśniewającym odkryciem. Lecz nie wiedziałem, gdzie jest i nie mogłem do niej zadzwonić. Nawet dobrodziejstwo pamięci, gdyby naraz wykrzyknęła zapomniany przeze mnie numer, na nic by się nie przydało, mimo że było tu mnóstwo telefonów, a ku jednemu z nich bezwiednie zwracałem wzrok - nie fun-

kcjonowały, nie mogły funkcjonować z oczywistych powodów. Jednak patrzyłem wciąż na aparat z jakąś badawczą niepewnością, w której rozsądek nie brał żadnego udziału. Coś mnie do niego ciągnęło jak gracza. Nie opuszczała mnie chęć popełnienia głupstwa, upiększona, jak każda nocna brednia, złudą bezsennej wyobraźni. Wmówiłem w siebie, że przypomnę sobie numer, jeżeli fizycznie stworzę sytuację rozmowy telefonicznej. A poza tym już od dawna uważałem te zagadkowe grzyby ściennie z kauczukową gębą i metalowym uchem za przedmioty niezupełnie wytłumaczalne, rodzaj zabobonu, który nam, między innymi, podsunęła *Atmosfera* Flammariona z jego opowiadaniem o piorunie. Wszystkim bardzo doradzam przeczytać tę książkę i zastanowić się jeszcze nad dziwami wyładowań elektrycznych w czasie burzy, zwłaszcza nad działaniem pioruna kulistego, który, na przykład, wbija nóż w ścianę i wieszka na nim patelnie lub pantofel; albo też przenicowuje dach w ten sposób, że dachówki układają się w odwrotną stronę, równiutko jak na rysunku, nie mówiąc już o fotografowaniu na ciele tych, co zginęli od pioruna, fotografiach okoliczności, w jakich zdarzyło się nieszczęście. Mają one zawsze niebieskawy odcień jak stare dagerotypy. „Kilowaty” i „ampery” mało przemawiają do mnie. W moim zdarzeniu z aparatem obeszło się bez przecucia, bez owej dziwnej omdłałości, przyćmienia umysłu, jakie towarzyszą większości popełnianych przez nas absurdów. Tak sobie to dziś tłumaczę, ale wtedy przypominałem jedynie żelazo w pobliżu magnesu.

Zdjąłem słuchawkę. Wydała mi się chłodniejsza, niż była naprawdę, niema na tle obojętnej ściany. Podniosłem ją do ucha, spodziewając się po niej tyle, co po zepsutym zegarku, i nacisnąłem guzik. Nie wiem, czy dzwoniło mi w głowie, czy było to tylko wspomnienie dźwięku - lecz drgnąłem, słysząc brzęczenie muchy, ową wibrację przewodów, przypominającą bzykanie owadów, która w tych warunkach była takim samym absurdem, jak całe moje zamierzenie.

Dociekliwe pragnienie, żeby pojąć, jak czerw toczy nawet marmur rzeźby, odbierając siłę wszystkim doznaniom, które wypływają z tajemniczych źródeł. Gorliwa chęć zrozumienia niepojętego nie należała do rzędu mych cnót. Odsunąłem słuchawkę, w wyobraźni odtworzyłem ów charakterystyczny szmer i usłyszałem go powtórnie, gdy znów przytknąłem słuchawkę do ucha. Szmer nie drgał, nie przerywał się, nie słabł i nie nasilał się; w słuchawce normalnie brzęczała niewidzialna przestrzeń, dopominająca się połączenia. Narzuciły mi się jakieś zmacone obrazy, dziwaczne, jak dziwaczny był ten szum przewodu funkcjonującego w martwym domu. Widziałem supły splecionych przewodów, potarganych przez wichry morskie i dających połączenie w niezauważalnych punktach swego chaosu; widziałem snopy iskier elektrycznych, które wzlatywały nad wygiętymi grzbietami kotów skaczących po dachach, magnetyczne błyski linii tramwajowych, tkankę i serce materii w postaci ostrych kątów futurystycznego rysunku. Takie myśli-widzenia nie trwały dłużej niż uderzenie serca, które stanęło dęba; tłuć się, wystukując w nieprzetłumaczalnej mowie odczucia nocnych potęg.

Naówczas zza ścian ukazał się wyraźny jak księżyc w nowiu obraz tamtej dziewczyny. Czyż mogłem przypuszczać, że wrażenie będzie tak żywe i trwałe? Parły i huczały we mnie siły stu ludzi, kiedy spoglądając na zatarty numer aparatu prowadziłem pamięć przez zawieruchę cyfr, próżno starając się tak je ustawić, by przypomniały mi zgubioną liczbę. Zwodnicza, niewierna pamięć! Przysięgasz, że nie zapomnisz liczb ani dat, ani drobiazgów, ani ukochanej twarzy i na powątpiewanie odpowiadasz niewinnym spojrzeniem. Lecz przychodzi czas, gdy łatwowierny widzi, że zawarł układ z bezwstydną małpą, która oddaje brylantowy pierścień za garść orzechów. Rysy wspomnianej twarzy są niepełne, zatarte, z liczby wypada cyfra, gmatwają się okoliczności i człowiek próżno ścisną skronie, borykając się z umykającym wspomnieniem. Lecz gdybyśmy pamiętali, gdybyśmy potrafili zapamiętać w s z y s t k o - jaki rozsądek wytrzyma bezkarnie życie całe zawarte w jednym momencie, szczególnie gdy chodzi o uczucia?

Bezmyślnie powtarzałem cyfry, poruszając wargami, by odszukać autentyczną liczbę.



Wreszcie mignął szereg na pierwsze wrażenie podobny do zapomnianego numeru: 107-21. „Sto siedem dwadzieścia jeden” - powiedziałem nasłuchując, lecz nie byłem pewny, czy znów się nie mylę. Zwątpienie oślepiło mnie zniecacka, kiedy powtórnie nacisnąłem guzik, ale było już za późno: popłynęło groźne brzęczenie, coś zgrzytnęło i zmieniło się w telefonicznej dali, i prosto w skórę policzka zmęczony kontralt kobiecy powiedział oschle: „Centrala”. „Centrala!” - niecierpliwie powtórzył głos, ale i wtedy odezwałem się nie od razu - taki chłód ścisnął mi gardło, w głębi serca bowiem ciągle jeszcze grałem.

Tak czy inaczej, skoro rzekłem zakłęcie i wywołałem duchy - czy wywodziły się one z *Atmosfery*, czy z „Kilowatów” społeczności 86 roku - mówiłem i odpowiadano mi. Zaczęły się obracać tryby zepsutego zegara. Nad moim uchem drgnęły stalowe kule wskazówek. Obojętnie, kto potrafił wahadło, mechanizm zaczął stukać miarowo. „Sto siedem dwadzieścia jeden” - powiedział głucho, patrząc na świecę dogorywającą pośród gratów. „Do grupy A” - padła niezadowolona odpowiedź i dalekie uderzenie zmęczonej ręki zatrzasnęło szum.

Poczułem płomień pod czaszką. Naciskałem właśnie guzik z literą A; zatem telefon nie tylko funkcjonował, ale jeszcze potwierdzał tę niezwykłą realność faktem, że przewody były poplątane - wspaniały to szczegół dla niecierpliwego serca. Chcąc połączyć się z „A”, nacisnąłem „B”. Wtedy w skowyt wypuszczonego na swobodę prądu wtargnęły, jak z raptownie otwartych drzwi, ostre głosy przypominające bełkot tuby gramofonowej, nieznani krzykacze tłukący się w mojej ręce trzymający rezonator. Przerywali sobie nawzajem z pośpiechem i zawziętością ludzi, którzy wybiegli na ulicę. Pomieszane zdania przypominały koncert gawronów. „A-la-la-la-la!” — wrzeszczało niewiadome stworzenie na tle czyjegóż barytonu przemawiającego statecznie i rozwlekle, z miodopłynną ekspresją, akcentującą pauzy i znaki przestankowe. „Nie mogę dać”... „Jeżeli pan zobaczy”... „Kiedykolwiek”... „Mówię, że”... „Czy pan słyszy?” Rozmiar trzydzieści pięć”... „Skończone”...

„Samochód wysłany”... „Nie, nie rozumiem”... „Proszę odłożyć słuchawkę”... W ten jarmarczny trans wciskały się słabo, jak brzęczenie komara, jęki, daleki płacz, śmiech, łkanie, takty skrzypiec, odgłos niespiesznych kroków, szelest i szepty. Gdzie to, na jakich ulicach, dźwięczały te słowa troski, okrzyków, napomnień i skarg? Wreszcie coś rzeczowo zabręczało, głosy ucichły i w szumie przewodu odezwał się ten sam kontralt: „Grupa B”.

- „A”! Proszę mi dać „A” - zawołałem - przewody są poplątane.

Chwila milczenia, podczas której szum dwa razy cichł, po czym nowy głos obwieścił śpiewnie i nieco ciszej:

- Grupa „A”.

- Sto siedem dwadzieścia jeden - wyskandowałem możliwie najwyraźniej.

- Sto osiem zero jeden - uważnie, apatycznym tonem powtórzyła telefonistka, a ja z ledwością przechwyciłem błędną poprawkę, żeby mi nie uleciała.

Pomyłka ta bez żadnej wątpliwości ustalała zapomniany numer. Ledwie go usłyszałem, już poznałem, przypominałem sobie jak widzianą kiedyś twarz.

- Tak, tak - powiedziałem w najwyższym wzburzeniu, pędząc gdzieś wysoko nad skrajem zawrotnej przepaści. - Tak, właśnie tak - sto osiem zero jeden.

Natychmiast wszystko zamarło we mnie i dokoła mnie. Dźwięk połączenia ścisnął serce jak przyływ zimnej fali; nawet nie usłyszałem zwykłego „dzwonię” albo „łączę” - nie pamiętam, co zostało powiedziane. Słyszałem ptaki rozsypujące czarodziejskie trele. Poczułem słabość i oparłem się o ścianę. Wtedy, po przerwie, która była jednym okrucieństwem, świeży jak świeże powietrze, rezolutny głosik odezwał się ostrożnie:

- To ja sprawdzam. Mówię do nieczynnego telefonu, bo przecież słyszałeś, że był dzwonek. Kto przy telefonie? - rzekła, wyraźnie nie oczekując odpowiedzi, tonem płoczej surowości.

Powiedziałem, prawie krzycząc:

- Jestem tym, który rozmawiał z panią na rynku i odszedł zabierając agrafkę. Sprzeda-

wałem książki. Niech pani sobie przypomni, bardzo proszę. Nie znam pani imienia - proszę potwierdzić, że to pani.

- Niebawem - odchrząknąwszy, rzekł głos z nutą zastanowienia. - Niech pan zaczeka, proszę nie odkładać słuchawki. Ja rozumiem. - Staruszk, czyś widział coś podobnego?

Ostatnie słowa nie był do mnie skierowane. Jakiś głos męski odpowiedział jej niewyraźnie, widocznie z drugiego pokoju.

- Spotkanie pamiętam - powiedziała znów do mego ucha. - Ale nie przypominam sobie, o jakiej agrafce pan mówi? Ach, tak. Nie przypuszczałam, że ma pan dobrą pamięć. Aż mi dziwnie rozmawiać z panem - nasz telefon jest przecież wyłączony. Skąd pan mówi?

- Czy pani mnie dobrze słyszy? - odparłem, jak gdybym nie rozumiał pytania, uchylając się w ten sposób od podania miejsca, gdzie się znajdowałem, i otrzymawszy potwierdzenie ciągnąłem dalej: - Nie wiem, jak długo potrwa nasza rozmowa. Są przyczyny, dla których nie będę się nad tym zatrzymywał. Ja, tak samo jak pani, nie pojmuję wielu rzeczy. Dlatego proszę mi podać niezwłocznie swój adres. Nie znam go.

Przez pewien czas przewód brzęczał jednostajnie, jakby moje ostatnie słowa zakłóciły połączenie. I znów, jak ślepa ściana, legła między nami dal - wstrętne uczucie przykrości i wstydlivej tęsknoty tak mnie wytrąciło z równowagi, że byłem już skłonny zapuścić się w skomplikowane i niewczesne rozważania o naturze rozmów telefonicznych, nie pozwalających wyrazić z całą swobodą odcieni najprostszyc i najbardziej naturalnych uczuć. W pewnych okolicznościach twarz i słowo stanowią nierozdzielalną całość. Możliwe, że ona rozmyślała o tym samym, dlatego milczenie trwało tak długo, po czym usłyszałem.

- Po co? No, dobrze. A więc proszę zapisać - nie bez przekory powiedziała to „zapisać” - proszę zapisać mój adres: piąta linia, dziewięćdziesiąt siedem, mieszkanie jedenaście. Tylko po co, po co panu potrzebny mój adres? Mówię otwarcie, że nie rozumiem. Wieczorami bywam w domu...

Głos dźwięczał dalej, lecz nagle ścichł, zabrzmiał głucho jak ze skrzynki. Słyszałem, że dziewczyna mówi, prawdopodobnie coś opowiada, lecz nie rozróżniałem słów. Jej głos odpływał coraz dalej, był coraz mniej wyraźny, upodobił się do szemrzącego deszczu, wreszcie ledwo dosłyszalne drganie przewodu dało znać, że wszystko się skończyło. Połączenie się zerwało, aparat milczał tępo. Miałem przed sobą ścianę, skrzynkę i słuchawkę. W szyby stukał nocny deszcz. Nacisnąłem guzik - szcęknał i zatrzymał się. Czar prysnął.

A jednak słyszałem, rozmawiałem i to, co się stało, nie mogło się odstać. Wrażenia tych kilku minut przeszły, uciekły jak wichry, byłem jeszcze pełen jego odgłosów, siadłem, poczułem raptowne zmęczenie, jak od wspinaniu się po stromych schodach.

Tymczasem byłem dopiero u progu wydarzeń. Ich rozwój zaczął się od echa dalekich kroków.

## VII

Tajemnicze kroki słycać było bardzo daleko, bodaj że na samym początku drogi przebytej przeze mnie - a może z przeciwnej strony, w sporej odległości pierwszego uchwytnego dźwięku? Można było ustalić, że idzie jedna osoba, zwinnie i lekko, drogą znajomą wśród ciemności i prawdopodobnie przyświeca sobie latarką ręczną lub świecą. Jednakże oczyma wyobraźni widziałem kogoś dążącego ostrożnie, po ciemku, szedł i rozglądał się. Nie wiem, dlaczego tak go sobie wyobrażałem. Siedziałem odrętwiały i przerażony, jak gdyby ktoś pochwycił mnie z daleka w gigantyczne cęgi. Rozsadzało mnie oczekiwanie, aż w skroniach poczułem ból, ogarnął mnie paniczny strach, który odbierał mi możność przeciwdziałania. Byłem spokojny, w każdym razie zacząłbym się uspokajać, gdyby kroki się oddalały, tymcza-

sem słyszałem je coraz wyraźniej, coraz bliżej i gubiłem się w domysłach, jaki jest cel tego torturującego słuch, nużącego długiego marszu przez opustoszały gmach. Samo przecucie, że nie uda mi się uniknąć spotkania, wstrętne otarło się o moją świadomość; wstałem, znów usiadłem, nie wiedząc, co robić. Mój puls powtarzał dokładnie miarowy odgłos kroków, jednak serce przemogło wreszcie ponure odrętwienie ciała i zaczęło bić normalnym rytmem, a ja z każdym jego uderzeniem wyczuwałem moją sytuację. Moje zamierzenia były chaotyczne; wahałem się, czy zgasić świecę, czy zostawić palącą się, jednocześnie zdawało mi się, że nie nakazy rozsądku, lecz w ogóle podjęcie jakiegokolwiek akcji - to najskuteczniejszy sposób, by uniknąć niebezpiecznego spotkania. Nie miałem wątpliwości, że spotkanie będzie niebezpieczne lub zatrważające. Odnalazłem spokój wśród nie zamieszkanymi ścian i pragnąłem zachować nocną iluzję. Chwilami, stąpając bezszelestnie, wychodziłem za drzwi, aby wy badać, w którym z przyległych pokoi mógłbym się ukryć, jak gdyby ten pokój, w którym siedziałem zasłaniając plecami ogarek, był już wyznaczony na odwiedziny i ktoś wie, że ja się tu znajduję. W końcu zrozumiałem, że zmieniając miejsce postąpiłbym jak gracz w ruletkę, który postawiwszy na inny numer, stwierdza z przykrością, iż przegrał tylko dlatego, że zdradził swoją liczbę. Najmądrzej było siedzieć i czekać zgasivszy światło. Tak też uczyniłem i czekałem po ciemku.

Tymczasem nie było już najmniejszej wątpliwości, że odległość między mną a nieznanym przybyszem skraca się z każdym uderzeniem tętna. Dzielilo go teraz ode mnie najwyżej pięć do sześciu ścian, przebiegał od drzwi do drzwi z umiarkowaną szybkością lekkich ruchów. Skuliłem się, przykuty jego krokami do nadlatującej jak automobil chwili, gdy zetkną się spojrzenia - oko w oko - i błagałem Boga, żeby nie były to źrenice z wściekłą smugą białka nad wydzielającym się z ich wnętrza blaskiem. Nie czekałem, miałem pewność, że zobaczę go. Instynkt, który w tej chwili zajął miejsce rozsądku, mówił prawdę, wpadając ślepym obliczem na ostrze strachu. Upiory zjawiły się w ciemnościach. Widziałem kosmaty stwór z ciemnego kąta dziecinnego pokoju, posępne widmo, i - co najstraszniejsze, potworniejsze od spadania z wysokości - czekałem, że przy samych drzwiach kroki zamilkną, że nikt się nie ukaże i że ta nieobecność kogokolwiek muśnie moją twarzą jak powiew. Na to, by wyobrazić sobie takiego samego jak ja człowieka, nie starczyło mi czasu. Spotkanie nadciągało gwałtownie, nie miałem gdzie się ukryć. Nagle kroki umilkły, zatrzymały się blisko drzwi i tak długo nic nie słyszałem, prócz krzątaniny myszy biegających po zwałach papierów, że z ledwością powstrzymałem krzyk. Przywidziało mi się, że ktoś zgięty wpół skrada się cichaczem pod drzwiami, by mnie schwycić. Oslupienie szaleńczego krzyku, który rozdarł ciemność, rzuciło mnie jak wicher naprzód z wyciągniętymi rękami. Uskoczyłem w bok, zakrywając twarz. Zabłyślo światło, cisnąwszy z drzwi do drzwi całą dal dostępną oczom. Było jasno jak w biały dzień. Doznałem czegoś w rodzaju szoku nerwowego, ale trwało to zaledwie chwilę i zaraz ruszyłem naprzód. Wówczas za najbliższą ścianą odezwał się kobiecy głos: „Proszę tu przyjść”. Potem zadźwięczał cichy, zaczepny śmiech.

Choć byłem zupełnie osłupiały, nie spodziewałem się takiego zakończenia tortury, której byłem poddany przez blisko godzinę. „Kto mnie woła?” - zapytałem szeptem, I ostrożnie zbliżając się do drzwi, za którymi takim pięknym i subtelnym głosem zdradziła swą obecność nieznaną kobietą. Słuchając, wyobrażałem sobie jej powierzchowność tak samo przyjemną, co głos dla ucha, i z ufnością szedłem dalej, oczekując powtórnego wezwania: „Proszę przyjść, proszę przyjść tutaj”. Lecz za ścianą nie zobaczyłem nikogo. Matowe kule i zyrandole połyskiwały pod sufitem, rozsiewając dzień między czarnymi nocnymi oknami. Tak to, zadając pytanie i za każdym razem otrzymując niezmienną odpowiedź zza ściany sąsiedniego pomieszczenia: „Proszę, o, proszę przyjść prędzej!” - obejrzałem pięć albo sześć pokoi, zauważywszy w którymś z nich w lustrze samego siebie, wodzącego uważnym spojrzeniem z pustki w pustkę. Wydawało mi się, że mrok lustrzanej głębi pełen jest kobiet schylonych, skradających się, w mantylach albo zasłonach, które przyciskały do twarzy ukry-

wając swe rysy, i tylko ich czarne oczy, śmiejące się pod figlarnie ściągniętymi brwiami, świeciły przelotnie i nieuchwytnie. Było to jednak złudzenie, gdyż odwróciłem się tak szybko, że najzwinniejsze stworzenie w tym domu nie zdążyłoby umknąć. Wyczerpany, lękając się w zdenerwowaniu, które mną władało, czegoś naprawdę strasznego w tej niemej, oświetlonej pustce - zawołałem w końcu gwałtownie:

- Proszę się pokazać, inaczej nie ruszę się ani kroku dalej. Kim pani jest i po co mnie pani woła?

Nie otrzymałem odpowiedzi, echo stłumiło mój okrzyk niewyraźnym głuchym dudnieniem. Lęk pełen troski przebijał ze słów tajemniczej kobiety, gdy niespokojnie zawołała do mnie z niewidomego kąta: „Proszę się spieszyć, proszę nie zwlekać. Niech pan idzie, niech pan się nie opiera”. Zdawało się, że słowa te rozległy się tuż koło mnie, szybkie jak plusk i dźwięcznie szeptane, jak gdyby nad samym uchem. Lecz na próżno w niecierpliwym porywie spieszyłem od drzwi do drzwi, otwierając je na oścież lub obchodząc skomplikowane przejścia, żeby gdzieś dopaść wzrokiem wymykającą się kobietę - wszędzie zastawałem pustkę, drzwi i światło. Tak się to ciągnęło, przypominając zabawę w chowanego i kilka razy już westchnąłem rozgoryczony, nie wiedząc, czy iść dalej, czy zatrzymać się, zatrzymać się zdecydowanie, póki nie zobaczę, z kim rozmawiam tak bezskutecznie na odległość. Kiedy milkłem, głos szukał mnie, dźwięczał coraz serdeczniej i bardziej alarmująco, natychmiast wskazując mi kierunek i cicho wykrzykując za następną ścianą:

- Tutaj, prędzej do mnie!

Choć byłem bardzo wyczulony na odcienie głosów w ogóle, a zwłaszcza w tych okolicznościach najwyższego napięcia, w wołaniu, w uporczywym przyzywaniu bezszmerownie umykającej kobiety nie uchwyciłem ani drwiny, ani udawania; mimo że zachowywała się bardzo dziwnie, nie miałem na razie powodu podejrzewać nic złego ani złowrogię, nie znałem bowiem motywów jej postępowania. Raczej można było przypuszczać, że uparcie pragnie mi coś powiedzieć czy też pokazać naprędce i że czas jest dla niej niesłychanie drogi. Jeśli myliłem się i nie trafiłem do tego pokoju, skąd dobiegało mnie wraz z szelestem i przyspieszonym oddechem melodyjne nawoływanie, prostowano moją pomyłkę, wskazując mi drogę przymilnym i czułym: „Tutaj!” Zaszedłem już zbyt daleko, by zawrócić. Byłem pod niepokojącym urokiem niewiadomego i prawie biegłem po rozległych parkietach z oczami utkwionymi tam, skąd dochodził głos.

- Tu jestem - odezwał się wreszcie głos tonem zapowiadającym koniec całej historii. Było to na skrzyżowaniu korytarza i schodów prowadzących po kilku stopniach do innego korytarza położonego wyżej.

- Dobrze, ale to już ostatni raz - uprzedziłem.

Czekała na mnie na początku korytarza, na prawo, gdzie słabiej dochodziło światło; słyszałem jej oddech idąc po schodach i z gniewem rozglądałem się w półmroku. Naturalnie znów mnie oszukała. Obie ściany korytarza były zawałone stosami książek, zostawało tylko wąskie przejście. Przy jednej lampie, słabo oświetlającej tylko schody i skrawek przejścia, mogłem jej nie zauważyć.

- Gdzie pani jest? - zapytałem wpatrując się w głąb. - Proszę się zatrzymać, dlaczego pani tak się spieszy? Proszę tu przyjść.

- Nie mogę - cicho odparł głos. - Ale czy pan mnie naprawdę nie widzi? Zmęczyłam się i usiadłam. Proszę podejść do mnie.

Rzeczywiście, słyszałem ją zupełnie blisko. Trzeba było tylko minąć zakręt. Za nim była ciemność oznaczająca w głębi plamę drzwi. Potknąwszy się o książki, pośliznąłem się, straciłem równowagę i padając zwałem chwiejną pakę książek. Runęła gdzieś głęboko w dół. Padając na ręce, poczułem pod nimi pionową próżnię i sam omal nie stoczyłem się w czeluść, skąd na mój bezwiedny okrzyk odpowiedział łoskot lawiny książek. Ocalałem tylko dlatego, że przypadkowo upadłem wcześniej, nim znalazłem się na krawędzi urwiska. O ile zdumienie

i strach w tym momencie nie zostawiły czasu na domysły, o tyle śmiech, wesoły, zimny śmieszek po drugiej stronie pułapki natychmiast wyjaśnił mi sytuację. Śmiech oddalał się, cichnąc z okrutną intonacją, i więcej już go nie słyszałem.

Nie zerwałem się, nie odczołgałem z hałasem, który by rozwiewał przypuszczenia, że spadłem; rozumiałem podstępny żart i nawet nie drgnąłem pozwalając, by uwierzono, że się powiodł. Warto jednak było rzucić okiem na łóża, które dla mnie przygotowano. Na razie nic nie wskazywało, że jestem pod obserwacją, zapaliłem więc zapałkę z wielką ostrożnością i zobaczyłem czworokątny otwór przebity na wylot w podłodze. Światło nic dotarło do dna. Przypomniawszy sobie pauzę między potrąceniem paki a hukiem zrzuconych ksiąg, obliczyłem w przybliżeniu głębokość wyrwy na dwanaście metrów. To znaczy, że podłoga dolnego piętra była przebita symetrycznie w stosunku do górnego otworu, tworząc podwójny przelot. Zawadzałem kogoś. Tyle zdołałem zrozumieć, mając na to ważkie dowody, nie pojmowałem jednak, jak mogła nawet najbardziej eteryczna kobieta przeskoczyć tak szeroki otwór, którego ściany nie miały żadnego obrzeża, żeby uchwycić się go i ułatwić sobie przejście; szerokość wynosiła około sześciu metrów.

Zaczekałem, aż całe zajście utraci swoją groźną świeżość, podczołgałem się do miejsca, gdzie padające z daleka światło pozwalało rozróżnić ściany, i wstałem. Nie miałem odwagi wracać do oświetlonych przestrzeni. Ale też nie byłem w stanie opuścić teraz sceny, na której nie rozegrał się finał piątego aktu. Dotknąłem rzeczy aż nadto poważnych, żeby próbować iść dalej. Nie wiedząc, od czego zacząć, stapałem ostrożnie w przeciwnym kierunku, chowając się niekiedy za występy ścian, by skontrolować pustkę. W jednym z takich występów znajdował się zlew; z kranu kapiała woda; wisiał tu również ręcznik z wilgotnymi śladami dopiero co wycieranych rąk. Ręcznik poruszał się jeszcze; odszedł stąd ktoś, kto, być może, znajdował się o dziesięć kroków, nie zauważony przeze mnie, jak i ja przez niego, dzięki przypadkowi. Nie należało dłużej wystawiać na próbę tych miejsc. Zdrętwiałem z wrażenia na widok ręcznika potrąconego niemal w moich oczach, w końcu zacząłem się cofać wstrzymując oddech i z ulgą spostrzegłem wąskie drzwi boczne w cieniu występu, całe prawie zavalone papierami. Jakkolwiek z trudem, ale można je było odciągnąć na tyle, żeby się precyzyjnie wsunąć. Wsunąłem się w tę szparę jak w ścianę i znalazłem się w oświetlonym, cichym i pustym przejściu, bardzo wąskim, z zakrętem nie opodal, za który nie zaryzykowałem spojrzeć, tylko stanąłem przytulony do ściany we wnęce.

Żaden dźwięk, żadne zjawisko dostępne zmysłom nic mogłoby w tej chwili ująć mojej uwagi-tak byłem wyostrzony wewnętrznie, napięty, cały zamieniony w słuch i oddech. Lecz mogło się zdawać, że życie na ziemi zamarło - taka cisza patrzyła mi w oczy nieruchomym światłem głuchego przejścia. Widocznie wszystko, co żyje, odeszło stąd albo się przytuliło. Poczulem słabość, z niecierpliwością rozpaczy zapragnąłem jakiegokolwiek hałasu, byle otrząsnąć się z drętwego światła, ściskającego serce milczeniem. I nagle dotarło do mojej świadomości więcej dźwięków, niż było trzeba dla uspokojenia - jeśli tak nazwać „ciszę przed burzą” - mnóstwo kroków rozległo się za ścianą, głęboko, na samym dole. Rozróżniałem głosy, okrzyki. Do tych odgłosów, które zapowiadały nieznaną ożywienie, dołączył się dźwięk strojonych instrumentów; ostro zarzępoliły skrzypce; wiolonczela, flet i kontrabas chaotycznie pociągnęły kilka taktów, zagłuszonych przesuwaniem mebli.

W środku nocy - nie wiedziałem, która jest godzina - te objawy życia w czeluści dwóch pięter zabrzmiały, po moich przejściach nad zapadliną, jak nowa groźba. Zapewne, gdybym chodził niestrudzenie, znalazłbym wyjście z tego domu, który nie miał końca, ale nie teraz, gdy nie wiedziałem, co może czyhać na mnie za najbliższymi drzwiami. Mogłem zorientować się w sytuacji tylko wtedy, gdybym stwierdził, co się dzieje na dole. Pilnie nasłuchując, ustaliłem odległość dzielącą mnie od tych głosów. Była dość duża, kończyła się w dole za przeciwną ścianą...

Stałem już tak długo we wnęce drzwi, że wreszcie odważyłem się wyjść i rozejrzeć się,

czy nie da się czegoś przedsięwziąć. Ruszyłem cicho przed siebie i spostrzegłem w ścianie na prawo oszklony otwór nie większy od lufcika. Mieścił się na takiej wysokości nad moją głową, że mogłem tam sięgnąć. Nieco dalej stała przenośna składana drabina, jakiej używają malarze przy bieleniu sufitów. Dźwignąwszy ją z całą ostrożnością, żeby nie stuknąć, nie zawadzić o ściany, przystawiłem do otworu... Szkło było zakurzone z obu stron, ale przetarłszy je dłonią zacząłem przez nie patrzeć, widząc jak przez mgłę. Moje domysły wynikłe z orientacji słuchowej potwierdziły się: ujrzałem tę samą główną salę banku, w której byłem wieczorem, nie mogłem jednak zobaczyć jej całej - okienko wychodziło na galerię. Tuż obok zwiślał ogromny rzeźbiony plafon, balustrada znajdująca się tuż przed moimi oczami zasłaniała głąb sali, tylko z daleka widać było kolumny po przeciwległej stronie, ale nawet nie do połowy. Na całej długości galerii nie było żywej duszy, natomiast w dole wrzało wesołe życie, udręczające swą niewidzialnością. Słyszałem śmiech, krzyki, szuranie krzeseł, niewyraźne fragmenty rozmów, miarowe trzaskanie drzwi na dole. Śmiało dzwoniły nakrycia; kaszel, pociąganie nosem, tupot lekkich i ciężkich korków i melodyjna, żartobliwa intonacja głosów - tak, to był bankiet, bal, zebranie, goście, jubileusz - co kto woli, ale już nie ta poprzednia zimna i ogromna pustka z echem ugrzęzłym w kurzu. Żyrandole sypały w dół blaski ognistego ornamentu i chociaż w moim kącie także było jasno, ostrzejsze światło padało z sali na moją rękę.

Prawie pewny, że nikt tu nie przyjdzie do tego zakamarka, który miał raczej więcej wspólnego ze strychem niż z magistralą dolnego przejścia, odważyłem się usnąć szybko. Jej rama, przymocowana dwoma zgiętymi gwoździami, chwiała się lekko. Odgiąłem gwoździe i wyjąłem przegrodę. Teraz hałas stał się wyrazisty jak wiatr wiejący w twarz. Zanim się z nim oswoiłem, orkiestra zaczęła grać jakiś szlagier kabaretowy, ale przedziwnie cicho, jakby nie potrafiła czy też nie chciała rozbrzmiewać pełniej. Orkiestra przygrywała „z tłumikiem”, jak gdyby w myśl specjalnej instrukcji. Jednak zagłuszane przez nią ludzkie głosy zaczęły dźwięczeć mocniej, nasilając się w sposób naturalny i dolatujący do mego schronienia w otocze wypowiedzanego sensu. O ile mogłem się zorientować, zainteresowanie różnych grup w sali skupiło się wokół jakichś podejrzanych konszachtów, choć z powodu oddalenia nie chwytałem wątków dokładnie. Niektóre zdania przypominały rzenie, inne okrutny pisk; ciężki, rzeczowy śmiech mieszał się z syczeniem. Głosy kobiet miały *timbre* ponury i naprężony, przechodząc od czasu do czasu w kuszącą filuterność i rozwiątlą modulację Damy Kameliowej. Czasem znów czyjaś uwaga, wygłaszana z emfazą, kierowała rozmowę na ceny złota i drogich kamieni; inne słowa budziły dreszcz grozy napomykając o zabójstwie lub o jakimś przestępstwie niemniej brutalnie określanym. Złodziejski żargon, bezwstyd nocnej ulicy, zewnętrzny polor hazardowej intrygi i ożywiona wielomówność nerwowo rozglądającej się duszy mieszały się z dźwiękami drugiej orkiestry, której pierwsza rzucała subtelne, filuterne repliki.

Nastąpiła przerwa; kilkoro drzwi otwarło się w głębi gdzieś daleko przede mną i zapewne weszły nowe osoby. Potwierdziły to niezwłocznie uroczyste okrzyki. Po niewyraźnych naradach rozległy się donośne zapowiedzi i prośby o spokój. Równocześnie czyjeś przemówienie płynęło tam spokojnie, przedzierając się sączonymi frazami jak żuk przez igliwie leśne.

- Niech żyje Oswobodziciel! - obwieścił chóralny ryk. - Śmierć Szczurołapowi!
- Śmierć! - posępnie zadźwięczały głosy kobiece.

Echo odpowiedziało przeciągłym wyciem i ścichło. Nie wiem dlaczego, choć byłem straszliwie pochłonięty tym, co słyszałem, odwróciłem się w tej sekundzie, jakbym poczuł z tyłu czyjś wzrok na sobie; lecz tylko odetchnąłem głęboko - nikt nie stał za mną. Miałem jeszcze czas na zastanowienie, gdzie się ukryć; za zakrętem najwyraźniej przeszły dwie osoby, nie podejrzewając mojej obecności. Zatrzymały się. Ich lekki cień legł w poprzek zakamarka, lecz wpatrując się weń, rozróżniłem jedynie płamę. Porozumiewały się z beztronską rozmówców czujących się na osobności. Był to prawdopodobnie dalszy ciąg rozmowy. Kiedy ludzie

ci zbliżyli się tutaj, wątek urwał się na jakimś pytaniu, na które teraz odpowiedziano. Co do słowa zapamiętałem ową niejasną i groźną zapowiedź:

- On umrze - oświadczył ktoś nieznajomy - ale nie od razu. Oto adres: piąta linia, dziewięćdziesiąt siedem, mieszkanie jedenaście. Jest z nim córka. To będzie wielki czyn Oswobodziciela. Oswobodziciel przybył z daleka. Jego droga jest męcząca i oczekują go w wielu miastach. Dziś w nocy wszystko powinno być załatwione. Idź i obejrzyj przejście. Jeżeli nic nie grozi Oswobodzicielowi, Szczurołap umrze, a my zobaczymy jego puste żrenice.

## VIII

Słuchałem mściwej tyrady dotykając już nogą podłogi, albowiem ledwie zabrzmiał powtórzony adres dziewczyny, której imienia nie zdążyłem dziś poznać, coś mnie ślepo pociągnęło w dół - uciekać, skryć się i pędzić z wiadomością na piątą linię. Nawet przy najbardziej logicznym rozumowaniu numer i nazwa ulicy nie mogły wyjaśnić mi, czy w mieszkaniu tym jest jeszcze inna rodzina - wystarczyło, że myślałem o tej i że ona tam się znajdowała. W tym przerażeniu i dręczącym pośpiechu, jak w czasie pożaru, nie obliczyłem ostatniego kroku; drabina osunęła się z traskiem, zdradzając moją obecność, i w pierwszej chwili znieruchomiałem jak ciśnięty worek. Światło natychmiast zgasło, muzyka zamilkła i krzyk wściekłości dopadł mnie pędzącego na oślep wąskim przejściem, gdzie - nie pamiętam, jak to się stało - uderzyłem piersią w drzwi, którymi tu wszedłem. Z niewytłumaczalną siłą, jednym pchnięciem zmiotłem zawalające je graty i wybiegłem na pamiętny korytarz z wyrwą. Ocalenie! Wschodzi pierwszy mętny brzask, rozwidniający mnogość drzwi; zacząłem gnać do utraty tchu. Ale instynktownie szukałem drogi w górę, nie na dół, przebiegając jednym susem schody i puste przejścia. Chwilami miotalem się krążąc w miejscu, biorąc przebyte już drzwi za nowe albo wpadając w ślepe zakamarki. To było straszne jak zły sen, tym bardziej, że byłem ścigany - słyszałem przyspieszone kroki z tyłu i przede mną, ów zgiełk nagonki psychicznej, której nie mogłem się wymknąć. Hałas rozlegał się nieregularnie jak ruch uliczny, czasem tak blisko, że uskakiwałem za drzwi, czasem z boku, tuż koło mnie, jakby lada chwila miał runąć w poprzek mej drogi. Omdlewałem, drętwiałem ze strachu i nieustannego głośniego skrzypienia podłóg. Ale już biegłem między mansardami. Ostatnie schody, jakie zauważyłem, prowadziły do kwadratowego otworu w suficie. Wbiegłem po nich na samą górę z uczuciem, że ktoś zaraz ugodzi mnie w plecy - taką hurmą biegli za mną ze wszystkich stron. Znalazłem się w dusznej ciemności strychu i błyskawicznie zwałem na otwór, co było pod ręką. Okazało się, że jest to stos ram okiennych, które za jednym zamachem mogła ruszyć z miejsca tylko siła rozpaczy. Runęły wzdłuż i w poprzek, tworząc nieprzebyte gąszcz skrzyżowań. Dokonawszy tego pobiegłem do dalekiej szarej plamy dymnika, gdzie widać było beczki i deski. Droga była zagracona niezgorzej. Przeskakiwałem przez belki, skrzynie, krawędzie murów między dołami i kominami niczym w lesie. Wreszcie stanąłem przy dymniku. Otwarta chłodna przestrzeń tchnęła głębokim snem. Za dalekim dachem majaczył różowy cień; kominny nie dymiły, przechodniów nic było słyszeć. Wylazłem i dobrnąłem do rynny. Rynna chwiała się, klamry trzeszczały, kiedy zacząłem zsuwać się po niej; gdzieś w połowie drogi chłodna blacha była mokra od rosy, a ja kurczowo ześlizgnąłem się w dół, z trudem uchwyciwszy się klamry. Wreszcie nogi namacały trotuar. Spieszyłem ku rzece, obawiając się, że most będzie podniesiony, dlatego, odetchnąłem chwilę, puściłem się biegiem.

## IX

Ledwie skręciłem za róg, musiałem przystanąć, zobaczyłem bowiem ślicznego siedmioletniego chłopczyka z twarzyczką pobladłą od łez; żałośnie tarł oczy piąstkami i szlochał. Z litością, naturalną przy takim spotkaniu, nachyliłem się nad nim pytając: „Chłopczyku, skąd jesteś? Czy cię porzucono? Skąd się tu wzięłeś?”

On milczał pochlipując i patrzył na mnie spode łba. Byłem przerażony. Dokoła panowała pustka. Jego chudziutkie ciało dygotało, nóżki miał zabłocone i bose. Mimo że pilno mi było do zagrożonego miejsca, nie mogłem zostawić dziecka, tym bardziej że ze strachu i zmęczenia milczało potulnie, za każdym moim pytaniem wdrygając się i kuląc jak przed pogróżką. Nic nie wskórałem, gładząc go po głowie i zaglądając w oczy pełne łez - zwieszał tylko głowę i płakał. „Przyjacielu mały - rzekłem, postanawiając zapukać do któregoś domu, by przygarnięto dziecko - posiedź tu, ja zaraz przyjdę i odszukamy twoją niegodziwą mamę”. Lecz ku mojemu zdumieniu chłopiec mocno uczeplił się mej ręki i nie puszczał jej. W tym jego wysiłku było coś nikczemnego i dzikiego. Aż osunął się z trotuaru, zaciskając z całej siły powieki, kiedy z nagłą podejrzliwością szarpnąłem rękę. Jego śliczna twarzyczka była skurczona, stężała w napięciu. „Ej ty! - krzyknąłem starając się uwolnić rękę - puszczaj!” I odepchnąłem go. Przestał płakać i ciągle milczał wlepił we mnie spojrzenie ogromnych czarnych oczu; potem wstał i śmiejąc się szyderczo, odszedł tak prędko, że wdrygnąłem się i osłupiałem. „Ktoś ty?” - zawołałem z groźbą w głosie. Zachichotał i przyśpieszając kroku zniknął za rogiem, ja zaś jeszcze długą chwilę patrzyłem w tamtym kierunku, jakby mnie ukąsiła zmija, wreszcie opamiętałem się i pobiegłem z taką szybkością, jakbym gonił tramwaj. Zabrało mi tchu. Dwa razy przystawałem, potem szedłem tak prędko, jak tylko mogłem, znów biegłem i - znowu bez tchu ruszyłem szaleńczym krokiem, gwałtownym jak bieg.

Byłem już na Bulwarze Konnogwardyjskim, gdy minęła mnie dziewczyna, spojrzawszy na mnie przelotnie z takim wyrazem, jak gdyby coś usiłowała sobie przypomnieć. Przeszła, ale w tej chwili poznałem ją tknięty uczuciem tożsamym z radością ocalenia. Moje wołanie i jej lekki okrzyk zabrzmiały równocześnie, po czym zatrzymała się, mówiąc z odcieniem miłego ubolewania:

- To przecież pan? Jakże mogłam nie poznać. Byłabym przeszła obok, gdybym nie wyczuła, że pan się zaniepokoił. Jakiż pan zmęczony, jaki blady!

Wielkie zakłopotanie, ale i wielki spokój spłynęły na mnie. Patrzyłem na tę twarz utraconą z wiarą w skomplikowane znaczenie przypadku, z radosnym i gwałtownym wzruszeniem. Byłem tak oszołomiony, tak przez nią zahamowany wewnętrznie właśnie wtedy, gdy do niej dążyłem i gdy okoliczności spotkania z góry zasugerowała mi wyobraźnia, że doznałem uczucia, jakby się coś zerwało - o ileż wolałbym przyjść do niej tam.

- Proszę posłuchać - powiedziałem, nie odrywając wzroku od jej ufnych oczu - spieszę do pani. Jeszcze nie jest za późno...

Przerwała, pociągając mnie na bok za rękaw.

- Teraz jest za wcześnie - rzekła znacząco - albo za późno, jak pan woli. Proszę przyjść do mnie wieczorem, słyszy pan? Powiem panu wszystko. Dużo myślałam o tym, co nas łączy. I niech pan wie, że pana kocham.

Stało się coś takiego, jak gdyby nagle stanął zegar. W jednej chwili zamknęło się dla niej moje serce. Ona nie mogła, nie powinna była tak powiedzieć. Z westchnieniem wypuściłem jej małą chłodną rączkę, która ścisnęła moją, i odsunąłem się. Patrzyła na mnie z ledwo hamowaną niecierpliwością na twarzy. Wyraz ten skaził jej rysy - czułość zmieniła się w tępotę, spojrzenie umknęło gwałtownie w bok, a ja, śmiejąc się straszliwie, pogroziłem jej palcem:

- Nie, nie oszukasz mnie - powiedziałem. - Ona jest tam. Ona teraz śpi, a ja obudzę ją.



Kimkolwiek jesteś, precz stąd, zmijo!

Machnięcie chusteczki tuż przed moją twarzą to był ostatni ruch, jaki widziałem wyraźnie o dwa kroki ode mnie. Potem zaczęły migać wąskie pasma drzew - raz wydawało mi się, że widzę między nimi uciekającą postać kobiecą, raz - że to ja sam biegnę ze wszystkich sił. Widać już było zegar na placu. Z dala, po przeciwniejszej stronie nabrzeża dymił czarny holownik, ciągnąc na linie barkę. Przeleciałem roгатkę i most w ostatniej sekundzie, gdy jego ruchoma część utworzyła już szczelinę, rozłączając szyny tramwajowe. Strażnicy powitali mój powietrzny skok gradem rozpaczliwych wymysłów, lecz ja, tylko w przelocie spojrzawszy na połyskującą w głębi szczeliny wodę, byłem już daleko od nich i pędziłem, póki nie dopadłem bramy.

## X

Wówczas albo, ściślej mówiąc, po pewnym czasie nastąpiła chwila, od której poczynając mógłbym szczegółowo, w odwrotnym porządku odtworzyć minione, mrokiem zasnutą fakty. Przede wszystkim zobaczyłem dziewczynę, która stała przy drzwiach nasłuchując, z ręką wyciągniętą ku mnie, jak to czynią ludzie, kiedy proszą lub też milcząco nakazują zachowanie ciszy. Była w letnim płaszczu. Twarz jej miała wyraz zaniepokojony i smutny. Spała przed moim przybyciem. O tym wiedziałem, lecz okoliczności mego pojawienia się tutaj umknęły jak woda z zaciśniętej ręki i ledwo mnie było stać na świadomy wysiłek, żeby natychmiast wszystko powiązać. Posłuszny jej pełnemu niepokojowi gestowi, siedziałem bez ruchu, czekając, jaki będzie koniec tego nasłuchiwania. Usiłowałem pojąć jego sens, ale na próżno. Jeszcze trochę i zdobyłem się na to, żeby przemóc ostateczną słabość, zapytać, co takiego dzieje się w tym dużym pokoju, gdy, jakby zgadując moje zamiary, dziewczyna odwróciła głowę marszcząc brwi i grożąc mi palcem. Teraz przypomniałem sobie, że na imię jej Suzy, że tak ją nazwał ktoś, kto wyszedł stamtąd i powiedział: „Proszę o absolutną ciszę...” Spałem, czy byłem tylko roztargniony? Starając się odpowiedzieć na to pytanie, spuściłem mimowolnie wzrok i spostrzegłem, że poła mego płaszcza jest rozdarta. A przecież była cała, gdy biegłem tutaj. Z jednej wątpliwości wpadałem w drugą. Naraz wszystko się zatrzasnęło i jak gdyby gdzieś uciekło, zmaćwiwszy światło. Krew uderzyła mi do głowy. Rozległ się ogłuszający huk, podobny do wystrzału nad uchem, a później okrzyk. „Halt!” - zawołał ktoś za drzwiami. Zerwałem się i głęboko zaczerpnąłem tchu. W drzwiach pojawił się mężczyzna w szarym szlafroku, pokazując cofającej się dziewczynie niedużą deskę, na której, zduszony drucianym kabłąkiem wisiał ogromny, na wpeł przecięty czarny szczur. Zęby miał wyszczerzone, ogon zwisał luźno.

Wówczas moja pamięć, wyrwana hukiem i krzykiem z istic straszliwego stanu, przekroczyła ciemną przepaść. I od razu uchwyciłem i powiązałem wiele rzeczy. Przemówiły uczucia. Wewnętrznym wzrokiem znów ujrzałem początek sceny, powtarzając łańcuch wypadków. Przypomniałem sobie, jak przelazłem przez bramę, bojąc się zastukać, by nie ściągnąć nowego niebezpieczeństwa, jak sprawdzałem drzwi i szarpnąłem za dzwonek na drugim piętrze. Ale rozmowę za drzwiami, rozmowę długą i niespokojną - przy czym głos męski i kobiecy sprzeczały się, czy mnie wpuścić - zapomniałem z kretesem. Zrekonstruowałem ją później dopiero.

Wszystkie te jeszcze nie całkiem pasujące do siebie ogniwa mignęły tak szybko jak spojrzenie w okno. Starszy pan, który wniósł pułapkę na szczury, miał siwą gęstą czuprynę, równo podstrzyżoną wokół głowy, przypominającą miseczkę żółędzia. Cienki nos, wąskie, bez zarostu, usta z nieuchwytnym wyrazem uporów, błyszczące wyblakłe oczy i strzępy siwych bokobrodów wokół zaróżowionej twarzy, zakończonej wysuniętym naprzód podbródkiem

tkwiącym w błękitnym szaliku - wszystko to mogło wzbudzić zainteresowanie portrecisty, amatora charakterystycznych rysów.

Powiedział:

- Ma pan przed sobą tak zwanego czarnego szczura gwinejskiego. Jego ukąszenie jest bardzo niebezpieczne. Powoduje powolne gnicie żywcem, zamieniając ukąszonego w kolekcję obrzęków i wrzodów. Ten gatunek gryzonia jest rzadko spotykany w Europie, ale czasami przedostaje się na statki. Przejście, o którym pan słyszał w nocy, to specjalnie zrobiony przełaz w pobliżu kuchni, służący mi do doświadczeń z pułapkami rozmaitych systemów. W ostatnich dwóch dniach przejście to istotnie było wolne, ponieważ byłem pochłonięty lekturą *Spiżarni króla szczurów* Erta Ertrusa, książki będącej białym krukiem. Została wydana w Niemczech czterysta lat temu. Autora spalono na stosie w Bremie jako heretyka. Pańskie opowiadanie...

Zatem opowiedziałem już wszystko, z czym tu przyszedłem. A jednak miałem jeszcze pewne wątpliwości. Zapytałem:

- Czy pan zastosował środki ostrożności? Czy wie pan, jakiego to rodzaju niebezpieczeństwo, ponieważ ja niezupełnie się orientuję.

- Środki ostrożności? - zapytała Suzy. - O czym pan mówi?

- Niebezpieczeństwo... - zaczął starszy pan, ale urwał spojrzawszy na córkę. - Nie rozumiem.

Sytuacja stała się nieco kłopotliwa. Wszyscy troje wymieniliśmy pytające spojrzenia.

- Mówię - zacząłem niepewnie - że powinien pan strzec się. Zdaje się, że już o tym mówiłem, ale proszę mi wybaczyć, niezbyt dobrze pamiętam, co i jak. Byłem chyba wtedy w głębokim zamroczeniu.

Dziewczyna spojrzała na ojca, potem na mnie i uśmiechnęła się z powątpiewaniem: „Czy to możliwe?”

- On jest zmęczony, Suzy - rzekł starszy pan. - Wiem, co to bezsenność. Wszystko pan powiedział i środki ostrożności zastosowałem. Jeśli tego szczura - opuścił pułapkę do moich stóp z miną myśliwego, któremu się powiodło - nazwę „Oswobodzicielem”, będzie pan już wiedział, o co chodzi.

- To żart – odparłem - w dodatku żart odpowiadający zajęciu Szczurołapa.

To mówiąc przypomniałem sobie niewielką tabliczkę, nad którą wisiał dzwonek. Widniał tam napis:

„Szczurołap”  
Tępienie szczurów i myszy  
O. Jensen  
telefon 1-08-01

Tabliczkę tę widziałem u wejścia.

- Pan żartuje, nie sądzę bowiem, żeby ów „Oswobodziciel” przyczynił panu tyle kłopotu.

- On nie żartuje - powiedziała Suzy. - On wie.

Porównywałem te dwa spojrzenia, na które odpowiedziałem w tej chwili uśmiechem próżnych domysłów - spojrzenie młodości, pełne szczerego przekonania i spojrzenie starszych, lecz jasnych oczu, które wyrażały wahanie, czy prowadzić dalej tę rozmowę.

- Niechże zamiast mnie powie panu coś niecoś o tych sprawach Ert Ertrus.

Szczurołap wyszedł i powrócił niosąc starą książkę w skórzanej oprawie z czerwonymi brzegami.

- Tu jest urywek, z którego może pan się śmiać albo się nad nim zastanowić, jak pan woli: „...Te przewrotne i posępne stworzenia posiadają potęgę rozumu ludzkiego. Znają również tajemnice podziemi, w których się ukrywają. Potrafią zmieniać swój wygląd, przybie-

rać ludzką postać - jako zupełny, choć również fałszywy obraz człowieka. Szczury potrafią również sprowadzać nieuleczalne choroby, używając w tym celu im tylko znanych sposobów. Sprzyja im mór, głód, wojna, powódzie i najazdy. Wówczas zbierają się pod hasłem tajemniczych przeobrażeń, działają jako ludzie i każdy może rozmawiać z nimi, nie wiedząc, z kim ma do czynienia. Kradną i sprzedają z zyskiem, który zadziwia uczciwego człowieka pracy, zwodzą wspaniałością swych ubiorów i łagodną mową. Mordują i palą, oszukują i urządzają zasadzki; otaczają się zbytkiem, jedzą i piją do woli, opływając w dostatki. Złoto i srebro jest ich najulubieńszą zdobyczą, poza tym drogie kamienie, dla których przeznaczone są skarbcce pod ziemią”. Ale dość czytania - rzekł Szczurołap - pan się domyśla zapewne, dlaczego przetłumaczyłem ten właśnie ustęp. Był pan osaczony przez szczury.

Lecz ja już rozumiałem. W niektórych wypadkach wolimy milczeć, ażeby doznanie, wahające się i rozrywane innymi myślami, znalazło prawdziwe oparcie. Tymczasem pokro-  
wce na meblach zaczęły jaśnieć w coraz widniejszym świetle z okna i pierwsze odgłosy ulicy zabrzmiały wyraźnie, jakby w pokoju. Znów pograżyłem się w niebyt. Twarze dziewczyny i jej ojca oddalały się, majaczyły widmowo, zasnute przejrzystą mgłą. „Suzy, co się z nim dzieje?” - rozległo się głośnie pytanie. Dziewczyna podeszła do mnie, była gdzieś blisko, ale gdzie, nie wiedziałem, ponieważ nie byłem w stanie poruszyć głową. I wtem na czole poczułem ciepło kobiecej dłoni - w tejże sekundzie kontury wszystkiego, co mnie otaczało, zamazały się, pomieszały i przepadły w chaosie zapaści duchowej. Porwał mnie dziki, nieprzebyty sen. Słyszałem głos dziewczyny: „On śpi”, słowa, z którymi zbudziłem się po trzydziestu nie istniejących godzinach. Przeniesiono mnie do ciasnego sąsiedniego pokoju na prawdziwe łóżko, a później dowiedziałem się, że „jak na mężczyznę byłem bardzo lekki”. Okazano mi współczucie: pokój w sąsiednim mieszkaniu otrzymałem nazajutrz do mej wyłącznej dyspozycji. Opowiadanie nie ma ciągu dalszego. Ode mnie zależy tylko, by stało się tak, jak w chwili, gdy poczułem ciepło ręki na mojej głowie. Muszę zdobyć zaufanie...

I więcej - ani słowa o tym.

*Irena Piotrowska*

## SZARY SAMOCHÓD

### I

Wieczorem szesnastego lipca wstąpiłem do kina, aby rozpedzić nieprzyjemne wrażenie wywołane ostatnią rozmową z Corridą. Spotkałem ją, gdy przechodziła przez bulwar. Już z daleka poznałem ją po porywistym kroku i po charakterystycznym wymachiwaniu lewą ręką. Ukłoniłem się, usiłując odnaleźć choć cień życzliwości w tych wielkich oczach o nieco zdziwionym spojrzeniu, wyglądających tak surowo pod dumnym wygięciem kapelusza.

Zawróciłem i poszedłem obok niej. Szła szybko, nie zwalniając ani nie przyspieszając kroku, niekiedy spoglądając w moją stronę, ale mimo mnie. Zauważyłem, że przechodnie często się za nią oglądają, i cieszyłem się z tego. „Niekórzy pewnie myślą, że jesteśmy małżeństwem i zazdroszczą mi”. Byłem tak pochłonięty tą myślą, że nic słyszałem, jak Corrida zwróciła się do mnie, a wreszcie zawołała:

- Co z panem? Pan taki roztargniony...

Odpowiedziałem:

- Jestem roztargniony tylko dlatego, że idę z panią. Niczyja obecność tak mnie nie rozprasza, nie napełnia głębką, radosną muzyką poczucia pełni życia i całkowitego spokoju.

Zdawało się, że nie nazbyt była zadowolona z tej odpowiedzi, gdyż zapytała:

- Kiedy skończy pan swój wynalazek?

- To tajemnica - powiedziałem. - Ufam pani więcej niż komukolwiek, ale nie ufam sobie.

- Co to znaczy?

- Jedynie to, że niedokładnym wytłumaczeniem pomysłu, który jeszcze w wielu fragmentach jest całkowicie mglisty, mogę zaszkodzić sam sobie.

- Tysiąc druga zagadka Ebenezera Sidneya - rzuciła Corrida. - Niech pan przynajmniej wyjaśni, co pan rozumie pod niedokładnym wytłumaczeniem.

- Niech pani posłucha: najlepiej pamiętamy słowa, które sami wypowiadamy. Jeśli te słowa dotyczą czegoś bardzo nam drogiego, to powinny ściśle odpowiadać faktom i uczuciom, które je zrodziły, w przeciwnym wypadku zniekształca się nasze wspomnienie albo wyobrażenie. Domieszka owego zniekształcenia pozostaje na długo, jeżeli nie na zawsze. Dlatego też nie można byle jak, pośpiesznie, tłumaczyć złożonych zjawisk, zwłaszcza jeśli mają one dopiero powstać: pani wnosi zamęt w sam proces rozwoju zamysłu.

Tyrady tej wysłuchiwała z miną uprzejmą, ale nieufnie, czułem, że moje towarzystwo staje się dla niej coraz bardziej ciężarem. Milczeliśmy. Nie wiedziałem, czy mam się pożegnać, czy iść dalej. Nie widziałem do tego zachęty, przeciwnie, Corrida miała wyraz twarzy taki, jak gdyby szła sama. Wreszcie odezwała się:

- Brat подарował mi nowego „Excelsiora”. Za dwa dni wybiera się na przejażdżkę większe towarzystwo, będzie to naprawdę błyskawiczna podróż. Przyłączam się do nich. Chce pan, żebym wzięła pana ze sobą?

- Nie - odparłem stanowczo, choć w tonie tego słowa, jak sądzę, odczuła ciężką udawkę. Nie chcąc uchodzić za grubianina, dodałem: - Pani wie, jak nienawidzę tego rodzaju sportu. - O mało nie powiedziałem „tych maszyn”, ale wolałem bardziej to omówić.

- Ale dlaczego?

- Dość szeroko wyjaśniałem to kiedyś w pani obecności - odrzekłem i wywołałem wesoły, niezbyt wesoły śmiech, nie chciałem go usłyszeć po raz drugi.

- Pan mnie stanowczo zaskakuje. - Stała przed wejściem do sklepu, przelotnie spojrzawszy przymrużonymi oczami na szyld salonu mód i zrozumiałem, że ma mnie dosyć. Szyld był tylko, pretekstem. - Tak, pan mnie zaskakuje, Sidney, i myślę, że to jedynie zły stan pańskich nerwów jest przyczyną tej dziwnej nienawiści do... do... tego pojazdu. - Roześmiała się. - Żegnaj pana.

Pocałowałem ją w rękę i szybko odszedłem, aby nie przyłapać przypadkiem dziewczyny na dezercji - mogła bowiem wyjść nie spojrzawszy, czy jeszcze tam jestem.

Nie wstydziłem się sam siebie. Mógłbym uprzejmie kłamać, pojechać z bandą idiotów i długo, długo na nią patrzeć. Ale dałem już sobie słowo, aby nie kłamać, bo bardzo już byłem zmęczony kłamstwem. Tak jak wszyscy żyłem otoczony kłamstwem i kłamstwo to już mnie znużyło.

Kiedy idąc w stronę kina przechodziłem przez ulicę, pod nogi padło mi drżące, narastające, nasilające się światło i odwróciwszy głowę, zatrzymałem się na tę maleńką cząstkę sekundy, jakiej potrzeba, aby uświadomić sobie wtargnięcie białych, ślepych reflektorów maszyny. Przemknęła, uderzywszy mnie po oczach strumieniem wiatru i rozścielając po bruku widma miauczących kotów - zajęczała, zawyła i znikła, unosząc ludzi o tępych twarzach w melonikach.

Jak zwykle, każdy samochód pogłębiał o kilka nowych rysów, o kilka s z c z e g ó ł ó w mój wstręt. Zakarbowałem je sobie w pamięci i wszedłem do kina.

Był to nędzny, trzeciorzędny teatrzyk, z brudnym ekranem i z fałszującą pianolą, która wygrywała grzmiące arie. Obraz był jakich wiele - tysiące, dziesiątki tysięcy, pusty i bez treści, ale sprawiał mi ogromne zadowolenie właśnie przez to, że dla rozwoju jego akcji poświę-

cono tyle energii - nieprzerwanego mknącego ruchu życia na ekranie. Jak gdybym widział gracza, który bez powodzenia stawia olbrzymie sumy. Całą aparaturę, siły i talent artystów, ich zdrowie, nerwy, ich życie osobiste, maszyny, skomplikowane urządzenia techniczne - wszystko to febrycznym cieniem rzucono na płótno dla krótkiej podniety widzów, przychodzących na godzinę i odchodzących, zapominających natychmiast, na czym polegało przedstawienie - tak wbrew ich wewnętrznemu tempu, tak nienaturalnie ich wyprzedzając, pędziły te napady i porwania, uczty i tańce. Przy tym wszystkim moja satysfakcja była tylko szyderstwem. W moich oczach energia przemieniała się w cień, a cień w zapomnienie. I doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, do czego to wszystko prowadzi.

Tymczasem, częściowo tylko śledząc treść obrazu, większą część uwagi zwróciłem na zjawiający się w nim od czasu do czasu duży szary samochód-lando. Za każdym razem, gdy się pojawił, przypatrywałem mu się, usiłując sobie przypomnieć, czy go widziałem kiedyś przedtem, czy też mi się wydaje, jak to się często zdarza przy podobieństwie widzianego przedmiotu do innego, teraz zapomnianego. Był to metalowy potwór zwykłego typu z wysuniętym naprzód sześciokątnym pyskiem, podobny do postawionego na szpulki kalosza z obróconym naprzód noskiem. Szofer nosił nastroszone jak jeź futro. Górną połowę twarzy zakrywały mu okulary, przez co, zwłaszcza w warunkach migającego obrazu, nie sposób było dostrzec rysów jego twarzy - a jednak nie mogłem przewyciężyć uczucia czegoś znanego; byłem przekonany, że kiedyś widziałem tego samego szofera, w tej samej maszynie, w okolicznościach, o których dawno i z kretesem zapominałem. Oczywiście wobec niezliczonych, stereotypowo podobnych zjawisk nie miałem żadnych dostrzegalnych danych - żadnych na przykład indywidualnych cech maszyny - ale jego numer SS-77-7 - niegdyś - czułem to wyraźnie - związany był z określonym wrażeniem z ulicy, wrażeniem, którego charakteru i istoty, choć bardzo się starałem, nie mogłem sobie przypomnieć. W pamięci zachował się nie sam numer, ale niewyraźne odczucie jego dawnej ważności.

A przecież było to n i e m o ż l i w e. Film wyszedł z amerykańskiego studia, zdjęcia różnych jego scen robiono, sądząc z charakteru ulic, w Nowym Jorku, a więc rekwizyty były miejscowe, ja zaś już od pięciu lat nie wyjeżdżałem z Alambo i nigdy nie byłem w Ameryce. Wynikało z tego, że owo rzekome wspomnienie nie było niczym innym jak efektem całkowicie przypadkowym. A przecież właśnie ten samochód z tym szoferem kiedyś już w i d z i a ł e m.

Kiedy opanowuje nas co do czegoś pewność, choćby była ona mała albo całkiem nieuzasadniona, walczyć z nią jest równie trudno jak ptakowi, który siadł na wysmarowanych klejem liściach - każdy ruch krępuje mu skrzydła i unieruchamia coraz bardziej. Takie są właśnie fantomy zazdrości lub zmyły prześladowcze, fantomy choroby - wszystkiego, co tak czy inaczej nam zagraża. Najrozsądniejsze wysiłki prowadzą tu do nowych dowodów, powstających z pustki. Tego rodzaju przekonanie, do jakiego doszedłem w kinie, nie było ani zatrwające, ani przykre, jeśli nie liczyć mojego wstępu do samochodów, ale siedziałem do końca seansu z dziwnym uczuciem, że jest to początek jakiegoś wydarzenia, które już przędzie swoją niewidzialną pajęczynę.

Nie mówię tu o bohaterach tej krwiożerczej i nędznej sztuki, która trzymała na uwięzi ubogą wyobraźnię widzów niesamowitymi skokami i piekielnymi zbrodniami, w jakich niezawodnie lubuje się określona publiczność, wynosząca stąd poczucie ryzyka i swoje ideały... Ale samochód SS-77-7 śledziłem za każdym razem z niezmierną uwagą, pełen niepokoju przy każdym jego pojawieniu się. Zdarzyło się to sześć albo siedem razy. Wreszcie wyjechał na wzgórze, niby szara narośl pośród malowniczych obrazów drogi, i zaczął po jego skłonie staczać się na widza, rosnąc i zbliżając się do wielkości naturalnej. Mknął prosto na mnie. Przez jedno mgnienie brzegi płótna były jeszcze częścią pejzażu, po czym wszystko wystrzeliło ciemnością, z której wyszczerzyły się dwie napływające latarnie i widmo znikło, a jedynie cień - wyobrażenie dalszego ciągu ruchu - przemknął nad głową bezszmernym drzeniem

zmierzchu, i znów wybuchł pejzaż.

Więcej nie miałem już nic w tym kinie do roboty. Do moich rozważań na temat samochodu doszedł jeszcze jeden rys, prawdopodobnie pewna wskazówka, jedna z tych, jakie zawdzięczamy tak zwanemu przypadkowi. Chwilowo tej myśli nie rozwijałem, pozostawiając przyszłości urealnienie jej - jeśli to będzie potrzebne, ale już mnie ogarnął dreszcz wielkiego podejrzenia. Ulegając niezrozumiałemu impulsowi - jak gdyby ktoś na mnie uważnie spojrzął - przeczytałem sążniste litery jaskrawo oświetlonego plakatu, który zdobił wejście do kinoteatru.

SZARY SAMOCHÓD  
WSPANIAŁY DRAMAT NA 6 TYSIĄCACH METRÓW!  
NAJWIĘKSZY PRZEBÓJ SEZONU!  
MNÓSTWO ATRAKCJI!

II

Ogarnęło mnie jakieś bardzo niemiłe uczucie, jak gdyby ktoś mi nastąpił na nogę, roześmiał się bezczelnie i dalej podśmiewywał się ze mnie za moimi plecami. Odszedłem spieszenie, usiłując szybkim chodzeniem i drobnymi obserwacjami ulicy rozpedzić podły nastrój, który jednak zbyt powoli poddawał się moim wysiłkom, wykorzystując każdą pauzę w rozmyślaniach, ażeby znowu postawić w pewnej odległości przede mną słowa „s z a r y s a m o c h ó d”. Chociaż po przejściu dwóch ulic znikła graficzna wyrazistość liter, zastąpił je dźwięk, zdawało mi się, że te słowa powtarzał ktoś z daleka cichym i ciężkim głosem. Zawsze unikałem alkoholu, uciekając się do niego jedynie w wypadkach wyjątkowych, ale teraz poczułem konieczność wypicia czegokolwiek.

Jak wiadomo, ulica współczesnego miasta czyha na nasze życie, spiesząc zadowolić je zawsze w porę nadarzającym się szyldem lub witryną. Jestem całkowicie przekonany, że ktoś, kto przechodzi koło straganów z owocami Giełdy Holenderskiej, a potrzebuje jakiegoś instrumentu geodezyjnego, niewątpliwie dostrzeże ten instrument w oknie nie wiadomo skąd zjawiającego się sklepu.

Alkohol czatuje na nas w najbardziej, zdawałoby się, w tym celu niewłaściwych miejscach. Co może być bardziej niezyskowne dla alkoholu niż głuchy kąt pomiędzy ścianą Instytutu Geograficznego a Bulwarem Sekretów, gdzie nawet w dzień cienie ogromnych drzew są tak gęste, że cała ściana pachnie chłodem i wilgocią; nie ma tam prawie epileptycznego ruchu ulicznego, którego odpryski rozlatują się po niezliczonych restauracjach, dzwoniąc złotem i stołową zastawą. Jednakże skręciwszy za róg, ujrzałem niewielką murowaną przybudówkę, której tam albo przedtem nie było, albo jej nie zauważyłem. Ta przybudówka o dwóch oknach, z oszklonymi drzwiami między nimi, była małą restauracyjką otoczoną kratą z wijącymi się roślinami. Usiadłem przy drzwiach w bujanym fotelu.

Było tu niewielu gości. Zaglądnąwszy przez okno do środka, ujrzałem dwóch grubasów grających w domino, drzemiącego z wyciągniętymi nogami mechanika okrętowego; dłoń jego, w której tlił się gotowy upaść w każdej chwili papieros, zwisała bezwładnie ze stołu; a także trzy kobiety siedzące z założonymi nogami, kobiety paliły, podnosząc głowy i wypuszczając dym powolnymi, jednostajnymi kółkami.

Kelner podał mi likier. Był to specjalny, bardzo mocny ekstrakt ziołowy. Wypiłem dwa kieliszki, a później, ociągając się i odstawiając karafkę, wypiłem trzeci.

Skutek nie kazał na siebie czekać. Poczułem równomierne ciepło i dokładny rytm chwili, zapewne określane przez tempo bicia serca, a może przez puls uwagi, przez interwały

jego równomiernie napływających napięć; myślałem intensywnie i żywo. Kiedy wypilem, roześmiałem się ze swego niedawnego wzburzenia i słuchając świszczącego od czasu do czasu szelestu opon, byłem świadom, że pomiędzy mną a szarym 77-7 nie może być żadnego związku, że go po prostu nie ma. Byłem w tej chwili zrównoważony, ostry i dokładny w każdym wyraźnym odczuwaniu - był to stan, który sprawiał mi niezwykle zadowolenie, i korzystałem z tej chwili, ażeby obmyśleć niektóre szczegóły mojego w y n a l a z k u.

Corrida El-Basso, kobieta nieokreślonej narodowości - mówię to śmiało, ponieważ mam do tego podstawy - interesowała się moim w y n a l a z k i e m z uprzejmości. Ode mnie zależało przemienienie tej formy uczucia, tego pustego uprzejmego uśmiechu, wywołanego przez dobre trawienie, w uczucie, a może namiętność. Nie traciłem na to nadziei. Ale musiałem ją zaskoczyć i wzruszyć od razu, niespodziewanie, może w takiej chwili, gdy moją obecność będzie jedynie tolerowała. Kiedy nastąpi taka chwila, wynalazek albo ściślej mówiąc to, co ona uważa za w y n a l a z e k - olśni ją całym blaskiem i obmyślonym do końca, bolesnym, wszystko ogarniającym zdecydowaniem - wywołała jej głębokie i żywe odrodzenie. Tym lepiej. Poznam wówczas prawdziwą naturę Corridy El-Basso, kobiety, którą pokochałem. Zobaczę, czy miewa inny odcień twarzy o barwie żółtej kredy. Usłyszę, jak brzmi jej głos, gdy mówi „ty”. I odczuję siłę jej dłoni - tę szczególną kobiecą siłę, która przenikając ciepłem i milczeniem w nasze dłonie, tak bardzo nas poraża.

Kołysząc się wygodnie, w myślach byłem już w swoim „laboratorium”, w wąwozie Callota, nazwanym tak zapewne przez krewnego znakomitego malarza albo też przez jego wielbiciela. Na moim ramieniu spoczęła lekka nerwowa ręka, nie odwracając się wiedziałem, że to Roncourt. Istotnie, siadł naprzeciw mnie, pytając, co tu robię.

- Znakomite miejsce na schadzkę - dodał - albo na samobójstwo. Światło z okna, tajemnicza sieć liści na chodniku, samotność i wino. Sidney, idę do kasyna Lercha, odbędzie się tam dzisiaj oryginalny pojedynek. To w pańskim guście. Czy słyszał pan o niezwykłym szczęściu Mulata Grignaulta? Już trzeci dzień bezustannie wygrywa w pokera i prócz złota i kosztowności zebrał cały plik czeków. Chce pan popatrzeć na grę? Tam już jest cały tłum.

Nikt nie mógł mi zrobić lepszej propozycji. Dobrze jest w skomplikowanym zawężeniu życia, które wymaga trudu, wybrać jako odpoczynek interesujące widowisko, a jeszcze lepiej, jeśli to przedstawienie wynika samorzutnie, jeśli czeka nas rozwiązanie autentycznego wydarzenia, z chórem, ze statystami i z autentyczną ekspresją głównych bohaterów akcji. Roncourt wziął mnie pod rękę i wyprowadził z restauracji.

### III

Kasyno Lercha słynie jako kolosalny przytułek wszelkich zbrodni. Na jego frontonie nocą bieleje tajemniczo i smutnie marmurowa Pallas Atena. Na oświetlonych schodach, schodzących wachlarzem na skwer, tłoczą się sprzedawcy kokainy, opium i lubieżnych fotografii.

Po obu stronach jezdni stał tu długi łańcuch samochodów. Od czasu do czasu jeden z nich, drżąc i hucząc, półkolem wyjeżdżał z szeregu, wzbijał kurz i zagrzmiawszy znikał w dali. Za każdym razem, kiedy to widziałem, doznawałem uczucia, że jest to obca wszystkim, cyniczna i beczelna istota, która w nieznanym celu, nieczule przebiega ogromne przestrzenie. Zazwyczaj podłużne jamy tych masywnych, szalonych maszyn pełne były ludzi, którzy z własnej woli wybrali tę czy inną drogę - ale wzrok ma własną logikę, odrębną od logiki abstrakcyjnej. Nigdy nie mogłem sam sobie powiedzieć: „Oni jada”, ale mówiłem: „Ich uwożą”, nasza zwykła znajomość wewnętrznego, właściwego wszystkim tempa, nie mogła powiązać tego nienaturalnie szybkiego tempa ze zjawiskami, które wzajem wobec siebie pozostają w wypróbowanej i zwykłej równowadze. Kiedy przechodziłem ulicą, zawsze ogarniała mnie i

denerwowała atmosfera przemocy, jaką roztaczały skrzekoczące i pędzące z szybkością gigantycznych żuków te skomplikowane s i e d z i s k a. Tak, wszystkie moje zmysły odczuwały przemoc, nie mówiąc już o wyglądzie tych jak gdyby wysnionych maszyn, musiałem za każdym razem, kiedy opętany sygnał albo pisk samochodu chłostał moje nerwy, gwałtownie hamować całe moje utajone, wewnętrzne życie; musiałem cofać się, rozglądać albo też pospiesznie odbiegać, gdy brutalnie tnący ruch uliczny groził mi kalectwem albo śmiercią. Przy tym wszystkim miał on nad podziw wygląd żywego, nawet wtedy, gdy stał w milczeniu, na coś czyhając. Od pewnego czasu zacząłem podejrzewać, że jego istnienie nie jest już tak niewinne, jak sądzą niefrasobliwi prostaczkowie opiewający kulturę lub też ściślej mówiąc zwyrodnienie kultury, jej okropną groteskę...

- Precz z czwartego wymiaru! - odezwał się Roncourt, widząc, że w milczeniu zatrzymałem się na chodniku. - Opuszczają pana czarodziejki, bo latarnie tego pojazdu mogą przyprowadzić je o bezsenność.

Osobliwością tej spelunki był przygnębiający krzykliwy przepych - słuszną rachubą na podświadomość - ilustracja do wygranej. Weszliśmy na górę wśród jaśniejącej zarazy błękitnawego światła i ciał kobiecych, rozwiewających lekkie tkaniny w perspektywach ogromnych obrazów. Po dywanach, na których traciło się poczucie własnych nóg, przedostaliśmy się przez wytwornie ubrany tłum pod baldachimy palmowych liści; tutaj, mając za sobą marmurową grupę fontanny, a przed sobą - drżące ręce przed chwilą zrujnowanego gracza, Mulat Grignault dawał wspaniały spektakl.

## IV

Stanąłem pod ścianą na podwyższeniu, a Roncourt obok mnie. W ten sposób doskonale widzieliśmy i stół, i twarze grających - było ich siedmiu razem w Mulatem. Przy stole emocjonował się robiący zakłady tłum.

Mulat siedział rozsunięty łokcie, z podwiniętymi rękawami koszuli, bez surduta. Na jego pełnej twarzy barwy kawy błyszczały drobne krople potu. Czarna broda, szorstkim pierścieniem okalająca policzki i podbródek, drgała, gdy poruszając zaciśniętymi szczękami, zastanawiał się nad dokupieniem karty albo podwyższeniem stawki. Bardzo często zgłaszał kolor i fula, ale równie często pasował. Na moich oczach zagarnął dwie stawki po dziesięć i dwadzieścia tysięcy, pokazawszy tylko trzy damy, podczas gdy jego przeciwnik miał za pierwszym razem dwie pary siódemek, a za drugim trzy walety. Zdarzyło się, że na karetę rzucił karetę z dzokerem. Grali z dzokerem i zauważyłem, że dzoker trafiał mu się dość często.

Gdy jeszcze podchodziłem do stołu, zauważyłem, jak już o tym wspomniałem, gracza, który rzucił bezsilnie karty ze zdenerwowaniem świadczącym o ostatecznej przegranej. Miałem przy sobie dość dużo pieniędzy i zacząłem obserwować gracza, aby usiąść na jego miejscu, jeśli przyjdzie mu do głowy odejść od stołu. Stało się to wkrótce. Ziewając jakby od niechcenia, gracz wstał z pobladłą twarzą, tłum się rozstał i znowu się zerwał, gdy tamten wy dostał się z jego zaciskającego pierścienia.

Fotel był pusty. Spojrzawszy na Roncourta, który z zimną krwią odpowiedział mi zachęcająco uśmiechem, zająłem miejsce naprzeciwko Mulata. Nie spojrział nawet na mnie. Krupier rozdał karty, w moich nie miałem koloru, daleko im było do sekwensu, krótko mówiąc, nie przedstawiały żadnej wartości, jednakże nie spasowałem, ale zrzuciwszy karty, dokupiłem wszystkie pięć. Teraz, dzięki dzokerowi, który przyszedł przy dokupieniu, utworzył się ful. Jak wiadomo, dzoker jest to karta z wizerunkiem diabła - pięćdziesiąta trzecia w talii; ma ona umowne znaczenie - ten, kto otrzymuje dzokera, może go podać za dowolną kartę dowolnego koloru. Miałem dziesiątkę, trzy siódemki i dzokera, licząc go za czwartą siódem-



kę, miałem silną kombinację czterech jednakowych kart, czyli karete.

- Tysiąc - przebiłem, gdy przyszła moja kolej. Gracz z lewej strony rzucił karty, drugi zrobił to samo, trzeci powiedział: Dwa. - Pięć - rzekł Grignault. W drugiej kolejce - jak to prawie zawsze bywa, jeśli nie znajdzie się nieustępliwy trzeci gracz, przy grze pozostałem ja i Grignault.

- Dziesięć - powiedziałem z miną i ryzykanctwem nowicjusza, który chce zastraszyć przeciwnika. Grignault spojrzał na mnie mętym wzrokiem i tym samym tonem odpowiedział mi sto.

Teraz należało albo zgodzić się na jego sumę i otworzyć karty, albo też wymienić jeszcze większą sumę, po czym on mógł, jeśliby zechciał, odmówić porównania kart, tracąc bez gry swoje sto tysięcy. W takiej samej sytuacji byłem i ja. Taką to już grą jest poker; dwaj gracze, nie pokazując sobie kart wymieniają kolejno coraz większe sumy, aż któryś z nich stchórzy w obawie, że może stracić jeszcze więcej, jeśli karta przeciwnika okaże się silniejsza od jego karty; albo też, zgodziwszy się na ostatnią wymienioną przez przeciwnika sumę, odkrywa jednocześnie z nim karty - ten, czyje karty są silniejsze, zabiera stawki przeciwnika - i wszystkich innych graczy.

Oczywiście nie wiedziałem, co Mulat ma w ręku. Mógł mieć silniejszą od mojej karete, z kart wyższych niż siódemki, następnie mógł mieć sekwens z pięciu kart jednego koloru w określonej gradacji: na przykład - od szóstki do dziewiątki albo też od dziewiątki do asa. W tych wypadkach wygrałby, jeśliby, oczywiście nie rzucił kart przestraszywszy się mojej n i e w i a d o m e j - jeślibym zachował wygląd człowieka całkowicie pewnego zwycięstwa, coraz bardziej podwyższając stawkę. Ale mógł również nie przestraszyć się i gdybyśmy wreszcie odkryli nasze karty, okazałoby się, że sam narzuciłem mu większą wygraną, niż na to liczył.

Podobnie jego karty mogły być słabsze od moich, mogły nie mieć żadnej wartości, jeśli przy dokupieniu (zrzucił i dokupił cztery karty) - nie uzyskał nawet minimalnej szansy - jedna para jednakowych kart - kombinacja, z którą przy odwadze, a raczej przy zuchwalstwie, wygrywa się czasami wielkie sumy, jeśli przeciwnik wyobraziwszy sobie, że ktoś go atakuje z *carré*, zrzuci, powiedzmy, fula.

Tak więc nic nie wiedzieliśmy o wartości naszych kart. Ponieważ słyszałem już o ryzykownej grze Mulata, przypuszczałem z początku, że po prostu blefuje, choć tak wielka suma, jaką postawił, przemawiała za tym, że ma chyba podstawę, aby grać wysoko. Miałem przed sobą trzy możliwości: albo otworzyć karty, zapewne przegrywając, jeśliby Mulat był silniejszy ode mnie, albo zadeklarować więcej niż sto, dając tym Grignaultowi możliwość zadeklarowania jeszcze wyższej sumy, albo też rzucić grę płacąc dziesięć tysięcy.

Zamierzałem już tak postąpić, gdyż nie miałem podstaw, aby ryzykować poważną sumę dla karety z siódemek. Jeszcze raz przyjrzałem się kartom, nieco zdziwiony tym, że pomyliłem się przy liczeniu siódemek - było ich c z t e r y. Jedną z nich, mianowicie kierową, nie potrafię wyjaśnić czemu, uważałem za dziesiątkę. W ten sposób mój dzoker - moja piąta karta, którą mogłem określić jako kartę dowolną, stała się oczywiście piątą siódemką - szczytem potęgi w pokerze - pięć jednakowych kart to rzecz zdarzająca się nader rzadko. Mając w ręku cztery jednakowe karty, z dzokerem na dodatek, można przeciwnika oskubać do nitki, jednakże pod warunkiem, że on także ma silną kartę.

Tak też miałem zamiar postąpić. Nie należało niczym się zdradzić, trzeba było zasugerować Grignaultowi, że mam co najwyżej silnego fula. Taki chwyt możliwy był przy założeniu, że mam do czynienia z kartą nie słabszą od fula. Przyłożywszy do czoła wskazujący palec zacząłem się zastanawiać - oczywiście udając - nad swoją piątką i zacisnąłem wargi, aby w ten sposób pokazać, że obliczam z napięciem. Jednocześnie zadaniem moim było, aby Grignault zrozumiał, że udaję, ale niezręcznie; że mam - niechby tak sobie pomyślał - słabą kartę, ponieważ zazwyczaj gracze udają wahanie przy słabej karcie, pragnąc wmówić coś przeciwnego - że mają kartę mocną, ta sprzeczność stanie się zrozumiała, jeżeli dodam, że

gracz z doprawdy mocną kartą postępuje stanowczo i gra wysoko, licząc na to, że przebije kartę przeciwnika. Krótko mówiąc moje postępowanie powinno było sprowadzić się do tego, aby Grignault wyciągnął z niego wnioski niezgodne z rzeczywistością. Zacząłem więc od długiego wahania się.

Teraz, gdy tamten myślał zapewne, że udaję mając słabą kartę, trzeba było pokazać co innego - udawanie z kartą bardzo mocną. Gdyby się domyślił, że idę na pewniaka, rzuciłby karty i nie zacząłby dalej licytować. Powiedziałem więc:

- Trzysta tysięcy.

Była to suma dwukrotnie przewyższająca mój majątek. Ale grałem na pewniaka, mogłem absolutnie niczym nie ryzykując deklarować miliony.

Zrobiła się taka cisza, jaka bywa, gdy wszyscy wyjdą. Ale podniósłszy głowę ujrzałem niezliczoną galerię portretów płonącej w oczach widzów chciwości; ich rysy stały się lasem drżącym z podniecenia. Mulat i ja byliśmy dla nich bóstwami dzierżącymi w dłoniach gromy.

- Czek - wychrypiął Mulat spoglądając na mnie ciężkim i przenikliwym wzrokiem.

Choć mu się pilnie przyglądałem, nie mogłem odgadnąć jego myśli. Patrzył niczym się nie zdradzając, przykrywszy swoje karty obu dłońmi i tępo patrząc na stół w połowie odległości między mną a nim. Odłożyłem karty i zacząłem wypisywać czek, powoli kreśląc okrągłym pismem równe rzędkie liter. Zanim się podpisałem, zmarszczyłem nos, z roztargnieniem spojrzełem na Mulata i nakreśliłem: Ebenezer Sidney.

Kiedy spojrzałem na niego, dostrzegłem, że mały palec jego lewej ręki zdradziecko drgnął. Wszystko stało się dla mnie oczywiste. Denerwował się z chciwości, licząc, że zagarnie wielki majątek. Jak wiecie - ja nie miałem żadnego powodu do denerwowania się i mogłem dowoli udawać człowieka „piekielnie panującego nad sobą”.

Napisałem czek i podałem go krupierowi.

- Czek na trzysta tysięcy dolarów na królewski bank w Entway - rzekł głośno krupier.

Grignault widomie poweselał.

- Pięćset tysięcy - oświadczył niedbale zsuwając na środek stołu leżące przed nim wszystkie pieniądze i чеки.

- Dodaję - odrzekłem oziębłe.

Grzmot zachwytu przetoczył się wokół stołu. Zamach na pół miliona dolarów! Roncourt patrzył na mnie wzrokiem ptaka, który ujrzał węża. Nadeszła chwila odkrycia kart. Gracze, którzy zawierali zakłady, wstrzymali oddech.

No - rzekłem ze śmiechem - Grignault, niech pan wyklada pańską k a r t e !

Odwrocił karty uderzywszy po nich kciukiem dłoni, tak że as odleciał na bok. Ale były tam jeszcze trzy asy - kareta z asów, to miał właśnie w ręku. Wściekły ryk towarzyszył temu ruchowi, dziki wybuch ulgi u tych, którzy postawili na Grignaulta. Zdawało się, że wichur rozpędził ten tłum, który skłębił się i przesunął z szybkością ataku. Roncourt zbłądł z żalości. Widziałem na jego wytwornej twarzy szczere, wielkie zmartwienie. Taka karta prawie nigdy nie bywa przebita. Rencourt znał moje sprawy finansowe i dlatego, spokojnie wyciągnąwszy książeczkę czekową, zapytał półgłosem:

- Ile panu potrzeba, Sidney?

- Pan się myli - odrzekłem pokazując swoje karty wraz z uśmiechniętym diabłem i układając je jedna obok drugiej. - Grignault, czy podoba się panu ten dzentelmen?

Chwila była nie do opisania. Nie słyszałem okrzyków i jęków, gdyż syciłem się nieskończenie wyrazem twarzy zaskoczonego Mulata.

- Pańskie... - odezwał się poprzez przypominające wycie odgłosy. Po czym przechylił się do tyłu, oczy mu się wywróciły... zemdlął. Jeszcze zanim go wynieśli, krupier przeliczył pieniądze i podał mi je, zwracając uwagę na to, że brak dziesięciu tysięcy. Podjął się zasięgnąć informacji u Grignaulta i wyszedł, a ja rozmawiałem z Roncourtem, otoczony mnóstwem dobrowolnych niewolników, tych wytwornych pariasów każdej większej spelunki,

Ignących do złotego pyłu.

Tymczasem wrócił krupier i dał mi do przeczytania zalaną winem kartkę Grignaulta: „Trochę pieniędzy przysię jutro – pisał - ale nie starczy mi na spłatę całego długu. Przysię jednak panu w rozliczeniu nową maszynę, SS-77-7, którą niedawno kupiłem. Oczywiście, jeśli pan zechce. W przeciwnym wypadku będzie pan musiał poczekać, aż odwiedzi mnie diabeł”.

- Co się panu stało? - zapytał Roncourt, widząc, że wstałem.

Stałem naprzeciw lustra i kiedy w nie spojrzałem, zrozumiałem jego pytanie. Ale było mi całkowicie obojętne, co o mnie pomyśli. Od nóg do góry powoli, ciężko wznosił się w moim ciele głęboki, śmiertelny chłód. Znikło podniecenie ryzyka. Znowu spojrzałem na notatkę, zapytując się w duchu, dlaczego Grignaultowi przyszło na myśl napisać numer. Rencourt, jeszcze raz spojrzawszy na mnie uważnie, wziął ode mnie kartkę.

- No, cóż? - powiedział. - Teraz się pan oczywiście wyleczy ze swego straszego uprzedzenia - sam los śle panu piękny i szybki wóz.

- Jak pan myśli, dlaczego on napisał numer?

- Mimo woli - rzekł Roncourt.

- Ja też tak sądzę. Chce pan, zrzucimy go z góry w przepaść.

- Ale dlaczego?

- Wydaje mi się, że tak trzeba - odpowiedziałem opanowując się. Tego wieczoru władały mną straszne moce - myśli i pragnienia zlewały się z sobą nierozdzielnie.

- Niech pan spojrzy, co to? Wszyscy gdzieś biegną - Roncourt wziął mnie pod rękę. - Chodźmy zobaczyć, co się stało.

Istotnie, sala pustoszała. Niektórzy zostawali, ale inni zamieniwszy ze sobą parę słów, unosili do góry brwi i szybko znikali w błękitnym dymie jarzącej się amfilady drzwi. Chciałem iść za Roncourtem, ale ciekawość nasza została zaspokojona natychmiast; trzech stałych gości, już z dala wymachując rękami, wołało zbliżając się do nas:

- Dżoker zabił Grignaulta! Dostał wylewu krwi do mózgu!

- Co!?! - odezwałem się. Wbrew pewnemu wzburzeniu, które ogarnęło mnie na tę wieść - przyjąłem ją zimno; podziałała na mnie znacznie słabiej niż notatka z cyfrą - tak wieloznaczna, tak tajemnicza, milcząca i przemijająca językiem niedostępnych dla nas rzeczy - zauważyłem z przerażeniem, że gadam zupełnie bzdury śmiejąc się i odpowiadając ni w pięć, ni w dziewięć tym, co otaczali mnie w tej chwili. Tymczasem przez wszystkie sale przebiegł tragiczny szmer, na jedno mgnienie trwożąc przesądnych i tych, którym nie całkiem jeszcze umarło serce, po czym wszyscy po dawnemu zaczęli wyraźnie słyszeć orkiestrę, a ruch w salonach ożywił się na nowo. Ze śmiechem przechodziły pary. Chmara kobiet, otoczywszy jakiegoś grubasa, który jak tłusty bąbel pływał w tym natarczywym klombie, uśmiechała się tak niewinnie, jak gdyby swawolił w raj.

## V

Roncourt, widząc, że jestem zdenerwowany do ostateczności, i na swój sposób tłumacząc sobie mój stan, nie zatrzymał mnie, gdy skierowałem się w stronę wyjścia. Życzyłem mu szybkiej wygranej. Został, aby zagrać w bakarata.

W moim stanie ducha znaczyła się czarna ukośna rysa wywołana kartką Mulata. Ta rysa gwałtownie przecinała płonące pole mego podniecenia - jakkolwiek to by się wydawało dziwne, jakkolwiek sprzeczne z moim w y n a l a z k i e m, niespodziewane bogactwo zdawało się nie tylko zbliżać mnie do Corridy, ale stawiało mnie z nią w jednym rzędzie. Oczywiście to złe o niej wyobrażenie wynikało z jej własnej natury. Corrida żyła paskudnie, to znaczy

była w pełni posłuszną niewolnicą otaczających ją rzeczy. Tymi rzeczami były przybory toaletowe, powozy, samochody, narkotyki, lustra i kosztowności. Jej słownik składał się z nazw niepożytecznych, a nawet szkodliwych rzeczy, tak jakby nie miała na co obrócić wzroku, jeśliby odebrano jej tę ośnowę jej życia. Spośród wszystkich rozrywek najbardziej lubiła wystawy, choćby tylko wystawy obrazów, ponieważ obraz był niewątpliwie w jej oczach przede wszystkim - rzeczą. Nie lubiła roślin, ptaków i zwierząt, a jej ulubioną lekturą były powieści Huysmansa, który nadużywał przedmiotów, a także powieści kryminalne, gdzie sam przebieg akcji nieuchronnie musi opierać się na przedmiotach martwych. Jej dzień był wspinałym przykładem puszczanej w ruch maszyny i jestem przekonany, że jej sny składały się z różnych przedmiotów. Największą rozkosz sprawiało jej targowanie się na licytacji.

Przy tym wszystkim kochałem tę kobietę. W Alambo zjawiała się niedawno. Z początku przyjechał jej brat, który otworzył tu biuro handlowe, potem przyjechała Corrida. Poznałem się z nią dzięki Roncourtowi, który prowadził jakieś interesy z jej bratem. I oto wokół tej pustej istoty legła, zwinawszy się w kłębek na podobieństwo dużego psa, moja wielka nieodwzajemniona miłość. Niemniej, kiedy pomyślałem o niej, najłatwiej mogłem sobie wyobrazić ją jako manekin, ze spokojnym uśmiechem, jaśniejący za szybą.

Kochałem w niej tę, którą chciałem widzieć niezmiennie w tym samym pięknym kształcie, ale z włożoną weń nową treścią. Nie byłem jednak na tyle zadufany w siebie, aby bez zastrzeżeń polegać na własnych siłach, aby uwierzyć w skuteczność przede wszystkim samych usiłowań. Sądziłem jedynie, że mogę i mam obowiązek zrobić wszystko, co tylko można. Niestety, dobrze wiedziałem, czym jest k a z a n i e, jeśli go słucha istota obojętna, która sama uważa się jedynie za słodki cel fizycznych pożądań, i w myśli tłumaczy sobie cały szczyry zapal w sensie cynicznym, szydząc z czyjejś bezsilności usiłowań, aby zapanować nad sytuacją. Dlatego też liczyłem nie na słowa, ale na działanie jej własnych uczuć, gdyby udało mi się wywołać w niej przemianę. Pragnąłem niewiele, o, bardzo niewiele: żywego, przenikniętego lekkim wzruszeniem rumieńca, nieśmiałego uśmiechu, cienia zadumy. Często nie wiemy, kim jest ten drugi, który w nas żyje, drugą zaś duszą mojej dręczycielki mógł się okazać dobry duch żywego życia, który podobnie jak piękno, sam przez się jest dobrem, ponieważ zaraża innych.

Właśnie t a k myślałem i tak też to przekazuję, nie usiłując w tej niezbyt dla mnie świętej sytuacji nadać wydarzeniom odcienia jakiejś scholastyki, tak przydatnego w sensie literackim, każe on bowiem podejrzewać w tym c h w y t - coś, co już samo przez się komplikuje wrażenia czytelnika. Zawsze myślałem o tej kobiecie z ciepłym uczuciem, a wiem, że istnieje miłość gotowa nawet na śmierć, ale pełna przy tym beznadziejnej, okrutnej złości. Nie miałem powodu, aby zniechęcić Corridy El-Basso. W przeciwnym wypadku byłbym stracony sam dla siebie. Mogłem jej tylko żałować.

Miałem dużo czasu, aby myśleć o tym wszystkim, kiedy w świetle elektrycznych księżyców z uczuciem ulgi wychodziłem z klubu, niezmiernie szczęśliwy, że nie mogłem odpowiedzieć Mulatowi, ponieważ nieuchronnie musiałbym powiedzieć „tak”, to znaczy zgodzić się na przyjęcie samochodu z przekory i na złość samemu sobie; zawsze nas bowiem coś zmusza patrzeć dalej niż tego lękamy się albo możemy. Smutny zbieg okoliczności sprawił, że samochód całkowicie już mu zbędny pozostawał jego własnością. Wilgotny mocny poryw morskiego wiatru, uderzając mi w twarz, zrównoważył nieco mój nastrój; gotów już uśmiechnąć się, niespieszonym i elastycznym krokiem przechodziłem przez ulicę, prawie pustą o tej nocnej godzinie. Zmusił mnie do obejrzenia się jednostajny szelest sypiącego się gdzieś w pobliżu piasku. Poślizgnąłem się i to mnie uratowało, ponieważ straciwszy równowagę konwulsyjnie uskoczyłem w bok tuż sprzed nadlatujących kół. Nie zdążyło jeszcze zniknąć widome odczucie straszliwej bliskości, gdy z przenikliwym skowyczącym szczekaniem ogromny szary samochód przemknął w świetle na rogu ulicy i znikł w zamierającym syku opon. Lata-  
nie miał zgaszone, był pusty. Nie zdążyłem przyjrzeć się szoferowi. Nie zdążyłem również

dostrzec jego numeru.

Przy całej starannej, po tym wydarzeniu, samokontroli dostrzegłem, że tylko serce bije mi nieco mocniej i że się prawie nie przeląknę. Byłem nawet, zda się, z czegoś zadowolony, ponieważ otrzymałem coś w rodzaju przestrogi. Nie mogłem sobie w związku z tym uświadomić ani jednej wyraźnej myśli; wszystkie, nader żywe i liczne, przypominały brzdąkanie na strunach, wpadające już w melodię, ale taką, która brzmi zrozumiale jedynie dla ucha znającego motyw - a ja przecież nie znałem tej melodii. Czy znacie próby ożywienia snu natychmiast po przebudzeniu, gdy jego sytuacje widzicie wyraziście i gdy je rozumiecie, ale nie możecie natychmiast przełożyć tego zrozumienia na myśl, a tymczasem cały sens spływa z szybkością ujętej w garść wody i rozwiewa się całkowicie, gdy tylko w pełni rozjaśnia się nasza świadomość? Tego rodzaju czy też podobne do tego uczucia miałem podówczas. Wsiadłem w dorożkę, kazałem jechać do mego domu i gdy przybyłem o czwartej pod bramę, dowiedziałem się, że domownicy jeszcze nie śpią.

Przebywałem tu jako gość u Kolmonsów. Nasi ojcowie razem zaczęli się dorabiać. Teraz ich dzieci zamieszkały w jednych murach, aby żyć dla przyjemności i nieokreślonej miłej przyszłości. Wszedłem wiedząc, że zastanę dyskusję, tańce lub koncert.

## VI

Wstąpiłem z początku do swego pokoju, otworzyłem biurko i włożyłem do niego moją wygraną. Nie miałem ochoty opowiadać o niej komukolwiek, przynajmniej teraz.

- Wobec tego - usłyszałem, zbliżając się do drzwi stołowego, znajomy głos Hopkinsa - Hopkins był adwokatem - przejechał go samochód. Wiecie państwo, jak Sidney jest pod tym względem ostrożny. A właśnie ostrożni ludzie często stają się ofiarami tego, czego się boją.

- Pan ma niemal rację - powiedziałem wchodząc. - Mało brakowało, aby tak właśnie się stało.

Kobiet nie było. Moja siostra i żona mego starszego kuzyna, Jutecja, dawno już poszły spać. Starszy kuzyn, Kishley, i młodszy, Tomasz, siedzieli z gośćmi, Hopkinsem, Stersem i Mikołajem. Tak miał na imię krytyk z pewnego dziennika, który niedawno zaczął wznosić gmach swojej kariery; nazwisko jego było tak długie i dziwaczne, że nie mogłem go spamiętać. Opowiedziałem zdarzenie z samochodem, przez pewien czas słuchałem rozważań i tłumaczeń adwokata, który długo mi wyjaśniał, dlaczego nie należy cofać się, gdy nadjeżdża samochód, odrzekłem „tak” i zamilkłem. Rozmowa, nie zatrzymawszy się dłużej na mnie, wróciła do swego poprzedniego biegu – mówiono o futuryzmie, który Hopkins odrzucał z nienawiścią, a Mikołaj wyśmiewał. Przeciwstawiał im się Tomasz i choć to dziwne - Kishley, którego okrągła, dobroniuszna twarz, w chwili zapalania ze smakiem cygara, wydawała się wcieleniem zdrowych, niezaprzeczonych prawd.

- Zawsze prześladowano i wyśmiewano nowatorów! - odezwał się Tomasz.

- Niektórzy z tych ludzi niewątpliwie mają talent - odparł Hopkins - ale oni właśnie, jak na to wskazują pewne cechy ich utworów, pójdą własną drogą. Reszta - to po prostu epilepsja rysunku i smaku.

- Oburza mnie, gdy tak otwarcie i bezczelnie ktoś uważa mnie za idiotę - rzekł Mikołaj - i podsuwa mi obraz albo wiersz, z premedytacją robiąc zamach na moją kieszeń, czas i wyobraźnię. Nie wierzę w szczerłość futuryzmu. Wszystko to zdrowe chłopy, a przyciskają dzwonek u drzwi i uciekają, ponieważ nie mają nic do powiedzenia.

- Ale - odparł Kishley - musi być jakaś przyczyna, skoro to zjawisko tak się rozpowszechniło. Przyczyny muszą wynikać z życia. Macie do tego taki stosunek jak Sidney do samochodu, za żadne skarby nie pojedzie nim, choć dziesiątki i setki ludzi co dzień z niego

korzystają.

- Kishley ma rację - odezwałem się - futurizm trzeba rozpatrywać tylko w związku z c z y m ś. Proponuję rozpatrywać go w związku z samochodem. Jest to zjawisko tego samego rzędu. Istnieje wiele innych zjawisk tego samego rzędu, ale nie chcę bawić się w ich wyliczanie. Niedawno widziałem na sklepowej wystawie zastawę stołową we wzory rysowane przez jakiegoś kubistę. Na rysunku były barwne kwadraty, trójkąty, laseczki i linijki skomponowane w różnorodnych układach. Rzeczywiście, z naszego ludzkiego punktu widzenia nie ma tu co mówić o sztuce. Trzeba znaleźć inny punkt widzenia. Po namyśle przyjąłem punkt widzenia samochodu założywszy, że posiada on poza ruchem jakąś niewyraźną świadomość. A wówczas znalazłem powiązanie, znalazłem harmonię, porządek, sens; zrozumiałem jakiś złowrogi margines całego naszego pola widzenia oddany mu we władanie. Zrozumiałem, że zlewające się w trójkąt barwne laseczki rozłożone są ciasno i równolegle. Musi on tak widzieć, gdy pędzi ulicą z jej niezliczonymi, zlewającymi się z sobą w jednolite migotanie pionowymi liniami gzymsów, rynien, drzwi, szyldów i narożników. Spójrzcie w kierunku chodnika, stanawszy tuż pod ścianą domu. Ujrzycie przed sobą krótki, ściśnięty pod nadzwyczaj ostrym kątem zarys tej strony, po której się znajdujecie. Będzie on barwnym pomieszaniem linii. Ale założywszy widzenie, trzeba nieodmiennie założyć estetykę, to znaczy najwłaściwszy wybór. Ponieważ w zjawiskach podobnych do twarzy ludzkiej odgadujemy istotę ludzką, widzimy więc powiązania i blask życia, to, czego nie może dostrzec maszyna. Jej wrażenia z natury rzeczy mogą być tylko geometryczne. W ten sposób dalekie podobieństwo do człowieka, pomieszanie trójkątów z kwadratami i półkołami, przyozdobione jednym tylko okiem, nad czym prostaczek łamie sobie głowę, a niektórzy przymrużają nawet oko, jest, jak należy sądzić, wrażeniem wzrokowym Maszyny na widok Człowieka. Maszyna wszystko upodabnia do siebie. Ideałem piękna w jej świadomości musi być trójkąt, kwadrat i koło.

- Do diabła! - zawołał Hopkins. - Przecież pan nie sądzi, że samochód ma świadomość i duszę?

- Owszem, ma - odpowiedziałem. - W tym samym stopniu, w jakim obdarzamy go tą częścią naszej istoty.

- Niech pan to wyjaśni - rzekł Kishley.

- Chętnie - powiedziałem. - Akceptując samochód, wprowadzając go jako część naszego życia w nasze zamysły i czyny, tym samym bez zastrzeżeń zgadzamy się z jego naturą: zewnętrzną, wewnętrzną i potencjalną. Nie mogłoby się to w żadnym wypadku wydarzyć, jeśliby jakaś część naszej istoty nie była mechaniczna, a nawet, mówiąc po prostu, gdyby nie było samochodu. Podejrzewam, że właśnie ta część naszej świadomości stanowi j e g o świadomość.

- Proszę tego dowieść - zawołał Mikołaj.

- Mógłby pan z takim samym powodzeniem żądać dowodów, gdybym twierdził, że kot widzi inne barwy niż ja. A tymczasem ani mnie, ani kota nic można doprowadzić do konfrontacji, ponieważ nie rozumiemy się nawzajem. Nie ma na to sposobu. A przecież zwierzęta p o w i n n y mieć inne, może nawet całkowicie odrębne niż my, odczucia fizyczne. Na przykład ważka z jej dziesiątkami tysięcy oczu. Musi się pan zgodzić, że odczuwanie światła przy takim urządzeniu organu wzroku musi być inne niż nasze.

- Materia nieożywiona to co innego - rzekł Kishley. - Żelazo i stal są martwe.

Nic na to nie odpowiedziałem. Wydało mi się, że za oknem wrzasnął samochód. Rzeczywiście, wrzask powtórzył się bliżej, a potem pod samym oknem.

- Słyszysz pan? - odezwałem się. - Oto jego głos - wycie, które przypomina trochę jakieś brutalne, złe słowa. A więc ma on głos, ruch, wzrok, a może nawet pamiętać. Ma własny dom. Wystarczy na ulicy Bock-Metan wstąpić do hurtowych składów samochodów i popatrzeć na nie w ich warunkach domowych. Stoją błyszczące, wysmarowane oliwą, na cementowej podłodze ogromnego pomieszczenia. Na ścianach wiszą ich portrety - fotografie modeli i

zwycięzców w wyścigach. Mają własną muzykę - niektóre nowe kompozycje, które tak starannie oddają dysonans ulicznego huku czy też powstających przy każdym ruchu przypadkowych dźwięków. Mają wreszcie gramofon, kino, mają lekarzy, panegirystów, poetów - tych samych, o których mówiliście przed pół godziną, ludzi z mocno rozwiniętym odczuciem mechanizmu. Mają nawet kochanki, te damy, co z witryn magazynów mody ślą uśmiech swoich woskowych twarzy. I czy to nie jest życie? Powiedziałbym, że to dość pełne istnienie. Poza tym zajmują się sportem, bywają mordercami i biorą udział w wojnach.

- Wychodzi na to - odezwał się Mikołaj - że... Zresztą powiem krócej: pewien samochód, okryty błotem i ranami, wrócił z pola walki. Ogoliwszy się u fryzjera ruszył do domu, gdzie nastawił na gramofonie płytę z marszem „Za sławę i chwałę” i kazał sprowadzić sobie aparat filmowy z obrazem pod tytułem „Wyścigi samochodowe pomiędzy Lissą a Zurbaganem”. Z zachwyty pękła mu opona.

- Pańska satyra wskazuje na to, że mnie pan zrozumiał - ciągnąłem. - Jeżeli stosunki wzajemne pomiędzy przedmiotami są dla nas obojętne, to mogą one być takie, jak to wynika z ich natury, a jakie są naprawdę - nie wiemy. Ale kiedy te ustosunkowania nanoszą określony kontur na kontur mego życia, tworzą potrzebne albo niepotrzebne rysy, to trzeba koniecznie wysledzić powiązanie tych zjawisk, ażeby wiedzieć, z jakim niebezpieczeństwem mamy do czynienia. Strzeżcie się rzeczy! Nader szybko i na trwałe biorą nas w niewolę.

- Jakież to są te szkodliwe rysy? - zapytał Tomasz. - Życie robi się coraz bardziej złożone, szybsze, jego intensywność nieustannie rośnie. Tej intensywności pomaga technika. Czyż mamy powrócić do stanu dzikości?

## VII

Od tej chwili rozmówcy moi przejęli prowadzenie rozmowy, a ja cierpliwie wysłuchiwałem ich obrony samochodu. Obrona polegała na tym, że jego szybkość sprzyja wymianie towarów, błyskawicznemu załatwianiu spraw i możliwości przerzucania się do odległych miejscowości niemal z szybkością czytania. Wysłuchiwałem ich i wyszedłem śmiejąc się. W swoim pokoju, gdy zostałem sam, przeliczyłem pieniądze. Była to duża suma. Niepokoilo mnie nieco, że nie odczuwam oszałamiającego wzlotu - upojenia. Wszystkie wrażenia brzmiały we mnie głucho jak uderzenia w grube drzewo. Trzymałem w ręku pieniądze i zdawałem sobie sprawę, że z człowieka zamożnego stałem się bogatym, ale myślałem o tym jak o przeczytanej książce. Możliwe, że moje pragnienia przesłonięte były w tej chwili przez największe pragnienie, przez nieodstępną myśl - o dziewczynie. Poza tym byłem bardzo znudzony myśleniem przez ten cały czas o jednym i tym samym. Ale w żaden sposób nie mogłbym wyrazić, nawet we wszystkich językach świata - czym jest to, co mnie tak zżera i niszczy. Kiedy się zastanawiałem, sądziłem, że jest to jedynie dręcząca przeszkoda w zrozumieniu samego siebie. Ale określić tego nie potrafiłem.

Zasnąłem o świcie ogrzany i ukołysany promieniami słońca spoza dachów. Jutrzejszy, a raczej dzisiejszy dzień należało zacząć od działania. Kazałem się zbudzić o trzeciej. Mój w y n a l a z e k, który na mnie czekał, wzywał mnie i ją. Po długich wahaniach zdecydowałem się wreszcie. Zdecydowałem postawić ją twarzą w twarz z Żywą Śmiercią, ją, która była Martwym Życiem.

## VIII

Moja znajomość z Corridą El-Basso pełna była skrajnego napięcia. Kiedy jej nie widziałem, to przy całej miłości do tej dziewczyny mogłem o niej myśleć, jak już państwo wiecie, beznamiętnie; mogłem nawet w sposób niewymuszony prowadzić z nią błahe rozmowy. Ale w jej obecności czułem jedynie krępujące i wiążące mnie napięcie. Powodowała to nie tyle jej piękna i lekka postać, która wywierała na mnie zniewalające wrażenie, ile świadomość niewspółmierności mojego tempa serca z tempem jej serca; jej tempo pełne było przeskoków i dysharmonii, podczas gdy moje w powolnym, równym i ostrym falowaniu brzmiało nieprzejednanie wobec wszystkiego, co nie było moim nastrojem albo przypadkowo nie odpowiadało nastrojowi chwili. Kiedy inni niemal od razu łatwo się z nią zżywali i żartowali, ja musiałem pozostawać w cieniu, ponieważ chciałem widzieć ją w tym pełnym, skupionym, wyjątkowym nastroju miłości, w którym byłem sam i którego przerywanie pustą gadaniną wydawało mi się czymś nienaturalnym, niemal zbrodniczym. Dlatego zapewne tak często nudziła się w moim towarzystwie. Wiedziałem dobrze, że nie potrafię tak zręcznie zarzec się samego siebie, ażeby nie ujawniło się to natychmiast jako fałsz, w odpowiedzi - jako udawanie. Pragnąłem nieświadomie, aby ani na chwilę nie zapomniała o mojej miłości, gdyż czułem, że jestem skrupowany, roztargniony i niezręczny jedynie z miłości do niej.

Dlatego też przebywanie w jej towarzystwie było i dla mnie ciężarem, jeśli poza mną był jeszcze u niej ktokolwiek inny. W takich razach napięcie często przemieniało się dla mnie w ciężkie, głębokie cierpienie, po czym nie mogłem już pozostawać u niej dłużej; koniec końcem ponury wyraz twarzy wywołać musi lęk i obrzydzenie. Wiedziałem jednak, jaki byłbym, gdyby zaprzestała oporu, gdyby powiedziała mi „ty”,

O wpół do piątej podniosłem słuchawkę telefoniczną: było mi niewesoło, a musiałem mówić z wesołym ożywieniem kawalarza. Ale utrzymałem się w roli.

Kiedy usłyszałem jej głos, ujrzałem - w głębi duszy - jej twarz o chorobliwym, denerwującym wyrazie na wpół uchylonych ust i z zawsze otwartymi, nieco sennymi i roztargnionymi oczami. Jej dziecinne czoło - na drugim końcu miasta - budziło pragnienie, aby je pogłaskać.

- To pan - odezwała się, a ja drgnąłem, bo tak przyjaźnie zabrzmiał jej głos - o, bardzo się cieszę - muszę panu powinszować.

- Czego? - Ale już wiedziałem, co chciała mi powiedzieć.

- Mówią, że wygrał pan milion dolarów.

- Nie - tylko połowę tej sumy.

- To też nieźle. Teraz pan pewno pojedzie w podróż?

- Nie, nie pojedę. Ale proponuję pani - przysięgam - wyjątkową przyjemność. Wykończyłem swój w y n a l a z e k. Jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, to pokażę go pani pierwszej; nikt nic jeszcze o tym nie wie.

- O! Chcę! Chcę! - zawołała. - I to jak najszybciej!

- Wobec tego - rzekłem - jeśli pani jest wolna, czeka panią niewielka konna przejażdżka do wąwozu Callota. To nie jest dalej niż dwadzieścia pięć mil. Mam konia - drugiego da mi kuzyn Kishley.

- Doskonale - powiedziała po krótkiej pauzie. - Zgadza się. Pan naprawdę jest bardzo dobry.

- Za pół godziny będę u pani.

- Czeka.

Na tym skończyła się rozmowa. Póki siodłano konie, myślałem, co z tego wszystkiego może wyniknąć. Przyszło mi na myśl, że nie mam prawa w ten sposób postępować. Ale to mnie nie rozbroiło. Przeciwnie, umocniłem się jeszcze w moim postanowieniu, bo mógłbym



potem całe życie żałować swojej słabości. Gorzej już być nie mogło - w nic lepszego nie wierzyłem.

W tej właśnie chwili zadzwonił telefon. Dzwonek rozległ się w jakiejś miłej, czulej i rozmarzonej chwili moich rozmyślań. Podniosłem słuchawkę.

Któż to ze mną mówił? Przymilny natężony głos, jak prośba o litość, a tak wyrazisty, że można by, zdawałoby się, odłożyć słuchawkę i dalej go słuchać! Tego dnia zbudziłem się z uczuciem m g ł y - dzień był uroczyście jasny, ale mnie się wydawało, że niewidzialna, spokojna mgła uciska mi mózg. Teraz to dziwne uczucie jeszcze się spotęgowało.

To, co usłyszałem, przypominało zakończenie rozmowy; tak się zdarza, jeśli nasz rozmówca kończy mówić do kogoś innego. Ten wyrazisty, ścielący się w nieznaną przestrzeń głos mówił: - „...minie bardzo niewiele czasu” - po czym dało się słyszeć zwrócone do mnie pytanie: - „Czy to mieszkanie Ebenezera Sidneya?”

- To ja - pomimo woli odsunąłem słuchawkę od ucha, ażeby nie dotykała skóry - tak nienaturalnie i wstrętne blisko, jak gdyby w samej mojej dłoni, rozlegał się ten metaliczny głos. Powtórzyłem: - Tu mówi Sydney, kim pan jest i czego pan sobie życzy?

- Nie zna pan mojego nazwiska, mówię z panem z polecenia zmarłego wczoraj Emanuela Grignaulta, Mulata. Zlecił mi kilka drobnych spraw, których nie zdążył załatwić. W tej liczbie była prośba, aby przesłać panu wygrany czteroosobowy samochód marki „Levanda”. Dlatego też proszę, ażeby wyznaczył pan czas, kiedy pański pokorny sługa ma wypełnić polecenie.

Tak nagle ogarnął mnie wściekły gniew, że zacząłem krzyczeć i tupać nogami. Krzychałem dygocząc ze złości na tego nieznanego i gdybym mógł, to bym go z rozkoszą wychłostał.

- Idź pan do diabła! - zagrzmiałem - idź pan, powiadam panu, do diabła! Nie potrzeba mi samochodu! Grignault nic nie jest mi winien! Weź pan sobie ten samochód i rozwal pan sobie w nim łeb! Nikczemny łajdaku, widzę na wylot pańskie zamiary!

Ale poprzez mój krzyk, gdy traciłem dech i milkłem - jednocześnie z moimi szalonymi słowami przebijał głos tego człowieka, którego najwidoczniej wcale nie wzruszała ta burza w przewodach. Beznamiętnie i niewzruszenie wbijał swój równy cienki głos w moje uniesienie. Słyszałem tracąc siły z wściekłości: - „Proszę wziąć pod uwagę”- „z poczucia delikatności” - „sam charakter wydarzenia” - i inne podobne zdania; tak metodycznie i spokojnie sznur zaciska ręce człowieka wyrwijającego się z jego zwojów.

Rzuciłem słuchawkę i odszedłem. Po kilku minutach służący zameldował, że konie czekają.

Dzień był przepiękny! Nawet m g ł a, o której mówiłem, zdawała się rozpraszać od czasu do czasu, abym mógł odetchnąć pełną piersią, a jednak dalej odczuwałem niemal stale jej równomierny ucisk. Miałem ochotę potrząsnąć głową, aby pozbyć się tego uczucia. Służący jechał za mną na drugim koniu. Zbliżywszy się do domu, w którym mieszkała Corrida, ujrzałem jej uśmiechniętą twarz: stała na balkonie patrząc w dół i wtulając policzek w dłoń oparte o balustradę balkonu. Już z daleka zaczęła machać do mnie chusteczką. Zbliżałem się w podniosłym i nieco głupim nastroju człowieka traktowanego dobrze, bo może być pożytecznym bo jest bogaty. Nie oszukiwałem sam siebie. Jeszcze nigdy Corrida El-Basso nie była wobec mnie tak uprzejma. Ale nie chciałem na tym poprzestać, cel mój już się zbliżał, chociażby dzięki urokowi wielkiej wygranej.

Pozostawiwszy konie, zdecydowanym i twardym krokiem wszedłem do domu. Teraz, kiedy panowałem nad sytuacją, znikło nagle krępujące przygnębienie - pewność, że uczucie ciąży mi, że jest p r z e k l ę t e, skoro siedząc obok ukochanej odczuwam samotność. Zacząłem żywić nadzieję, że to, co zamyśliłem, ma sens, że mi się powiedzie.

Pocałowałem jej wąską dłoń i popatrzyłem jej w oczy. Uśmiechała się.

- Wygląda pan na zadowolonego - rzekła Corrida - nic dziwnego, podwójne powodze-

nie. Co pan uważa za ważniejsze? Ale może wynalazek przyniesie panu jeszcze więcej pieniędzy?

- Nie, nie przyniesie mi ani grosza - odrzekłem - wprost przeciwnie, może mnie zrujnować.

- Czemu to?

- Jeśli nie spełni moich nadziei, bo jeszcze go nie uruchomiłem, nie przeprowadziłem doświadczeń.

- Na czym polega pański wynalazek? I jakim celem ma służyć?

- Za godzinę sama pani zobaczy. Czy nie warto poczekać?

- To prawda - odrzekła niechętnie, opuszczając woalkę i biorąc pejcz. Była w amazonce. - Czy jest ładny?

- Na to pani mogę odpowiedzieć zupełnie szczerze. Jest piękny.

- O! - powiedziała czując coś w moim tonie. - A więc jedziemy do pracowni?

- No tak - i nie powstrzymałem chęci podroczenia się z nią. - Do pracowni natury.

- Pan jest naprawdę mistyfikatorem, jak o panu mówią. Wszyscy mistyfikatorzy są nieuprzejmi. No, jedźmy.

Wyszliśmy. Dosiedliśmy koni, pomogłem jej.

- Jestem w świetnym humorze - oświadczyła - a pańskie konie też są dobre. Jak się nazywa mój koń?

- O d m i a n a.

- Dziwne imię, tak jak i pan.

- Jestem bardzo zwyczajny - odpowiedziałem - dziwne we mnie jest tylko to, że zawsze spodziewałem się tego, co niemożliwe.

## IX

Wyjechawszy za miasto, puściliśmy się galopem i po pół godzinie byliśmy u stóp górskiej ścieżki prowadzącej do wąwozu Callota. Prowadziliśmy rozmowę tak błahą, tak obelżywie i nienaturalnie płytką, że kilka razy wpadałem w zły humor. Jednakże w żaden sposób nie mogłem skierować jej przynajmniej na to, co by tworzyło względną bliskość między nami - nie mogłem wywołać zgodnego z moim nastroju na widok pejzażu, który od miejsca, gdzieśmy jechali, nabierał coraz bardziej zachwycającego kolorytu. Na wszystko, co ją nie interesowało, odpowiadała obojętnym głosem: „O tak” albo też - „Doprawdy?” Ale moja wygrana interesowała ją nadal i często do niej wracała, choć opowiedziałem jej już wszystko najważniejsze o tej potyczce z Grignaultem. „Ja go rozumiem!” - powiedziała usłyszawszy, że Mulat dostał ataku apopleksji. Moja odmowa przyjęcia samochodu wywołała w niej jednak głębokie, pogardliwe zdziwienie - spojrzała na mnie tak, jakbym zrobił coś bardzo śmiesznego, coś nieprzyjemnie śmiesznego.

- To wszystko przez tę pańską manię - powiedziała po chwili namysłu. - Tyle już o niej słyszałam! A ja lubię tę oszałamiającą szybkość, lubię, gdy powietrze rozsadza płuca. To jest życie!

- To szybkość upadku - odrzekłem. - Dzicy bardzo lubią taką szybkość. To, co pani, jak się zdaje uważa za oznakę swoistego wyrafinowania, jest zwyczajnym atawizmem. Wszystkie tego rodzaju rozrywki - sport wodny, rowery, wszystkie te łyżwy, narty, diabelskie młyny, karuzele, trojki, wyścigi konne - wszystko to jest coraz bardziej wzrastającą namiętnością do uczucia zawrotnego upadku. Istnieje granica szybkości, poza którą ruch poziomy przemienia się w u p a d e k. Pani upaja się uczuciem omdlewania przy upadku. I celem ludzi, którzy rozumują tak jak pani, jest upodobnić ruch do u p a d k u. Co może być bardziej prymity-

wnego? I - że tak powiem - bezcelowo prymitywnego?

- Ale - odezwała się - całe tempo dzisiejszego życia... Różnorodność stała się naszą naturą.

- Święta racja i bardzo źle, że tak jest. A przecież właśnie to, co odbywa się powoli, oczywiście, stosunkowo powoli, ponieważ miary szybkości są różne w swej istocie, w zależności od rodzaju ruchu - właśnie to jest najbardziej cenne. Szybkość agenta jakiegoś przedsiębiorstwa prowadzącego transakcje handlowe zwiększa ilość, ale nie jakość wyrobu, na przykład w dziale produkcji i sprzedaży płótna, ale niech spróbuje on ze swą samochodową szybkością umieścić i rozpowszechnić dębinę, zwyczajną dębinę. To drzewko rośnie stulecia. Krowa wyrasta w dwa lata. Prawdziwy, w pełni ukształtowany człowiek przebywa tę drogę w jakieś trzydzieści lat. Diament i złoto nie mają wieku. Dywany perskie robi się całe lata. Jeszcze wolniej idzie człowiek drogą nauki. A sztuka? Czy warto mówić, że najlepsze dzieła widzą czasami, jak mistrzowi zaczyna dopiero rosnać broda, a gdy się kończy realizacja, dostrzegają już jego siwiznę. Powie pani, że szybki ruch przyspiesza wymianę, że posuwa naprzód kulturę?! Spycha ją tylko. Kultura posuwa się tak szybko dlatego, że nie może się zatrzymać.

- Nie wiem - odparła Corrida - możliwe, że pan ma rację, ale żyć trzeba lekko i szybko, nieprawdaż?

- Gdyby pani umarła - zapytałem - a potem urodziła się na nowo, pamiętając poprzednie życie - to czy żyłaby pani dalej tak samo jak teraz?

- Nie podoba mi się pańskie pytanie - odpowiedziała zimno. - Czy żyję źle? Jeśli nawet tak, to jakie ma pan prawo mnie niepokoić?

- To nie prawo, ale zwyczajna sympatia. Zresztą to moja wina i muszę ją naprawić. Za...

- Nie, pan mi się nie wykreści - zawołała zatrzymując konia. - To już nie po raz pierwszy. W jakim celu zadaje mi pan takie pytania?

- Corrido - powiedziałem łagodnym głosem - jeśli będzie pani tak dobra, że przestanie pani się chwilowo gniewać i odpowie mi na jeszcze jedno pytanie, ale tylko całkowicie szczerze, to damę słowo, że równie szczerze rozproszę pani wątpliwości.

Zbliżyliśmy się już do wąwozu, z którego otwartej szczeliny płynęło widmowo liliowe światło, pełne dalekiej zieleni. Patrząc tam i p r z y p o m i n a j ą c sobie, co chciałem zrobić, zorientowałem się od razu, że pytanie moje było przedwczesne, jednakże chciałem się o tym przekonać. Mgła stopniowo się rozpraszała (mówię o wewnętrznej mgłę, która przeszkadzała mi jasno myśleć) i jak w blasku gigantycznej świecy widziałem wszystkie cuda wynikające z mojego zamysłu. Dlatego też przestałem się wahać.

- Czekam - powiedziała Corrida.

- Niech mi pani powie - zacząłem - (a pozostanie to między nami) - dlaczego i w jakim celu wyszła pani z... magazynu mód?

Mówiąc to czułem, że błędę. Mogła się domyślić. Rzeczy mają instynkt, który świetnie pomaga im padać, na przykład tak, że temu, kto chce je podnieść, okropnie przeszkadza jakiś postronny przedmiot. Ale byłem już przygotowany na to, aby obrócić moje słowa w żart - nadać im pierwszy lepszy sens, a jeśli będzie udawała zaskoczenie - być roztargniony. Przyglądałem się jej uważnie.

Z ma-ga-zy-nu mód?! - powoli rzekła Corrida, przesywając mnie tak uważnym, głębokim i chytrym spojrzeniem, że aż drgnąłem. Nie mogłem wątpić. Przy tym twarz jej stała się nagle b i a ł a, nie biała, lecz tej matowo białej barwy, jaką mają figury woskowe. Wystarczyło mi to. Roześmiałem się i nie chciałem jej więcej niepokoić.

- Nie mam więcej pytań - powiedziałem - mówię o spotkaniu z panią wczoraj, kiedy weszła pani do sklepu. Pani natychmiast wyszła, a ja nie chciałem podejść do pani po raz drugi.

- Ależ... to bardzo proste - odrzekła usiłując coś zrozumieć. - Nie zastałam modystki.

Ale pan nie to chciał powiedzieć.

- Pani po prostu zdenerwowała mnie swoją ostrą odpowiedzią. Zapytałem o pierwszą lepszą rzecz, która przyszła mi na myśl.

Po czym nie pozwalając jej snuć dalej podejrzeń - jeśli je miała - wróciłem do gry z Mulatem, opowiadałem jej szczegóły pojedynku w sposób tak humorystyczny, że śmiała się do łez. Jechaliśmy wąwozem. Po lewej stronie ciągnęła się głęboka poprzeczna szczelina, do której podjechawszy zatrzymałem konia.

- To tutaj - powiedziałem.

Corrida zeszała z siodła, a ja przywiązałem konie.

- Niepokoi mnie trochę cała ta tajemniczość - powiedziała rozglądając się dokoła - czy mamy jeszcze dużo do przejścia?

- Ze sto kroków. - Chcąc ją uspokoić, zacząłem znowu żartować, przyrównując nasz spacer do stronic dawnych powieści kryminalnych. Szliśmy obok siebie, gładkie dno wąwozu nie hamowało naszych kroków i wkrótce rozproszył się mrok szczeliny - doszliśmy do jej końca - do urwiska, które pionowo opadało nad zalaną słońcem doliną, gdzie daleko w dole ukrywały się, niby ptasie stada, fermy i wioski. Ogromna, błękitna przestrzeń uderzała wiatrem w twarz. Zatrzymałem się i wskazałem ręką w dół.

- Widzi pani? - odezwałem się, wpatrując się w jej piękną twarz z przymrużonymi oczami.

- Widok niebrzydki - odpowiedziała mi niecierpliwie - ale może jednak pójdziemy do tego pańskiego laboratorium?!

Zaczął mnie ogarniać szaleńczy zachwyty. Ująłem jej ręce i ucałowałem. Była, zdaje się, tak zdumiona, że się nie opierała. Owładnął mną już wewnętrzny impuls, mimo woli obejrzałem się na szczelinę za nami, w której ukryć się było sprawą jednej sekundy, i zagroziłem ją sobą. Ale ku szczelinie skoczyliśmy jednocześnie, w każdym razie wtedy, gdy chwyciłem ją w pól, była już prawie za mną i jedną ręką wparła mi się w pierś. Twarz miała białą, martwą, oczy okrągłe i ogromne. Drugą ręką szybko manipulowała z boku, gdzie miała kieszeń. Traciłem oddech, ale ciągnąłem Corridę ku przepaści, krzycząc, przekonywując ją i błagając:

- To tylko jedna chwila! Jedna! I nowe życie! Tam jest twoje ocalenie!

Ale było już za późno - niestety! - za późno. Wyrwała się nieprawdopodobnie szybkimi ruchami i podniosła rewolwer. Widziałem, jak szarpnął się w jej ręku i zrozumiałem, że strzeliła. U mojej lewej skroni jak gdyby zawisł kamień. Nieświadomie, pomimo woli, konwulsyjnie, opierając się upadkowi - upadłem, dostrzegając, jak od mojej twarzy pośpiesznie odsunęły się małe lakierowane nogi. Zdążyłem jednak chwycić je i szarpnąć.

Corrida upadła tuż koło mnie, przy upadku wypadł jej z ręki rewolwer. Dostrzegłem go, gdy odwróciłem głowę. Na pewno bym go dosięgnął, gdyby mi nie przeszkadzała chwytając mnie za ręce. Miała jednak kocią zwinność.

Objąwszy ją wpół i przyciskając do siebie, aby nie zerwała się na nogi, dotykałem już lewą ręką rewolweru, starając się go przyciągnąć, ale Corrida wyłamywała mi rękę w przegubie, odcinając mi palce. Wreszcie uderzenie kamieniem po dłoni zrobiło swoje. Wyślizgnąwszy się jak ściśnięta w ręku ryba. Corrida zawładnęła rewolwerem - i tu opuściły mnie siły. Mogłem leżeć i patrzeć.

Poderwała się i wstała, przez cały czas trzymając wycelowany we mnie rewolwer. Nastąpiło milczenie - i oddech - oddech nas obojga był słyszalny jak krzyk.

- Cóż to znaczy?! - odezwała się. - Teraz niech pan mówi, słyszy pan?!

## X

Nie traciłem czasu, aby dowiedzieć się, co traci.

- Tak – powiedziałem - na tym właśnie polega mój w y n a l a z e k. Widziała pani promienny świat? Ten świat nas wzywa. Skoczmy więc tam, aby natychmiast zmartwychwstać. To jest konieczne dla nas obojga. Nie ma pani po co więcej udawać. Karty są odkryte i dobrze widzę pani karty. Są zakapane woskiem. Tak, z pani pięknej twarzy kapie wosk. Twarz ta roztopiła się. Wystarczyło, aby odbił się na niej gniew i strach, a wosk przypomniał sobie dawne swoje życie w kwiatach. Ale prawdziwe, prawdziwe życie rozpromieni panią dopiero po unicestwieniu, po śmierci, po wyrzeczeniu się! Niech pani wie, że chciałem także skoczyć. To nie takie straszne! Powinniśmy byli umrzeć i narodzić się!

- Gdzie jest pan ranny? - zapytała surowo.

- W głowę koło ucha - odpowiedziałem dotykając mokrymi palcami mokrych i lepkich włosów. - Niech pani sobie idzie! Co ja teraz dla pani znaczę; droga dla pani wolna.

Uniósłszy suknię obeszła mnie od tyłu i poczułem, jak głowę moją unosi mała chłodna ręka. Usłyszałem rozdzieranie chustki. Mocno obwiązała mi głowę, a potem znów przeszła z cienia w światło. Ja zaś leżałem całkowicie osłabiony z utraty krwi i obojętnie przyjąłem ten objaw troskliwości. Przerazało mnie, że nie osiągnąłem celu.

- Czy może pan dojść do konia? - zapytała Corrida - Jeśli pan może, to pomogę panu wstać. - Jeśli zaś nie - to niech pan leży i postara się być cierpliwy; powiem, żeby po pana przyjechali.

- Jak pani woli - powiedziałem. - Jak pani woli. Nie mogę dojść do konia. Teraz już jest mi obojętne, czy żyć, czy umrzeć, bo na zawsze panią straciłem. Możliwe, że tu umrę. Dlatego też będziemy mówić szczerze. Powinna pani pamiętać nasze pierwsze spotkanie, nie w Alambo - nie, odbyło się ona w Glen-Arrol. Czy pamięta pani Glen-Arrol? Jakiś staruszek odślaniał muślin i pokazywał panią leżącą w skrzyni, był to wosk z mechanizmem wewnątrz - to była pani - pani spała, oddychała i uśmiechała się. Zapłaciłem za wejście dziesięć centów, ale zapłaciłbym całym swoim życiem. Nie wiem, w jaki sposób uciekła pani z Glen-Arrol i dlaczego znalazła się tutaj - ale pojąłem tajemnicę pani mechanizmu. Upodobił się on na pozór do życia ludzkiego na zasadzie wszystkich mechanizmów huczących dokoła nas. Ale proszę zrozumieć, że stać się kobietą, stać się doprawdy żywą istotą może pani dopiero po unicestwieniu. Wiem, że wtedy serce pani drgnie miłością do mnie. Sam jestem na wpół-martwy, poruszam się i żyję jak maszyna, już rośnie i zgrzyta we mnie mechanizm, słyszę szcęk jego żelaza. Ale istnieje moc samounicestwienia i zmartwychwstawszy natychmiast ogłuszamy świat cały śpiewem naszych serc. Stanie się pani c z ł o w i e k i e m i przemknie ognistą smugą. Twarz pani jest piękna i wesłaby pani do ziemskich ogrodów jako symbol autentycznej piękności. Pani oczy? Błask włosów? Charakter uśmiechu? - Porywająca energia przejawiałaby się również w losach pani życia. Pani głos? - Brzmi jak czułe wezwanie. - I postępowałaby pani tak, jak brzmi ten głos. Jakże wiele pani dano! Jakże pani jest martwa! Jakże musi pani umrzeć!...

Mówiąc te słowa nie widziałem jej. Kiedy otworzyłem oczy i rozejrzałem się z wysiłkiem, nie dostrzegłem nikogo. Przekleństwo! Serce jej mogło od ruchu prostych małych dźwigierek przejść na pełne pulsowanie - ku łzom i radości, zachwytom i wzruszeniom - a wreszcie mogło pokochać mnie, płonącego w ogniu natchnienia, aż śmiałybym się jak dziecko - a ono odeszło! ... Jestem przekonany, że nie chciała wspominać Glen-Arrolu. To prawda, że w tej miejscinie patrzyły na nią jedynie potworne podobieństwa ludzi, a jednak...

Zebrałem siły, podniosłem się i usiadłem. Nie miałem już zawrotu głowy, ale takie uczucie, że jest nie dość niesiona do góry - że może upaść. Spróbowałem ugiąć nogi, aby w ten sposób ułatwić sobie dalszy ruch, i udało mi się to... Wreszcie wstałem, chwytając się

ściany i ruszyłem. Chciałem iść do domu, aby się uspokoić i zastanowić się nad przyszłością. Jak się orientowałem, kula nic dotknęła mózgu, i dlatego nie obawiałem się, że zwałę się po drodze. Powlokłem się, przytrzymując się nierównych gładów wąwozu i od czasu do czasu tracąc równowagę, tak że musiałem przystawać.

Podczas gdy szedłem, zmrok (już ściemniało się), rozpościerający się z bezbrzeżnym cieniem, zastąpiło tego rodzaju niepojęcie przejmujące światło, jakie daje księżyc przy przejściu światła dziennego w magiczny widmowy mrok. Kiedy minąłem szczelinę, ujrzałem zaczarowane dno wąwozu w blasku czystego miesiąca; dno, usiane kamieniami, których okrągłe cienie wydawały mi się czarnymi daszkami białych czapek - było jak łóżysko gigantycznej rzeki, która znikła na zawsze. Koni nie było. - W o s k o w a wzięła mego konia, sądząc bez wątpienia, że umarłem. Nie wierzyłem w jej obietnicę, że przyśle po mnie, raczej mogła mi tu nasłać morderców.

Dotknąłem chustki, zanim ją zdjąłem. Wciąż jeszcze czułem lekką gorączkę, ból i wrażenie ściągniętej skóry tam, gdzie drasnęła mnie kula, ale krew już nie płynęła.

Podejrzewając, że przesiąknięta krwią chustka może mi coś wyjaśnić, popatrzyłem w świetle na wyhaftowany znak. Nie były to jej inicjały. Ujrzałem znaki nie znane w żadnym z alfabetów naszej planety:

## CEB

- i zrozumiałem, że nigdy nie dowiem się, jaka jest natura istoty, która używała podobnych znaków.

- Corrido! - zawołałem. - Corrido! Corrido El-Basso! Kocham, kocham, kocham cię, szalona w swoim zimnym jaśnieniu, niedostępna, bo nieżywa - nie, po tysiackroć nie! Chciałem ci dać trochę życia mego własnego serca! Strzeliłaś nie we mnie - w życie, zraniłaś życie! Wróć!

I echo wyrwawszy „ri” z jej imienia, uparcie grzechotało gdzieś spoza wysokich gładów: były to dźwięki przypominające odległe dudnienie motoru. Nie opuszczało mnie wspomnienie o Glen-Arrolu, gdzie ujrzałem ją po raz pierwszy. Tak - tam, na podwyższeniu, w białej szerokiej skrzyni, pod szkłem, leżała z wyciągniętymi i skrzyżowanymi nogami pod gazą, pośród zakurzonych kwiatów. Rzęsy jej drgały i opadały, lekka jak płatki pierś oddychała, sprawiając wrażenie żywego spokoju. Zdawało się, że oto otworzą się te pełne uśmiechu oczy, że stan wygnie się w figlarnej urodzie lękliwego ruchu, a ona podniesie się i wypowie wielkie słowo zawarte w milczeniu. Teraz, dzięki milczącemu pobłażaniu jakichś ludzi, przebywa ona wśród nas, przyrzekając tak wiele, zabijając tak pewnie, tak powoli, tak beznaściejnie.

Znużony i drżący, przeszedłem chwiejąc się wąwóz i zauważyłem to dopiero wtedy, gdy przeszedłem. Wśród zielonego, srebrzystego morza wzgórz wiło się kilka ścieżek, jedna z nich była bardziej stroma i stoczyłem się z niej na leżącą niżej szosę. Tu, nieco na uboczu, stał dom, o którym można powiedzieć tylko słowami wierszy Grewhoda: „Był ubogi i spał”. Przeszedłszy przez niskie kamienne ogrodzenie, dostrzegłem, że okno jest nie domknięte, więc wsadziłem za ramę swoją wygraną, przewróciwszy coś przy tym. Kto tu mieszkał? Jakie siły rozbudzę nazajutrz moim zbędnym mi darem? Wiedziałem tylko, że na ziemi trzeba zostawić duże ślady, mały ślad szybko zarasta trawą. Z rana będzie tu krzyk, hałas, sprzeczki i zdumienie, dygocące kolana, jęki, może nawet ktoś zachoruje z zachwytu - a co było przedtem? To jest życie, jego konwulsje, grymasy, krzyk i uśmiech - każde życie jest dobre.

Księżyc wzeszedł wyżej, jego okrągły czerep opuścił w dół oczy, wybielając szosę aż do horyzontu. Szosa w tym miejscu przedstawiała kształt rozciągniętej litery V - tak rozciągniętej, że przypominała raczej środkową część podwójnego wygięcia łuku. Stojąc na wzniesieniu drogi widziałem, jak przeciwległe, dalekie wzniesienie przecinała ciemna kresa. Pojawiła się tam i zaczęła rosnać kropka, która rosła jak rozplywająca się na papierze plama

atramentu; plama ta spełzła ku środkowi wygięcia z niepokojącą mnie szybkością. Przez pewien czas szedłem naprzeciw temu zjawisku, jednakże szybko zmusiło mnie ono do zatrzymania się. Nie omyliłem się - szary samochód już pędził w górę naprzeciw mnie z tą niemłą lekkością automatu, która niweczy zwykle wyobrażenie wysiłku. Zboczywszy ku zaroślom, skryłem się w ich wilgoci; teraz pomiędzy mną a samochodem była już tak niewielka odległość, że mogłem dostrzec ludzi - mogłem ich policzyć. Było ich czterech i ten sam szofer w okularach, którego widziałem wczoraj; jeden z nich mówił coś do drugiego w chwili, gdy maszyna przemknęła tuż koło mnie.

Wszystko było teraz dla mnie jasne. Zaczęło się polowanie, może zemsta, podła i okropna. W powietrzu, jak wydrukowane, stały tamte litery i cyfry, które ujrzałem nieprzytomny z wściekłości, litery te to były „SS”, a cyfry „77-7”. Zaiste, byłem bliski szału. Dygocąc, jak gdyby już mnie pojмали, niepewnymi ruchami szukałem innej drogi niż ta, którą już zawładnął wróg; potykałem się w zaroślach, ale iść nie mogłem. Doły i korzenie tak ciasno spłotyły się ze sobą, że cały czas szedłem, jak gdybym zapadał się w kupy gałęzi; suche ciernie darły mi ubranie, poza tym szedłem głośno, co było dla mnie niebezpieczne ze względu na pogoń; niektóre doły były tak głębokie, że padając odczuwałem w całym ciele ból wstrząsu.

Zatrzymawszy się i złapawszy oddech znowu zbliżyłem się do szosy i wyjrzałem na nią. Droga była pusta. Ani z lewej, ani z prawej strony nie dochodził najmniejszy odgłos; dlatego też wiedząc, że zawsze mogę ukryć się w krzakach, wyszedłem na szosę, ażeby przebiec jak najszybciej jak największą odległość.

Tak więc pobiegłem. Kiedyś biegałem tak dobrze, że wygrywałem w zawodach. Umiejętność biegania nie opuściła mnie i teraz - droga równomiernymi podrzutami pędziła przede mną do tyłu, a szybki ruch powietrza chłodził rozgorączkowaną twarz. Byłem bardzo znużony, ale nic pozwalałem, aby opanowało mnie zmęczenie.

Wyprowadził mnie z tego stanu wybój - niewielki czarny dołek, który zauważyłem przed sobą i ze zdumieniem stwierdziłem, że nie mogę dobiec do niego z tą szybkością, z jaką zacząłem mój bieg. Był niezbyt daleko, a przybliżał się do mnie tak powoli, jak gdyby posiadał zdolność dowolnego zwiększania odległości. I dopiero wtedy, obejrzawszy się w udręce, zrozumiałem, że nie biegnę, lecz idę ledwo powłócząc nogami. Wystarczyło tego podrzutu wstecz - a usiadłem, ale nie mogłem nawet siedzieć; skłoniwszy na ręce twarz w stronę wyboju pojąłem, słysząc odgłosy oddalonego drgania ziemi, że wróciła pogoń. Nie minęły nawet dwie minuty, gdy szary samochód zaczął zbliżać się z tyłu ku mnie - gotowemu przyjąć ostatni cios.

Czułem, że nie mam sił się poruszyć. Byłem tak szalenie, nieskończenie słaby, że nie odczuwałem nawet lęku. Lęk mógł spokojnie pędzić naprzeciw mnie, skoczyć mi na kark, bez jakiegokolwiek szansy, że wywoła najmniejszą skazę w mojej twarzy i w duszy. Leżałem nieruchomo, płasko, byłem jak sama droga. W myśli twardym uśmiechem witałem zbliżanie się świszczących kół. Śmierć - zamiast słonecznej, żywej otchłani, tryumfującej nieśmiertelności - dotknęła już mojej twarzy jasną kosą promienia rzuconego przez nadbiegającą latarnię - gdy nagle ten żelazny kot, który pędził wprost na moje ciało, zatętnił głuchym gromem, skręcił w bok i stanął. Wybiegło z niego czterech, podnieśli mnie i przenieśli na siedzenie. Ledwo poruszyłem ręką, gdy natychmiast stoczyłem się z niego, przestając widzieć, przestając niemal słyszeć - wydawało mi się, że głęboko pod ziemią ktoś rozdziera gruby brezent.

## XI

Ocknąłem się w wysokim, niewielkim pokoju z podejrzaną ciszą dokoła i z głuszącymi dźwięki drzwiami. Leżałem na łóżku, mając po lewej stronie niewielki stolik, na którym stały

sztuczne kwiaty, zrobione z nadzwyczajnym kunsztem; płatki ich (wąchałem je, dotykałem) odznaczały się takim samym wilgotnym chłodem i taką samą miękkością jak prawdziwe - nawet pachniały jak prawdziwe. Dotknąwszy głowy poczułem, że jest zabandażowana. Pod sufitem rzucała okrągły cień zielona lampa. Czuję się dość silny, aby mówić i domagać się wytłumaczenia mojej niewoli. Ujrawszy dzwonek, nacisnąłem guzik.

Otworzyły się drzwi i zjawił się w nich mężczyzna, którego widziałem po raz pierwszy w życiu. Był tęgi i trzymał się prosto, miał stanowczą kwadratową twarz i niemiłe jasne spojrzenie poprzez okulary. Jego protekcyjny uśmiech dotyczył zapewne mnie, gdyż miłe mu były moja bezradność i słabość.

- Kimkolwiek pan jest - odezwałem się - pańskim obowiązkiem jest natychmiast powiedzieć mi, gdzie się znajduję.

- Jest pan w mieszkaniu doktora Emersona - powiedział - jestem Emerson. Czy pan czuje się już lepiej?

- Zostałem porwany - odrzekłem takim tonem, by uświadomić mu, że przede wszystkim chcę wiedzieć, co się stało, kiedy byłem nieprzytomny. - Kim pan jest - przyjacielem czy wrogiem? Po co mnie tu sprowadzono?

- Proszę - rzekł z zadziwiająco zimną krwią - zachować całkowity spokój. Jestem pańskim przyjacielem, jedynym moim pragnieniem jest, aby jak najszybciej pomóc panu wyzdrowieć.

- Wobec tego - usiadłem, opuściwszy z łóżka nogi - odchodzę stąd natychmiast. Jestem dostatecznie zdrowy. O pańskim postępowaniu będzie powiadomiony prokurator królewski.

Wstał również i zadzwonił tak szybko, że nie zdążyłem chwycić go za rękę. Natychmiastowe zjawienie się trzech rosnących mężczyzn w białych kołpakach i fartuchach sprawiło, że musiałem położyć się na poduszkę w dawnej pozycji - opierać się bowiem czterem było niepodobieństwem.

Leżąc patrzyłem na Emersona z rozpaczą i oburzeniem.

- A więc jest pan w zмовie ze wszystkimi - rzekłem - dobrze, jestem bezsilny. Proszę, niech pan stąd wyjdzie.

- O jakiej zмовie pan mówi? - zapytał, dając znak tamtym, aby wyszli. - Nie ma tu żadnej zмовy, czeka pana leczenie i odpoczynek.

- Pan udaje, że tego nie rozumie. A tymczasem - i opisałem ręką k o ł o w powietrzu - chodzi tu o zmovę obwodu przeciwko centrum. Niech pan sobie wyobrazi obracający się w poziomej płaszczyźnie dysk - dysk, którego wszystkie punkty wypełnione są myślącymi, żywymi istotami. Im bliżej centrum, tym wolniej wraz ze wszystkimi innymi punktami odbywa się obrót. Ale punkt na obwodzie opisuje koło z maksymalną szybkością, równą nieruchomości centrum. A teraz skróćmy porównanie: Dysk - to czas. Ruch - to życie. Centrum - to prawda, a istoty myślące - to ludzie. Im bliżej do centrum, tym wolniejszy jest ruch, ale jest on równy w czasie ruchowi punktów na obwodzie - osiąga więc cel w wolniejszym tempie, nie naruszając ogólnej szybkości dla osiągnięcia tego celu, to znaczy powrotu po obwodzie do punktu wyjścia.

Po obwodzie zaś z wizgiem i trzaskiem, jak gdyby przeganiając wewnętrzne, coraz bliższe centrum istnienia, ale zrzędzeniem losu wraz z innymi opisuje szalone kręgi ż y c i e f a ł s z y w e, zarażając ludzi mniejszych kręgów tym gorączkowym nasyceniem, którym samo jest przepełnione, i naruszając ich coraz spokojniejszy wewnętrzny rytm łoskotem ruchu tak skrajnie dalekim od prawdy. To wrażenie gorączkowego migotania, pełnego jak gdyby ostatecznego szczęścia, w istocie swej jest udawką opętanego ruchu, który pędzi wokół celu, ale daleko - zawsze od nich daleko. I słabi - podobnie jak ja - jakkolwiek byliby blisko centrum, zmuszeni są nieść w sobie ten czysto powierzchowny wicher beznadziejnego pośpiechu, poza którym jest tylko pustka.

Jedna tylko wizja nie daje mi spokoju. Widzę ludzi, którzy się nie śpieszą, jako punkty



najbliższe centrum, o mądrym i harmonicznym rytmie, w pełni sił życiowych, ludzi panujących nad sobą, uśmiechniętych nawet w cierpieniu. Nie śpieszą się, ponieważ cel jest blisko nich. Są spokojni, ponieważ ich cel daje im zadośćuczynienie. I są p i ę k n i, bo wiedzą, czego chcą. Pięć sióstr kusi ich w centrum wielkiego kręgu - są nieruchome, one bowiem są celem i są równe całemu obrotowi kręgu, bo one właśnie są źródłem ruchu. Na imię mają: Miłość, Wolność, Natura, Prawda i Piękno. Powiedział pan, panie Emerson, że jestem chory - o! jeśli tak, to jedynie na tę wielką miłość. Albo też...

Spojrzałem na drzwi, które skrzyknęły, i dostrzegłem, że się uchyliły. Wąsata szydercza twarz zaglądała jednym okiem. Zamilkłem.

Ten rękopis wraz z zaleceniem dla naczelnika Centaurów, aby niezwłocznie pochwycił szary samochód, a także woskową figurę, która nazwała się Corridą El-Basso, a uciekła z panopticum, wrzucam dziś w nocy do skrzynki zażaleń.

*Seweryn Pollak*

## Nota o autorze

Aleksander Grin (właściwe nazwisko Gryniewski) urodził się 23 sierpnia 1880 roku. Był synem Polaka zesłanego za udział w powstaniu 1863 roku do Wiatki, który ożenił się tam z Rosjanką. Dzieciństwo przyszłego pisarza upływa w biedzie, pośród awantur rodzinnych i rozlicznych konfliktów z nauczycielami i kolegami. Grin czuje się w Wiatce samotny i opuszczony. Od beznadziejnej atmosfery głuchej rosyjskiej prowincji ucieka w wymagowany świat literatury podróżniczej. Włóczy się ze starą strzelbą po okolicznych lasach i ani na moment nie przestaje marzyć o dalekich, egzotycznych podróżach. Jako piętnastoletni chłopak opuszcza dom i udaje się do Odessy. Po długiej poniewierce, doświadczony głodu i wielu upokorzeń, udaje mu się w charakterze ucznia odbyć kilka rejsów po Morzu Czarnym i jeden, jedyny w całym życiu rejs zagraniczny do Aleksandrii. Nie posiadając pieniędzy na opłacenie wyżywienia na statku musi zrezygnować z kariery adepta marynarskiego zawodu. Powraca do Wiatki, gdzie utrzymuje się z pisania chłopom podań, czas jakiś pracuje jako łaźniowy i kancelista, by wkrótce znowu wyruszyć w podróż - tułaczkę, tym razem do Baku. W tym portowym mieście Grin poznaje otchłań ludzkiej nędzy i poniżenia. Żyje z żebranią, wynajmuje się do czyszczenia statków, gasi pożary ropy naftowej. Nocuje na przystani w pustych kotłach. Podobnie jak bohaterowie jego przyszłych opowiadań gorączkowo poszukuje szczęścia. Pomimo kolejnych klęsk i rozczarowań z uporem usiłuje odnaleźć swoje miejsce w życiu, którego szarzyzna i trywialność tak boleśnie mijają się z idealnym światem jego marzeń. Po ponownym krótkim pobycie w Wiatce w roku 1900 Grin wyrusza na Ural w poszukiwaniu złota. Pracuje w kopalni, jest drwalem i flisakiem, pływa na barce znanego armatora Bułyczowa, którego w wiele lat później sportretuje w jednym ze swych dramatów Maksym Gorki. W roku 1902 ostatecznie zdesperowany, bez środków do życia, wstępuje jako ochotnik do carskiej armii. Służąc w pułku piechoty w Penzie nawiązuje kontakt z partią eserów i zaczyna buntować żołnierzy. Po roku służby dezertuje z pułku. W Kijowie i Sewastopolu zajmuje się agitacją wśród żołnierzy i marynarzy. Aresztowany jesienią 1903 roku dwa lata spędza w więzieniu, gdzie zaczyna pisać. Uwolniony przez rewolucję 1905 roku po pewnym czasie zostaje ponownie aresztowany i skazany na osiedlenie się w Tobolsku. Udaje mu się uciec z etapu i przedostać do rodzinnej Wiatki. Ojciec wykrada dla niego ze szpitala paszport zmarłego syna diaczka - Malginowa. Pod tym nazwiskiem Grin publikuje swoje pierwsze opowiadanie na łamach petersburskich „Birżewych wiadomości”. Na polecenie kierownictwa podziemnej organizacji eserów pisze propagandowy utwór *Zastuga szeregowca Pantielejewa*. Po odmowie udziału w zamachu terrorystycznym, Grin zrywa z działalnością polityczną, wszakże za wcześniejsze swoje przewiny zostaje ponownie aresztowany. Spędza rok w więzieniu, po czym udaje się na zesłanie do guberni archangielskiej. W roku 1908 ukazuje się pierwszy zbiór jego opowiadań pt. *Czapka-niewidka*. Od roku 1912 mieszka na stałe w Petersburgu, całkowicie poświęcając się pracy literackiej. W roku 1918 Grin trafia do Armii Czerwonej, lecz wkrótce zapada na tyfus płamisty i skrajnie wycieńczony powraca do Piotrogradu. Tutaj, znowu bezdomny i bez środków do życia, dzięki pomocy Gorkiego otrzymuje tzw. deputat akademicki, pisze na jego zamówienie życiorysy podróżników po Afryce - Stanleya i Livingstone'a. Otrzymuje mieszkanie w tzw. „Domu Sztuki”, mieszczącym się w ogromnym gmachu byłego banku. Artystyczną transpozycją przeżyć pisarza z tego okresu stanie się opowiadanie „Szczurołap”. W roku 1924 Grin porzuca cygańskie życie w Piotrogradzie, wstępuje w związek małżeński i przenosi się na Krym. Początkowo mieszka w Teodozji, a od roku 1930 w miejscowości Stary Krym. Zarówno w okresie piotrogrodzkim, jak i później Grin cierpi niedostatek. Stopniowo kurczą się dla niego możliwości publikacji. Krytyka uważa go za dostawcę drugorzędnej, pozbawionej głębszych wartości literatury rozrywkowej. Choć jako autor kilkuset opowiadań i kilku dłuższych opowieści (m.in. *Szkartatne żagle* - 1923, *Biegnąca po falach* - 1928) posiada swoich czytelników, umiera niedoceniony i niemal zapomniany 8 lipca 1932 roku.

Dokładnie przez ćwierćwiecze po śmierci pisarza utwory Grina nie były wznawiane w ZSRR, a jego pisarstwo zarzucano „kosmopolityczne oderwanie od rzeczywistości”. Począwszy od opublikowania w roku 1957 wyboru jego opowiadań z przedmową Konstantego Paustowskiego rozpoczyna się pośmiertny triumf jego twórczości. W roku 1965 ukazują się „Dzieła zebrane”, opowiadania Grina zyskują sobie miliony czytelników i stają się wreszcie przedmiotem poważnego zainteresowania

krytyki.

W Polsce kilkakrotnie wznawiano *Szkarłatne żagle* i *Biegącą po falach*. Ukazało się kilka wyborów opowiadań Grina, z których najciekawsze i najbardziej reprezentatywne dla jego dorobku to *Pieękło odzyskane* (1959) i *Opowiadania niesamowite* (1971).

## SPIS RZECZY

Kolonia Lanfier	002
Opowiadanie Birka	032
Spadek po Pik-Miku	041
Tajemnicza płyta	052
Mrok	056
Potęga nieprzeniknionego	059
Rywalizacja w Lissie	062
Lina	067
Zabójstwo w Kunst-Fisze	076
Wierzba	079
Napowietrzne rusalki	092
Szczurołap	095
Szary samochód	115
Nota o autorze	138